

BRAWUROWY KRYMINALNY **ROLLER-COASTER**

A close-up portrait of a woman with long, wavy, reddish-brown hair. Her eyes are closed, and she has a serene but slightly somber expression. Overlaid on her hair and face are several vertical and diagonal lines representing roller coaster tracks. The background is a blurred cityscape at dusk or dawn, with a prominent roller coaster track curving through the lower half of the image. The overall color palette is warm, with oranges, yellows, and browns, contrasted with the cool blues of the roller coaster tracks.

MAREK
KRAJEWSKI

O S T R A

znak

MAREK
KRAJEWSKI
O S T R A

Wydawnictwo Znak
KRAKÓW 2023

*Mojej Żonie
Małgorzacie Krajewskiej
de domo Skoczek*

PROLOG

Ekran komputera się rozjaśnił i pojawiły się na nim słowa: CIESZ SIĘ. TO TWÓJ DZIEŃ OSTATNI. Jednocześnie rozległy się ponure pierwsze dźwięki Chopinowskiego *Marsza żałobnego*.

Cytaty powitalne algorytm wybierał losowo z dzieł filozofów pesymistów, utwór Chopina odtwarzał zawsze.

Na powitanie nie wyświetlały się ośnieżone góry, dzikie orchidee, szumiący ocean ani pofałdowane piaski pustyni. Z tła wyłaniały się po prostu nieco ciemniejsze niż ekran foldery.

Kursor przemknął pomiędzy nimi slalomem i zatrzymał się na tym zatytułowanym „Gangrena”. Po kliknięciu w niego otworzyły się kolejne podfoldery: „Mokry sponsoring”, „Zeznanie zboczeńca”, „Strzykawka z mlekiem”, „Kuta na cztery nogi”.

Kolejne kliknięcie i pole „Pokaż ukryte pliki i foldery” zaciemniło się i zostało aktywowane. Ekran zapełnił się zdjęciami i różnymi dokumentami. Wszystkie te pliki miały nazwy składające się z dat i liczby porządkowej; tylko jeden zatytułowany był banalnie: „tekst”.

Po otwarciu rozwinął się jako biały pusty prostokąt. Ani jednego słowa.

Kursor migał przez długą chwilę. A potem – wraz z cichym stukotem klawiszy – zaczęły pojawiać się wyrazy i zdania.

Zdarzyło wam się kiedyś zapomnieć o surowym jajku, które rozkładało się potem w jakiejś torbie wepchniętej w głąb szafy? Leżało tak i gnęło, niekiedy wydzielając z siebie ciężki odór, czasami – lekki smrodek.

Syf nie pozwalał się łatwo znaleźć. I długo nie znikał. Nawet po odkryciu go, po wyrzuceniu i zdezynfekowaniu czuliście tę woń po nocach,

prawda? Historia, którą tu opiszę, pokazuje, jak trujący może być odór, który się ciągnie za człowiekiem – ta skisła woń nie wiadomo skąd.

Wszystko zdarzyło się pięć lat temu około Wielkanocy. Kwiecień dwa tysiące dziewiętnastego roku był wyjątkowo kapryśny – niekiedy sypało śniegiem, niekiedy paliło słońce, a o poranku przymrozek denerwował kierowców skrobiących szyby.

W naszym uniwersyteckim mieście mieszkańcy oddawali się szaleństwu zakupów. Z zapalem poszukiwaczy tajemnic przeglądali ulotki wielkich sieci handlowych i szukali promocji białej kiełbasy i sześciopaków coli. Supermarkety pękały w szwach. Wesoła muzyczka drażniła kasjerów, którym wciąż brakowało drobnych do wydawania. Na zewnątrz, w parkingowej ciasnocie, trzeszczały blachy aut, gdy ocierały się zgrzytliwie o siebie i wymieniały kolorami lakierów.

Przedstawiciele klasy średniej – z wieczną nadkwasotą, wymęczeni po dzikich pretensjach klientów i po nikomu niepotrzebnych naradach – zataczali błyszczącymi SUV-ami kręgi wokół centrum w poszukiwaniu wolnego miejsca do parkowania. Nie mogli go znaleźć, nie pomagało błagalne wpatrywanie się w oczy przechodniów – może któryś z nich idzie do samochodu i zaraz wyjedzie? Ciasne uliczki wokół Rynku Staromiejskiego były blokowane przez furgonetki kurierskie z migającymi światłami awaryjnymi. Wyjechać z nich bezpiecznie to też trudność, bo z boku i z tyłu – jak duchy – pojawiali się nagle na rowerach szybcy dostawcy jedzenia.

Ci ludzie ciężko pracowali na chleb z wielkimi pudłami na plecach. Na ogół ciemnoskórzy lub rosyjskojęzyczni ostro pedałowali i rozwozili po mieście kiepskie żarcie. Wiedzieli, co ich zaraz spotka – wymówki i reklamacje, na ogół w marnej angielszczyźnie. Kurierzy nie rozumieli tych narzekań i uśmiechali się bezradnie, słysząc utyskiwania zgłodniałych po marihuanie studentów, którzy gnieździli się w klitkach peerelowskich mieszkań pomysłowo poprzedzielanych ściankami z gipsu. „Ryż, kurwa,

rozmiękły, ciasto w pizzy kleiste!” Sytuacja robiła się groźna, gdy brodaci, nabuzowani amfetaminą faceci machali im rękami przed nosem i wrzeszczeli: „Ty, ciapaty, polskiego było się uczyć!”.

Tych uzależnionych od nawigacji cyklistów bronili miejscy aktywiści – chłopcy w dreadach i dziewczyny w tatuażach sięgających żuchwy – którzy mazali po ścianach hasła: „Kochaj różnorodność”, „Niszcz kapitalizm”. Potem siadali w swoich skłotach i zaśmiewali się z nagranych filmików, na których policjanci obrywali od owych obrońców workami foliowymi z wodą po znienawidzonych mordach.

Skłotersi czuli się bezpiecznie. Mieli tajną broń, nieprzyjemne niespodzianki na „psiarnię” i na ogolonych na łyso napastników w glanach i w kurtkach wojskowych, usiłujących z młotkami i z maczetami zdobyć ich bastiony – przeznaczone do rozbiórki kamienice z prześmiewczymi hasłami na wywieszonych z okien prześcieradłach. Na intruzów, którzy wtargnęli w ten świat, czekały zapadnie ze zbutwiałych desek, gwoździe wystające ze schodów, strugi moczu z wiader.

Tak jest w całej Europie – wiem o tym. I u nas, i dalej. Nasze miasto nie bardzo się różni od innych, chyba że atakami na antyreligijne spektakle teatralne, przypuszczane przez starych ludzi, rozjątrzonych propagandą, z różańcami w dłoniach. Naszą specjalnością są też szturmy homoseksualistów na furgonetki z głośnikami ryczącymi o propagowaniu przez nich masturbacji. Z wyjątkiem zdjęć abortowanych płodów oraz wezwań do ogólnopolskiej modlitwy o duszę narodu i u nas, i w Europie dalszej wielkie reklamy na ulicach są do siebie bliźniaczo podobne. Na billboardach ludzie umierają na AIDS obok napisu: „Noś nasze bluzy!”, a kobiety z kolczykami wetkniętymi w każdy spłachetek skóry całują się namiętnie pod wezwaniem: „Musisz mieć ten bioorganiczny kefir!”.

Tak, nasze miasto jest podobne do innych – spod europejskiego neonowego lukru wszędzie wybija szambo. Bulgoce ono nie tylko w skłotach, studenckich klitkach, na stadionach czy w emeryckich

zagraconych kwaterach, gdzie od rana buzują telewizyjne emocje. Nie o takim złu będę pisać, ono jest przewidywalne. Łatwo można je rozbroić. Chcę pisać o prawdziwej zgniliznie. Ona szerzy się w czasie dyskretnych spotkań w tajnych mieszkaniach, przy najdroższym winie. W bezpiecznych miejscach, gdzie wykrywacze elektroniki wykluczają podsłuch, a telefony pozostają za drzwiami. W koszykach pod czujnym okiem ochroniarzy.

A może przesadzam? Kogo obchodzą cwani biznesmeni? Może raczej pisać o dobrych gościnnych ludziach, o ich kochanych dzieciach i o psiakach o mądrych oczach? Nie. Niech inni piszą nieważne teksty o kwiatach w podmiejskich ogrodach. Nie. Mnie interesuje gnicie tego miasta, dla mnie najciekawsza jest gangrena.

I dwie kobiety – Małgorzata i Ewa – które tę chorobę chciały wypalić. Były absolwentkami prawa, najbliższymi przyjaciółkami z jednego roku. Ponieważ pierwsze litery ich nazwisk – Drewnowska i Skoczek – są alfabetycznie odległe, zapisano je na początku roku akademickiego na zajęcia do różnych grup. Połączył je lektorat języka francuskiego – nieliczni studenci uczący się wcześniej tego języka w liceum trafili pod skrzydła tej samej lektorki. Tam się spotkały. Przyjaźń, która je połączyła, była jak eksplozja dobra i zaufania. Po miesiącu Ewa złożyła podanie o przeniesienie do grupy ćwiczeniowej, w której była przyjaciółka. Od tego momentu wszystkie zajęcia kierunkowe miały wspólne.

Pod koniec studiów ich drogi życiowe się rozeszły. Drewnowska ukończyła prawo w terminie, Skoczek w wieku dwudziestu dwóch lat zaszła w ciążę, urodziła córkę, a dyplom zdobyła dwa lata później. Gośka została wziętą adwokatką, Ewa – najpierw policjantką, potem prywatną detektyw, którą jest do dziś (nie znosi feminatywu „detektywka”, bo kojarzy się jej z „pozytywką”, czyli z nakręcanym automatem wygrywającym zawsze te same melodie). Gośka Drewnowska to kobieta potężnej postury, silna jak niedźwiedzica i wybuchowa jak letnia burza. Budzi respekt i niechęć. Z uśmiechem zwyciężczyni depcze przeciwności losu. Śpi kamiennym snem.

Ewa Skoczek – małomówna, zdecydowana i spokojna – cieszy się sympatią i zaufaniem. Cierpi na bezsenność – jak wielu mieszkańców dużych miast.

Może od tej bezsenności Ewy zacząć?

Kursor zatrzymał się i zaczął migać. Migał bardzo długo. Przez całe minuty. Ktoś najwyraźniej stracił wątek.

CZEŚĆ I

PALONA GUMA

ROZDZIAŁ I

MIASTO W PÓŁMROKU

O czwartej nad ranem zawibrował telefon i wyrwał Ewę z dwugodzinnego snu. W ciemności sypialni pulsował ekran, na którym wyświetlało się: „Biuro: alarm”.

Odebrała i – nawet nie przyłożywszy aparatu do ucha – rozłączyła się. Z automatem nie miała o czym rozmawiać, zresztą on już zrobił, co do niego należało – powiadomił, że w jej biurze detektywistycznym uruchomił się właśnie alarm włamaniowy.

Usiadła na brzegu łóżka i dłonią, w której wciąż tkwił smartfon, odgarnęła włosy. Syknęła, gdy poczuła chłód ramki od telefonu, który leżał na parapecie przy uchylonym oknie.

To odczucie stopniowo – zbyt długo jednak – przywracało jej jasność myśli i skojarzeń. W końcu do niej dotarło: ktoś się włamał do jej agencji detektywistycznej, a jeśli ona teraz się położy i zaśnie, to biuro będzie jutro w opłakanym stanie, alarm zaś obudzi pół osiedla.

Musiała na dobre pożegnać ten stan zawieszenia pomiędzy snem a jawą. Wiedziała, jak to zrobić.

– Jestem w domu, we własnej sypialni – szepnęła, ignorując zaproszenie ze strony ciepłej pościeli i pochrapującego mężczyzny. – Ten facet w ciemności to mój mąż. A tam obok...

Poczuła przeszywający ją dreszcz niepokoju.

– A tam, w pokoju obok, śpi Natalia.

Gdy myślała o Natalii, zawsze nachodził ją lekki atak paniki; ten przeszywający lęk o córkę wyrwał ją z lepkiej bezsenności albo z bezwładnego półsnu, graniczącego z insomnią. To gwałtowne uczucie mijało, gdy zawsze po dłuższej

chwili uświadamiała sobie, że Natalia wcale nie śpi w pokoju obok, bo wyprowadziła się już z domu i studiuje w stolicy. Ten lęk miał jednak jedną zaletę – przywracał logiczny bieg myśli, mącony zaburzeniami snu prześladowającymi Ewę od kilku lat.

Wstała i szurając kapciami po parkiecie, wyszła do przedpokoju. Otworzyła cicho drzwi do toalety. W ciemności usiadła na sedesie. W dłoni wciąż kurczowo ścisnęła telefon.

Musiała się ubrać i pędzić do biura – jeśli chciała uniknąć jego dewastacji i lawiny skarg od wyrwanych ze snu mieszkańców budynku.

Nie miała na szczęście daleko. Mieszkała przecież, tak jak zawsze marzyła, w centrum rodzinnego miasta, a jej agencja detektywistyczna „Exploratrix¹. Ewa Skoczek” ulokowana była idealnie – tuż obok więzienia, sądu oraz licznych biur adwokackich.

Kiedy sięgnęła po papier toaletowy, telefon znów zawibrował. Przyszła wiadomość:

KONIEC AWARII ZASILANIA AC.

Przekląła półgłosem i odetchnęła z ulgą. A więc to nie był wyjąty alarm, reagujący na ruch złodzieja, tylko po prostu spadło napięcie, może chwilowo wysiadł prąd, a ten cholerny automat wciąż nie rozróżnia tych sytuacji!

„Tyle razy sobie obiecywałam, że w końcu się tym zajmę!” – pomyślała, idąc do kuchni.

Ewa już wiele razy przyrzekała, że zadzwoni do faceta od alarmów, by naprawił w końcu usterkę. Ów partacz, sześćdziesięcioletni pan Marian, był jej cichym wielbicielem, gotowym przyjść na każde skinienie, ale ona starała się go unikać.

Jako zdeklarowana politykofobka zdecydowanie nie miała ochoty wysłuchiwać jego peanów na cześć PRL-u, gdy „panował ład i porządek, a ludzie mieli pracę”. Jeszcze bardziej ją irytowało, gdy rzucał gromy na internet jako na Szatana, globalnego siewcę zepsucia moralnego.

„Muszę się przemóc, niech on już w końcu przyjdzie kiedyś do biura – myślała, stojąc w kuchni i nalewając sobie wody do szklanki. – To tylko godzina, może dwie, i wszystko naprawi. Zresztą sam tę instalację zakładał, ona wciąż jest na gwarancji, która zaraz się skończy. Ostatecznie co to za problem znieść w milczeniu jego mądrości oraz patrzeć na łupież zalegający mu na kołnierzu, jeśli w końcu ten cholerny alarm nie będzie mnie wyrywał ze snu bez powodu!”

Wypiła całą szklankę na raz – jak niegdyś wino na studenckich imprezach, gdy brała udział w idiotycznym picciu na wyścigi. Wiedziała, że w odróżnieniu od alkoholu, który już odstawiła na dobre, zdrowo jest pić dużo wody. Że to nawilża skórę i ekspansja zmarszczek, których niepokojące zwiastuny już od dawna zauważała, zostanie nieco przyblokowana tą wchłanianą na siłę wilgocią. Bezzmakowej, niegazowanej wody mineralnej nie znosiła, ale zmarszczek bała się wręcz panicznie.

Kuchnia mieściła się w pomieszczeniu bez okna, które przed wojną było wykorzystywane jako skład naczyń i obrusów albo pokój dla służby. Teraz znajdowało się tutaj nowoczesne studio kulinarne z meblami na wymiar oraz z potężną dwudrzwiową lodówką, zmywarką do naczyń i podwójnym piekarnikiem. I szafkami, ciągnącymi się od sufitu po podłogę, ze lśniącymi chromowanymi uchwytami. Chrom pokrywał też krawędzie dużego sześciennego ekspresu do kawy.

To urządzenie było jej przyjacielem. Ale tylko ono. Inne kuchenne sprzęty traktowała z chłodną obojętnością, a chrom tak naprawdę ją drażnił.

Albert uparł się na ten materiał. Lubił chrom. Stanowił on ozdobę jego motocykla i „warsztatów pracy”, bo tak nazywał i kuchnię, i garaż, cudem zdobyty i wiecznie zastawiany przez parkujące samochody, towar deficytowy w ścisłym centrum miasta. Tam pielęgnował swojego choppera, a w kuchni tworzył dzieła sztuki w stylu *fusion*. Ewa wolałaby wprowadzić zwykłe pierogi ruskie niż jego *spécialité de la maison*, czyli krem szparagowy z posypką z wytrawnej granoli, ale jako kulinarne beztalencie nie protestowała.

Teraz w swych ciepłych skarpetach oraz w kremowej piżamie w delikatnie tłoczone czterolistne koniczynki siedziała na chromowanym – a jakże! – krześle i przenosiła wzrok z komórki, wskazującej godzinę czwartą trzydzieści, na ekspres do kawy.

Wahała się. Może właśnie już teraz wypić kawę i rozpocząć ten zimny dzień? A może pojechać do biura i przygotować sobie plan dzisiejszych działań, zanim zjawią się Waldek i Michał, jej pracownicy?

Nieoczekiwanie ogarnęła ją ogromna senność. Poczowała, jak powieki jej ciążyą, a broda dotyka obojczyka. Potrząsnęła głową, a gęste, ciemne włosy z kilkoma srebrnymi nitkami opadły jej na oczy.

Opuściła lśniąca kuchnię i przez jadalnię przeszła do salonu. Położyła się na kanapie przed wielkim czarnym ekranem telewizora.

Pokój był położony od frontu kamienicy, która stała na jednej z pierzei Rynku Staromiejskiego. Przez zamknięte, rozświetlone żółtym blaskiem latarni okno dobiegały wrzaski ludzi, którzy najpewniej wyszli z pobliskiego klubu Bonobo – jednego z setki innych w sercu miasta. Kiedy indziej przeszkadzałyby jej te hałaśliwe pożegnania i wybuchy śmiechu, ale nie teraz. Wystarczyła minuta, by wpadła w objęcia Orfeusza.

„Morfeusza, nie Orfeusza – zasypiając, pomyślała o swoim licealnym poloniście. – Piękny postawiłby mi bańkę za taką pomyłkę”.

Śniły się jej różne sceny, a ostatnia z nich wiązała się z jej przedsenną myślą: oto właśnie teraz, wczesnym rankiem, na stoliku obok kanapy podskakuje i obraca się komórka, a na jej ekranie wyświetla się: „Piękny” – małoduszna, uczniowska ksywka, którą liczne roczniki obdarzały starego, surowego nauczyciela z powodu jego farbowanych na głęboką czerń włosów.

Komórka zawibrowała na stole, a pusta szklanka o grubym dnie i z resztką whisky, pozostawiona wieczorem przez Alberta, zabrzęczała donośnie. Ewa, klnąc, wyciągnęła rękę do stolika i zrzuciła ją na dywan. Telefon leżał obok niej, a na ekranie pulsowało nazwisko oraz błyszczała kropla alkoholu. Przez głowę

przemknęła jej nagła myśl: „Może by ją zlizać? Może ten piekący płyn w tak niewielkiej dawce przywróci mnie całkiem do życia?”.

To nie Piękny dzwonił. On nie potrafił uruchomić czajnika elektrycznego, a posiadaczy telefonów komórkowych pewnie nazwałby dzisiaj „jednokomórkowcami”.

To była Gośka Drewnowska.

– Nie mów mi tylko, że spałaś. – Ewa usłyszała w słuchawce głos przyjaciółki, który swą mocą rozsadał sale sądowe. – O piątej przecież zawsze jesteś po drugiej kawie...

– Spałam – szepnęła Ewa.

W słuchawce zapadło milczenie. Ewa wiedziała, że Gośce zrobiło się głupio. Wyobrażenie jej twarzy wystarczyło jej za przeprosiny, których nie spodziewała się doczekać.

A jednak.

– Przepraszam, ale sprawa jest naprawdę pilna. Dziś w nocy po dużej wódce Banaszczyk z wielkimi oporami przyznał mi się w końcu, że ma świadka na to, iż mu grożono. prostytutkę o pseudonimie Rakietka. Ona jest jego ostatnim ratunkiem. Ewa, jesteś tam?

– Jestem.

– Pamiętasz naszą sprawę?

Znów cisza w słuchawce. Ewa wiedziała, że teraz Gośka daje jej czas na zebranie myśli. Przyjaciółka sama była jak umysłowa rakietka. Detektyw odwołała się w myślach do dopiero co usłyszanego pseudonimu. Na seminarium u budzącego grozę profesora Ecksteina Gośka pierwsza zabierała głos i rozbrajała prawnokarne paradoksy.

Ewie pomogło to samo, co wcześniej – myśl o Natalii. Wyobraziła sobie, że jej córka, studentka orientalistyki, leży pijana w jakimś warszawskim akademiku. To wyobrażenie zadziało jak lodowaty prysznic.

W jednej chwili przypomniała sobie sprawę Ireneusza Banaszczyka. Ów właściciel składowiska zużytych opon przysięgał na wszystkie świętości, że grożono mu śmiercią, jeśli nie sprzeda swojego terenu pewnym chciwym i nieprzyjemnym ludziom. Ale to były tylko słowa, zeznanie zastraszonego człowieka, które w niewielkim stopniu przekonywało jego pełnomocniczkę, mecenas Drewnowską. Jak dotąd Banaszczyk zarzekał się, że nikt inny tych gróźb nie może potwierdzić. Sprawa była bardzo trudna, a Gośka wzięła ją tylko dlatego, że poprosiła ją o to ze łzami w oczach Beata, żona Ireneusza, a jej dawna przyjaciółka z liceum.

– Oczywiście, że pamiętam – powiedziała wolno Ewa. – Do tej pory nie prowadziłam dla ciebie tak poważnej...

Gośka odetchnęła.

– No to wróćmy do Rakiety. Kiedy Banaszczykowi grożono, przebierała się za zasłoną w baraku...

– I nikt jej nie zauważył? – przerwała jej Ewa.

– On twierdzi, że nie. Dziewczyna jest drobna, schowała się w szafce na ubrania. Wiesz, takiej blaszanej, jak to w barakach, gdzie przebierają się robotnicy. Ewa, ja zdaję sobie sprawę, że to może być ściema, ale nie mam innego punktu zaczepienia. Rakietka zniknęła, przepadła jak kamień w wodę. Muszę... To znaczy ty musisz znaleźć tę dziewczynę.

Ewa przypomniała sobie biuro Banaszczyka. Odwiedziła je całkiem niedawno, gdy tylko dostała zlecenie od Gośki.

Znajdowało się w samym rogu ogrodzonego terenu koło osiedla Zadroże. Był to czarny od sadzy, drewniany, odrapany barak z zakratowanymi oknami. Lepiło się w nim od brudu, a cały wystrój przypominał raczej kanciapę hydraulików ze zdjęciami nagich kobiet na ścianach niż biuro zamożnego biznesmena. Ireneusz Banaszczyk rozpierał się przy biurku pamiętającym odległe czasy, o czym świadczył ślad wypalony na blacie grzałką. Za jego plecami rzeczywiście zwiślała

zasłona, a za nią stało kilka szafek – typowych dla robotniczych przebieralni. Tam zmieniali ubrania dozorczy pilnujący składowiska.

Wszystko to wyświetliło się teraz w głowie Ewy jak seria zdjęć.

– Tę dziewczynę – potarła skroń – to ten Irek wziął... z jakiej agencji?

– Z ogłoszenia na sexfoczeki.pl – odparła Gośka. – Twierdził, że Rakietka skarżyła mu się na mobbing w poprzedniej agencji, gdzie pracowała przez dłuższy czas. Właśnie z powodu tego mobbingu postanowiła założyć jednoosobową firmę. Od tygodnia jest nieuchwytna, Banaszczyk dzwoni do niej od siedmiu dni co godzinę. Muszę złożyć w sądzie nowy wniosek dowodowy: zeznanie świadka, czyli Rakietki. Przewodniczący składu sędziowskiego jest w porządku, nie każe mi jej znaleźć na własną rękę. Na jego zarządzenie zlecą policji poszukiwanie dziewczyny po numerze IMEI, po koncie bankowym, po bankomatach, wpłatomatach, zresztą, co ja ci będę mówić... – Nabrała tchu. – Ale to potrwa minimum miesiąc. Jeśli ta dziewczyna się wystraszyła tego, co usłyszała w baraku, to pewnie jej telefon leży na dnie Siecznicy, a ona sama uszczęśliwia mężczyzn w jakimś innym mieście...

– Kiepsko – westchnęła Ewa. – Nie znamy nazwiska ani numeru telefonu, nie wiemy, jak wygląda, bo „sexfoczeki” na zdjęciach mają zawsze rozpikselowane twarze, a w dodatku pracowała w pojedynkę. Będę musiała przeczesać z dziesięć burdeli i klubów go-go i ze czterdzieści małych mieszkaniówek i przepytąć Bóg wie ile prostytutek z portalu sexfoczeki.pl, czy kojarzą dziewczynę o ksywie Rakietka.

– Wiem, że nie brzmi to dobrze – potwierdziła Gośka. – Ale mam coś na pocieszenie. Ta ksywa jest nie byle jaka. Dość oryginalna, przyznaj. Banaszczyk mówi, że dziewczyna słynie ze zdolności oralnych. Ponoć jakiś klient powiedział, że jak mu zrobiła dobrze, to wypalił w kosmos jak rakietka. Jej się to spodobało na tyle, że od tego czasu kazała tak do siebie mówić.

Ewa zastanawiała się, jak najszybciej znaleźć Rakietkę, bo chodzenie po agencjach i pytanie o to, która z dziewczyn ma kosmiczne zdolności oralne i przy

okazji pracuje na sexfoczkach.pl, raczej nie wchodziło w grę. Nagle ją olśniło.

Wstała i z telefonem przy uchu poszła do kuchni, aby zrobić sobie kawę. W jej głowie stukła jedna fraza: telefonistka „od foczek”.

Zasyczał ekspres.

Mecenas Drewnowska stała tymczasem na tarasie swojego stumetrowego apartamentu na piętnastym piętrze z telefonem przy uchu i porannym papierosem w ustach. Spoglądała na rzekę i brzydki gmach Uniwersytetu Medycznego, wybudowanego w latach siedemdziesiątych. Wiedziała, co zaraz usłyszy. Nie będzie to „cześć” ani „na razie”, ale też nie „dobra, biorę to!”. Ewa powie jedno słowo, a w nim zawarte będzie i pożegnanie, i obietnica dalszych działań.

Nie myliła się.

– Oddzwonię – powiedziała Ewa i się rozłączyła.

Wtedy zegar wybił wpół do szóstej rano.

*

Dwa tygodnie przed rozmową Ewy i Gośki składowisko złomu i zużytych opon samochodowych „Eko-odzysk” działało na pełnych obrotach. Było ulokowane na południowych peryferiach miasta na terenie zrujnowanej szwalni, której budynki rozwalili buldożery, a metalowe elementy rozgrabili złomiarze. Zajmowało powierzchnię sześciu hektarów i leżało na planie prostokąta.

Jednym z dłuższych boków przylegało do szerokiej wyasfaltowanej ulicy okalającej osiedle Zadroże, zbudowane w czasach późnego PRL-u; bokiem przeciwnym dotykało torów nieczynnej już przemysłowej linii kolejowej i wałów powodziowych, pomiędzy którymi płynęła Siecznica – jeden z dopływów głównej rzeki miasta.

Ludzie mieszkający w blokach Zadroża położonych najbliżej owego terenu narzekali na kiepski widok z okien i ostry smród gумы, pojawiający się, gdy zawiewał – częsty tutaj – zachodni wiatr znad rzeczki. Panicznie obawiano się

pożaru i raz na jakiś czas telefony miejskich inspektorów ochrony środowiska rozgrzewały się do białości. Mieszkańcy żądali wzmożonych kontroli terenu.

Podejmowano je często i zawsze wykazywały liczne nieprawidłowości – przede wszystkim kiepski monitoring składowiska. Nie obejmował on swym zasięgiem wszystkich zakamarków terenu, a efekty jego działania były żenująco słabe: gruboziarniste filmy z jakimiś poruszającymi się kształtami, ale co to było – pies czy człowiek – nie sposób tego rozstrzygnąć. Dziury w ogrodzeniu i brak psów stróżujących też nie nastrajały dobrze czynników urzędowych do właściciela placu.

Ten sześćdziesięcioletni przedsiębiorca, zachwalający swoją firmę szyldem

„EKO-ODZYSK” Sp. z o.o.

dawniej

ÖKO-RECYKLING BANASCHIK GmbH

CHUR/SCHWEIZ

płacił kary za zaniedbania – grzecznie, terminowo i bez żadnej skargi – po czym zostawiał wszystko w takim stanie, w jakim było wcześniej.

Lokatorzy osiedla – kiedy poznali wyniki kolejnej kontroli – wściekali się na nieudolność władz, która nie znajdowała sposobu na tego „przekręciarza”. Czuli się lekceważeni. Jedni, widząc, jak jedzie swoim nowym porsche cayenne, mówili, że dla kogoś, kogo stać na takie auto, zapłacenie trzech tysięcy kary dwa razy do roku to żenująco niska cena za możliwość prowadzenia firmy, a raczej pralni brudnych pieniędzy.

Inni mawiali, że jedyne, co łączy „Eko-odzysk” z pedantyczną Szwajcarią, to obsesyjna wręcz dbałość o estetyczne ułożenie składowanych opon. Banaszczyk raz na jakiś czas zamawiał dwa wózki widłowe, by poprzemnieść opony i ułożyć je starannie jedna na drugą w wysokie czterometrowe kolumny. Tworzyły one symetrycznie wydzielone i połączone korytarze, układając się w gumowy labirynt.

Mężczyzna, który tego dnia o siódmej wieczór przeszedł przez dziurę w ogrodzeniu i znalazł się w owym labiryncie, poruszał się po jego uliczkach jak

po sznurku – już wcześniej, by ułatwić sobie zadanie, kredą wyrysował na oponach strzałki. Zachwiał się nagle i podparł prętem zbrojeniowym, którym wystukiwał na zwałach gumy jakiś dziwny rytm. Zatoczył się raz czy dwa i zarzuciło go na miękką ścianę, która się niebezpiecznie zachwiała.

W końcu znalazł się w sercu labiryntu, w kwadracie o wymiarach dwa na dwa metry.

To tutaj miał wykonać swoje zadanie.

Ze starego, przewieszzonego przez ramię, poszarpanego chlebaka wędkarskiego wyjął kilka dużych plastrów podpałki do grilla. Pręt zbrojeniowy umieścił pomiędzy dwiema oponami – leżącą na ziemi i kolejną nad nią. Rozchylił je lekko i wsunął w ciasny gumowy otwór łatwopalny sprasowany materiał. Ciężko sapiąc, wsadził jeszcze trzy takie plastry w otaczające go kolumny. Wyjął zapalniczkę do kuchenek gazowych i pstryknął guzikiem, wywołując płomień. Podpałka do grilla szybko zapłonęła. Pierwsza, druga i następne.

Mężczyzna poczuł swąd palonej gumy. Lubił go. Jako nastolatek wraz z kilkoma koleżkami kradł samochody na osiedlu i jeździł nimi po betonowych płytach nad Siecznicą. Charakterystyczny zapach zatartych opon – identyczny jak ten, który właśnie unosił się w powietrzu – przypominał mu młode lata.

Ale czarny dym, który się nagle wydostał spod słupa, już nie przywoływał wspomnień. Był duszący, gęsty i lepki. Poraził jego oczy i wdarł się w nozdrza. Mężczyzna cofnął się gwałtownie i oparł o ścianę labiryntu.

Nagle ściana runęła – nie na podpalacza wprawdzie, lecz w drugą stronę.

Popchnęła kolejną, a tamta następną. Mężczyzna odskoczył i wyteżył wzrok w poszukiwaniu kredowych strzałek. Wiedział, że musi biec w przeciwnym kierunku niż wskazywany.

Odwrócił się na pięcie, trącił lekko plecami kolejną gumową przegrodę, uruchamiając efekt domina.

I wtedy spomiędzy śmierdzących kolumn uderzyła go nagle czarna pięść gryzącego dymu. Mężczyzna odruchowo zasłonił głowę starym chlebakiem.

I wtedy poczuł na policzkach wilgoć.

Już wiedział, że zrobił błąd.

Największy w życiu.

W chlebaku miał plastikową półtoralitrową butelkę, w której szyjkę wetknął wcześniej ciasno zwiniętą szmatę. Zrobił to niestety dość niedbale, bo wystawała ona na dobre dwadzieścia centymetrów. Wziął ją na wszelki wypadek, gdyby podpałka nie zajęła się ogniem.

Gdy zasłaniał się chlebakiem przed dymem, prowizoryczna zatyczka wyleciała z butelki i część płynu wylała mu się na głowę.

Tym płynem była benzyna.

Nad oddaloną o pół kilometra rzeczką Siecznicą paliło się ognisko, a przy nim uczniowie pobliskiego liceum branżowego pili piwo. Siedzieli tam już od południa. Wygłupiali się, rozmawiali, pokazywali sobie filmiki i memy w internecie.

Kiedy wieczorem ujrzeli pożar nad składowiskiem, wyjęli telefony i zaczęli filmować.

Nie spodziewali się, że dwudziesty pierwszy dzień marca, czyli dzień wagarowicza, zakończy się taką atrakcją.

Dla mężczyzny przygniecionej przez zwał płonących opon był to pierwszy i ostatni dzień tej wiosny.

*

Dwa tygodnie po tym tragicznym wydarzeniu dzień trwał już nieco dłużej. Boczna ulica, przy której stał sześciopiętrowy gmach lokalnej telewizji, pogrążyła się w półmroku później niż dwudziestego pierwszego marca. W kaniony tworzone przez stare przedwojenne wille wpłynęła mgła. Była delikatna i rozpraszały ją latarnie. Reflektory jakiegoś przejeżdżającego auta z rzadka rzucały na szyby sali montażowej snop światła precedzonego przez rozhuśtane wiatrem gałęzie rosnących wokół kasztanowców.

Żadna z trzech obecnych tam osób nie zwracała uwagi na to, co dzieje się na zewnątrz. Wszyscy skupili uwagę na ogromnym ekranie – największym spośród kilku zawieszonych na ścianach. Na każdym z nich młoda kobieta w kurtce mówiła szybko, lecz ze świetną dykcją. W dłoniach ukrytych w dopasowanych zamszowych rękawiczkach trzymała mikrofon. Za nią były w niebo chmury czarnego dymu. Widać było wyraźnie, iż tło zostało domontowane.

– Wyniki badań DNA przedstawiono stronom kilka dni temu – mówiła dziennikarka. – Potwierdziły, że zwęglone zwłoki należały do dozorca składowiska, sześćdziesięcioletniego Ryszarda S. Rodzina podpalacza twierdzi... Ale o tym za chwilę...

Na ekranie monitora rozległa się najpierw eksplozja, a potem muzyka, która w dreszczowcach zazwyczaj podkreśla wzrastające napięcie. Nagle na ekranie rozwinęły się biało-czerwone pasy stylizowane na takie, jakimi policja zabezpiecza miejsce zdarzenia. Na jednym z nich pojawił się tytuł programu:

MIASTO W PÓŁMROKU.
PROGRAM ŚLED CZY MIRELLI SZEWCZUK

A potem dużo mniejszymi literami:

ODCINEK PILOTAŻOWY

Leszek Machalski, szef telewizyjnego działu reportażu, odchylił się mocno na krześle i założył ręce na kark. Sweter zapinany na zamek błyskawiczny naciągnął mu się na wydatnym brzuchu. Pokiwał głową i spojrzał z uznaniem na autorkę programu. Szczupła dziewczyna odwzajemniła mu się bladym uśmiechem i musnęła wzrokiem Alberta Kucaja, dyrektora telewizji. Ten stał nieporuszony, z dłońmi splecionymi na piersi.

Na ekranie znów pojawiła się młoda reporterka.

„Rodzina ofiary twierdzi, że to właściciel składowiska Ireneusz B. zapłacił Ryszardowi S. za podpalenie. I teraz najważniejsze... – zawiesiła głos, a w tle

rozległy się znów dźwięki rodem z dreszczowca. – Ireneusz B. był właścicielem kilku składowisk opon i złomu. Niedawno jedno z nich, niedaleko Częstochowy, również całkowicie spłonęło. Wówczas Ireneusz B. otrzymał ogromne odszkodowanie od firmy ubezpieczeniowej...”

Albert zatrzymał pilotem obraz. Patrzył na Mirellę zdumionym wzrokiem.

– Wiem, że tego fragmentu nie było w scenariuszu – powiedziała szybko. – Wiadomość o odszkodowaniu zdobyłam wczoraj.

Wyglądała inaczej niż na ekranie. Tam – w zielonym płaszczu ściągniętym paskiem w talii, tutaj – dzinsy, bluza z kapturem i kolorowe tenisówki; tam – ciemne włosy ułożone starannie, doprowadzone do ładu prostownicą, tutaj – miękkie loki dość niedbale zebrane na karku frotką. Tylko jej wzrok był taki sam – wyzywający jak u urwisa, który coś zbroił i mówi: „No i co mi teraz zrobisz?”.

Dyrektor Kucaj już nie był zdumiony. Lekko się uśmiechał. Znał takie dziewczyny jak Mirella – nieprzewidywalne i zwariowane; bez kredytu, bez męża, bez starych rodziców, których trzeba pielęgnować i wysłuchiwać ich narzekań. Dla nich ważna jest zabawa, odwaga i szaleńcza pewność, że wszystko błędnie wobec prawdy, jaką wydobywają z mroku, a właściwie z półmroku miasta.

Musiał przyznać, że szef uniwersyteckiego Instytutu Dziennikarstwa profesor Michał Zawadzak w przypadku Mirelli Szewczuk trafił w dziesiątkę. Albert, gdy ją zobaczył, był pewny, że przez łóżko zdobyła protekcję jego kolegi, z którym studiował polonistykę dawno temu, w czasach gdy dziennikarstwo było tylko specjalizacją, a nie kierunkiem studiów. Michał słynął z tego typu podbojów, ale tym razem zarzekał się, że Mirella Szewczuk jest jego wyłącznie profesjonalnym odkryciem. Albert mu uwierzył i nie żałował.

– Dobrze, pani Mirello – powiedział. – Na przyszłość proszę Leszka informować o zmianach w scenariuszu.

„Miało to zabrzmieć zimno i karcąco, ale nie zabrzmiało szczerze. Musi mi zwrócić uwagę, od czegoś jest dyrektorem” – prychnęła w duchu Mirella.

Kucaj uruchomił monitor.

„Ireneusz B. został oskarżony przez prokuraturę o próbę wyłudzenia ubezpieczenia oraz o nielegalną utylizację odpadów – mówiła Mirella na ekranie. – Dodatkowo z powództwa cywilnego jedna z mieszkanek osiedla Zadroże oskarża go o spowodowanie u jej syna znacznego uszczerbku na zdrowiu. Trujące opary spowiły całe osiedle”.

Albert po raz kolejny musiał przyznać, że dziewczyna jest naprawdę dobra. Ta zmiana stylu – z rzeczowego sądowego na bardziej opisowy – była znakomitym zagranem.

„Ireneusz B. twierdzi, że składowisko opon podpalili jego wrogowie, aby wymóc na nim sprzedaż posiadanego przez niego terenu. Grozili mu pobiciem, a nawet śmiercią. Świadkiem tych gróźb miała być pewna kobieta, pracownica seksualna. Niestety, zapadła się pod ziemię...”

Na ekranie pojawił się znów przerywnik, czyli sploty policyjnych taśm oraz tytuł programu.

Po sekundzie widzowie ujrzeli gmach sądu z czerwonej cegły. Przez obrotowe drzwi wyszła z niego kobieta w todzie adwokackiej z aktami pod pachą. Przystanąła i spojrzała wprost w kamerę.

Była jak góra, wyższa o głowę od przechodniów mijających gmach sądu.

Jej ciemnoblonde włosy, założone za uszy, sięgały karku. Małe, głęboko osadzone bladoniebieskie oczy elektryzowały zimnym, jakby jaszczurczym wzrokiem. Mogła budzić lęk u wrogów. I nagle wąskie usta rozciągnęły się w uśmiechu. Zdumiewające było, że jej twarz nagle przybrała ciepły, niemal przyjazny, wyraz.

„Ireneusza B. broni mecenas Małgorzata Drewnowska – powiedziała do mikrofonu Mirella. – Prokurator Adrian Wojtala, któremu przydzielono tę sprawę, może spodziewać się precyzyjnych i bolesnych ripost. Wszak pani mecenas w naszym świecie prawniczym nie bez powodu nosi bardzo charakterystyczny pseudonim: Brzytwa”.

Tego samego wieczoru, gdy Albert Kucaj oglądał wyniki pracy swojej stażystki, jego żona, Ewa Skoczek, zapukała do drzwi mieszkania położonego w starej modernistycznej dzielnicy, oddalonej o dwadzieścia minut jazdy od centrum.

Otworzyła jej niewysoka pulchna dziewczyna w szerokim swetrze z długimi rękawami, w legginsach i w pantoflach z kocimi mordkami. Nad górną wargą miała zaczerwienienie – ślad po usuniętym plastrze wąsiku.

– Dzień dobry – powiedziała Ewa. – Pani Klaudia? To ja do pani dzwoniłam. Jestem od komisarza Sadosia.

Dziewczyna bez słowa odwróciła się i poszła w głąb mieszkania, zostawiając otwarte drzwi.

Ewa nie oczekiwała ciepłego powitania. Rzadko się zdarzało, by ktoś przyjmował ją z otwartymi rękami. Na wiadomość, że jest prywatnym detektywem, reagowano dwojako. Albo po prostu pokazywano jej drzwi, albo – i w tym przodowali mężczyźni – z uśmiechem wyciągano dłonie, by zakuła je w kajdanki.

Najważniejsze w tej pracy było przełamanie początkowej niechęci zniecierpliwionych i wesołkowatości dowcipnisiów. Dlatego do każdej z rozmów starannie się przygotowywała.

Wykorzystywała oczywiście dobre kontakty z dawnymi kolegami z policji – bez nich nie dało się uprawiać zawodu prywatnego detektywa – i zdobywała informacje o swoich przyszłych rozmówcach. Jeśli mieli czyste konto i nie zapisali się w żaden sposób w pamięci dzielnicowych, to wtedy improwizowała, wykorzystując swój wdzięk – nie uwodzicielski, lecz na swój sposób ujmujący, dyskretny, naturalny; nie obiecujący zbyt wiele, ale budzący zaufanie. Byłaby zapewne dobrą psychoterapeutką lub dziennikarką specjalizującą się w szczerych wywiadach. Przypominała miłą babkę z sąsiedztwa. Przed taką ludzie zwykle otwierają serca.

Jednak od tej naburmuszonej panny nie powinna oczekiwać zbyt wiele. Należało jej okazać wyrozumiałość i anielską cierpliwość. Tak przynajmniej sądził jej informator, komisarz Mateusz Sadoś, zajmujący się sprawami obyczajowymi

w komendzie wojewódzkiej. Gdy to mówił, w jego głosie zadźwięczała nieoczekiwana czułość – a może Ewie tylko się zdawało?

Klaudia Kozaczyńska była tak zwaną telefonistką, czyli zajmowała się odbieraniem połączeń od klientów korzystających z usług portalu sexfoczeki.pl.

Żadna ze świadczących usługi seksualne kobiet, które zamieszczały na nim swoje fotografie w negliżu, nie używała telefonu o numerze podanym w anonsie. Dzwoniło się do telefonistki, takiej jak Klaudia, która prowadziła dziewczynom z portalu grafik, umawiała je z klientami, wysłuchiwała perwersyjnych zapotrzebowań i zdecydowanie odrzucała wszelkie próby targowania się o cenę.

Klaudia do dobiegającego czterdziestki komisarza Sadosia miała jakąś słabość. Polubiła go na gruncie zawodowym i chciała nawet ich kontakty przenieść na grunt bardziej osobisty, ale policjant – ku jej ubolewaniu – choć nieodmiennie miły i opiekuńczy, to jednak był kompletnie nieczuły na owe sugestie. Gdy ją poprosił, by się zgodziła porozmawiać z jego dawną koleżanką z policji Ewą Skoczek, zrobiła to bez wahania. Dzięki tej protekcji pani detektyw może nie przełamała pierwszych lodów, ale zeskrobała pierwszą warstwę szronu.

Telefonistka zajmowała typowe studenckie mieszkanie, zagracone rowerami i niepasującymi do siebie meblami z wystawek. Jej pokój był bez wyrazu.

Ewy to nie dziwiło. Od Sadosia wiedziała, że dziewczyna tylko tu pracuje, czyli zajmuje się czymś, co na własny użytek nazwała erotyczną logistyką.

– Jest pani studentką polonistyki? – Ewa usiadła na jednym z dwóch niskich skórzanych foteli. Na obydwie zarzucono koce, które i tak nie zdołały ukryć przetarć skóry.

– A co w tym dziwnego? – Klaudia potrząsnęła gęstymi włosami. – Chce pani powiedzieć, że moja praca jest niegodna humanistki?

– Nie jestem chodzącą cnotą i nie naprawiam świata. – Ewa się uśmiechnęła. – Przyszło mi tylko na myśl, że fikcyjne życiorysy dziewcząt to dobre ćwiczenie z twórczego pisania. Tak mawiał mój polonista w liceum, gdy kazał nam tworzyć alternatywne biografie bohaterów literackich.

Ta osobliwa metoda dydaktyczna nie zainteresowała Klaudii.

– Być może to dobre ćwiczenie... – prychnęła i zajęła drugi fotel. Jego skóra cicho skrzypnęła.

Zapadło milczenie. Ewa wiedziała, co ma mówić, ale spokojnie czekała. Zdawała sobie sprawę z tego, że wielu ludzi nie znosi krępującej ciszy i przerywa ją często agresją lub nagłymi nieprzemyślanymi wypowiedziami.

– To, że się zgodziłam z panią porozmawiać... to tylko dlatego, że mnie o to prosił Mati...

„Czegoś się dowiedziałam – zdziwiła się Ewa. – Są blisko. Zdrabnia jego imię”.

Dziewczyna zdjęła kapeć i stopą w puszystej przybrudzonej nieco skarpetce zaczęła przesuwać aparaty telefoniczne leżące na niskim kwadratowym stoliku z Ikei. Wszystkie starego typu – z klawiszami. Takie się nie psują i rzadko je trzeba ładować.

– To, że zgodziłam się spotkać – kontynuowała – nie znaczy, że chcę się z panią zaprzyjaźnić, jasne? Proszę przejść do rzeczy.

– Jasne. – Ewa otworzyła oczy szeroko i pochyliła się ku swojej rozmówczyni. – Nie będziemy się sobie zwierzać, ale proszę mi pozwolić wyrazić moje uznanie dla pani inteligencji. Fikcyjne życiorysy wymagają bystrości. Tyle.

Klaudia skinęła głową, nie patrząc na Ewę. Ten gest mógł zapowiadać przełamanie lodów.

I tak też się stało. Studentka zaczęła szybko i nieoczekiwanie:

– No tak, fikcyjne życiorysy... One przyjeżdżają z małych miasteczek, z wiosek. Muszą oszukiwać swoich mężów i chłopaków. Wymyślam je jakby od nowa: jedna jest kelnerką i pracuje w pizzerii, więc potrzebuje też opisu wyglądu i zachowania szefa. To zadanie dla mnie. Inna jest szefową całej armii ukraińskich sprzątaczek, więc podaję jej imiona tych Ukrainek. W razie gdyby zazdrosny facet przyjechał i sprawdzał, czy to prawda, przygotowuję plany B. One się tego uczą na pamięć, planów awaryjnych również. Deklamują przede mną, a ja je sprawdzam.

Za to mi płacą. Jedna drugiej mnie poleca. Nazywają mnie Antywsypa. Taka praca. – Uśmiechnęła się. Lody zostały przełamane. – Wie pani, one często te historie ubarwiają własną inwencją, najczęściej chcą w nich sprzedawać elegancką bieliznę. Albo być menadżerkami w Kauflandzie. Ja dbam o to, by nie przesadzały. Żeby dziewczyna, która dotąd sprzedawała mamroty w wiejskim sklepie, nie była teraz szefową HR-u w jakiejś korporacji.

– A Rakieta ma taką fikcyjną biografię?

Klaudia się zamyśliła.

– Nie, ale ona nie ma nikogo. To znaczy nie ma przed kim udawać. A nawet jeśli, to pewnie by go pogoniła, gdyby facet stał się zazdrosny. Przynajmniej tak mi się wydaje po jednym, może dwóch spotkaniach z nią.

Ewa przyznała w duchu, że ma do czynienia z bystrą obserwatorką. Postanowiła przejść do rzeczy.

– Wie pani, Rakieta zostanie wezwana do sądu. A zresztą jak ona właściwie ma na imię?

Studentka spojrzała w zamyśleniu na starą meblościankę z wazonikiem zakurzonych suszonych konwalii. Zapewne pamiątka po jakiejś randce.

– Nie wiem – odparła po namyśle. – Chyba nigdy nie słyszałam jej imienia. Lubi swoją ksywę, woli ją niż imię. Pewnie ma jakieś staromodne: Beata, Grażyna, Bożena... Nie wiem. Nie jesteśmy blisko. Mówiłam przecież, że widziałam ją raz albo dwa.

Ewa ucieszyła się w duchu, że jej imienia Klaudia nie zaliczyła do epoki kamienia łupanego.

– Policjanci zaczną szukać jej telefonu komórkowego – powiedziała. – Nie będą się śpieszyć, sędzia dał im miesiąc na znalezienie i przyprowadzenie świadka. Oni zaczną, jak zawsze, od numeru telefonu. Nie znają jej nazwiska, nic o niej nie wiedzą. Najpierw zajrzą na stronę portalu, spiszą numer Rakiety i tak trafią do pani, bo to przecież jeden z tych telefonów. – Spojrzała na kolekcję aparatów na stoliku. – Pani Klaudio, może pani wszystko powiedzieć teraz. W sądzie lepiej być

dobrowolnym świadkiem niż takim doprowadzonym przez policję. Lepiej porozmawiać ze mną i dostać się pod opiekę pani mecenas Drewnowskiej, którą reprezentuję, niż pod opiekę policjantów. Oni potrafią być nieprzyjemni. – Uśmiechnęła się lekko. – Mnie naprawdę zależy na znalezieniu tej kobiety, bo prowadzę sprawę z nią związaną. No, niech pani poda mi prawdziwy numer Rakiety. Niech mi pani coś o niej powie. Najlepiej prawdę...

Nagle zadzwonił jeden z telefonów leżących na stoliku. Klaudia odebrała. Przez chwilę słuchała zasapanego męskiego głosu.

– Proszę tu więcej nie dzwonić – powiedziała sucho, rozłączyła się, a potem przez chwilę grzebała w ustawieniach telefonu. – Stary zbok – mruknęła. – Zablokowałam jego numer.

Ewa patrzyła na nią w napięciu.

– Do Rakiety też dzwonił często jeden facet – szepnęła Klaudia. – Nie ten, co przed chwilą. Inny. Chyba jakiś zboczeniec, bo kazała mi go pogonić. Robiłam to, a on wciąż wydzwaniał z różnych numerów i starał się zmieniać głos, żeby od razu nie kazała mu spadać na drzewo. Wciąż prosił, bym przekazała Rakiecie, że będzie jej sponsorem. Ale ona nie chciała. Dziwiło mnie to trochę, bo sponsoring i wyłączność pozwalają poczuć się dziewczynom jak damy. Ze swoim *sugar daddy* bywają w teatrach, na eleganckich przyjęciach, dostają drogie prezenty, perfumy za osiem stów, a w zamian... tylko muszą wykazywać duże zaangażowanie w tym, co umiejają najlepiej.

W jej głosie dało się wyczuć ironię.

Ewa delikatnie skierowała rozmowę na właściwe tory.

– Powiedziała pani, że facet dzwonił z różnych numerów i zmieniał głos. – Przesunęła dłonią po karku, jak zawsze, gdy przechodziła do kluczowego pytania. – To skąd pani wiedziała, że to ten sam? Raz mówił tak, raz inaczej, a pani go rozpoznała... Ma pani dobry słuch? Chodziła pani do szkoły muzycznej?

Klaudia wbiła w nią pewny siebie wzrok.

– Panią też bym rozpoznała przez telefon – oznajmiła. – Dwa razy użyła pani dzisiaj zaimka „mnie” na początku zdania. Większość ludzi powie: „Mi się to nie podoba”, a pani zapewne: „Mnie się to nie podoba”. Pani licealny polonista byłby z pani dumny. Myle się?

Ewa pokiwała głową. Była pod wrażeniem.

– Niech pani da mi swój numer. Przydałaby mi się taka bystra pracownica.

– Nie szukam nowej pracy... – zachnęła się Klaudia i lekko się przy tym zarumieniła.

– No dobrze. – Ewa z satysfakcją zarejestrowała jej emocje. – Ten zboczeniec od Rakiety też używał jakiegoś charakterystycznego zwrotu?

– Nie – odparła Kozaczyńska. – Rozpoznałam go po głosie. To mój wykładowca. Nie powiem pani, jak się nazywa. Nie chcę, żeby potem się na mnie mścił. Mogę podać pani tylko numer, z którego najczęściej dzwonił. Nic więcej. Sama już sobie pani sprawdzi, kto to. Ani myślę się podkładać. Wszystkiego się wyprę. Nawet w sądzie. Rozumie pani? Nic więcej nie powiem! Nie chcę mieć z tą sprawą ani z panią nic wspólnego!

Była zdenerwowana. Odblokowała jeden z telefonów i przesunęła go gwałtownie w stronę rozmówcy.

– To ten pierwszy z listy numerów blokowanych!

Ewa spojrzała na rząd cyfr, po czym wstukała je do pamięci swojego aparatu.

Westchnęła. Sprawa znów wróciła do Sadosia. Tylko on mógł po numerze zidentyfikować zboczeńca nagabującego Rakietę.

Był jeszcze jeden człowiek, który byłby w stanie go namierzyć. Ale z nim Ewa nie chciała mieć do czynienia. Nigdy.

*

Albert usiadł na brzegu stołu i potarł dłonią szorstki już nieco podbródek. Różnił się bardzo od Leszka Machalskiego. Był szczupły i wysportowany, podczas gdy tamten wyglądał, jak na miłośnika piwa i golonki przystało. W odróżnieniu od

dyrektora działu reportażu, który nosił workowate spodnie i przecierające się swetry, Albert ubierał się schludnie i bez wyzywającej elegancji – zawsze w niebieską koszulę i ciemną, dobrą gatunkowo marynarkę bez poszetki. Nosił klasyczne dżinsy, szyte na miarę w pewnym małym zakładzie krawieckim. Nie żałował też pieniędzy na buty, toteż z daleka zwracały one uwagę swym oryginalnym wzorem i blaskiem glancu.

– Odcinek pilotażowy zostaje przyjęty – powiedział. – Bardzo dobrze, pani Mirello.

Zaczerpnął tchu i przeczesał palcami gęste szpakowate włosy.

– Teraz musimy omówić sprawy formalne – rzekł powoli – czyli finansowanie dalszych odcinków pani programu...

– Darujcie mi te nudne kwestie – mruknął Machalski i wstał z krzesła, a mebel, uwolniony od jego znacznego ciężaru, zareagował jakby radosnym trzaskiem. – To mnie nie dotyczy. Ja już swoje powiedziałem. *Well done*, dziewczyno!

Rozejrzał się wokół, jakby na świadków swojego *désintéressement* finansowaniem produkcji brał cały komputerowy chaos wokół – migające monitory, błyskające diody, poskręcane kable, spiralne przewody, stoły telewizyjne wielkie jak kuchenne blaty i wszechobecne myszki komputerowe. Pomachał ręką na pożegnanie – nie wiadomo, czy ludziom, czy przedmiotom – i wyszedł, gniotąc w palcach pusty kartonowy kubek po kawie.

Twarz panny Szewczuk zajaśniała uśmiechem. Dyrektorowi przeszła przez głowę niepokojąca myśl, że dziewczyna ucieszyła się nie tyle z opinii Leszka, ile z tego, że zostaje z Albertem sam na sam. Było to poniekąd myślenie życzeniowe. Nie pozostawiał go obojętnym blask tej brawurowej młodości, która miała w nosie układy i nikogo nie zamierzała oszczędzać. Postanowił zamaskować ten nagły przypływ dziwnych uczuć suchym tonem i kilkoma kąśliwymi uwagami na temat niedostatków merytorycznych odcinka.

Nie zdążył jednak.

– Mam dla pana jeszcze jedną ważną informację. – Mirella złożyła dłonie i oparła na nich brodę.

Spojrzał na jej palce. Spodziewał się ujrzeć krzywo obcięte paznokcie, ale jego przewidywania były błędne. Jej dłonie były starannie wymanikiowane.

– O tutaj, na pendrivie na łańcuszku – wskazała palcem na swoje piersi – mam wszystko spisane. Zaraz panu powiem. Prawdziwa bomba. To będzie dalszy ciąg programu, kolejny odcinek!

Albert chętnie by ujął w dłoń ten pendrive – zapewne ciepły od jej ciała.

„Pewnie uważa mnie za starego dziada” – pomyślał w ostatniej rozpaczliwej próbie obrzydzenia sobie młodej dziennikarki.

Jej oczy mówiły coś całkiem innego.

Zapomniał jednak o ich wyrazie, gdy usłyszał, co jeszcze odkryła w sprawie podpalenia składowiska opon.

1 Poszukiwaczka, pani detektyw (łac.).

ROZDZIAŁ II

SKOCZEK–MROCZEK–KUCAJ

Budynek, w którym mieściła się hala dawnego milicyjnego klubu sportowego Kohorta, został zbudowany tuż przed wojną i można w nim było się doszukać znamion modernizmu. W głowie Ewy Skoczek, gdy tutaj przychodziła, zawsze budziła się smutna myśl, że jego piękna w swej prostocie żelbetowa konstrukcja z malowniczo zagiętym łukowatym dachem, zamiast cieszyć oko, marnuje się na tym szarym podwórku, otoczonym z trzech stron wysokimi kamienicami. W jednej z nich, należącej do komendy wojewódzkiej, mieścił się klub policyjny o absurdalnej nazwie Bajka, żyjący głównie z wynajmu sal na wesela; w drugiej rozgościła się Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a w trzeciej – jedynej, nad którą nie miały swej pieczy jakiegokolwiek służby – mieściła się prywatna szkoła wyższa, gdzie oferowano licencjat w szerokim zakresie dziedzin: od filologii angielskiej po kosmetologię, w zamian za osiemdziesięcioprocentową frekwencję na zajęciach.

Ewa, która lubiła myśleć o sobie jako o estecie, najbardziej w tej hali Kohorty nie lubiła wejścia. Gdyby – zgodnie z zamysłem architekta – pozostawiono do niej swobodny dostęp, jaki jeszcze niedawno dawał duży plac z ławkami, to budynek byłby dobrze widoczny i mógłby eksponować swoją szlachetną prostotę.

Tymczasem któryś z komendantów wojewódzkich wpadł na genialny pomysł, żeby przed wejściem do hali urządzić policyjny parking na auta kradzione, powypadkowe bądź zarekwirowane pijanym kierowcom. Miejski konserwator zabytków, prawdopodobnie w pijanym widzie, zaakceptował ten pomysł. Ławki zlikwidowano, plac zagracono samochodami, a osoby korzystające z hali sportowej zmuszono tym samym do pokazywania legitymacji służbowych albo stosownych zaświadczeń stróżowi parkingowemu, który ich wpuszczał do obiektu.

Tego wieczoru, wchodząc do Kohorty, Ewa nie myślała o architekturze modernistycznej. Starła się nie myśleć w ogóle. Z całym zapamiętaniem oddała się treningowi krav magi, z którego korzystała bezpłatnie, po znajomości. Zajęcia te miały charakter samoobronny i uczestniczyli w nich wyłącznie policjanci z różnych komend.

Ewa nie знаła bliżej żadnego z kursantów i nie zamierzała tego stanu rzeczy zmieniać. Trener, komisarz Jakub Bykowski, chełpiący się na prawo i lewo dyplomem ukończenia półrocznego kursu policyjnej samoobrony w Tel Awiwie, nie pozwalał na żadne pogaduszki w czasie ćwiczeń. Po skończonych zajęciach Ewa pędziła prosto do domu, nie brała nawet prysznic. Oprócz Kuby właśnie, jej starego znajomego jeszcze z komendy dzielnicy Północ, żaden z adeptów izraelskiej sztuki walki nie wiedział, kim właściwie jest ciemnowłosa kobieta z grzywką i końskim ogonem – szczupła, średniego wzrostu, małomówna i zdystansowana.

Nie raz i nie dwa widziała, jak wzrok mężczyzn na sali przykleja się do jej kształtnych, choć wąskich bioder. Obcisłe gimnastyczne legginsy uwydatniały je, a ukrywały jednocześnie nieco zbyt umięśnione i wypukłe łydki. Ten swój mankament urody tuszowała też na co dzień, nosząc wyłącznie spodnie mimo protestów Alberta, który uważał jej nogi za ekscytujące, a sukienki za ubiór szczególnie seksowny.

Luźne podkoszulki treningowe nie pomagały natomiast obserwatorom damskich krągłości w ustaleniu, jaki jest rozmiar jej stanika. Poza tym na zajęciach krav magi pojawiły się dwie inne kobiety – Dominika i Marysia – młodsze i chętne do flirtu, a ich strój eksponował wszelkie szczegóły ich sylwetek. Niedziwne więc, że wraz z każdym kolejnym treningiem koledzy coraz bardziej tracili nią zainteresowanie. Była zbyt poważna i do tego małomówna.

Wyjątkiem był Tomek – szczególnie wytrwały, uśmiechnięty i tryskający pseudointeligentnymi bon motami. Ewa ignorowała je demonstracyjnie, ale też nie zniechęcała go w żaden sposób, aż ten, ośmielony jej milczeniem, które brał za coś,

co nazywał typowo kobiecym niezdecydowaniem, nieoczekiwanie zaproponował jej wspólną kolację.

Wtedy wystarczyło jedno ironiczne spojrzenie i kilka zdań – kulturalnych i bez wulgaryzmów, których starała się unikać, choć nie zawsze jej wychodziło. Po prostu porównała go ze swoim mężem i nie miała wątpliwości, który z nich jest górą. Ta reakcja, pozbawiająca go jakichkolwiek złudzeń i nadziei, sprawiła, że niemal dosłownie zabrakło mu języka w gębie i spłonął rumieńcem jak pensjonarka. Dał spokój, ale tylko na jeden, może dwa treningi. Potem znów przystąpił do szturmu w sposób, którego wręcz nie znosiła – usiłował ją rozbawić głupimi dowcipami.

Przypominał jej byłego sąsiada z wieżowca, gdzie tuż po pierwszym ślubie zamieszkała z Robertem i malutką Natalią. Ów sąsiad, bardzo zresztą do Tomka podobny – wysoki i zaczesujący na bok grzywę włosów – na każdą wspólną przejażdżkę windą miał przygotowany jakiś głupawy dowcip, z którego tylko on zaśmiewał się do łez. Gdy Ewa przez szybę w drzwiach od klatki widziała, jak ten czeka na windę, nie wchodziła do środka.

Dzisiaj by tak nie postąpiła. Dzisiaj byłaby gotowa do konfrontacji, a nawet by ją zaaranżowała – oczywiście stosownie do okoliczności.

I coś takiego właśnie wydarzyło się tego wieczoru. Podrywacz od siedmiu boleści natychmiast po wejściu na salę przywitał się z nią, wygłaszając przy tym śliski komplement: „Och, dzisiaj będzie ostro! Widzę mnóstwo siły w tym milusim ciele!”. Poczowała wewnętrzny żar. Pozornie zignorowała tę zaczepkę Tomka, ale jeszcze przed rozgrzewką podeszła do Kuby i poprosiła, by do pokazania nowej sekwencji ciosów wyznaczył właśnie ją i nieszczęsnego abszytfikanta.

I tak się stało. Bykowski po zademonstrowaniu, jak należy się uwolnić z próby uduszenia, najpierw poprosił Dominikę, by wraz z nim zademonstrowała całą sekwencję ruchów, a następnie polecił Tomkowi przeciwiczyć ją z Ewą przed wszystkimi uczestnikami zajęć.

Tomek nie był zachwycony. Do tej pory unikał sparingowania z kobietą, która wpadła mu w oko. Teraz zaś musiał. Wahał się, ale Kuba go ponaglił, włożył więc hełm ochronny i podszedł do Ewy tanecznym krokiem, na pozór rozbawiony. Kursanci utworzyli krąg i patrzyli na rozgrywającą się scenę.

Ewa była pewna, że da sobie radę. Nie znosiła sekwencji, w których należało wykonywać jakieś kroki – typu lewa do przodu, prawa w bok. Wolą uderzenia rękami, gdy nogi stoją mocno na ziemi.

Na polecenie Kuby Tomek chwycił ją za gardło obiema dłońmi – niezbyt mocno, ale i tak zabolą. Uniosła wysoko prawe ramię, skręciła tułów w lewo i uderzyła łokciem od góry w jego rękę. Nastąpiło tak zwane zerwanie kontaktu – lewa ręka napastnika oderwała się od jej szyi i prawy łokieć Ewy trafił go w miękki ochraniacz hełmu. A potem zadała cios – lewy sierpowy.

Chciała trafić w ochronę głowy swojego sparingpartnera. Chciała, żeby ten durny łeb dowcipnisia odskoczył najdalej, jak to tylko możliwe. Ale pod wpływem zimnej złości, która ją ogarnęła na widok jego tanecznego kroku i głupkowatego uśmiechu, widocznego zza ograniczników hełmu, uderzyła niżej.

Trafiła w grdykę.

Tomek osunął się na kolana, chwycił za szyję na wysokości gardła i długo kaszłał.

Kuba przerwał trening i oznajmił drżącym od irytacji głosem, że Ewa najwyraźniej załatwia jakieś własne porachunki. Ostrzegł, że odtąd będzie wyznaczał pokazowych sparingpartnerów wedle własnego uznania. Na koniec kazał Ewie opuścić trening i przemyśleć, po co właściwie tutaj przychodzi.

Ta przeprosiła Tomka – publicznie – i obiecała poprawę. Skruszona wyszła z sali.

Udawała. Kiedy się przebierała, nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia ani nie obawiała się wściekłości Bykowskiego. Tak naprawdę rozpierało ją teraz błogie zadowolenie.

Wychodząc przez parking na ulicę, nałożyła kaptur bluzy na głowę. Czuła się jak zadziorna dziewczyna z blokowiska, której nikt nie podskoczy. I nagle poczuła gorycz w gardle. Zrozumiała, że atak na Tomka miał głębsze uzasadnienie niż chęć nauczania tego lowelasa właściwych manier: jej sparingpartner był tylko przypadkowym obiektem, na którym wyładowała złość.

„Skąd ta złość?” – zapytała samą siebie.

Przypomniała sobie dawne sesje psychoterapeutyczne i to, czego się na nich nauczyła od policyjnego psychologa: należy zawsze stawiać sobie pytania o głębiej ukryte przyczyny swoich zachowań.

„Ze strachu” – odpowiedziała sobie.

Wiedziała, że o to chodzi. Strach podszedł jej do gardła, gdy kilka dni wcześniej zegnała się z Klaudią Kozaczyńską. Ta dziewczyna była studentką. Tak jak Natalia.

Zarabiała na życie w branży erotycznej, ustalała dziewczynom grafiki i pomagała okłamywać bliskich. Zapewne była bardzo dokładna i bystra. Jak Natalia. I zapewne tylko mały krok dzielił Klaudię od pójścia w ślady koleżanek, o których się wyrażała z wyraźną sympatią. Może ta dziewczyna też chciała się poczuć jak dama na operowej premierze pachnąca perfumami za osiemset złotych? A może podobne myśli chodzą po głowie Natalii?

Strach, który wtedy poczuła Ewa, znikł na kilka dni. Aż pojawił się znowu dzisiaj, gdy przed treningiem spotkała się ze swoim policyjnym informatorem, komisarzem Mateuszem Sadosiem. Mati zidentyfikował posiadacza numeru jako Michała Zawadzaka, profesora w uniwersyteckim Instytucie Dziennikarstwa, zresztą znajomego Alberta. Policjant nie musiał kontaktować się z właściwym operatorem telefonii komórkowej, nie musiał pisać podań ani pokonywać innych trudności. Po prostu znalazł ten numer w policyjnej ewidencji. Jedna ze studentek zgłosiła, że jest zarzucana przez profesora dwuznacznymi propozycjami. To zgłoszenie, wycofane zresztą później przez dziewczynę, doszło do Matiego.

Może taki emocjonalny brat bliźniak Zawadzaka, jakiś wykładowca na warszawskiej orientalistyce, już upatrzył sobie córkę Ewy? W jej głowie pojawiała się – jak filmik z komórki, zamazany i roztrzęsiony – scena sprzed roku, gdy wyjątkowo późno wracała z pracy i spotkała Alberta z Natalią na schodach. Pomagał jej wejść do domu po studniówce, na której straciła nie tylko świadomość, ale i dziewictwo.

Ewa odetchnęła głęboko, żeby pozbyć się nieprzyjemnych myśli. W niczym nie przypominała teraz ostrej laski z osiedla, która uczy rozumu głupawych koleśi.

Na zaśmieconym puszkami podwórzu na tyłach kamienicy stała dostawcza ciężarówka. Jej silnik pracował, gdy kierowca po opuszczonej tylnej burcie powoli i ostrożnie sprowadzał dwukołowy wózek z małą platformą, na której spoczywały dwie beczki piwa. Kiedy mu się to udało, skierował się do drzwi kuchennych klubu Bonobo.

Spod wózka wynurzył się jakiś mały kształt. W mdłej poświacie latarni Ewa ujrzała szczura. Gryzoń pobiegł pod ścianę, a stamtąd przez okienko piwniczne przedostał się w podziemia budynku.

Gdy otworzyła tylne drzwi kamienicy, światło zapaliło się automatycznie. Weszła na schody. Lamperia upstrzona była gryzmołami namalowanymi flamastrem. W ten sposób okoliczne chłopaki – jak zwierzęta moczem – oznaczały swój teren.

Weszła powoli na drugie piętro i przekręciła klucz w zamku.

Już na progu usłyszała głos lektora. Albert zapewne oglądał swój ulubiony serial o producentach płyt winylowych.

– Cześć! – zawołała.

– Cześć! – odkrzyknął.

W przedpokoju zrzuciła z siebie polarowe okrycie i wepchnęła je do pralki stojącej w składziku, w łazience odkręciła kurek nad wanną i wciąż mając na sobie treningowy tiszert i legginsy, poszła do kuchni napić się wody.

Albert – ubrany po domowemu, w bluzę z nazwą uniwersytetu – siedział w fotelu i pił herbatę. Uśmiechnął się do Ewy i chciał wstać, żeby ją pocałować na powitanie, ale wtedy jego telefon rozdzwonił się pierwszymi taktami *Nothing Else Matters* Metalliki.

Sięgnął po aparat i zahaczył palcem o filiżankę. Ciemny płyn rozlał mu się po rękawie.

Z kwaśną miną zaczął rozmowę po angielsku.

Ewa ze szklanką wody w dłoni usiadła ciężko w jadalni przy stole z grubym szklanym blatem wspartym na nogach z lakierowanego drewna dębowego. Kosztował krocie, ale pasował idealnie do ascetycznego wystroju wnętrza – oczyszczonych z tynku surowych cegieł, metalowej antresoli i starannie wycyklinowanego parkietu. W odróżnieniu od kuchni tutaj gusta małżonków się zbiegały. Obydwoje lubili minimalizm.

Albert skończył rozmowę, odłożył telefon i wściekły z powodu plamy na bluzie pobiegł do składziku, by wrzucić ją do pralki. Po drodze zakręcił kurek w zaparowanej łazience.

Wrócił po chwili ubrany w tiszert z wielkim dekoltem – jeden z tych, w których mężczyźni w jego wieku chcą uchodzić za młodszych, zapominając najwyraźniej, że widoczne siwiejące włosy na piersi bynajmniej nie odejmują im lat.

Ewa lubiła przytulać się do tych jego włosów i do jego szerokiej klatki piersiowej.

Uśmiechnęła się do męża, ale on nie odwzajemnił uśmiechu. Przeciwnie, minę miał ponurą i zaciętą. W dłoni trzymał serwetkę z wypisanym na niej nazwiskiem „Michał Zawadzak”.

– Wypadło ci to z bluzy i leżało koło pralki – powiedział powoli.

Ewa nie znosiła, gdy się tak zachowywał – najpierw stwierdzał jakiś fakt, a potem nagle urywał, każąc się domyślać dalszego ciągu.

– Pewnie tak – odparła i napiła się wody. – Dziękuję. Jestem trochę rozkojarzona po treningu. Nie najlepiej mi poszło.

Chciała mu opowiedzieć, jak poskromiła zapędy Tomka, ale nagle w jej głowie rozległ się dzwonek alarmowy. Albert i tak by nie uwierzył, że w żaden sposób nie zachęca podrywacza, a nie chciała podkreślać nadciągającego konfliktu, do którego impulsem mogło być to nazwisko zapisane na serwetce.

– Michał Zawadzak? – podniósł głos. – Znam go. Nieźle, nieźle! Największy podrywacz na uniwersytecie!

Nie patrzył przy tym na nią, lecz na wielki puchar, otrzymany za zdobycie przed laty pierwszego miejsca w turnieju brydżowym dziennikarzy.

Zawsze tak robił, gdy był na nią zły – odwracał wzrok. Jakby zastanawiał się, dlaczego on, taki inteligentny i o wielkim sercu, które zawsze okazywał Natalii, nie zasługuje na odrobinę szacunku z jej strony. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: taki jestem bystry, takie zdobywałem puchary, tyle wyrozumiałości okazałem twojej córce, zbuntowanej nastolatce, a ty co? Nazwiska jakichś facetów zapisujesz?

Ewa potrafiła okazywać anielską cierpliwość. To właśnie ta cecha oraz stoicki spokój i wyrozumiałość dla ludzkich słabości czyniły ją w oczach innych ujmującą osobą. Był to jednak tylko zawodowy pancerz, który niekiedy zakładała też w domu. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj go wrzuciła do prania – wraz z bluzą z kapturem.

– A jak myślisz? – zapytała zaczepnie. – Co tam sobie znowu roisz w tym umyśle, wyostrzonym przez brydżowe turnieje? Widzisz nazwisko na serwetce i zakładasz, że to mój kochanek? A po co niby miałabym zapisywać nazwisko kochanka? Nie poznajesz mojego charakteru pisma?

Albert nie zrozumiał dokładnie toku myślenia Ewy. Nie pierwszy raz mówiła jak Pytia, a potem naigrywała się z jego umysłowej ograniczoności.

„Co ma do tego charakter pisma?” – zastanawiał się bezradnie.

Mąż Ewy miał jedną cechę – nadzwyczaj ją zresztą ceniła – musiał wszystko dobrze zrozumieć: od działania dolnopłuku w toalecie po wypełnianie zeznania podatkowego. Aby coś pojąć, potrzebował jednak trochę czasu, a kiedy analizował jakąś kwestię, przymykał oko na przytyki i złośliwości. Te chwile namysłu zazwyczaj wygaszały jego furię i to był powód, dla którego Ewa starała się zmusić

go do wysiłku i połączenia odległych pozornie skojarzeń. W ten sposób ona sama też zyskiwała na czasie.

Uspokoila się.

– Były kolega z policji nie chciał mi podać tego nazwiska przez telefon, bojąc się podsłuchu, a dzisiaj, kiedy się z nim spotkałam w kawiarni, nie pozwolił mi również zapisać nazwiska w komórce. Prosił, żebym zrobiła to później, a teraz zapisała ręcznie. Przypuszcza, że mój telefon jest na podsłuchu i na podglądzie. No to zapisałam na serwetce. Nie dyskutowałam z nim. Wiem, jest trochę paranoikiem, ale bardzo przydatnym w mojej pracy...

Westchnęła lekko. Teraz przystąpiła do ataku.

– Skończ z tą szopką! To po prostu nazwisko faceta, który jest związany z pewną sprawą. Ale chcesz wiedzieć więcej, prawda?

Albert przesunął wzrok z brydżowego trofeum na oczy żony. Usiadł przy stole i przeczesał palcami włosy.

– Tak – odparł cicho. – Chcę wiedzieć więcej. Chcę wiedzieć o tobie wszystko, bo cię kocham.

Ewa drgnęła i cofnęła się na krześle, jakby uciekając od tego wyznania. Niezależnie od jego szczerości, w którą zresztą nie wątpiła, wiedziała, że jest ona wyłącznie próbą emocjonalnego szantażu.

– Ale ja ci nie powiem nic więcej – oznajmiła. – To tajemnica zawodowa! Zwłaszcza że go znasz.

Albert oparł łokcie na stole i piorunował ją wzrokiem. Kiedy się znów odezwał, ton jego głosu był lodowato spokojny.

Powiedział jej kiedyś, że podziwia małżeństwa z amerykańskich wyższych sfer, które kłócą się bez podnoszenia głosu – jak Frank i Claire Underwoodowie z serialu *House of Cards*. Najwyraźniej teraz wcielił się w postać fikcyjnego prezydenta USA, bo cedził słowa zupełnie jak on:

– Tak, jestem zazdrosny. O twoich byłych kolegów z pracy, o Roberta, a nawet o tego trenera kryptogeja, co się kreuje na mistrza izraelskich sztuk walki... –

Uśmiechnął się kącikami ust. – Ale potrafię się wznieść ponad to. Nie jestem jak Otello, zazdrość mnie nie zaślepia. Powiem ci, czego dowiedziałem się w tej twojej sprawie podpalenia składu opon.

– Oczywiście, że nie jesteś jak Otello. – Ewa pogłaskała go po dłoni. – I powiesz mi wszystko, co wiesz, prawda? A jeśli będę potrzebowała dowiedzieć się więcej o tym donżuanie z uniwersytetu, to też mi o nim opowiesz, nie?

– Nie musisz ze mną pogrywać...

Zabrzmiało to bezdusznie i ostro, więc cofnęła dłoń.

– I tak ci powiem, bo jestem ponad tymi gierkami – stwierdził, nawet na nią nie patrząc. – Moja stażystka, która mieszka na Zadrożu, zdobyła pewną informację, a ta może się okazać kluczowa dla sprawy, którą prowadzisz...

I krótko opowiedział historię usłyszaną od Mirelli.

Ewa poprosiła go o powtórzenie, a potem sięgnęła po telefon.

Drewnowska nie odbierała.

Albert wstał od stołu.

– Chodźmy do salonu, zobaczysz pierwszy odcinek programu *Miasto w półmroku* tej mojej stażystki, zaraz się zacznie. Dzisiaj była premiera, już wylądował na platformie ogólnopolskiej!

Nieoczekiwanie pochylił się i pocałował ją czule w usta. Pachniał gorzkimi perfumami Gucci Rush.

– Oglądaj, kochanie, a ja w tym czasie zrobię coś do jedzenia! Mam dla ciebie coś specjalnego. Niedawno się nauczyłem.

„Jakieś dalekowschodnie cudo z miksowaną kolendrą” – pomyślała z rezygnacją.

Jednak to było coś całkiem innego. Albert po raz kolejny zdobył teraz jej serce, ugrał wszystko, co chciał.

Pierogi ruskie z chrupiącą skórką były przepyszne.

Potem oglądali i komentowali *Miasto w półmroku*. A później poszli do łazienki, dolali wrzątku do stygnącej wody i wspólnie się wykapali.

Kochali się w wannie – szybko, gwałtownie i mocno.

Przed snem Ewa pomyślała, że przydałaby jej się taka dziewczyna jak Mirella Szewczuk. Nie wiedziała, że przez cały czas, jaki spędzili w łazience, Albert nie przestawał myśleć właśnie o Mirelli.

*

Prezes Krzysztof Barylski, właściciel dużej firmy deweloperskiej oraz wielu pomniejszych przedsięwzięć, dobiegał pięćdziesiątki. Był wysoki, szczupły i wysportowany, co z dumą podkreślał strojem codziennym. Do szytych na miarę garniturów z upodobaniem nosił ciemne, obcisłe trykotowe podkoszulki z długim rękawem, które wyraźnie ukazywały jego płaski, muskularny brzuch, ukształtowany wspinaczką górską, godzinami siłowni i zdrową dietą.

Jednym z pomniejszych interesów Barylskiego była restauracja Walkiria, położona na odległym osiedlu, tuż obok Uniwersytetu Sportowego. Stała ona wśród starych drzew i zapraszała – ze względu na dość wysokie ceny – głównie zamożnych mężczyzn w średnim wieku, którzy na pobliskich kortach tenisowych oraz w salach gimnastycznych usiłowali się wzajemnie przekonywać, że starzenie się ich nie dotyczy.

Na pewno do takich domorosłych sportowców nie należał Ireneusz Banaszczyk, siedzący teraz naprzeciw Barylskiego w dyskretnym pokoju spotkań.

Właściciel składowiska złomu i opon „Eko-odzysk”, które niedawno spłonęło, różnił się od Barylskiego pod wieloma względami. Po pierwsze – był o dziesięć lat starszy, po drugie – nieprzesadnie dbał o powierzchowność, po trzecie – miał gęste włosy, budzące zazdrość u łysiejącego rozmówcy. Nosił powykręcane zakurzone buty i niemodne marynarki w brudnoszarych kolorach, długie do połowy uda, które w jego mniemaniu zakrywały duży brzuch.

Przed oboma mężczyznami na stole stały teraz filiżanki z kawą i szklanki. Woda z kilkoma plasterkami cytryny wypełniała do połowy wielką, pękatą karafkę.

Na ogromnym telewizorze wyświetliły się pasy policyjne, a na jednym z nich rozwinął się napis: „Niedługo kolejny odcinek *Miasta w półmroku*”.

Barylski skierował pilota ku ekranowi zajmującemu pół ściany. Poruszył palcem. Wszystko zniknęło – widok miasta, rozwijające się pasy oraz zamyślona twarz młodej, atrakcyjnej kobiety, autorki programu.

Wstał i zasłonił okna. Na zewnątrz zrobiło się już ciemno, a gabinet spotkań, choć nie był rzęsiście oświetlony, mógł stać się łatwym obiektem obserwacji. Prezes czynił to z rozsądku, niechętnie i tylko wieczorami – w ciągu dnia rzadko zasuwiał zasłony.

Spojrzał ze współczuciem na towarzysza. Na obwisłych policzkach Banaszczyka, pokrytych siwą, krótko przystrzyżoną brodą, rozlewały się czerwone plamy.

– Podasz ją do sądu, Irek? – Barylski wskazał dłonią na wygaszony ekran. – Przecież cię zniesławiła, sugeruje, że podпалиłeś swoje składowisko pod Częstochową... Gdzie to było? W Gnaszynie?

Twarz dewelopera zastygła teraz w dziwnym grymasie. Zęby z eleganckimi białymi licówkami zacisnęły się, uwydatniając wielką, kanciastą szczękę. Ta mina mogłaby oznaczać złość albo gniew, gdyby nie oczy, otwarte szeroko w kpiącym spojrzeniu.

– Wiesz, Krzysiu, gdzie ja mam takie filmiki i takie zdziwy? – Banaszczyk wskazał palcem na tylną dolną część swojego masywnego, krótkiego tułowia, jakby nie chciał pozostawić żadnych wątpliwości. – O, właśnie tam! Głęboko w dupie...

Barylski westchnął. Spojrzał na ciężkie, pluszowe wiśniowe zasłony w oknach, przez które rozpościerał się miły oku widok – światła kompleksu sportowego migające wśród stuletnich dębów.

Nie odwracając wzroku od rozmówcy, wysyczał:

– Tam to właśnie teraz jesteś ty, Irek. Tam, gdzie pokazałeś palcem. Głęboko, w czarnej dupie, w płynnej masie gówna.

Spojrzał na niego ostro. Napawał się swoim głosem i trafną – jego zdaniem – ostatnią metaforą, która wciąż dźwięczała w powietrzu.

– Ale wciąż masz szansę, Irek! Jedno twoje słowo, a prokurator Wojtala wniesie o uniewinnienie cię od zarzutów o podpalenie, zrobi coś, co prawnicy nazywają „wycofaniem aktu oskarżenia przy zgodzie oskarżonego”. Ciekawe określenie, nie? Zakłada możliwość, że oskarżony się nie zgodzi na uwolnienie z zarzutów... Znasz takiego oskarżonego, który by powiedział: „Nie, nie, ja wciąż chcę być oskarżonym”?

Banaszczyk zapalił papierosa i wydmuchnął dym ku sufitowi, gdzie lampa w formie umocowanych do góry nogami małych sztucznych drzewek błyskała dyskretnie żarówkami ukrytymi wśród gałęzi.

– Ale nie dzielimy teraz włosa na czworo. – Barylski z niechęcią odpędził się od dymu. – Nie krytykujemy prawników, bo są nam potrzebni. Powiem to prosto, Iras. Jedno twoje słowo, a znajdziemy odpowiednich świadków, którzy jednogłośnie zeznają, że ten twój podpalacz, cieć Sikora, był paranoikiem, który wszystkim dokoła gadał, jak bardzo cię nienawidzi. Tak, Irek, wywrócimy ten proces do góry nogami i zapomnimy o całej sprawie. Już nie będzie żadnych interwencyjnych filmików, żadna dziennikarka nie będzie ci dokuczać. No? To jak brzmi twoje słowo? Tak?

Banaszczykowi nagle przestał smakować papieros. Rozejrzał się za popielniczką, a nie znalazłszy jej, wrzucił niedopałek do karafki z wodą. Gospodarz skrzywił się z niesmakiem.

– Nie masz szans – rzekł cicho, lecz dobitnie. – Nawet ta twoja Rakietka nie zapewni ci alibi. Ona wybrała życie daleko stąd, a ja zatarłem po niej wszelki ślad. Nikt nawet nie zna jej nazwiska.

Banaszczyk otworzył szeroko usta, a jego porośnięte szczecina podgardle zadrżało. To był celny cios, jakiego się nie spodziewał.

– Moi ludzie mieli ją na oku od momentu, gdy opuściła twoją przyczepę po tamtej rozmowie, którą wzięłeś za groźby. – Zabębnił palcami po stole. –

Pozwoliłem jej opuścić nasz kraj. Przecież nie będę jej uciszać przemocą, szantażem. Nawet takie jak ona wolą negocjacje. A ty, Irek? Wybierzesz rozmowę czy dąsy?

Banaszczykowi zaszklily się oczy. Chwilę zajęło mu, zanim się opanował.

– Zgoda – rzekł zmienionym, lekko tylko drżącym głosem. – Sprzedam ci ten pierdolony plac. Twoja oferta to trzydzieści milionów?

Barylski roześmiał się. Wskazał dłonią na porośnięty drzewkami sufit, na drogie krzesła z formowanej brązowej skóry, rozpiętej na stalowej konstrukcji, na wielki obraz przedstawiający koło o rozmazanej krawędzi.

– Myślisz, że miałbym na Fangora i krzesła Starcka, gdybym wyrzucał w błoto takie miliony? – Żartobliwie pogroził palcem swemu rozmówcy. – Nie, nie, mój drogi! Moja oferta to dycha. Już tylko dycha... A z każdym dniem ta kwota będzie maleć.

Banaszczyk zerwał się od stołu. Krzesło Starcka przewróciło się z hukiem.

– Spierdalaj! – krzyknął.

Do pokoju szybko i cicho wszedł niewysoki, muskularny człowiek z irokezem na głowie. Barylski kiwnął mu uspokajająco głową.

– Pan już wychodzi, Czarek.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i oddał gościowi telefon.

Barylski poczekał, aż właściciel składowiska opuści jego dyskretny gabinet. Potem mrugnął do Czarka.

– Przynieś mi banana!

Irokez zjawił się po chwili z złotym wygiętym telefonem komórkowym marki Nokia – starym, dobrym aparatem przyciskowym; takim jakiego używał Neo w *Matriksie*. Przedmiot ten spoczywał zawsze w zamkniętej szufladzie biurka na zapleczu Walkirii. Służył do wydawania poleceń esemesowych kilku tylko osobom. Zwykle owe polecenia były zaszyfrowane. Ale nie teraz.

Barylski napisał: „Brawo, Mirelko-Mirabelko. Świetny program”, po czym wysłał wiadomość.

*

O drugiej w nocy okrzyki na podwórku obudziły Ewę.

– Ty, cwelusie pierdolony! Nagrywaj to, kurwa, nagrywaj!

– Wyraziłeś zgodę, wyraziłeś zgodę! Mam to, kurwa, nagrane! Co mi zrobisz, kurwo!? Mam nagrane!

– Zajebię cię, kurwa!

Rozległo się szuranie podeszew na żwirze. Ewa podeszła do okna i stanęła za firanką. Widziała tych trzech nie raz i nie dwa.

Młody człowiek w czapce bejsbolówce i z przewieszoną na ukoś piersi dużą jaskrawopomarańczową nerką stał koło piaskownicy. W wyciągniętej dłoni trzymał komórkę.

Inny mężczyzna krążył wokół niego jak lew. Mimo nocnego chłodu był ubrany tylko w krótkie spodenki i adidas. Podbiegał i zawracał, podchodził i cofał się, nie przestając bluzgać przekleństwami.

W ręku trzymał dwie butelki. Jego ręce podnosiły się i opadały. Przez ciało przebiegały wyraźne drgawki. Odchyłał głowę na prawo i lewo, ukazując w bladej poświacie latarni tatuaże na szyi. „Typowy »elektryczny«” – pomyślała Ewa; znała takich narkomanów z dawnych czasów w policji.

Trzeci mężczyzna – w bojówkach i w kapturze – stał na brzegu piaskownicy i klepał dłońmi w uda. Zaśmiewał się przy tym wibrującym głosem, jakby niezwykle go bawiła wymiana zdań pomiędzy kumplami.

Odeszła senność. Ewa czuła w gardle ciepłą kluchę, a pod pachami zimny pot.

Nie patrząc na Alberta, który się również obudził, sięgnęła po telefon i wyszła do przedpokoju. Przez chwilę bezmyślnie patrzyła w ekran. Pięć nieodebranych połączeń od Gośki Drewnowskiej.

Cała drżała, gdy wstukiwiała numer komisariatu dzielnicy Starówka, który znała na pamięć. O dziwo, nie musiała zbyt długo czekać.

– Komisariat Starówka. Starszy posterunkowy Adam Balcerzak, słucham – rozległ się niski męski głos.

– Dobry wieczór – powiedziała. – Nazywam się Ewa Skoczek, Rynek Staromiejski dwanaście przez cztery. Na moim podwórku, pomiędzy Rynkiem a Targową, hałasują narkomani. Zakłócają porządek, nie da się spać. Jeden z nich wyciągał ku drugiemu woreczek z jakąś substancją. Proszę o interwencję!

Wiedziała, że taka informacja przyspieszy przyjazd patrolu. Gdyby zgłosiła tylko zakłócanie ciszy nocnej, mogłaby usłyszeć to co niedawno: „Co pani chce? Trudno, żeby w Rynku nie było hałasów!”.

– Zanotowałem – powiedział dyżurny. – Teraz wszystkie patrole są na interwencjach. Przyślę kogoś tak szybko, jak będzie to możliwe!

Zabrzmiało to jak wyuczona formuła. Ewa wiedziała, że odpowiedzi na każde wezwanie dyżurni mają opanowane do perfekcji. Niektórzy mieli nawet ściągę – nie dlatego, że byli tępi, lecz żeby później nikt im nie mógł zarzucić zaniedbań. Każde zgłoszenie było nagrywane.

Rozłączyła się i wróciła do sypialni. Albert stał w oknie i obserwował wrzeszczącą trójkę. Odwrócił się na jej widok. Wiedziała, co się teraz stanie. Potok wymówek i narzekań.

– To ty się uparłaś, żeby zamieszkać w tym slumsie, a ja w końcu uległem, dałem ci się przekonać. – Pewnie wydawało mu się, że brzmi jak Frank Underwood.

– No dawaj, dawaj, kurwo! Masz jakiś problem? – dał się zachrypnięty głos na podwórku.

– Zgodziłem się, bo wiedziałem, że to dla ciebie ważne, a ty nawet nie chciałaś przyjąć mojego nazwiska. Cała ty, tylko ty się liczysz, a jak ja cię o coś proszę...

– Zamknij ryja, dzbanie jebany!

Ewa złapała się na myśli, że narkoman na podwórku nie mógł wygłosić tej kwestii w bardziej odpowiednim momencie.

Szybko jednak wróciła do rzeczywistości. Albert stał blisko niej i nie przestawał perorować w ten swój specyficzny, pełen żalu sposób:

– No dzwoń, dzwoń do swojego kolegi, tego niby paranoika, o którym mi dzisiaj mówiłaś! Niech przyspieszy tę interwencję! Takie masz ponoć układy w policji, to niech tu w końcu przyjadą!

Ewa uniosła palec do ust. Albert umilkł. Przez chwilę obydwójce milczeli. Na podwórku również zapadła cisza.

Zbliżyła się do okna i poruszyła firanką. Jeden z młodych ludzi – ten wibrujący pomarihuanowym rechotem – zauważył to. Wbił wzrok w ich okno.

Dwaj inni patrzyli pod nogi, a para mundurowych rozmawiała z nimi, świecąc latarkami. Wysoki policjant zapisywał coś w notesie, a jego koleżanka, niska dziewczyna z końskim ogonem, coś im tłumaczyła.

Ewa uchyliła okno i słuchała, jak policjantka poucza narkomanów.

Nagle zamarła. Tego się nie spodziewała.

– Słyszałeś to, Albert? – zapytała męża.

– Taka jest dzisiaj policja... – odparł zgryźliwym tonem i spojrzał na Ewę ostro, jakby wciąż tam pracowała. – Słyszałem dokładnie to co ty. Rozmawiają spokojnie, a policjantka się zaśmiała, jakby któryś z nich powiedział dobry dowcip.

Ewa spojrzała na pięcioro ludzi wychodzących z podwórka. Zdawało się jej, że półnagi młodzieniec spojrział z daleka w ich okno.

Usiadła na łóżku. Zmęczenie i napięcie czuła w każdym mięśniu, bolała ją głowa, sztywniał kark.

– Prowadzę znaną agencję detektywistyczną. – Teraz to ona mówiła cichym, trującym tonem Claire Underwood. – Nie mogłam zmienić nazwiska, bo ludzie znają mnie pod panińskim. A gdybym przyjęła twoje, to wiesz przecież, jak by to brzmiało. Skoczek-Kucaj. Dlatego też nie przyjąłam nazwiska Roberta.

Albert długo milczał. A potem roześmiał się mimo woli:

– No tak. Skoczek-Mroczek. Też nieźle...

Pocałował ją i wsunął się pod kołdrę.

– Jak to dobrze, że my potrafimy się dogadywać – powiedział sennym głosem.
– Chwila kłótni, a potem jest już dobrze.

Po chwili chrapał. Ewa również spała.

Przed zaśnięciem pomyślała, że opinia Alberta o ich dogadywaniu się w małżeństwie jest nieco na wyrost.

Obudził ją śpiew za oknem. Spojrzała na telefon. Godzina druga trzydzieści. A za oknami zachrypnięte, pijackie głosy i melodia przyśpiewek kibiców.

Jebać sąsiadów!

O kurwa, jebać sąsiadów!

Jebać sąsiadów!

O kurwa, jebać sąsiadów!

Zerwała się. Ci sami mężczyźni – Pólnagi, Bejsbolówka i Kaptur – i jej identyczna reakcja: zapchane czymś gardło, pod pachami zimny pot.

Ale teraz doszło jeszcze coś całkiem nowego.

Paraliż woli.

Powinna wyjść z domu, wyskoczyć na podwórko i kilkoma ciosami krav magi rozmazać tych gości na ścianie śmietnika. Nie potrafiła tego jednak zrobić z zasadniczego powodu.

Pólnagi mężczyzna z uśmiechem patrzył w jej kierunku i sikał do piaskownicy – tej samej, w której ponad trzydzieści lat wcześniej bawiła się jako mała dziewczynka. Czuła się tak, jakby ten skurwysyn hańbił jej najlepsze wspomnienia, jakby tym pełnym pogardy gestem unieważniał kawał jej życia.

Po chwili powoli odszedł. Zapadła cisza.

Tej nocy Ewa już nie zasnęła.

ROZDZIAŁ III

OSKARŻAM!

Andrzej Jaworowski mieszkał wraz z żoną Aleksandrą i z czteroletnim synkiem Leonem w typowym budynku z lat dziewięćdziesiątych. Nazywano je plombami, bo wypełniały dziury pomiędzy starymi kamienicami na działkach budowlanych po zniszczonych w czasie wojny lub po wyburzonych później domach.

W tamtych czasach takie nowe mieszkania były marzeniem wielu wchodzących w życie młodych ludzi. Jaworowski – wówczas początkujący dziennikarz, ale przede wszystkim korektor w gazecie „Nasza Popołudniówka” – wziął w banku czterdziestoletni kredyt i zamieszkał w dwupokojowym mieszkaniu, którego jedno z okien wychodziło na Wyspę Garbarską.

Lata mijały, wszystko się wokół zmieniało. Gazety upadały, a papierowe wydania tych, którym udało się przetrwać, sprzedawały się coraz gorzej.

Andrzej, zapalony komputerowiec i informatyk amator, zrezygnował z pracy w redakcji, przeszedł intensywne szkolenie informatyczne i związał się jako programista z pewną dużą firmą z branży ochroniarskiej.

Jedno się długo nie zmieniało. Lata mijały, a on wciąż był samotny w swym skromnym mieszkanku. Chciał założyć rodzinę, ale miał świadomość swoich braków, nie wierzył we własną atrakcyjność i nie było mu łatwo nawiązywać relacje z kobietami.

Jakkolwiek było, w końcu trafił na tę właściwą. Olę poznał przez portal randkowy. Była dużo młodszą od niego skromną okularnicą, sumienną urzędniczką w magistracie. Po dwóch latach wzięli ślub i zamieszkali razem przy ulicy Garbarskiej. Leoś urodził się rok po ślubie.

Andrzej prowadził bardzo uregulowany tryb życia. Lubił sport, gry komputerowe i seriale kryminalne. Codziennie rano wychodził z Leosiem do przedszkola. Po południu robił zakupy.

Nie znosił tłumu, hałasu i zamieszania. Zwykle omijał Wyspę Garbarską, gdzie spokój był rzadkością. Aby się dostać do przedszkola Wesołe Żuki – przechodził przez nieco oddalony most Tysiąclecia.

Tego kwietniowego dnia Leoś trochę rano marudził, miał chyba podwyższoną temperaturę. Nie chciał się ubierać, wciąż się o coś dopytywał. Czas płynął nieubłaganie.

Wyszli zatem później niż zwykle. Żeby zdążyć do przedszkola, należało pójść krótszą drogą – przez Wyspę Garbarską.

Kiedy Andrzej wraz z synkiem się na niej znaleźli, ich uwagę natychmiast zwróciło niewielkie zgromadzenie. Nie mogli go ominąć. Andrzej nawet nie próbował. Bardzo się śpieszył. Nie po to zdecydował się iść na skróty, by teraz nadkładać drogi. Spojrzał na zegarek, mocniej chwycił dłoń Leosia i lekko go pociągnął. Po chwili znaleźli się w grupie staruszków, mówiących w nieznanym języku. Pokazywali sobie coś palcami i odwracali głowy. Na ich twarzach malowało się oburzenie, a nawet odraza.

Jakiś nastolatek wybuchął co chwila śmiechem, a inny filmował scenę, która rozgrywała się na ławce.

– Mi też tak zrobisz? Też mi tak zrobisz? – zarżał.

Jaworowski przystanął i spojrzał w tamtym kierunku.

Na ławce – półokrągłej, niegdyś bardzo oryginalnej i nowoczesnej, dzisiaj wyżartej przez wiatr i deszcz oraz posprejowanej w żółte esy-floresy – siedział czterdziestoletni może mężczyzna w ciemnych okularach, w dżinsach i w podkoszulku z nadrukiem „Iron Maiden”. Miał długie włosy z kilkoma siwymi pasmami.

Na kolanach trzymał postawioną na boku gitarę, która miała zasłaniać przed oczami przechodniów to, co z nieznanym Francuzom powodów nazywane było

w Polsce miłością francuską.

Dziewczyna w dżinsach i w brudnych tenisówkach leżała wyciągnięta na ławce i schowawszy głowę za pudłem gitary, poruszała nią rytmicznie. Jej twarz zasłaniały rozsypane włosy.

Tłumek okalający ławkę powoli zaczął się rozpraszać. Starszankowie szurali nogami po żwirze alejki, kręcąc z niesmakiem głowami. Nastoletni chłopcy stali jednak wytrwale, licząc, że uda im się złapać komórką stosowne zbliżenie.

Wtedy Andrzej Jaworowski poczuł, że Leoś chce się wyswobodzić z jego dłoni i pobiec w kierunku ławki, by zobaczyć, co się tam właściwie dzieje.

– Chodź, Leosiu – powiedział. – Chodź szybko! Bo się spóźnimy do przedszkola.

Syn go nie posłuchał. Zaczął ciągnąć ojca w stronę ławki.

Andrzej ścisnął chłopczyka za rękę, by do tego nie dopuścić. Zrobił to mocno, ale zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy Leoś nagle zaczął żałośnie płakać.

Jaworowski zbladł i poczuł rozpierającą go wściekłość.

Leoś płakał, bo on, by go uchronić przed niestosownym widokiem, ścisnął mu rękę aż do bólu. To, co się działo na ławce w środku miasta, nigdy nie powinno mieć miejsca! To nie był widok ani dla dziecka, ani dla dorosłego! Czyste zezwierzęcie!

Ucałował chłopczyka i podał mu swojego iPhone'a. Włączył mu grę *Hyperkiller*, która stanowczo nie nadawała się dla dzieci. Mały kiedyś podpatrzył, jak ojciec w nią gra, i od tego czasu błagał go o pozwolenie.

Jaworowski podszedł wolnym krokiem do pary na ławce. Dostał się w kadr nagrywającego scenę nastolatka.

– Proszę przestać! – powiedział donośnym głosem. – To miejsce publiczne! Tu są dzieci! Proszę przestać!

Zaspokajany mężczyzna zdjął dłoń z głowy dziewczyny i podniósł okulary przeciwsłoneczne, a potem otworzył oczy i spojrzał na tego, który mu przeszkodził.

Nie odezwał się słowem, tylko się uśmiechnął, a dziewczyna przyśpieszyła ruchy.

– Tatusiu! – zawołał Leoś. – Zawiesiło się!

Jaworowski odwrócił się do syna.

– Ani kroku! – ryknął. – Zostań tam!

Leoś znów zaczął płakać.

Jego ojciec nigdy nie przypuszczał, że ma w rękach tyle siły. Kiedyś był korektorem, później zwykłym informatykiem, teraz programistą. Nie trenował boksu, a jedyny trening, jaki mu się przydarzał, to lekki trucht do pobliskiego warzywniaka, kiedy w ostatniej chwili zabrakło czegoś do obiadu.

Cios, jaki zadał, był potężny, aż coś zachręściło mu w dłoni. Zabolało, ale ból został szybko wytłumiony przez adrenalinę. Popatrzył na mężczyznę, który spadł z ławki, a potem odwrócił się, wolnym krokiem podszedł do synka, objął go i pocałował.

Dziewczyna w brudnych tenisówkach klęczała teraz przy swoim partnerze i klepała go lekko dłonią w policzki.

Ten leżał bez ruchu z przekrzywioną szczęką, która puchła w oczach. Dwóch zaaferowanych nastolatków wciąż filmowało całe zdarzenie.

Z daleka zbliżała się straż miejska.

*

Grzegorz Marcjański nie miał zbyt wiele czasu, aby się zastanowić, czy wystąpić w krawacie, czy bez niego.

Normalnie nie miałby najmniejszych wątpliwości. Uważał, że garnitur i krawat łączy niemal sakramentalny związek. Ignorował zatem zwykle wskazówki swej asystentki Sylwii, która – odpowiadając między innymi za jego wizerunek – niezmordowanie powtarzała:

– Panie mecenasie, trochę więcej luzu! Ma pan świetną sylwetkę! A może by tak w dzinsach i w polówce?

Marcjański nie podzielał opinii Sylwii o swojej sylwetce. Po czterdziestce wszedł, jak mawiała jego żona, w krainę powolnego metabolizmu i z roku na rok ubrania coraz bardziej – i to dosłownie – trzeszczały na nim w szwach.

Dlatego na dzinsy i na koszulkę polo nie zgadzał się nigdy; jedynym ustępstwem dla luzu była koszula rozpięta pod szyją, i to tylko w wyjątkowych chwilach, gdy musiał udawać, że okoliczności zmuszają go do reakcji tak szybkiej, że nawet krawata nie zdążył włożyć.

A dzisiaj rano takie okoliczności właśnie wystąpiły. Wiadomość o tym, co się stało na Wyspie Garbarskiej, była tak elektryzująca, że Marcjański – tuż po skontaktowaniu się z Goską Drewnowską – nie tylko porzucił myśl o krawacie, ale nawet zrezygnował z marynarki. Musiał pokazać swoim wyborcom, że w momencie wymagającym natychmiastowych działań jest na pierwszej linii frontu, gdzie ważne są decyzje, a nie kształt tarczy zegarka czy kolor i wzór poszetki.

Usiadł zatem o dziesiątej rano w granatowej – może zanadto obcisłej – koszuli z rozpiętym kołnierzykiem przed kamerami telewizyjnymi, z których jedna reprezentowała lokalną państwową telewizję, druga zaś – zaprzyjaźnioną prywatną. Przed nim stały też cztery mikrofony z kwadratowymi podstawkami, na których nadrukowano logotypy czterech różnych stacji radiowych.

Marcjański wiedział, jak usiąść, by zatuszować wyraźną krągłość nad paskiem spodni; wybrał też odpowiednie miejsce na tle szklanej tafli tworzącej ścianę gabinetu – za jego głową widać było dachy kamieniczek Rynku Staromiejskiego.

Spojrzał na zegarek, potem na Sylwię i kiwnął głową. Był gotów. Czuł satysfakcję i ekscytację – jak zawsze w programach na żywo.

– Cztery, trzy, dwa, jeden – krzyknął jeden z kamerzystów. – Jedziemy!

Marcjański nie potrzebował promptera, na którym wyświetlano by tekst. Miał znakomitą pamięć. Wystarczyło, że pół godziny przed wystąpieniem przygotował sobie notatki w punktach, a potem wzorem starożytnych retorów przypisał każdy

wątek swojego przemówienia do konkretnych elementów wystroju wnętrza. Naturalny dar wymowy dopełniał reszty.

Tak robił przed laty, gdy w przedbiegach wygrywał studenckie konkursy krasomówcze na uniwersyteckim wydziale prawa, tak uczynił i teraz.

Sam początek przemówienia nie mógł być inny.

– Oskarżam! – zaczął jak Emil Zola. – Oskarżam urzędującego prezydenta miasta, Bartłomieja Owczyńskiego, o lekceważenie i pogardę dla mieszkańców! – Zaczerpnął tchu. – Bo jakże inaczej nazwać przedkładanie brudnych pieniędzy nad spokój obywateli?

Spojrzał na abstrakcyjny obraz jednego z młodych, zdolnych malarzy, który dostał stypendium ufundowane przez kancelarię prawną „Marcjański Pietrucho MacKinney”. Teraz miał mówić o brudzie.

– Dlaczego nazwałem je brudnymi? Prezydent Owczyński określiłby to dbałością o równowagę finansów miasta, ale to byłaby czysta retoryka. Brudne pieniądze, powtarzam, bo są to dochody z działalności niszczącej ducha i ciało młodzieży. Działalności, z której wzrasta przestępczość, a młodzi ludzie po kilku latach przypominają własne cienie! Jaka to działalność? Oczywiście sprzedaż alkoholu!

Rzucił teraz wzrokiem na dyskretny głośnik JBL wmontowany w mahoniowy blat biurka. Nadszedł czas na knajpy i kluby muzyczne.

– Nasz wspaniały Rynek Staromiejski, podziwiany niegdyś przez całą Polskę, dzisiaj jest jednym z najniebezpieczniejszych miejsc w mieście. Nie tylko dawne sklepy, nie tylko dawne punkty rzemieślnicze, ale każda przybudówka, każda piwnica oferują alkohol!

Wszedł na wyżyny swoich aktorskich możliwości, gdy zaczął przedrzeźniać głosy z reklam:

– Wódeczka i zakąska za siedem złotych! Baw się jak za Gierka, piwko wyjątkowo dziś za osiem.

Spojrzał w kamerę kamiennym wzrokiem.

– Dawni lokatorzy, skuszeni oferowanymi im wysokimi cenami mieszkań w centrum, z ulgą porzucają swe domy, w których nie da się spać, nie da się żyć z powodu pijackich ryków oraz dudniącej muzyki klubowej! Natychmiast pojawiają się inwestorzy, którzy wykupują te lokale i zamieniają je na sypialnie dla imprezowiczów. Tam gdzie dotąd radośnie kipiało życie rodzinne, teraz pojawiają się watahy cudzoziemców, którzy wynajmują mieszkania na wieczory kawalerskie, po to, aby się w nich po prostu urznąć!

Przyjrzał się kryształowej karafce w kształcie pelikana, z którego dzioba nalewało się wodę. Czas na Wyspę!

– Oskarżam prezydenta Owczyńskiego o to, że pozwala, by na każdym rogu ulicy, w każdym byłym warsztacie rzemieślniczym, doprowadzonym do bankructwa przez zagraniczne supermarkety... Otóż pozwala on, aby w każdej dziurze instalowały się sklepiki Tutaj i sprzedawały najgorszą zarazę: małpki! Niby tylko do godziny dwudziestej trzeciej, ale potem, jeśli zabraknie alkoholu, jakież to problem? Czyżby nie było w naszym mieście stacji benzynowych? Ależ są. Prezydent Owczyński o to zadbał. W okolicach Wyspy Garbarskiej, gdzie samochodów jak na lekarstwo, bo przecież na Wyspę, na szczęście, nie ma wjazdu... A są tam aż trzy stacje benzynowe! Młodzież idzie w najpiękniejsze miejsce miasta, czyli właśnie na Wyspę, nad rzekę. A jeśli o poranku zapuści się tam jakaś rodzina na spacer, to co zobaczy dziecko? Ekskrementy, puste butelki, worki foliowe fruujące na wietrze i ludzi otumanionych alkoholem i narkotykami!

Teraz Marcjański podwinął na wizji rękawy koszuli i odsłonił przedramiona, porośnięte ciemnym włosem.

– Rudy Giuliani – rzekł, zmieniając się nagle w rzeczowego sprawozdawcę – gdy został burmistrzem Nowego Jorku w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim, musiał zarządzać najniebezpieczniejszym miastem świata, którym w nocy rządziły gangi narkotykowe, w metrze szalały grupy z kijami bejsbolowymi, a na ulicach kręcili się agresywni żebracy, żądający zapłaty za rozmazanie szmatą brudu na szybie samochodu. I Giuliani zrobił porządek. Zaczął od rzeczy małych: od wstawiania wybitych szyb, mycia bazgrołów

w pomalowanych wagonach metra i od bezwzględnego karania mandatami za złe parkowanie. A dopiero potem ostatecznie rozprawił się z bandytyzmem. – Marcjański podniósł głos. – Tak, proszę państwa, będę polskim Giulianim. Jako prezydent miasta oczyszczę Wyspę Garbarską i przywrócę jej dawną świetność! Z dwustu restauracji na Starówce pozostanie dwadzieścia! Na terenie całego miasta wprowadzę, wzorem małego Piotrkowa Trybunalskiego, nocną prohibicję! Od godziny dwudziestej drugiej do szóstej rano! Nie tylko w centrum, ale w całym mieście! A wtedy może nie powtórzy się już to, co się stało dziś rano...

Przerwał i pochylił głowę. Kciuki przyłożył do szczęki, palce wskazujące do skroni. Trwał w tej pozycji człowieka zboląłego i zatroskanego.

– Dzisiaj... – zawiesił głos, jakby emocje nie pozwalały mu mówić. – Dzisiaj o ósmej trzydzieści rano... na Wyspie Garbarskiej... mężczyzna z czteroletnim dzieckiem odprowadza je do przedszkola. Seniorzy, wycieczka z Izraela, potomkowie dawnych mieszkańców naszego miasta, których przed wojną było u nas czterdzieści procent i którzy wciąż wydają w swoim dalekim kraju gazetę po polsku... którzy do naszego miasta mają wielki sentyment... I wtedy... Właśnie wtedy...

Podniósł wzrok i zagrzmiął do kamery:

– Hańba! Zaraz wam powiem, do czego może doprowadzić alkoholowe i narkotykowe pandemonium!

„Kiepski ten teatr i słownictwo zbyt wyszukane, ale jest skuteczny, skubany” – pomyślała asystentka z niekłamanym podziwem, gdy spojrzała na telefon. W ciągu dziesięciu minut trzydzieści nieodebranych połączeń.

Wszystkie od mediów, od najważniejszych portali, w tym od kilku ogólnopolskich.

Zapewne z prośbą o komentarz.

*

O dziesiątej rano Ewa Skoczek wsiadła do swojej toyoty corolli. Parkowała przed własnym garażem, w którym Albert trzymał choppera. Była zadowolona z takiego stanu rzeczy. Jeden ich pojazd był bezpieczny pod kluczem, drugi zaś blokował do niego dostęp tym licznym i bezczelnym współmieszkańcom, którzy – nie chcąc płacić ośmiu złotych za godzinę parkowania w okolicach Rynku Staromiejskiego – usiłowali się wcisnąć w każdą dziurę i zastawiali bramy garażowe.

Ewa włożyła do specjalnego otworu przy dźwigni zmiany biegów kubek termiczny z wizerunkiem młodej paryżanki w wielkim kapeluszu i w ciemnych okularach, popijającej kawę pod wieżą Eiffla. Prezent od Natalii.

Bez tego termosu i jego zawartości nie przeżyłaby dzisiejszego dnia. Czasem łapała się na myśli, że kawa jest dla niej substytutem alkoholu. Dzisiaj byłoby to jednak naciągane rozpoznanie. Poprzedniej nocy spała niecałe cztery godziny, tej – jeszcze o godzinę krócej. Wstała o czwartej nad ranem i długo się tłukła po mieszkaniu, usiłując zebrać myśli i ułożyć plan działań na dziś. Po szybkim porannym spacerze i gorącym prysznicu, po dwóch kawach i niewielkim śniadaniu, na które złożył się naturalny jogurt z granolą – na szczęście słodką, nie wytrawną – w końcu jej się udało.

Senność odpędził skutecznie mejl od Michała. W załączniku jej pracownik przesłał swoje przemyślenia, wynikające z informacji uzyskanych przez mecenas Drewnowską.

Gośka zgodnie z procedurą złożyła w sądzie wniosek o ustalenie miejsca pobytu „pracownicy seksualnej o pseudonimie Rakietka”. Jediną informacją, jaką adwokatka miała o tej dziewczynie, był jej numer telefonu, uzyskany przez Ewę od Klaudii Kozaczyńskiej.

Urzednicy sekretariatu sądowego na polecenie sędziego zlecili poszukiwania telefonu policyjnym technikom z komendy wojewódzkiej. Ci szybko stwierdzili, że karta SIM o tym numerze jest zarejestrowana na nazwisko Helmut Boroń. Po PESEL-u ustalono, gdzie mieszka: Wodzisław Śląski, ulica Michalskiego sześć. Dzielnicowy, któremu podlegała ta ulica, bardzo szybko zadzwonił do swych kolegów z Katowic poszukujących Boronia i poinformował ich, że ten, wedle

zeczności rodziny, nie mieszka pod adresem widniejącym w dowodzie od co najmniej siedmiu lat.

Policji pozostawał jeszcze inny sposób, by dotrzeć do Boronia i wypytać go o Rakietę.

„Aparat jest najwyraźniej starego typu, bez funkcji GPS – pisał Michał w swym raporcie – więc precyzyjne namierzenie, wyłącznie metodą triangulacji, jest możliwe tylko w bardzo dużym przybliżeniu. Na szczęście na tym terenie jest dużo anten, co pozwoliło uzyskać większą dokładność, i tak ograniczono hipotetyczny obszar przebywania telefonu do dwóch kwartałów ulic. W ich centrum znajduje się dworzec kolejowy”.

I tu Helmut Boroń mógłby mieć pretensje do rodziców, którzy go obdarzyli tak rzadkim imieniem. Znał je każdy lump, kręcący się wokół dworca.

„W Polsce obowiązuje rejestracja imienna kart telefonicznych, więc policja szybko dotarła do nazwiska właściciela telefonu – napisał Michał. – Tyle że ten nie za bardzo rozumiał, czego policjanci właściwie od niego chcą”.

Bezdomny Helmut Boroń pomieszkiwał w różnych miejscach, głównie przy torach kolejowych, rzeczywiście od prawie siedmiu lat. Na życie zarabiał zbieraniem złomu i – dzięki posiadanemu dowodowi osobistemu – użyczeniem swojej tożsamości.

Ten siedemdziesięcioletni mężczyzna miał mocno zaburzone zdolności poznawcze. Twierdził, że wielokrotnie bywał z różnymi ludźmi w pobliskich lombardach, gdzie kupował za ich pieniądze komórki. Wskazał też policjantom stoisko z akcesoriami telefonicznymi w pobliskiej galerii handlowej „Maxima”, gdzie spisywano jego dane, co było warunkiem kupienia karty SIM. To wszystko oczywiście oddawał swojemu klientowi i inkasował później pokazną – przynajmniej dla niego – sumkę.

Tu jeszcze Boroń mówił sensownie. Ale na pytanie, czy wśród tych osób były kobiety, bezdomny przenosił się w świat fantazji. Odpowiadał bez zmrużenia powiek, że, owszem, były, same „superlaski”, ale one płaciły mu w naturze

i oddawały mu się – wszystkie bez wyjątku – w pobliskich bramach. Policjanci słuchali z wyraźną rezerwą, jak opowiada o „luksusowych dupach, które brał, jak chciał”.

„Typowy słupek, jakich wielu można wynająć przy dworcach, gdzie jest masa lombardów – pisał Michał. – Taki człowiek kupuje w lombardzie stary aparat bez GPS-u, a kartę SIM w saloniku prasowym na dworcu albo w pobliskiej galerii handlowej na stoisku z komórkami. Rejestruje ją od razu na własne nazwisko, oddaje wszystko klientowi, inkasuje należność i wraca do swojego zbieractwa”.

Właściciele przydworcowych lombardów i pracujący w nich sprzedawcy nie wykazywali entuzjazmu dla współpracy z policjantami i na widok Helmuta odpowiadali beznamiętnym: „Nie znam menela”. Pracownica ze stoiska z akcesoriami telefonicznymi z przydworcowej galerii handlowej „Maxima” była również mało rozmowna.

„Ostatni sygnał pochodzi z okolic dworca – kończył Michał swój raport. – Wobec tego rodzą się tutaj dwie hipotezy: (1) Rakietka mieszka/pracuje koło dworca i z obawy przed policją pozbyła się telefonu gdzieś w okolicach miejsca zamieszkania, na przykład wrzuciła go do kanału; (2) z tych samych powodów oddała telefon Boroniowi, wiedząc, że ten jej nie zdradzi, bo ma nierówno pod sufitem”.

Nie były to pokrzepiające hipotezy. Ewa już wyobrażała sobie wyraz twarzy policjantów, którzy dostają rozkaz: „W okolicach Dworca Miejskiego znaleźć młodą kobietę o nieznanym tożsamości, lecz o znanym pseudonimie Rakietka”.

Dla tamtejszych kamienic charakterystyczna była bardzo duża lokatorska rotacja – mieszkali tam studenci, robotnicy budowlani i ukraińskie rodziny, a zatem o więzach sąsiedzkich, na tyle silnych, by lokatorzy znali pseudonimy czy nazwiska innych, nie mogło być mowy.

Ewa rozumiała dobrze niechęć policjantów do tak żmudnych i beznadziejnych poszukiwań. Gdy służyła w policji, z niewielkim entuzjazmem odnosiła się do takich zadań.

– Oczywiście zrobię to – powiedziała do siebie – jak Gośka mi każe, ale na razie jadę na Zadroże.

Opuściła nad szybą osłonę przeciwsłoneczną i odsłoniła przymocowane do niej podświetlane lustro.

Nie prezentowała się dziś dobrze. Cienie i opuchlizny pod oczami bezlitośnie obnażały jej wiek i zmęczenie. Zmarszczki wokół oczu mocniej się zarysowały i pogłębiły. Była uderzająco podobna do swojej zmarłej matki.

Kiedy podnosiła osłonę, zauważyła, jak mocno drżą jej dłonie. Poczowała ucisk przepony, nagły przypływ paniki.

„To drżenie rąk... Oby to nie był parkinson” – pomyślała o paroksyzmach, jakie widziała u matki kilka lat temu, gdy ta odchodziła w męczarniach.

Wciąż o niej myślała. Z całych sił usiłowała wymazać z pamięci telefoniczną rozmowę ze swoim bratem Jackiem, znanym reżyserem teatralnym, podczas której puściły jej emocje; płakała i użalała się nad sobą.

– To ja muszę znosić jej krzyki w nocy, nie ty! – wrzeszczała do słuchawki. – Ty sobie siedzisz w nowojorskim apartamencie, a ja muszę grzebać w pampersach!

– *Who's calling?* – usłyszała wtedy zaspany kobiecy głos w słuchawce.

– Nie histeryzuj, Ewka! Pogadamy później! Wiesz, która tutaj jest godzina?

Jacek się rozłączył. Owszem, pogadali później – na pogrzebie matki. Ich rozmowa nie kleiła się, trwała krótko. Stali nad zasypianym wieńcami grobem rodziców. Ona płakała, on się śpieszył na samolot. Od tego czasu się nie widzieli. Wysyłali sobie tylko wiadomości z życzeniami świątecznymi i urodzinowymi. Ewa starała się przynajmniej, żeby życzenia za każdym razem brzmiały nieco inaczej, Jacka nie stać było nawet na tak niewielki wysiłek umysłowy – po prostu stosował zasadę kopiuj-wklej. Co roku to samo.

Zwolniła sprzęgło i dodała gazu. Zbyt mocno. Silnik zaryczał na całą ulicę. Jakiś staruszek z psem spojrzał na nią z wyrzutem.

Wyjechała na Targową. Zabudowana szczelnie ulica cała tonęła w czerwonych poblaskach od świateł stopu. Korek ciągnął się aż do uniwersytetu.

– Co tu się, kurwa, dzieje? Przecież już jest po dziesiątej! Wszystkie bachory powinny być w szkołach!

Ewa nie znosiła wulgaryzmów i jeśli już czasem zdarzało się jej przeklinać, to z nawyku wpojonego jej niegdyś na psychoterapii natychmiast się zastanawiała, czy było to potrzebne.

Ale teraz zaliczyła nieprzespaną noc i miała przed sobą dobre dziesięć minut stania na odcinku może trzystu metrów.

Włączyła radio, nastawiła na lokalną stację Radio Pobudka i usłyszała znajomy głos.

Minęło kilka chwil, zanim wymęczony bezsennością umysł go rozpoznał. To był głos jej dawnego kolegi z roku. Wspólnie z nim oraz z Goską tworzyli przez pierwsze dwa lata studiów nierozłączne trio. Nazywali sami siebie „triumfeminowiratem”, trójką damsko-męską. Potem ich drogi z Marcjańskim się rozeszły – ot, zwykłe życie, rodzinne obowiązki, niczyja wina.

*

– Hańba! – krzyknął Grzegorz Marcjański w głośnikach samochodu. – Zaraz wam powiem, do czego może doprowadzić alkoholowe i narkotykowe pandemonium! Na Wyspie Garbarskiej w biały dzień seks oralny! Wokół pełno ludzi: rodziny z dziećmi, wycieczka starszych Izraelczyków! Myślicie, że to przeszkadzało tej parze zamroczonych pożądaniem i narkotykami ludzi? Ale znalazł się jeden człowiek... Jeden odważny...

Zadzwonił telefon. To była Małgorzata Drewnowska. Zestaw głośnomówiący nie zadziałał.

Ewa przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Cześć, Gośka!

– Cześć – usłyszała mocny gardłowy głos. – Masz coś o tej Rakiecie? Powiedz, że ją znalazłaś!

Ewa bardzo lubiła swoją przyjaciółkę za to, że ta przystępowała od razu do rzeczy, nie bawiła się w gadki-szmatki. Podobało się jej to, że Gośka nigdy nie mówiła w liczbie mnogiej: „Nie mogliśmy się złapać”, tylko wyjaśniała, dlaczego nie odbierała; że nigdy nie umawiała się słowami: „No to się zdzwonimy”, lecz zawsze: „Zadzwoń do ciebie”.

– Nie, nie znalazłam. Dziewczyna świetnie zaciera za sobą ślady. Telefon na kartę kupioną przez słupa...

– To wiem – przerwała jej Drewnowska. – Czytałam pismo z sądu. Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Dla kogoś innego zabrzmiałoby to obcesowo – jakby szefowa poganiała swoją podwładną. Nie dla Ewy. Uwielbiała konkret, podobnie jak jej rozmówczyni.

– Rozpracowuję jej sponsora, profesora z Instytutu Dziennikarstwa – powiedziała. – To kolega Alberta, zgodził się ze mną porozmawiać, ale teraz jadę w twojej sprawie na Zdroże. Wczoraj o tym właśnie chciałam ci powiedzieć... Poczekaj chwilę! O, cholera!

Przed nią rozbrzły jak alarm czerwone światła stopu wielkiego bmw x7 z tablicą rejestracyjną W1 KAKAO. Omal w niego nie uderzyła. Zahamowała tuż przed wymowną tablicą rejestracyjną. Zobaczyła białe światła wsteczne. Pewnie kierowca bmw chce przez kamerę cofania zobaczyć, jak blisko niego stoi.

Chyba uznał, że zbyt blisko. Odkręcił szybę i wystawił przez okno wielką łusą głowę. Wytrzeszczonymi oczami przez chwilę patrzył na Ewę z niesmakiem. Pokiwał głową z naganą – jakby oburzało go, że rozmawia przez telefon. W dziwnych skurczach przechylał głowę – raz w stronę jednego, raz drugiego ramienia. Na potylicy i na karku miał wytatuowaną pajęczynę.

– I ten odważny człowiek zostaje zatrzymany – grzmiał w głośniku Marcjański. – A degenerat, nazywający sam siebie artystą muzykiem, płaci pięćset złotych mandatu i spokojnie odchodzi!

– Ewka, jesteś tam? – usłyszała. – Nie mam czasu, jestem na ważnym spotkaniu! Coś jeszcze?

– Tak – odparła Ewa i wyłączyła radio. – Nie mogę spać, bo jakieś gnoje hałasują mi na podwórku. Codziennie. Noc w noc. Nie wiem, jak się ich pozbyć. Policja przychodzi, spisuje ich, a oni wracają. Wczoraj w nocy mi grozili...

Ruszyła. Odetchnęła. Za światłami znajdowała się prosta dwupasmowa jezdnia, na której już nie było zatoru. Facet w bmw jechał prawym pasem i przyglądał się jej ze złością.

Przyśpieszyła ostro, żeby go wyprzedzić.

– Co się gapisz, debilu? – szepnęła w kierunku tysego z pajęczyną na głowie.

– Co mówiłaś? – zapytała Gośka.

– Nic, korek się rozładowuje...

I nagle zauważyła na jezdni apteczkę, która wypadła komuś z auta. Chciała ją ominąć, więc gwałtownie odbiła kierownicą w prawo i wtedy usłyszała przeraźliwy zgrzyt. Jej piękna, nowa corolla została zmiażdżona lewym błotnikiem ogromnego bmw. Telefon wypadł jej z ręki.

– Ewka, jesteś tam? Jesteś? Cholera!...

Mecenas Drewnowska się rozłączyła.

Facet się wściekł. I najechał na nią ponownie. Tym razem wgniół drzwi od strony pasażera, niszcząc jej piękny lakier koloru cappuccino.

*

– Zapraszam serdecznie – powiedziała Sylwia, asystentka Marcjańskiego, i otworzyła drzwi do gabinetu szefa. – Napije się pani mecenas kawy czy wody?

– Herbatę poproszę. – Małgorzata Drewnowska schowała komórkę i uśmiechnęła się lekko. – Proszę o czarną, nie o jakiś napar z leśnych owoców – zastrzegła.

U Marcjańskiego w biurze była po raz pierwszy i nigdy jej tutaj nie zaserwowano żadnego napoju, toteż nie miała podstaw, by przypuszczać, że dostanie akurat herbatę owocową. Wolała jednak doprecyzować swoje upodobania.

Mocna czarna herbata była jej ulubionym napojem i alternatywa „kawa czy woda” wydała się jej nieznośna.

Uśmiechnęła się do Sylwii, jakby chciała przeprosić za obcesowe zachowanie. Zamierzała coś dodać – że jest trochę zdenerwowana, bo miała problemy z parkowaniem, a jej przyjaciółka może być w niebezpieczeństwie – jednak nie zdążyła. Asystentka ze służbowym uśmiechem cicho zamknęła za sobą drzwi.

Grzegorz wstał na jej widok. Zdążył się już przebrać w białą koszulę i w wąski wrzosowy krawat. Był niższy od Małgorzaty o dobre dziesięć centymetrów.

– Cześć, Gosia! – Wyciągnął ręce, jakby ją chciał uściskać. – Jak miło cię widzieć!

Pocałowali się na powitanie. Chciał trafić bliżej jej ust, ale uniemożliwiła mu to szybka reakcja Małgorzaty – nagłe cofnięcie głowy po lekkim muśnięciu jego wyperfumowanego policzka.

Uśmiechnęła się szczerze. Nie przepadała za karesami w sytuacjach oficjalnych, ale mimo wszystko lubiła swojego dawnego kolegę z roku i przemilego kompana z czasów triumfeminowiratu. Bawiły ją wtedy jego żarty i jego chłopaczkowaty, urwisowaty urok. Niewiele się zmienił od tamtych czasów – oczywiście nie licząc dodatkowych kilku kilogramów. Siwizna się nie miała jego ciemnoblond fryzury z grzywką, wciąż spadającą mu niesfornie na oczy.

– Siadaj! Siadaj! – Podsunął jej krzesło. – Świetnie wyglądasz! Jaki wspaniały kolor tego kostiumu! Zobacz, jak pasowałby do tego obrazu!

Mecenas Drewnowska spojrzała na abstrakcyjne dzieło malarza, swojego klienta zresztą. Jej kostium w kolorze marynarskiego granatu, biała koszulowa bluzka i kremowa apaszka dobrze wyglądały na tle błękitnej kompozycji z szarymi maźnięciami.

– Rzeczywiście ładnie się z nim komponuję – rzekła bez fałszywej skromności i usiadła na wygiętym minimalistycznym fotelu w stylu lat sześćdziesiątych.

Wiedziała, że w wypowiedzi Grześka, znanego niegdyś łamacza serc niewieścich, jest coś więcej niż zwykły komplement. Radca prawny przy każdej

okazji przypominał, że szyld „Marcjański Pietrucho MacKinney” może się łatwo powiększyć o jej nazwisko. Tych okazji nie było wiele – na ogół jakieś rauty, krótkie wymiany uprzejmości w operowym antrakcie, bal dobroczynny, gdzie poznała jego żonę. Zresztą traktowała te zawołane propozycje z dystansem. Grzesiek wrócił ze Stanów przed pięciu laty i jakoś nigdy – aż do dzisiaj – nie znalazł czasu, by ją zaprosić do swojego biura. Za to przyszedł kiedyś do niej raz jako klient. Ze względu na dawne czasy zdecydowała się – nie bez moralnych oporów – poprowadzić wtedy jego sprawę.

Rozległo się ciche stukanie, drzwi się uchyliły. Sylwia weszła i postawiła przed prawniczką wysoką, wąską szklanę z uszkiem. Na talerzyku leżało zamknięte srebrne sitko z listkami herbaty oraz ciastko, z którego wystawały kawałki czekolady.

Drewnowska podziękowała jej uśmiechem i kiwnięciem głowy. Asystentka nie odwzajemniła uśmiechu.

„Zacięta sztuka, wciąż się dąsa o ten napar” – pomyślała Gośka z pewnym rozbawieniem.

– Mam do ciebie sprawę. Wielką prośbę – powiedział Grzegorz, gdy za zamkniętymi drzwiami ucichł już stukot obcasów Sylwii. – Przepraszam, że tak od razu do rzeczy, ale wiem, że to lubisz.

Poruszyła się lekko i poczuła, że spódnica jest zbyt ciasna.

– Dawaj, Grzesiu! Nie będziemy się przecież krygować i mówić: „Kopę lat!” albo: „Wszyscy jesteśmy zabiegani!” czy: „Może kiedyś będzie okazja?”. Szkoda czasu na *small talk*. Wiem, że jesteś zajęty! Widziałam te wszystkie kamery. Spędziłam pięć minut w poczekalni i widziałam w telewizji końcówkę twojego przemówienia.

– I jak?

– Krasomówczo – odparła, wkładając sitko do wrzątku.

Wstał, zrobił kilka kroków i oparł się pośladkami o brzeg biurka. Pomyślała, że chyba utył trochę więcej niż kilka kilogramów.

– Sama zobacz! – Przesunął w jej stronę wielki monitor komputera.

– Wiem, co mi chcesz pokazać. – Gośka upiła trochę herbaty. – Mówiłeś o tym na końcu przemówienia łamiącym się głosem.

Miała ochotę na ciastko, ale natychmiast oparła się pokusie, przypomniawszy sobie o spódnicy ciasno opiętej na szerokich biodrach. Jej mąż Willem, zwany przez nią pieszczotliwie Wilkiem, mawiał, że są fantastyczne, ale ona sama od wczesnej młodości, gdy nazwano ją Godzillą, była odmiennego zdania.

Na ekranie pojawił się amatorski filmik. Jakiś mężczyzna leżał na ławce, a kobieta z twarzą zwróconą w kierunku jego genitaliów poruszała rytmicznie głową. Obydwoje mieli zamazane twarze. Wokół kręcili się jacyś emeryci i co chwila włączili kamerzyście w kadr.

– Mi też tak zrobisz? Też mi tak zrobisz? – doszedł głos z offu.

Nagle w środek tego zamieszania wszedł postawny mężczyzna z plecakiem i w bluzie z kapturem.

– Proszę przestać! – zawołał. – To miejsce publiczne! Tu są dzieci! Proszę przestać!

A potem podszedł do siedzącego na ławce człowieka i walnął go w twarz. Mężczyzna zsunął się z ławki na ziemię, po czym piksele rozmazały kadr i zasłoniły widok bioder zaatakowanego.

Marcjański odwrócił monitor i usiadł na drugim fotelu. Pochylił się ku Drewnowskiej i oparł łokcie na kolanach.

– Andrzej Jaworowski, lat czterdzieści siedem, programista i grafik komputerowy, przykładowy małżonek i ojciec, nie wytrzymał tej sromoty.

Grzesiek używał archaizmów i był najlepszy w grupie z łaciny, co Goście niegdyś bardzo imponowało.

– Nie zniósł, że jego mały synek, Leoś, widzi seks na żywo, porno w miejscu publicznym – dodał.

– Dużo wiesz o wydarzeniach, które zaszły zaledwie dziewięćdziesiąt minut temu. – Była teraz bardzo skupiona, lecz w jej oczach błyskały ironiczne ogniki. –

Brydzyki z Korotajem owocują, co?

Grzesiek, usłyszawszy nazwisko komendanta straży miejskiej, dotknął palcem swojego barku.

– Ma się te plecy. Nie mów nikomu, proszę cię!

Wstał i zaczął chodzić po gabinecie. Na tafli szklanej ściany pojawiły się krople deszczu. Gośka była pewna, że Grzesiek żałuje, iż nie rozpadało się w czasie jego radiowego przemówienia. Wykorzystałby ten deszcz w godnym Cycerona podsumowaniu: „Niebo rozpląkało się nad upadkiem miasta”.

Marcjański uniósł ręce. Jego twarz pałała słusznym gniewem.

– To jest początek mojej walki! – zawołał. – Początek wielkiej batalii przeciwko tym, którzy żyją z ludzkich nałogów! Przeciwko dilerom nielegalnym i legalnym, czyli właścicielom sklepów z alkoholem. Przeciwko pustym małpkom i chmurom dymu konopnego na Wyspie!

Podszedł do swojej dawnej koleżanki i stanął bardzo blisko niej.

– Będę potrzebował armii prawników, Gosia – wyszeptał. – Bądź generałem tej armii!

Drewnowska wstała i zbliżyła się do okna. Spojrzała na wysypaną żwirem ścieżkę, biegnącą wzdłuż ściany, i na karłowaty żywopłot, rosnący na brzegu dachu. Zebrała myśli.

– Generał ma nad sobą marszałka, Grzesiu – rzekła. – Ty nim będziesz?

Marcjański uśmiechnął się lekko.

– Mogę cię zapewnić, że dam ci pełną swobodę, ale ty i tak mi nie uwierzysz. Dlatego przekonaj się sama! Zobacz, jakim jestem współpracownikiem. Weź coś na próbę.

– Co takiego?

– Sprawę Jaworowskiego, tego, co przywalił degeneratowi na Wyspie! Mogłabyś go reprezentować! Cała Polska będzie o tym mówić! – Radca prawny kuł żelazo, póki gorące. – O szlachetnym człowieku, który bronił swego dziecka przed zalewem moralnej zgnilizny. Przed sądem demonstracja kółek różańcowych

oraz aktywistów społecznych. Będą się wzajemnie atakować, a wszyscy wokół wymieniać nazwisko Drewnowska! Twoja kancelaria stanie się sławna. Oczywiście nie muszę wspominać, że firma Marcjański Pietrucho MacKinney już przygotowała stosowną umowę z adekwatnym honorarium...

– Poczekaj, Grzesiu, poczekaj! Nie tak szybko. – Gośka wyciągnęła w jego kierunku rękę z odgiętą w proteście dłonią.

Przesunęła nią wolno po karku, jakby chciała zyskać na czasie.

– To wojna przeciwko restauratorom – powiedziała po kilkunastu sekundach. – Wszyscy wiemy, ilu z nich ma udziały w sklepikach Tutaj. Jeśli ci restauratorzy skądś... nie wiem, skąd, ale jeśli oni wyciągną naszą przeszłość, to trafię przed adwokacki sąd dyscyplinarny. A wiesz, że jego przewodniczący, stary Buczyński, nie jest moim fanem.

Marcjański wskazał na fotele.

– Usiądźmy, Gosiu!

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie. – Muszę pędzić do biura, a potem mam rozprawę.

– Poczekaj, tylko słowo – dotknął jej łokcia. – Nie martw się o tamto zdarzenie sprzed dwudziestu lat. Byliśmy tacy naiwni, głupi... Zresztą oprócz nas wie tylko Ewa, a ty jej ufasz jak samej sobie.

– Ja mówię o niedawnej przeszłości, Grzegorz – powiedziała Drewnowska oficjalnym tonem. – O twojej prośbie, żebym reprezentowała firmę związaną rodzinie z Willemem, o czym zupełnie nie wiedziałam. Restauratorzy mają prawników, którzy mogą to odkryć. – Nagle podniosła głos. – A tak poza wszystkim przypominam ci, że dwadzieścia lat temu między nami było coś więcej niż jedno zdarzenie. Mianowicie cała seria zdarzeń.

Sięgnęła po torebkę leżącą na fotelu. Znowu poczuła, jak spódnica mocno się opina na jej biodrach.

– Odmawiam – rzekła, nie patrząc na niego. – Zaproponuj to komuś innemu!

– Pomyśl o tym, Gosiu – odezwał się czułym tonem. – Twoje telefony odbieram nawet późną nocą!

– Do widzenia – rzuciła oschle.

To samo powiedziała dwóm asyistentkom, które siedziały w recepcji, i otworzyła drzwi wyjściowe. Wtedy usłyszała szept:

– Patrz, patrz! Normalnie jak stewardessa Lufthansy!

Odwróciła się do Sylwii, którą oblał mocny rumieniec.

– Dziękuję! – powiedziała Gośka. – Ogromnie pani dziękuję!

Oczy Sylwii wyrażały pytanie: „Za co?”.

– Za komplement – dodała. – Widziała pani kiedyś brzydką stewardessę?

ROZDZIAŁ IV

BOGATA SUKA

Łysy mężczyzna z pajęczyną wytatuowaną na potylicy najechał na Ewę czarnym, podobnym do czołgu bmw x7. Potem się wycofał i jeszcze raz ją staranował. Za pierwszym razem wgniół jej błotnik, za drugim – z drzwi corolli zrobił harmonijkę.

Przeżony mózg Ewy zarejestrował różne dźwięki. Najpierw rozległ się potężny huk, a potem odezwała się blacha. Jej gięcie przypominało na początku niski męski głos na nagraniu w zwolnionym tempie, a potem ten dźwięk przeszedł w wysokie rejestry – aż do pisku.

Wszystkie te odgłosy skutecznie wytłumiły przekleństwa padające z ust Ewy. W odróżnieniu od niej mężczyzna nawet nie otworzył ust.

Jego gałki oczne kręciły się w oczodołach. Raz tęczęwki podjeżdżały w jeden róg oka, raz w drugi, czasami prawie chowały się pod powiekami. Zęby zacisnął tak mocno, że jego szyja wyglądała, jakby składała się z naciągniętych postronków żył. Wielkie dłonie trzymał na kierownicy z taką siłą, że kłykcice mu całkiem zbiały.

– Ale porobiony! – szepnęła Ewa.

Gdy patrzyła na powoli otwierające się drzwi wielkiego SUV-a, w jej głowie skłębił się paniczny strach. Bała się, że napastnik, doprowadzony do furii narkotykami i urojonym atakiem na jego ukochaną brykę, rzuci się na nią jak rozwścieczony bawół. Dlatego wśród kryształków zbitej bocznej szyby, wśród leżących na podłodze powykrzywianych plastikowych odprysków zaczęła szukać plecaka, w którym miała gaz pieprzowy.

Nie udało się. Pasy ją przytrzymały. Mocno wrzynały jej się w ciało.

„Nigdzie nie ma kamerki – przemknęło jej przez głowę. – Musiała spaść z lusterka. Nic się nie nagrało”.

I wtedy – z opóźnieniem – wybuchła poduszka powietrzna i przycisnęła Ewę do fotela. Jej głowa znalazła się w chmurze talku. Nic nie widziała. Nawet tego, jak napastnik odjeżdża z piskiem opon, zostawiając po sobie pióropusz spalin.

*

Pięć minut później dyżurny komisariatu dzielnicowego Starówka przyjął zgłoszenie Ewy Skoczek o wypadku i o ucieczce kierowcy bmw x7 z miejsca zdarzenia. Wysłuchawszy jej relacji, przypominającej krótki, treściwy raport, zanotował wszystko, co trzeba: kolor i markę samochodu oraz dwie ważne cechy rozpoznawcze uciekiniera, jakimi były tablica rejestracyjna z napisem W1 KAKAO oraz pajęczyna wytatuowana na jego potylicy. Policjant dyżurny – zanim zlecił przez system komputerowy poszukiwanie łysego brutala – upewnił się u komendanta, jaki priorytet ma ta sprawa. Ten, poinformowany tymczasem przez komisarza Sadosia z komendy wojewódzkiej, że sprawczynią wypadku, ale i ofiarą rozjuszonego narkomana jest szanowana powszechnie ekspolicjantka, niezwłocznie wysłał kryminalnych na miejsce zdarzenia, a dyżurnemu zlecił rutynowe działania.

Po kilkunastu minutach było już wiadomo, że auto jest zarejestrowane na niejaką Lindę Piesiak, żonę Bartosza Pesiaka, pseudo „Pająk”, właściciela warsztatu samochodowego, domniemanego handlarza narkotyków i byłego szefa dwóch agencji towarzyskich, mającego na koncie dwa wyroki – za rozbój i za handel żywym towarem. Policjantów najwyraźniej wyjątkowo rozbawiła niedwuznaczna treść tablicy rejestracyjnej, ponieważ chwilę im zajęło, zanim skończyli się śmiać i przystąpili do działania.

Wszystkie patrole policyjne otrzymały od dyżurnego polecenie szukania samochodu marki BMW X7 z rejestracją W1 KAKAO oraz jego kierowcy.

Mundurowi odłożyli na później to, czym obecnie się zajmowali. Zawracali, zmieniali trasę, niektórzy szybko przełękali hot dogi czy kebaby, jeszcze inni gasili

w pośpiechu papierosy lub przerywali grę w kulki na policyjnych terminalach. „Pająk” miał się czego bać.

Trzy godziny później dwaj policjanci jechali powoli ulicą Świętej Brygidy, w którą – jak pokazał monitoring miejski – w czasie ucieczki z miejsca zdarzenia skręcił agresywny kierowca. Ich radiowóz stanął przed przejściem dla pieszych. Na pasy wszedł szczupły chłopak w ściąganych u dołu dresowych spodniach, w białej bluzie i w czapce z daszkiem, zwanej wpierdolką.

Skręcił ku samochodowi policyjnemu i stanął przy szybie. Posterunkowy Paweł Miksz odkręcił ją i usłyszał potok słów, wypowiedziany zachrypniętym głosem:

– To na mnie ta suka najechała, jak jechałem beemką. Porysowała mnie, to ją trochę pognołem. I tyle, kurwa.

– Proszę nie przeklinać. – Posterunkowy wyszedł z auta, a za nim jego kolega.
– Proszę zdjąć czapkę!

– Ale po co? – Młody człowiek, dużo niższy od obu policjantów, wypiął dumnie pierś, chcąc pokazać, że „psiarni się nie dyga”.

– Dla celów identyfikacyjnych – odparł Miksz. – Proszę zdjąć czapkę.

Mężczyzna zrobił to, czego od niego żądano. Policjanci nie wytrzymali i parsknęli śmiechem: miał na głowie czepek w kolorze ludzkiej skóry.

Obeszli go dokoła i już się nie śmiali. Z tyłu widniał granatowy rysunek, przypominający tatuaż. Przedstawiał pajęczynę.

Gdy do wyjaśnienia zatrzymywano dwudziestoosmioletniego mechanika samochodowego Dorianą Rydzaka, który miał na koncie wyrok w zawieszeniu za paserkę, Ewa Skoczek wychodziła z policyjnego parkingu przed halą sportową, tą samą, w której wczoraj trenowała samoobronę.

Nie myślała teraz jednak o wieczornych wydarzeniach, lecz o komisarzu Mateuszu Sadosiu. Dobry stary Mati nic się nie zmienił przez te lata, odkąd już nie pracowali razem. Był taki jak zawsze – nieodmiennie pomocny i zawstydzająco życzliwy. Nie tylko zdopingował działania policji ze Starówki, nie tylko przyjechał

po nią swym prywatnym samochodem i wziął ją na hol, ale również załatwił jej kilkudniowy postój na parkingu policyjnym oraz pomoc policyjnych mechaników.

Postępowanie kolegi wprawiło ją w nieoczekiwany w tych okolicznościach dobry nastrój, który zaraz prysł pod wpływem bólu, jaki pulsował w jej klatce piersiowej i w obojczykach. Była pewna, że dzisiaj pod prysznicem zobaczy na skórze ciemne pręgi, odcisnięte przez pasy bezpieczeństwa.

Była też bardzo niezadowolona z tego, że gdzieś się jej zapodziała – może wypadła na zewnątrz? – samochodowa kamera. Czuła instynktownie, że ten nakoksowany bydlak będzie się starał wywinąć z zarzutów o zniszczenie mienia, co mogło mu się udać, jeśli nie będzie nagrania. Mimo tej straty Ewa miała nadzieję, że tablica rejestracyjna z obleśnym napisem oraz charakterystyczny tatuaż pomogą go łatwo zidentyfikować; że wkrótce znajdzie się w rękach policji i będzie musiał oddać mocz i krew do badania. Wtedy już nie ucieknie przed kolejnym zarzutem – prowadzenia samochodu po użyciu środków psychoaktywnych. W końcu ślad po nich utrzymuje się we krwi przez wiele dni.

Ewa wsiadła do taksówki, która podjechała pod parking.

– Osiedle Zadroże, proszę! – powiedziała młodemu taksówkarzowi w skórzanym kaszkiecie na głowie.

Syknęła z bólu, gdy siadała na tylnej kanapie. Taksówkarz spojrzał na nią ze współczuciem.

– Może pani pomoszcz? – powiedział ze wschodnim akcentem.

– Dziękuję, nie! – Uśmiechnęła się blado. – Ale bardzo pan miły.

Ruszyli. Ewa zadzwoniła do Waldka, by zdać mu relację z wypadków dzisiejszego dnia. Emerytowany policjant zachował całkowity spokój i zreferował, jak się mają aktualnie prowadzone sprawy. Bardzo go ceniła za powściągliwość. Kiedy się rozłączyła, na telefonie ujrzała jedno nieodebrane połączenie.

Gośka Drewnowska.

Ewa natychmiast oddzwoniła i usłyszała głos przyjaciółki.

Opowiedziała jej dokładnie o wypadku. Adwokatka wysłuchiwała bardzo uważnie jej relacji. Nie omieszkała dosadnie powiedzieć, co myśli o łysym agresorze, po czym zapewniła przyjaciółkę, że może na nią liczyć – w razie procesu chętnie wcieli się w rolę oskarżyciela posiłkowego.

– Dokąd teraz jedziesz? – zapytała w końcu Gośka.

– No właśnie – szepnęła Ewa. – O tym chciałam ci koniecznie powiedzieć.

Spojrzała na kierowcę i postanowiła mówić tak, aby ów uprzejmy Ukrainiec jak najmniej zrozumiał.

– Będę teraz dziwacznie elokwentna, Gosiu – powiedziała – aby woźnica dyliżansu nie pojął zbyt wiele...

Drewnowska się roześmiała.

– No to nie zwlekaj, waćpani!

– Chodzi o naocznego – Ewa mówiła powoli, szukała słów. – Pewna białogłowa, czeladniczka mojego ślubnego, mieszka na Zadrożu. A ten rzeczony naoczny sąsiaduje z nią drzwi w drzwi. Jest aktywnym kamerzystą, umieszcza filmiki na łaj ti². Ma jakiś filmik, co może być przyczynkiem do naszej kwestyi. Powiem ci coś dokładniej, jak go obejrzę, bo tak tuszę, że się uda. Właśnie po to jadę na Zadroże.

Zabrakło jej słów. Przeszła na angielski.

– Albert mi powiedział, że jego podwładna dotarła do nagrania, na którym występuje rodzina zmarłego stróża składowiska opon. Dziewczyna twierdzi, że film może mieć ogromne znaczenie dla sprawy.

– Dobrze, Ewa! Świetnie! – odpowiedziała Gośka po polsku, po czym się zawahała. – Mam wrażenie, że z tobą jest coś nie tak. I nie chodzi mi tylko o wypadek.

– Porozmawiamy o tym później – odparła Ewa i przerwała połączenie.

Taksówkarz nie wykazywał najmniejszego zainteresowania ani archaiczną i kunsztowną polszczyznę Ewy, ani jej nagłym przejściem na angielski. Prawą ręką trzymał kierownicę, a lewą lekko poklepywał się po udzie i podśpiewywał sobie

pod nosem jakiś smutny przebój, właśnie lecący w ukraińskojęzycznej audycji Radia Pobudka. Co gorsza, chyba ów refleksyjny utwór, gdzie w refrenie wciąż powtarzano: „Płakały, płakały”, odwrócił nieco jego uwagę od trasy widocznej na tablicie. Minął już ulicę, przy której mieszkała Mirella Szewczuk.

Ewa zatrzymała go, podała banknot dwudziestozłotowy i wygramoliła się ze starego peugeota, posykując z bólu.

Osiedle Zadroże było typowym betonowym blokowiskiem, gdzie niskie czteropiętrowce sąsiadowały z domami o dziesięciu kondygnacjach. I wysokie, i niskie bloki miały takie same duże balkony z szerokimi rynnami do sadzenia kwiatów.

Ulice nosiły nazwy – zapewne z powodu pobliskiej rzeczki Siecznicy – pochodzące od różnych gatunków ryb: Karpiowa, Sandaczowa, Szczupacza, Okoniowa. Ta konsekwencja nazewnicza bardzo się Ewie podobała, podobnie jak osiedlowy bazar i place zabaw między blokami.

Teren wokół był zadbany, pełen zieleni – drzew i krzewów forsycji, które zdążyły już dobrze wyrosnąć od czasów późnego PRL-u, kiedy te bloki zasiedliły spragnione mieszkań rodziny. Jak dotąd żadne wielkie firmy budowlane nie uzyskały zgody na wstawienie nowych domów pomiędzy już istniejące, dzięki czemu przybysz miał miłe poczucie przestrzenności, boleśnie odmienne od współczesnej patodeveloperki, gdzie balkony leżą tak blisko siebie, że sąsiad sąsiadowi może napluć w zupę.

Bezpretensjonalny urok tego osiedla, gdzie mieszkała z Robertem i małą Natalią, przypominał jej dawne czasy. Tutaj kupili małe dwupokojowe mieszkanie, tutaj chodziła z Natalią do piaskownicy albo do warzywniaka, którego właścicielka była niewygasłym źródłem plotek. Tutaj dziecko poszło do przedszkola, tutaj się scementowało, a potem rozpadło jej pierwsze małżeństwo. Tutaj odbywały się ostre imprezy, w których brało udział towarzystwo z komendy, a Robert brylował, obtańcowując wszystkie kobiety, ona zaś była wyrozumiałą, dobrą żoną, podającą do stołu zupę gulaszową – jedyne, co umiała w miarę dobrze ugotować. Dopiero gdy wszyscy wychodzili, sięgała po butelkę.

Potrząsnęła głową, odganiając wspomnienia. Nie miała na nie czasu. Musiała wykonać zadanie.

Było ono stosunkowo proste – skłonić nastolatka do rozmowy. Młodzi ludzie byli bardziej podatni na presję, a często przy tym dziwnie, nawet idealistycznie prawdomówni, innymi słowy – mniej skłonni do kłamania za pieniądze.

Płacenie ludziom za informacje Ewa uznawała za ostateczność. Miała całą paletę rozwiązań dostosowanych do przyszłego rozmówcy. Musiała po prostu trochę o nim wiedzieć. O chłopaku noszącym imię Marcel uzyskała kilka ważnych informacji od Alberta, który z kolei zreferował żonie to, czego dowiedział się od Mirelli.

Chłopak miał siedemnaście lat, był uczniem mieszczącego się na osiedlu liceum i mieszkał przy ulicy Szczupaczej dziewiętnaście w mieszkaniu numer czterdzieści dwa. Mirella Szewczuk wynajmowała wraz z dwiema koleżankami sąsiednie mieszkanie o numerze większym o jeden. Z Marcelem znała się dobrze, bo chłopak przychodził do nich często, by tam w tajemnicy przed rodzicami palić papierosy. Swą wdzięczność za gościnę okazywał, pokazując im filmiki, jakie nagrywał wraz ze swoimi kolegami jako „Kolektyw Zadroże”.

Nie były to – zapewniała Mirella – zyskujące wielosettyśięczną oglądalność obrazy, pełne przemocy i obrzydliwego wykorzystywania psychicznie chorych, namawianych do zjadania kocich odchodów albo masturbowania psów czy knurów.

Były to raczej kpiny – czasami może w złym guście, czasami nawet okrutne – ze starych pijaków gromadzących się o poranku pod osiedlowymi sklepami samoobsługowymi. Najczęściej „reżyser” oferował kilka puszek najtańszego, wzmacnianego spirytusem piwa w zamian za wygłoszenie wypowiedzi na różne aktualne tematy. I ci komentatorzy życia politycznego puszczaali wodze elokwencji, a niektórzy z nich – na przykład niejaka Babcia Halina z ulicy Szprotowej – stawali się nawet gwiazdami internetu.

Marcel, dowiedziawszy się, że Mirella pracuje w telewizji, przylgnął do niej natychmiast i zaczął pokazywać jej swoje samodzielne, ambitniejsze produkcje.

Zaprzyjaźnił się z dziewczyną i niedawno pokazał jej filmik, który mógł bardzo wiele wnieść do sprawy prowadzonej przez Ewę.

Detektyw stanęła w pewnej odległości od bramy numer dziewiętnaście i czekała na kogoś, z kim mogłaby tam wejść. Używanie domofonu było niewskazane; zawsze należało z zaskoczenia próbować rozmowy twarzą w twarz.

Nie czekała długo. Weszła do zadbanej, świeżo odmalowanej bramy z jakimś starszym panem w kapeluszu, niosącym papierową torbę z zakupami.

Razem znaleźli się w windzie. Mężczyzna nacisnął guzik piątego piętra, Ewa pięć przycisków wyżej. Jej współpodróżny nie spuszczał z niej wzroku.

Spojrzała uważnie w swoje odbicie w wielkim lustrze. Była blada i miała oczy podkrążone od niewyspania, co jadący z nią windą mógł łatwo wziąć za skutek używek. Bawełniana bluza z kominem, który po odpowiednim ułożeniu mógł być również kapturem, sięgający połowy uda wełniany płaszcz oraz sztyblety – wszystko w różnych odcieniach szarości – tchnęły ponurymi skojarzeniami. Jedynie niebieskie dzinsy odróżniały się od reszty.

– Pobrudziła się pani – powiedział mężczyzna, wskazując na ślady talku na jej płaszczu.

– Wiem – odrzekła z prostotą i kiwnęła mu głową, wywołując silny ból w piersi. – Dziękuję.

Mężczyzna mruknął coś niezrozumiałego i odsunął się od niej.

Po chwili Ewa była na ostatnim piętrze. Zadzwoiła do drzwi z numerem czterdzieści dwa. Usłyszała kroki.

Otworzył jej nastolatek w wyciągniętym podkoszulku, w krótkich spodenkach i w kapciach kroksach. Za jego plecami nie rozległy się żadne okrzyki typu: „Kto tam?”. Nie zaszczekał też pies. Miała szczęście – chłopak nie poszedł do szkoły i najpewniej był sam.

Stał i patrzył na nią bez słowa. W jego wielkich, ciemnych oczach nie było wrogości, a na twarzy – cwaniackiego uśmiešku. Z półdzięcięcej jeszcze twarzy przebijało czyste zaciekawienie.

– Marcel? – Uśmiechnęła się lekko. – Mam przyjemność z Marcelem, który robi filmy na YouTube’a? Możemy porozmawiać?

– Słucham.

Żadnej aroganckiej reakcji. Żadnych krzywych spojrzeń. Żadnej wrogości. Najwyraźniej nie wziął jej za policjantkę.

– Jestem prywatnym detektywem – rzuciła lekkim tonem, a potem zaczęła mówić bardzo szybko. – Wiesz, że detektywi często rozwiązują swe sprawy dzięki temu, co ktoś sfilmuje albo sfotografuje? Jesteś mi potrzebny, Marcel! Możesz mi bardzo pomóc, a ja mogę pomóc tobie!

Podsunęła mu pod oczy wyjętą już wcześniej wizytówkę. Czuła, że nadchodzi przełomowa chwila. Teraz się wszystko rozstrzygnie. Albo chłopak zatrzaśnie jej drzwi przed nosem, albo ciekawość weźmie górę.

Poczuła bolesne ukłucie z tyłu głowy, tam gdzie uderzyła o zagłówek. A potem następne. I tak przez kilka sekund. Jedno po drugim. Każde było silniejsze od poprzedniego. Znów – tak jak kilkanaście godzin wcześniej – spociła się pod pachami.

W głębi ducha była wściekła, że tak mało wie o Marcelu. Tej nocy obejrzała na YouTube trzy filmiki podpisane „Kolektyw Zadroże”, ale też te innych youtuberów – od tych zabawnych przez społecznie zaangażowane po straszliwe przemocowe produkcje patostreamerów zarabiających na nienawiści.

Cała ta youtube’owa wiedza to było jednak zbyt mało, aby uzyskać przychylność chłopaka. Musiała od razu przejść do rzeczy.

– Pokaż mi film o rodzinie Sikorów. Proszę. Jest bardzo ważny dla sprawy, którą prowadzę...

Poczuła zawrót głowy.

– Powiedziała pani: „Pomóż mi, to i ja ci pomogę” – rzekł spokojnym tonem. – Jak pani chce mi pomóc? O co pani chodzi?

Ewa rozejrzała się po korytarzu. Na wszelki wypadek mówiła teraz ciszej.

– Pomożesz mi? – Zabrzmiało to bezradnie.

Marcel najwyraźniej oczekiwał odpowiedzi, nie kolejnego pytania. Jego oczy pociemniały. Miał dość. Odsunął się i chciał zamknąć drzwi.

– Mój mąż jest dyrektorem telewizji. – Ewa była zdesperowana. – Mogę ci pomóc w karierze!

– A spadaj stąd – szepnął. – Nie znam cię, karyno jedna!

– Poczekaj, Marcel! – dobiegł nagle głos zza pleców Ewy. – Ona mówi prawdę! Widziałam jej zdjęcie na biurku dyrektora Kucaja!

Ewa nie usłyszała, kiedy Mirella Szewczuk, zaalarmowana jej krzykiem, wyszła na korytarz.

*

W suszarni na dziesiątym piętrze bloku zgromadziło się dziwne trio: chłopak w bluzie z kapturem, studentka w puchowej kurtce i w puchatych kapciach oraz starsza od nich blada kobieta o podkrążonych oczach. Marcel i Mirella stali. Ewa siedziała na parapecie. Oni palili, ona odganiała się od dymu. Wciąż kręciło się jej w głowie.

Marcel wyjął telefon w etui z klapką. Do tej klapki chłopak przypiął trzy klamerki, po czym zawiesił w poziomie aparat telefoniczny na sznurze do bielizny. Zaraz miał się zacząć seans filmiku grupy „Kolektyw Zadroże”.

Kilka minut wcześniej Marcel, przekonany przez Mirellę, że Ewa nie kłamie w sprawie swojego męża, przestał mieć opory przed pokazaniem pani detektyw filmiku, tym bardziej że – co dodał z wyraźną złością – chłopaki z kolektywu już nie są jego ziomami.

– Nazywają mnie zjebem, co ostrzy dzidę do mangopornoli, a sami tak robią! – warknął i już chciał zaprezentować ich wspólne dzieło, ale Mirella go powstrzymała.

Mimo wszystko była nieufna. Bała się, że sensacyjny materiał wymknie się jej z rąk. Że Ewa go gdzieś wykorzysta i tym samym ona, Mirella, która to wszystko

przypadkiem odkryła, nie będzie miała materiału na kolejny odcinek swojego programu.

Ewa dobrze wyczuwała te rozterki.

– Przecież pani i Marcel niczym nie ryzykujecie – powiedziała. – Może mnie pani przeszukać i upewnić się, że nie nagram tego filmiku.

Podąła Mirelli swój mały skórzany plecak.

– No, proszę! Sama niech pani zobaczy!

Mirella pokręciła przecząco głową.

– Ufam żonie Alberta – mruknęła, nie patrząc jej w oczy. – Robię programy kryminalne, to może kiedyś bym mogła do pani...

Ewa tego nie dosłyszała. Poczwała ukłucie zazdrości. Nie miało.

„Jest z nim na ty? – pomyślała ze złością. – Czyżby Albert?... No cóż, mając taką dziewczynę przy boku, a w domu wiecznie nieobecna żonę z oczami jak panda z niewyspania...”

Opanowała się i uśmiechnęła do Mirelli. Jeśli chciała rozbroić nieufność dziewczyny, musiała stłumić emocje i przeczekać powypadkowy ból, który znów wspinał się wzdłuż jej pleców.

– Potem możecie go przegrać na pendrive’a, wrzucić do chmury, a nawet schować do spłuczki w toalecie. Jeślibym chciała wykorzystać twój filmik, to niby jak miałabym to zrobić? – zwróciła się do Marcela. – Opowiedzieć komuś, co widziałam? To nie wystarczy! Ten film może być dowodem w sprawie i zapewne sąd będzie chciał go obejrzeć. A skąd niby sąd będzie go miał?

– Może policji zlecić przeszukanie – odparła Mirella.

– A ty wtedy powiesz – Ewa spojrzała na Marcela – że pendrive wpadł ci do kibla!

Wszyscy się roześmiali i wtedy Marcel powiedział:

– Niech pani posłucha, to ważne. Mnie się ten filmik nie spodobał. Jest chujowy. Nie chciałem, żeby był na judupie.

Ewie chwilę zajęło, zanim zorientowała się, że ten mówi o YouTubie.

– Ten filmik to miała być niezła beka z Cacodemon! – dodał.

– Z kogo ta beka? – Ewa żałowała, że tak mało wie o dzisiejszej młodzieży.

– Postać z gry komputerowej – odpowiedziała Mirella. – Cacodemon to unosząca się nad ziemią kula z jednym okiem. Syn tego dozorca, co spłonął, Damian Sikora, ma taką ksywę: jest gruby i ma jedno oko.

– Demon lub Cacodemon – wtrącił się Marcel. – To spoko ziom, ale był winien chłopakom za zioło. Ciągłe go cisnęli. Sam słyszałem, jak jeden ziomal darł się na niego: „Te, cyklop, matka ci oko wieszakiem wybiła, jak się skrobała?”. Więc się wkurwił i nie oddawał kasy. To dla beki nakręciliśmy jego rodzinę. Myślałem, że to będzie iksde, ale wyszło przechujowo. Pożarłem się z kolektywem, nie chcę robić takich filmików. Co innego beka z menela, a co innego z rodziny ziomala. Zresztą i tak to judup zbanował. Okazało się, że naruszyliśmy prawa autorskie, bo ta piosenka... Zresztą sama pani usłyszy.

Po czym włączył filmik.

I tak rozpoczął się pięciominutowy seans.

W tle filmiku słyhać było powolny rytm i kobiecy głos, również jakby spowolniony, powtarzający w kółko:

– *Rich bitch³, motherfucker, rich bitch!*

Nagle ekran cały się zazłocił od monet, które spadały z góry na dół, a potem zniknęły; przed oczami widzów zaczął przesuwać się chodnik – zapluty pestkami słonecznika i pokryty niedopałkami. Po sekundzie z poziomu gruntu zostały sfilmowane drzwi obrotowe z napisem „Fabrique” – nazwą galerii handlowej. I znów obrót drzwi. I następny.

A potem deszcz monet zajął cały ekran.

Po chodniku stąpają teraz stopy w adidasach. Nad nimi widać skarpety z rozdartą nieco koronką i grube łydki z żyłakami. Obraz się zatrzymuje i powiększa. Widać wyraźnie trzy paski na butach. Rozlega się sapanie, coraz szybsze i szybsze. I nagle okrzyk jak przy orgazmie.

– *Rich bitch, motherfucker, rich bitch!*

Monety sypią się znów z nieba. W ich deszczu troje ludzi popycha wózek z szeroką platformą, na której wiozą ogromny karton z telewizorem. Kobieta w adidasach się uśmiecha, widać, że nie ma jedyńki. Obok niej chłopak, pewnie dwudziestoparoletni, lecz już ze sporym brzuchem, głaszcze telewizor. Gdy się pochyla, obcisłe spodnie zjeżdżają mu z bioder. Obraz się powiększa, widać owłosioną skórę mężczyzny.

– *Rich bitch, motherfucker, rich bitch!*

Ujęcie z boku; pojawia się trzecia bohaterka. Młoda, bardzo szczupła kobieta w minispódnicy i w jasnych zamszowych szpilkach. Dwie zachodzące na siebie fale blond włosów, utrwalonych prostownicą, wychodzą spod różowej czapki z daszkiem, wyszywanej cekinami. Wszyscy troje pchają wózek. Film raz zwalnia, raz przyśpiesza.

Nagle pojawia się przebitka: chłopak z dumą prezentuje złoty łańcuch na szyi, a w rękach trzyma banknoty dwudziestozłotowe ułożone w wachlarz. Macha nimi i udaje, że śpiewa: „*Rich bitch, motherfucker, rich bitch!*”. Bohaterowie nagrania kiwają głowami w takt melodii, a potem zbliżają się do starego renault megane kombi. Następuje zbliżenie przezartych korozją progów auta. Dziewczyna w różowej czapce wystawia środkowy palec, a kobieta patrzy groźnie w kamerę.

Złote monety zasypują ekran. Pojawia się data.

„Dwa dni po śmierci Ryszarda Sikory” – pomyślała Ewa.

Spojrzała pytająco na Mirellę.

– To ma być ta rewelacja?

Dziewczyna kiwnęła uspokajająco głową.

– Zaraz pani zobaczy fragment surowego materiału, który nie wszedł do końcowego filmiku. Niech pani posłucha, co mówi żona Sikory.

Na ekraniku pojawia się nastolatek. Zadając pytanie, błysnął złotymi zębami.

– Skąd macie kasiorę na taki zajebisty telewizor?

– Jedna mała ściema w sprawie Rycha – uśmiecha się szczerbata kobieta – i jest telewizor!

– Matka, zamknij się, kurwa! – woła dziewczyna w czapce. – Nie tak miałaś mówić!

– Daj spokój! Grażyna sama nie wie, co ma kłapać!

Mirella spojrzała na Ewę.

– Przecież pani doskonale wie, co wdowa mówiła wszystkim portalom – powiedziała wolno. – Zeznała, że za podpalenie zapłacił mężowi facet, którego wcześniej widziała, jak rozmawiał z właścicielem składowiska...

Ewa rzeczywiście o tym wiedziała. Zeznanie Sikorowej było jednym z najważniejszych argumentów przemawiających za winą Ireneusza.

– A jeśli właśnie w tej sprawie kłamała... Jeśli to była ta ściema, o której mówi... – Mirella zawiesiła głos. – I za to kłamstwo ktoś odwdzieczył się jej telewizorem, to co wtedy?

„To mamy z Goską wygraną sprawę” – dokończyła w myślach Ewa i spojrzała na Mirellę z uznaniem.

*

Zanim zbudowano blokowisko, Zadroże było zwykłym robotniczym przedmieściem. Stały tam małe domy z zabłoconymi podwórkami i z ogródkami pełnymi kwiatów. Obrazu dopełniał kościół z cmentarzem, małe kino Fatamorgana oraz knajpa Zadrożanka, którą lepiej było omijać szerokim łukiem. Wiele się zmieniło na początku lat siedemdziesiątych, gdy nad Siecznicą wybudowano szwalnię Zakładów Włókienniczych imienia Karola „Waltera” Świerczewskiego, który to patron został po cichu usunięty na początku lat dziewięćdziesiątych. Zanim jednak to się stało, zakład pracował pełną parą i ściągał do pracy ludzi z okolicznych wsi, oferując im mieszkanie w dwupiętrowym, długim hotelu robotniczym, zwanym Jamnikiem.

Ryszard Sikora był jednym z beneficjentów uprzemysłowienia Zadroża. Dostał pracę w fabryce jako konserwator maszyn włókienniczych oraz jednopokojowe mieszkanie w Jamniku. Kiedy zakłady w Zadrożu padły ofiarą prywatyzacji

i Sikora został bez zatrudnienia, pomoc zaoferował mu były majster Wiesiek, który w swoim garażu rozwinął wielką produkcję, polegającą na kopiowaniu gier komputerowych i płyt CD. Handlem tymi wyrobami Sikora zajął się z entuzjazmem, zarabiając na życie oraz na czynsz za mieszkanie, które tymczasem – tak jak cały Jamnik – dostało się pod zarząd miejski.

Czasy się zmieniały, policja coraz skuteczniej ścigała piractwo, Sikora zatrudnił się więc jako stróż nocny w tym, co zostało po „Świerczewskim”, i pił coraz więcej. Jamnik na przełomie stuleci stał się największym na południu ośrodkiem handlu narkotykami. Zyskał też nową, bardziej światową, nazwę: Harlem.

Ewa Skoczek, pokonawszy na piechotę półtorakilometrową drogę z osiedla, stała teraz przed jedną z czterech klatek schodowych – bram Harlemu. I one, i ściany pod oknami parterowych mieszkań pokryte były graffiti tak gęsto, że nie można się było domyślić, na jaki kolor je pierwotnie pomalowano. Grafficiarze nie oszczędzali nawet niektórych okien, zwłaszcza tych, w których zamiast szyb wstawione były płyty paździerzowe.

Znała dobrze ten blok jeszcze z czasów swej pracy w policji. Był okryty ponurą sławą. Tutaj miało miejsce dwadzieścia procent wszystkich przestępstw, które popełniano w całej dzielnicy południowej.

Na podwórku siedziały teraz młode kobiety w jasnych, na ogół różowych dresach i paliły papierosy. Bez najmniejszego skrępowania przyglądały się Ewie, niekiedy tylko odwracały wzrok i pokrzykiwały na któreś dziecko. Maluchy wrzeszczały i kłóciły się, a w tle przeraźliwie piszczła nienaoliwiona huśtawka.

– Dzień dobry. – Ewa się do nich uśmiechnęła. – Mogą mi panie powiedzieć, gdzie mieszka rodzina Sikorów?

Kobiety spojrzały po sobie i milczały. Dzieci uspokoiły się i gapiły na nieznaną bez zmrużenia powiek.

Jedna z palaczek wyciągnęła dłoń. Papierosem, dymiącym pomiędzy ozdobionymi tipsami palcami, wskazała bez słowa na okno, pod którym widniał napis:

XXXX TO KURWA I KONFIDENT

Czterema iksami, wymalowanymi na czarno, było zamazane jakieś nazwisko. Ewa podziękowała kobietom i podeszła bliżej. Pod iksami można było rozpoznać litery D, A, M, N, S, K, R. Jak DAMIAN SIKORA.

„Jedno okno to jedno mieszkanie – pomyślała Ewa. – Czyli trzecie na lewo”.

Ustaliwszy lokalizację mieszkania Sikorów, weszła do bramy. Powitały ją słowa wypisane nierówno nad wejściem:

TEREN SZLACHTY Z HARLEMU WYCIERAĆ BUTY KURWY

„Zapomnieli o przecinku przed »kurwy«” – stwierdziła z rozbawieniem.

Znalazła się w długim korytarzu. Przed drzwiami do mieszkań stały stare fotele i pufy. Wszędzie słoki z niedopałkami. Tu i ówdzie ludzie, niezbyt dobrze widoczni w półmroku. Na jej widok przerwali głośne rozmowy.

Aby dodać sobie otuchy, zacisnęła palce na gazie pieprzowym, który miała w kieszeni. Podeszła do drzwi, zza których dochodziła skoczna, głośna muzyka, a wokalista radośnie pokrzykiwał:

Będzie! Będzie zabawa!

Będzie się działo!

I znowu nocy będzie mało!

Będzie głośno, będzie radośnie!

Znów przetańczymy

Razem całą noc!

Wszystko wskazywało na to, że rodzina spalonego niedawno żywcem Ryszarda Sikory zapomniała już o żałobie.

Ewa zastukała. Nikt nie zareagował. Zastukała mocniej.

– Otwórz, Ślepy! Nie słyszysz, że ktoś puka? – Usłyszała głos młodej kobiety.

Drzwi otworzył otyły nastolatek w bojówkach ze ściągaczami u dołu nogawek. Jedno jego oko było w półprzymknięte. Pomiędzy powiekami błyskało różowawe bielmo. Chłopak trzymał w dłoni pączek.

Tym razem Ewa nie mogła ryzykować i obłaskawiać nastolatka, aby skłonić go do rozmowy, zwłaszcza że w mieszkaniu przebywała cała jego rodzina.

– Dzień dobry, nazywam się Ewa Skoczek...

– Niczego nie kupujemy – warknął chłopak i już chciał zatrzaskać jej drzwi przed nosem.

– Z portalu kryminalnego *Cień i mrok* – dodała szybko. – Ja w sprawie śmierci twojego ojca, Ryszarda Sikory. Wiem, że twoja matka udzielała już wielu wywiadów, ale coś mi nie pasuje, o coś chciałabym zapytać...

– Kto tam? – krzyknęła z pokoju kobieta, której głos zdradzał wiek średni i zamiłowanie do nikotyny.

– Dziennikarka! – odkrzyknął Damian. – Mamo, ścisz to!

– Dawaj ją tutaj! – odezwał się głos młodego mężczyzny. – Może kasą sypnie...

Ewa pobłogosławiła w myślach burzliwy rozwój mediów internetowych. Dzięki niemu wystarczyło założyć blog, poprawnie wypełnić wniosek i wydać sto złotych, by zarejestrować coś, co w świetle prawa było czasopismem.

Tak właśnie uczyniła, a Waldemar Zimniak, mianowany przez nią redaktorem naczelnym portalu *Cień i mrok*, podpisał jej legitymację „prasową”, zaprojektowaną w Pajncie. Ta druga tożsamość, sfabrykowana przez Waldka, przypominała jej – z zachowaniem wszelkich proporcji – ich poprzednią służbową relację, gdy Ewa pod rozmaitymi przykrywkami pracowała w wydziale techniki operacyjnej komendy wojewódzkiej, a jej szefem był wtedy właśnie Zimniak.

Świeżo uzyskana „legitymacja prasowa” wystarczała do uzyskania akredytacji w czasie procesów sądowych, co więcej – pozwalała na legalne nagrywanie rozmów. W końcu była dziennikarką – co z tego, że na blogu w ciągu dwóch lat opublikowała tylko dwa wpisy! Gdyby się ktoś przyczepił, że nagrana rozmowa nie

została wykorzystana w żadnym artykule, zawsze mogła powiedzieć, że wciąż pracuje nad tekstem. Najważniejsze, że „legitymacja prasowa” zwykle otwierała usta rozmówcom, podczas gdy licencja prywatnego detektywa raczej je zamykała.

Do pokoju wchodziło się przez kuchnię. Obok zlewozmywaka wały się opakowania po chińskich zupkach oraz kartony po mrożonych pizzach. Ewa nie chciałyby wchodzić tutaj o zmroku i zapalać światła. Pewnie poznałyby wówczas licznych małych sublokatorów tego mieszkania.

W pokoju całą ścianę zajmował ogromny, siedemdziesięciopięciocalowy telewizor LG. Na gigantycznym ekranie mężczyźni z trąbkami maszerowali przy zawadiackich akordach przez rynek jakiegoś miasta i machając rękami, wszystkich zapraszali do wspólnej zabawy. Pod telewizorem stał stolik, a na nim spoczywała urna.

Będzie! Będzie zabawa!

Będzie się działo!

Ewa rozejrzała się po pokoju. Na wersalce siedziała cała trójka bohaterów filmiku Marcela. Pochylali się nad stołem i jedli pączki z cukrem pudrem.

Na ziemi leżało opakowanie z napisem „10 pączków po 1 zł każdy”. Po pokoju rozchodził się zapach wielokrotnie smażonego oleju, keczupu oraz makaronu, który – zalany wrzątkiem – wydzieliał woń polepszaczy.

– Dzień dobry! – powiedziała detektyw. – Ewa Skoczek z portalu *Cień i mrok*. Nie będę państwu zabierać czasu, mam tylko jedno pytanie.

– Tylko jedno? – Z wersalki wstał chłopak Sandry. – Ja bym chciał więcej! Fajny milf, nie, Ślepy?

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę, poruszając palcami w obleśnym geście. Ewa uniosła łokieć i czekała, aż będzie mogła zadać cios od góry. Te świetnie wyćwiczone, jakby automatyczne ruchy samoobrony zrobiły na nim wrażenie. Cofnął się.

Ewa odwróciła się, by mieć też oko na Damiana, który stał za nią.

– Tylko się do mnie zbliż, spaślaku – powiedziała zimno do chłopaka Sandry.

– Te, Kacper! – krzyknęła Krystyna Sikorowa. – Chyba jesteś facetem mojej córki tak w ogóle, co? Sebiks jeden, kurwa...

– Ostra – skomentował Kacper.

Nie wiadomo było, czy słowa te skierował do Ewy, czy do swojej przyszłej teściowej. Przywołany do porządku, uśmiechnął się krzywo.

– Ja tylko chciałem grzecznie się przywitać z panią redaktor.

Usiadł na kanapie i nasunął na oczy płaską czapkę z krótkim daszkiem. Groźba Ewy chyba go ubodła, dotknął dłonią wystającego brzucha, nie do końca zakrytego obcisłym podkoszulkiem z długim rękawem.

– Gadaj, pani, pytaj, bo się ściemnia! – rzekła Krystyna. – Ale nie za darmo! Nic za darmo!

Ewa wyjęła dwadzieścia złotych, co u Sikorów nie wzbudziło wielkiego entuzjazmu.

– Dlaczego pani świętej pamięci mąż nie został pochowany? – Wskazała na urnę. – Wie pani, że za trzymanie prochów zmarłych w domu jest paragraf jak za bezczeszczenie zwłok? Dwadzieścia złotych i milczę o tej urnie albo żegnam się i idę do dzielnicowego...

– No dobra. – Matka sięgnęła po nabijarkę gilz. – Dwie dychy i pytaj, lala, pytaj.

Jej małe oczy, ukryte w fałdach tłuszczu, błysnęły wesoło.

– Damianku, zamykaj, synku, drzwi, bo muchy lecą! – dodała.

To był znak, że zacnie mówić rzeczy nieprzeznaczone dla uszu sąsiadów.

– Dlaczego Ryszard Sikora podpalił to składowisko opon? – zapytała Ewa.

Sandra westchnęła, przewróciła oczami i wzniosła je ku niebu, wyrażając bezgłośnie, iż słyszy to pytanie po raz milionowy. Jej utlenione włosy były sztywne i idealnie proste.

– Już mówiłam to wszystkim, lalka, mówiłam – rzekła Krystyna znudzonym tonem. – I dziennikarzom, i psom, wszystkim... – Zapaliła papierosa, pokazując

paznokcie z łuszczącym się lakierem. – Jakiś facet, łysy i gruby, zapłacił Ryśkowi kasę. Rysiek nie chciał mówić, za co. Potem podpalił ten cały syf nad rzeką.

– Do dziś czuć ten dym, tak stamtąd waliło – wtrącił się Damian. – W tapety się wtopił...

Ewa spojrzała na rozdarte tu i ówdzie tapety, na których wisiały dziecięce obrazki malowane farbami, przedstawiające jakichś nieznanych Ewie komiksowych bohaterów. Obrazki były podpisane: „Damianek” lub „Sandrunia”.

– Podpalił i sam się sfajczył – ciągnęła Sikorowa. – Pijany był, to i padł pod tymi oponami. Szkoda chłopca. No to kupiliśmy sobie potem ten telewizor. Pooglądałby sobie chłopina, a tak to co... Nie ma Ryśka i nie będzie...

Chlipnęła i spojrzała na Ewę z nadzieją, że nabrała ją na ten kiepski teatr. Ta bardziej niż na jej gest zwróciła uwagę na dużą plamę na przodzie jej bluzy z trzema paskami.

– Znała pani tego łysego grubasa? – zapytała.

– Nie! – pokręciła głową Sikorowa. – Ale widziałam go raz czy dwa u tego Banaszczyka w baraku. Rozmawiali jak zakumplowani.

O tym wszystkim Ewa już wiedziała. Nadszedł czas, by przejść do ofensywy.

Wciąż patrząc podejrzliwie na Kacpra, zdjęła z ramienia plecak i wyjęła z niego tablet. Wszyscy spojrzeli nań z zainteresowaniem.

Ewa uruchomiła go, myśląc z wdzięcznością o Mirelli, która jej zaufała jako „żonie Alberta” i pozwoliła przegrać cały filmik oraz fragment o ściemie.

Oparła tablet o wielką dwulitrową plastikową butelę z pomarańczowym napojem gazowanym Barbara i włączyła odtwarzacz wideo.

Kiedy Sikorowie wpatrywali się w tablet, Ewa rozglądała się po pokoju i starała się zrozumieć powody ich niezaradności. Nie pojmowała, dlaczego dwie zdrowe kobiety – matka i córka – nie potrafią uruchomić odkurzacza, który by wciągnął kołtuny kurzu fruujące po podłodze, a facet córki, zamiast żreć pączki, nie może zakasać rękawów i naprawić urwanej półki widocznej w otwartej na oścież szafie.

Z ekranu doszły głosy:

- „ – Skąd macie kasiorę na taki zajebisty telewizor?
– Jedna mała ściema w sprawie Rycha... i jest telewizor!
– Matka, zamknij się, kurwa! Nie tak miałaś mówić!
– Daj spokój! Grażyna sama nie wie, co ma kłapać!”.

Ewa schowała tablet i spojrzała w szeroko otwarte oczy obu kobiet oraz w gniewnie zmrużone oczy Kacpra. Tylko twarz Damiana nie zdradzała żadnych uczuć.

– Co to za ściema? – zapytała Ewa. – Co to za kłamstwo, które z osiem tysięcy chyba kosztowało, bo za tyle taki telewizor, prawda?

Sikorowa wstała. Była gruba i silna. Patrzyła na Ewę kamiennym wzrokiem. Mięśnie pani detektyw stężały. Nie da rady czworgu ludzi w tym ciasnym pokoju.

– Wynoś się stąd – syknęła. – I zabierz te dwie dychy na taksówkę, żeby cię nikt tutaj nie napadł i nie wyruchał! Twój nosek się marszczy, bo zapasek nie taki jak w twoich pałacach? Śmierdzi ci rosół z jednego udka? Bo ja mam buty z ciuchów, a ty wykurwiste buty za dwa tysiaki?

Zbliżyła swą twarz do jej twarzy tak blisko, że Ewa mogła policzyć cztery długie włosy wystające z jej pieprzyka na policzku.

– No, won stąd, suko! – krzyknęła.

Ewa odwróciła się do wyjścia.

– Odprowadzę szmatę – usłyszała głos Damiana. – Bo tam Kłosu z ziomalami stoi i mogą ją zahaczyć...

Wyszła z mieszkania i ruszyła szybko w stronę drzwi, ale zanim je otworzyła, chłopak wyprzedził ją i zastawił jej drogę. Zaskoczyło ją, że jego postawa była pozbawiona jakiegokolwiek agresji: stał z opuszczonymi rękami, patrząc w podłogę.

– Przepraszam, że nazwałem panią szmatą – rzekł cicho. – Ale ten filmik może być wykorzystany na policji przeciwko matce i Sandrze... Że kłamały. – Sapnął. – Ja pani powiem, jak było – szepnął, otworzył drzwi i rozejrzał się wokół.

Korytarz był pusty, jedynie dwadzieścia metrów dalej jakiś człowiek wychodził z mieszkania, ciągnąc za sobą na sznurkach cztery ujadające kundle.

– Ojciec podpalił, bo nienawidził Banaszczyka. Banaszczyk zwolnił go za pijaństwo i stary chciał się zemścić.

Umilkł. Zgasło światło.

– To skąd mieliście na telewizor? – zapytała Ewa.

– Później przyszedł jeden facet i dał kasę. Mieliśmy tylko opowiadać, że u starego był jakiś gruby i łysy, ziomal Banaszczyka, i że zapłacił za podpalenie. Facet powtarzał: „Macie mówić, że łysy, gruby i od Banaszczyka, nic więcej”, i dał nam dziesięć patoli...

– Dlaczego mi o tym mówisz? Chcesz chronić rodzinę, gdyby jakiś pies odkrył, że matka i siostra kłamały za pieniądze, tak? To wtedy powiesz takiemu, że przecież mówiłeś pewnej policjantce, czyli mnie... Bo mnie uważasz za policjantkę... I wtedy pies ci odpuści, tak?

– Ja też kłamałem – odparł Damian. – Siebie też chcę chronić.

Spojrzała na niego uważnie.

– A jak wyglądał ten człowiek, co wam zapłacił?

– Nie potrafię go opisać. Ani gruby, ani chudy, nie za wysoki, nie za mały, w pani wieku, może trochę starszy. – Damian podniósł na nią wzrok i dodał błagalnie: – Niech pani nie mówi nic psom. Zna już pani prawdę, to nie musi im pokazywać tego nagrania.

Nagle rozległy się kroki na korytarzu i rozbłysło światło. Dwóch roześmianych i wytatuowanych młodzieńców rechotało, krzycząc z daleka:

– Co jest? Tak po ciemku? Spust czy masowanie grzyba?

– Co, Kaka, wciągasz węża? Wciągasz?

– Ty, a co to za ciepła mamuśka ciągnie się za tobą?

Zanim podeszli bliżej, Ewa podała Damianowi swoją wizytówkę.

– Mam znajomego okulistę – powiedziała. – Robi świetne protezy oka. Zadzwoń do mnie.

Nie była to do końca prawda, ale teraz nie to było najważniejsze.

Odwróciła się i szybko opuściła Harlem. Nie czuła już żadnego bólu. Wszystko w niej śpiewało z radości.

Dostarczy Goście świadka, który obali tezy oskarżenia. Dzięki zeznaniom Damiana pojawi się właściwy obraz sytuacji – twierdzenia rodziny o jakimś łysym i grubym współniku Banaszczyka, który zlecił Ryszardowi Sikorze podpalenie składu opon, są grubym kłamstwem, opłaconym siedemdziesięciopięciocalowym telewizorem.

– *Rich bitch, rich bitch* – dźwięczało jej w uszach.

Nagle spojrzała na swoje sztyblety.

„Skaner w oczach ma ta baba – pomyślała. – Skąd wiedziała, że mam buty za tysiąc osiemset?”

2 Skrót od YT (YouTube) w formie fonetycznej.

3 Bogata suka (ang. wulg.).

ROZDZIAŁ V

OCZYŚCIĆ MIASTO

Bartosz „Pająk” Piesiak wymigał się z opresji. Był nieuchwytny. Jego żona Linda twierdziła, że męża nie ma od wczoraj, bo pojechał do Berlina, aby kupić używane auto. Powiedziała, że wróci za tydzień, i zapewniała z uśmiechem, że kto jak kto, ale on na pewno przyjdzie na policję, bo jest przecież porządnym obywatelem.

„Pojawi się, gdy w jego organizmie nie będzie już śladu narkotyków” – dodał w myślach przesłuchujący ją policjant.

Nagranie z monitoringu ulicznego było – co się często zdarzało – nieostre i na pewno nie dałoby się go wykorzystać jako rozstrzygającego dowodu. Widać było na nim po prostu łąsą głowę mężczyzny z niedokładnie widocznymi rysami twarzy. Każdy adwokat, mając w ręku głupawy czepek z pajęczyną, mógłby z sukcesem wnioskować o oddalenie nagrania jako dowodu w sprawie.

Świadkowie też się nie popisali. Ci, do których policja dotarła telefonicznie na podstawie numerów rejestracyjnych samochodów uwiecznionych na nagraniu z monitoringu, zasłaniaли się niepamięcią i zdecydowanie odmawiali składania zeznań. Najwyraźniej dobrze zapamiętali czarne, ogromne jak czołg bmw i szalejącego w nim bydlaka, którego słusznie brali za gangstera.

Technicy też niewiele wskórali. Na kierownicy, na gałce zmiany biegów oraz na joysticku potężnej beemki znaleźli odciski palców jedynie Dorian Rydzaka.

Ten przyznał się do zarzutu zniszczenia mienia i twierdził uparcie, że to on kierował bmw x7 za zgodą Lindy Piesiak, żony swego szefa, właściciela warsztatu Drive Engine. Na pytanie, dlaczego siedział za kierownicą, zamiast pracować w warsztacie, odparł, że „ta fura dupę mu urywa” i często, gdy nie ma szefa, prosi szefową o pozwolenie na przejażdżkę. Na pytanie o dziwne nakrycie głowy –

czepek z wizerunkiem pajęczyny – z całym spokojem odparł, że chętnie „toto nosi, bo to od szefa zajebista pamiątka”, a takimi czepkami zostali obdarowani wszyscy mężczyźni uczestnicy letniej imprezy, jaką Piesiak urządził w swym podmiejskim dworku z okazji czterdziestych urodzin. Na potwierdzenie tych słów Rydzak pokazał filmik z przyjęcia, gdzie pijane i wytatuowane karki w identycznych czepkach na głowie pływają się wraz z młodymi kobietami w bąblach jacuzzi, trzymając butelki whisky w dłoniach.

Mechanik otrzymał zatem zarzut zniszczenia mienia. Akt oskarżenia – sporządzony na policji i zatwierdzony przez prokuratora – trafił do sądu w powolne tryby wymiaru sprawiedliwości. Sam Rydzak został zwolniony po przesłuchaniu. Wyglądało na to, że Piesiakowi się udało. Pewnie gdzieś w jakiejś kryjówce otwierał szampana, czekając, aż narkotyki wyparują z jego krwi.

O tym wszystkim Ewa dowiedziała się od Matiego Sadosia kilka dni po wypadku. Powinna była w tym czasie na własną rękę szukać Pająka, ale uznała, że praca dla Gośki Drewnowskiej jest priorytetowa. Z goryczą musiała przyznać, że gangsterowi się upiekło. Ona sama miała teraz dodatkowo na głowie drogę przez mękę, żeby uzyskać odszkodowanie.

Mało kto przypuszczał, że ta cała sprawa będzie miała ciąg dalszy. Raport o zdarzeniu trafił jednak na biurko pewnego policjanta, który od dawna rozpracowywał Pająka. Ów oficer z komendy wojewódzkiej, zajmujący się przestępczością zorganizowaną, postanowił odnowić swoje działania.

Pierwsze, co zrobił, to udał się do mocno pogniecionego samochodu Ewy Skoczek, stojącego na policyjnym parkingu. Po dłuższych poszukiwaniach znalazł kamerkę, która wpadła pod fotel pasażera i jakimś cudem znalazła się dziesięć centymetrów nad podłogą, na szynie, po jakiej przesuwał się fotel. Policjant obejrzał dokładnie nagranie i uśmiechnął się triumfalnie. Jeśli Ala Capone zgubiły niezapłacone podatki, to dlaczego Pająk nie miałby mieć kłopotów za spowodowanie wypadku?

Policjant postanowił na razie zachować kamerkę. Na pewno nadarzy się okazja, by ją wykorzystać.

Wiedział, że bez niej Ewa Skoczek nie wsiadłaby do auta. Znał ją bardzo dobrze.

Nazywał się Robert Mroczek i był jej eksmężem.

*

Albert tym razem zrobił na kolację inny ulubiony przysmak Ewy – paprykę faszerowaną gotowanym mięsem i ryżem.

Choć bardzo się przejął wypadkiem żony, to jednak nie pytał teraz: „Jak mam ci pomóc?”. Powściągliwość ta nie brała się z nieczułości na jej ból; po prostu wiedział, że nawet niewinna uwaga, pełna troski i płynąca z serca, może spowodować sprzeczkę. Musiał być cierpliwy i czekać, aż Ewie przejdzie. Nie zawsze potrafił tę cierpliwość zachować; czasami nie mógł się powstrzymać od jakiejś sentencji, która jego zdaniem ukoiłaby nerwy ukochanej kobiety albo stała się dobrym punktem wyjścia do rozmowy – ciepłej i pełnej głębokich uczuć. W młodości kilka osób mu powiedziało, że byłby dobrym terapeutą. Ewa w głębi ducha sądziła, że nie powinien zbyt wierzyć tym pochlebstwom.

Tylko dwie rzeczy mogły ją teraz uspokoić i rozwiązać złe wspomnienia o wypadku i o agresji łysego gangstera. Po pierwsze – dobre jedzenie, a po drugie – wielominutowe gładzenie jej i drapanie po nagich plecach. Ewa uwielbiała zwłaszcza to drugie – mruzczała wtedy jak kocica i natychmiast się uspokajała, gdy tak leżeli przyklejeni do siebie jak dwie przylegające łyżeczki. Śmiała się w duchu z Alberta, który zwykle z trudem tłumiał wtedy zniecierpliwienie.

„Na drapanie jeszcze przyjdzie czas” – pomyślała i odkroiła kawał miękkiej papryki. Z przyjemnością obserwowała, jak wypływa z niej żółtawy wywar, przypominający delikatny rosół, i barwi ryż z mięsem. Uniosła widelec do ust, lecz zastygła i nie przełknęła smakowitego kęsa.

Krzyk za oknem natychmiast odebrał jej apetyt. Z Rynku Staromiejskiego, rozciągającego się za ich oknami, dobiegły chóralne śpiewy. Był środowy wieczór i w pobliskim pubie Football gromadzili się kibice miejscowego klubu

piłkarskiego, którzy oglądali jego niezbyt fortunne występy w rozgrywkach o puchar Ligi Europy. Wielu miłośników futbolu wychodziło na papierosa przed lokal i nie tylko głośno komentowało wydarzenia na boisku, ale i dawało upust swej miłości do klubu.

Ewa w końcu przełknęła i spojrzała na ceglaste ściany, na antresolę z książkami oraz na wielki stół. W jej oczach pojawił się smutek, jakby się żegnała z wystrojem, który kosztował ich oboje wiele wyrzeczeń.

– Nie byłoby tego wypadku, gdybym mogła normalnie spać – powiedziała. – Gdyby ci gnoje nie przychodzili na nasze podwórko...

Umilkła gwałtownie. Nie chciała się nad sobą użalać ani tym bardziej prowokować Alberta. Nie chciała, aby przerwał swoje wyrozumiałe milczenie i wracał po raz tysięczny do jałowego tematu ich ewentualnej wyprowadzki z wymarzonego niegdyś mieszkania. Dlatego postanowiła szybko zmienić temat.

– Pyszne, Albercie!

Nie udało się jej jednak powstrzymać terapeutycznych zapędów męża. Być może panowałyby nad nimi, gdyby miejscowy zespół piłkarski właśnie nie strzelił bramki. Z kilku lokali podniósł się dziki wrzask radości. Ewa poczuła, że delikatny rosół z faszerowanej papryki nabiera w jej ustach kwaśnego smaku. Skrzywiła się i zacisnęła zęby. To był impuls dla domorosłego psychologa.

Siedział w uniwersyteckiej bluzie i patrzył łagodnie na żonę. Odłożył z brzękiem sztucce. Ewa wiedziała, co zaraz będzie.

– Ja wiem, Ewuniu, że ty się martwisz o Natalię. Wiem, że ogarnia cię panika na myśl, co ona robi w akademiku...

Zaraz padnie jakaś złota rada, jakiś bon mot, w których Albert celował.

– Nie mówmy o tym – podniosła nieco głos.

Niestety, było już za późno. Albert nie zamierzał teraz wychodzić ze swej roli.

– Nie myśl o tym, co nie jest od ciebie zależne – zawyrokował.

Przed oczami Ewy wyświetliło się jedno z nielicznych słów, które pamiętała z języka niemieckiego.

Klugscheisser. Taki, co sra mądrościami.

Już nie mogła się opanować.

– Nie mogę tu żyć! – krzyknęła. – Nie mogę mieszkać w tej cholernej dzielnicy! Wychodzę z domu i co widzę? Pijaka lub narkomana sikającego w śmietniku. Tu wszystko mi przypomina moje studenckie imprezowanie i pijackie ekscesy Roberta! Rozumiesz?

Albert zacisnął zęby i położył dłonie płasko na stole. Wpatrywał się w nie przez chwilę – były ładnie uformowane, męskie, o długich palcach wybitnego pianisty, na którego się zapowiadał, gdy chodził do średniej szkoły muzycznej.

W ten sposób zawsze opanowywał złość, gdy ta zaczynała go zalewać. Ale tym razem mu się nie udało.

Poczuł gorycz. Zrobił jej ulubioną potrawę, obchodzi się z nią jak z jajkiem, obiecał nawet, że wymasuje jej plecy! A ona co? Zachowuje się, jakby to był jego pomysł, żeby tu zamieszkać. Jakby to on nalegał na tę kamienicę w zasyfionym centrum!

– Możemy sprzedać to mieszkanie. – Słowa wychodziły zniekształcone przez jego wpółzaciśnięte zęby. – Znajdzie się ktoś, kto kupi je nawet z tym niebotycznym kredytem we frankach, jaki wzięliśmy... Ale po spłaceniu tego kredytu zostaniemy z jakimiś groszami, za które stać nas będzie najwyżej na dwupokojowe mieszkanie na blokowisku...

– A co ci się nie podoba w blokowisku? – zapytała zaczepnie.

Zapomniała, że tym pytaniem może go sprowokować. Przed kilku laty, gdy zbyt dużo wypła, popełniła błąd i powiedziała Albertowi, że w latach młodości przeżyła na osiedlu z wielkiej płyty wspaniałe chwile.

Ewa tłumaczyła potem mężowi, że to były cudowne dni, bo była młoda, właśnie została matką i przyszłość rysowała się przed nią w różowych barwach, ale Albert nie przyjmował tego do wiadomości. On to rozumiał po swojemu: to wspomina jako piękne chwile, bo wtedy była młoda, namiętna i ze swym ówczesnym mężem uprawiała dziki seks!

Przecucia nie myliły Alberta. Seks z Robertem – na przykład tamto szaleństwo zaraz po przeprowadzce, dwukrotne apogeum rozkoszy na linoleum, w mieszkaniu pozbawionym mebli – był dla niej niezatartym wspomnieniem. Ale potem pojawiły się inne reminiscencje. Owszem, wielka miłość płonęła latami, Natalia ją scementowała, ale w pewnym momencie ten cement zaczął się tu i ówdzie kruszyć. Problemy zawodowe, przypisywanie sobie przez zwierzchników zasług ich podwładnych, ciągły stres, następujący po sobie komendanci wojewódzcy, niewolnicy statystyk ze swoimi kolejnymi głupimi pomysłami reorganizacji. Wszystko to Ewa i Robert zagłuszali alkoholem. Schemat działania był prosty – Natalia do matki, a goście w dom. Aż nadszedł ten straszny poranek po jednej z imprez, który złamał jej serce.

Albert wyczuwał ową mnogość doświadczeń; był pewien, że żona w swych tłumaczeniach, mających wyjaśnić „wspaniałe dni na blokowisku”, coś usiłuje przed nim zataić. Od tego czasu każde wspomnienie o osiedlu Zadroże stawało się iskrą rozpalającą niewyczerpane i łatwopalne pokłady zazdrości – uczucia skrajnie irracjonalnego, bo Albert był zazdrosny o przeszłość, której już żadne z nich nie mogło zmienić.

No i dał się sprowokować. Nie wytrzymał. Jego gęste włosy zjeżyły się nad czołem.

– To twoja wina – wysyczał. – Przecież to ty tutaj chciałaś mieszkać, bo tu spędziłaś dzieciństwo...

Z wysokiej szklanki pociągnął wody z cytryną. To miało go nieco uspokoić, ale stało się inaczej. Kilka kropel wpadło mu w przelyk. Zachłysnął się i kaszłał przez chwilę.

Ewa patrzyła na niego zimno. W jej głowie rodziła się bardzo bolesna dla męża myśl. Wiedziała, że jej nie wypowie, bo dotknęłaby go do żywego i zafundowałaby sobie kilka cichych dni.

Dokończyła paprykę. O dziwo, bardzo jej teraz smakowała.

Albert zrobił się czerwony jak indor. W końcu się wykaszłał i spojrzał na nią ostro. Najwidoczniej był gotów do dalszej konfrontacji.

– Nie tak chcieliśmy zacząć nasze drugie małżeństwa! – Teraz to on podniósł głos. – Miało być bajecznie i z rozmachem. A jest ze smrodem i z rykami po nocy!

Ewa przełknęła ostatni kęs i otarła usta serwetką.

– Zawsze to moja wina, tak? – powiedziała prowokacyjnie. – Zawsze to ja jestem winna, tak?

Wiedziała, że mąż nie lubi tego „tak?” na końcu zdania.

Albert odchylił się na krześle i odetchnął głęboko. Teraz mówił lodowatym tonem, lecz pod tym lodem budził się i zaczynał buzować wrzący gejzer.

– Jeśli się przeprowadzimy, to ta suka zażąda ode mnie większych alimentów na Zosię i Antka. Powie, że się wzbogaciłem na sprzedaży wspaniałego apartamentu w Rynku. Oczywiście wygram sprawę, bo udowodnię, że większość pieniędzy, które uzyskaliśmy za sprzedaż, poszło na spłatę kredytu... Ale sam widok tej zdradliwej szmaty na jednej czy drugiej rozprawie...

Odsapnął. Przypomniawszy sobie, jak zastał swoją byłą żonę Agatę w wannie z hydraulikiem. Nie z ich sąsiadem, subtelnym pisarzem i eseistą, nie z jednym z jej studentów, ale właśnie – jakby już bardziej nie mogła go pognać – z pięćdziesięcioletnim hydraulikiem.

– Ona jest nienasycona. – Zerwał się od stołu. – Zawsze jej mało. I pieniędzy, i seksu! Z każdym się gziła jak bura suka!

Ewie nie spodobały się ani ten ton, ani zaciekłość, a zwłaszcza „suka” w jego ustach. Nie znała Agaty i nie chciała jej znać. Słyszała sporo o jej zdradach, co w pewnym sensie tłumaczyło chorobliwą wręcz zazdrość Alberta, ale przez skórę czuła, że nie tylko Agata była winna rozpadowi małżeństwa.

Nagle w obojczyku pojawił się ból. Jednocześnie powróciła ponura myśl, która kielkowała w jej głowie od jakiegoś czasu i której nie ośmieliła się wypowiedzieć.

„Zmienił się, odkąd nie ma z nami Natalii – pomyślała. – Wcześniej był silny i wykazywał anielską cierpliwość do mojej zbuntowanej nastolatki, a teraz... Teraz

jest zwykłym mięczakiem, dawnym rogaczem, który wciąż nie może przeżyć, że żona go zdradziła! Zabrakło Natalii i już nic nas nie łączy”.

Nagle zadzwonił jej telefon. Spojrzała na ekran.

– To Gośka Drewnowska – powiedziała z westchnieniem. – Oddzwonię za chwilę...

Dźwięk się urwał, a po chwili rozległ się odgłos waltorni wzywającej na polowanie – znak, że przyszedł SMS.

Ewa spojrzała na jego ekranik.

„Co u Ciebie? Miałaś wypadek, to wiem. Jak się czujesz? Gdzie jesteś?” – pytała przyjaciółka.

– To też Gośka? – zapytał Albert podejrzliwie.

– Tak – odparła Ewa. – Powinnam oddzwonić. Mam dla niej ważne informacje.

Opuściła ją złość na męża. Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Dzięki twoim informacjom dotarłam do ważnych świadków, ale również do tej twojej stażystki, Mirelli. To bystra dziewczyna.

Albert jakby nie słyszał tego pojednawczego tonu.

– Ustawiasz klocki – rzekł w zamyśleniu. – Jeden na drugim, ważniejszy nad mniej ważnym. A najniżej jest klocek z imieniem Albert... Jemy kolację, rozmawiamy... Ale klocek z napisem Gośka jest ważniejszy od mojego. Mój jest na samym dole. I on już nie może udźwignąć wszystkich innych.

Ewie to porównanie wydało się pretensjonalne i idiotyczne.

Ale w oczach Alberta było tyle smutku, że ulitowała się nad tym mężczyzną, którego wrażliwość – tak odmienna od gruboskórności Roberta – bardzo ją kiedyś ujęła. Dziś nie do końca rozumiała, co w tym było takiego pociągającego.

Wstała i pocałowała go w usta.

– Kiedy nie ma Natalii, to ty jesteś najważniejszym klockiem – przemogła się.
– Masz jakiś deser? Zjedzmy! Do Gośki oddzwonię później.

Albert uśmiechnął się radośnie.

*

Biuro Małgorzaty Drewnowskiej – położone tuż obok gmachu sądu w odnowionej pięknie kamienicy – było świetnie zlokalizowane. Oprócz niego siedzibę miały tutaj różne instytucje, związane bezpośrednio lub pośrednio z wymiarem sprawiedliwości: dwa inne biura adwokackie, biuro notarialne, gabinet tłumacza przysięgłego języka ukraińskiego oraz gabinet psychiatry seksuologa, który był również biegłym sądowym.

Kancelaria mecenas Drewnowskiej miała tę przewagę nad adwokacką konkurencją, że nie dochodził do jej biura gwar ruchliwej ulicy Mickiewicza i nie przeszkadzał w przygotowaniach przedprocesowych oraz w rozmowach z klientami.

Wchodziło się do niej przez bramę od strony zamykanego podwórka pełnego drzew i krzewów. Zwykle zamożni, umówieni wcześniej klienci przechodzili przez parterowe drzwi, za którymi kryły się trzy pomieszczenia utrzymane w stylu minimalistycznej, surowej elegancji, jaką im nadawało wysokiej jakości drewno ze skandynawskich świerków i płyty imitujące beton. Jedno z nich było niewielką poczekalnią, w drugim siedziała sekretarka Drewnowskiej pani Katarzyna Nabiałczyk, wraz z aktualnym aplikantem, w trzecim zaś urzędowała sama pani mecenas.

Okna kancelarii nie były niczym zasłonięte, toteż każdy mógł teraz widzieć wysoką kobietę o imponującej posturze, ubraną w świetnie skrojony kostium, jak siedzi nad dokumentami i pociera palcami skronie.

Po wizycie u Marcjańskiego Drewnowska rzuciła się w wir pracy z taką zaciekłością, jakby chciała zagłuszyć obudzone dzisiaj wspomnienia lat studenckich, zwłaszcza te związane z obecnym kandydatem na prezydenta. Potem miała w planie rozprawę, która została odroczone z powodu nieobecności ważnego świadka, a później powrót do kancelarii. Co jakiś czas usiłowała się skontaktować z Ewą Skoczek i wraz z każdym nieodebranym przez przyjaciółkę połączeniem jej niepokój wzrastał.

W końcu zadzwoniła do jej biura i tam się dowiedziała od Waldka, że Ewa jeszcze nie wróciła z Zadroża. Detektyw nie wiedział jednak – a to ją niepokoiło najbardziej – czy Ewa wymaga hospitalizacji. Do Alberta telefonować nie chciała. Prawdę mówiąc, nie przepadała za nim; zawsze porównywała go z pierwszym mężem Ewy, Robertem. Nigdy tego nie powiedziała przyjaciółce, ale w jej oczach Albert rywalizację ze swoim poprzednikiem przegrywał w przedbiegach.

Niepokój o Ewę wzmagala niepewność o dalsze losy sprawy Banaszczyka. Za kilka dni czekała ją rozprawa, a nie miała w rękach zbyt wielu atutów. Liczyła, że dostanie je od Ewy, która tymczasem gdzieś dzisiaj przepadła.

Gośka postanowiła, że po pracy do niej pójdzie i dowie się wszystkiego – taką przynajmniej miała nadzieję – z najlepszego źródła.

Tymczasem zajęła się adwokacką codziennością kancelaryjną, czyli czytaniem komentarzy do artykułów kodeksu karnego i cywilnego, które miały znaczenie dla jej dwóch aktualnie prowadzonych – poza sprawą Banaszczyka – spraw. Równolegle z tą czynnością zagłębiała się w odpowiednie orzecznictwo Sądu Najwyższego i sądów apelacyjnych.

Na koniec, kręcąc głową nad kiepskim przygotowaniem niektórych biegłych, weryfikowała w internecie ich ekspertyzy i szukała informacji, które byłyby podstawą do stawiania wniosków dowodowych. Całą tę intensywną robotę przerwała tylko raz – aby wyjść na obiad do jadalni policyjnej Bajka, gdzie zjadła swoje ulubione kotlety mielone z tłuczonymi ziemniakami i z buraczkami na ciepło.

Była siódma wieczór, kiedy skończyła pracę. Zasłoniła okno żaluzjami i z ulgą rzuciła z siebie strój służbowy. W szafie powiesiła spódnicę i marynarkę, białą bluzkę zwinęła w kłębek i wepchnęła do teczki, by w domu rzucić ją do pralki. Włożyła błękitny luźny sweter i spodnie z lejącego materiału, szyte na miarę tak, by skrywały jej zbyt szerokie biodra.

Otworzyła drzwi do biura i zaraz się cofnęła. Lał rześisty deszcz. Stąd do mieszkania Ewy nie było daleko, najwyżej kwadrans na piechotę, jednak pogoda

nie zachęcała nawet do tak krótkich spacerów. Spojrzała na swoje nowiutkie subaru forester stojące przed kancelarią. Mogła pojechać do Rynku autem, ale wzdrygnęła się na myśl o długim krążeniu w deszczu w oczekiwaniu na wolne miejsce parkingowe.

Zadzwoiła do mieszkającej ulicę dalej sekretarki i poprosiła – bardzo, bardzo uprzejmie – aby ją podrzuciła jej własnym subaru do Rynku, po czym wróciła na miejsce parkingowe.

Tak też się stało. Przed wpół do ósmej Drewnowska stała w Rynku i – oczekując na odebranie przez Ewę domofonu – patrzyła z niechęcią na hałasujących pod pubem Football kibiców. Kiedy weszła do mieszkania, uderzył ją mizerny wygląd jego gospodyni. Przyjaciółka w ogromnym, wysokim przedpokoju wyglądała na jeszcze niższą i drobniejszą niż zazwyczaj. Miała silnie podkrążone oczy i włosy ściągnięte w nieładzie w kucyk.

Kiedy Drewnowska rytualnie pocałowała ją w policzek na powitanie, Ewa drgnęła i syknęła z bólu.

Weszły do najmniejszego pokoju w mieszkaniu, który był gabinetem i Ewy, i Alberta. Gośka lubiła to wąskie pomieszczenie z oknem na podwórze. Kanapa z szarym obiciem stojąca na metalowych nogach zachęcała do odpoczynku, a pojemnik z duńskimi ciastkami o gruszkowym smaku leżący na stoliku do drobnej przekąski. Naprzeciwko kanapy znajdował się niewysoki segment z drewnianą, podświetlaną niszą, w której był umocowany gruby blat. Na nim – tuż obok otwartego laptopa – stała ramka ze zdjęciem Natalii.

Długą półkę zajmowały ulubione książki Ewy. Były to wszystkie powieści Toma Wolfe'a i Donny Tartt oraz kilkadziesiąt tytułów ze starej serii wydawniczej Kameleon.

Po chwili do pokoju wszedł Albert, przywitał się z Gośką z udawaną serdecznością, po czym postawił na stoliku tacę z dzbankiem herbaty oraz kanciaste kubki z przezroczystego szkła.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Ewa westchnęła ciężko i zaczęła relacjonować wypadki minionego dnia.

Wraz z każdą opisywaną sceną u Gośki pojawiały się inne uczucia. Najpierw złość – na Bartosza „Pajaka” Piesiaka – niczym bąble wrzątku. Dziwiła się swojej gwałtownej reakcji, bo przecież już po raz drugi tego dnia słyszała historię o buchającym furją brutalu taranującym auto Ewy. Zdała sobie sprawę po chwili, iż to uczucie było tak gorące nie tylko dlatego, że jej przyjaciółce stała się krzywda. Mecenas była nadzwyczaj zbulwersowana ekshibicjonistycznym wyznaniem Pajaka, który oblesną tablicą rejestracyjną wywalił przed oczy wszystkich swe seksualne preferencje.

Ona sama zachowywała w mówieniu o seksie daleko posuniętą wstrzeźliwość. Powodem była zwykła dyskrecja, nie żaden wstyd, zwany niegdyś zaściankowym czy drobnomieszczańskim, który nie pozwalał jej matce czy babce artykułować swoich potrzeb. Wręcz przeciwnie – Drewnowska porzucała w sypialni wszelką nieśmiałość i bez wahania podejmowała rozmaite eksperymenty. Ale zarówno słowa, jak i czyny nigdy poza sypialnię nie wychodziły. Plotkowanie z kumpelami o technikach erotycznych uznałaby za objaw złego gustu. Nawet Ewa – jej najbliższa i jedyna przyjaciółka – nie wiedziała, jak bardzo Gośka lubi, gdy jej mąż, misiwaty Holender, nad nią góruje, gdy ją mocno, nawet trochę zbyt mocno, przyciska do podłogi.

– A to kutas! – wycedziła pod adresem Piesiaka. – Ciekawa jestem, jak się czuje jego żona, gdy siedzi w tej beemce! Każdy mijający ich na autostradzie odwraca głowę, by zobaczyć, jak wygląda lala, która bierze w kakao.

Jej wzburzenie szybko jednak wyparowało, gdy Ewa wzięła laptop leżący na blacie i zaprezentowała jej filmik, na którym Sikorowa przyznaje się do „ściemy”, czyli kłamstwa w sprawie śmierci męża. Przyjaciółka opowiedziała jej też o wizycie u Sikorów i o tym, czego dowiedziała się od Damiana. To wszystko rzucało zupełnie nowe światło na całą sprawę i dawało obronie do ręki potężny oręż, więc Gośka tym razem wpadła w euforię. Wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

Potęzną sylwetką wypełniała całą przestrzeń niewielkiego gabinetu. Była jak rozjuszona lwica, która szykuje się do skoku.

– Muszę złożyć wniosek dowodowy – wymruczała. – Mamy domniemany motyw: zemsta! Przynajmniej zdaniem jego syna. Sikora się zemścił, bo Banaszczyk go zwolnił. Możliwe?

Zerknęła w stronę przyjaciółki, a ta pokiwała głową.

– Jak najbardziej! – potwierdziła samej sobie Gośka, wciąż krążąc po gabinecie. – Tylko czy powód nie jest zbyt błahy? Bynajmniej! Stary pijak zostaje bez pracy i mści się, podpalając składowisko opon.

Podeksytowana, podskoczyła do Ewy i uścisnęła ją mocno, nie bacząc na to, że ta jęknęła z bólu.

– Jesteś świetna, Ewka! To, co odkryłaś, przekreśla linię oskarżenia! Wojtala może stawać na głowie, a sąd, mając twój filmik, inaczej spojrzy na wcześniejsze zeznania Sikorów! Pozostaje nam tylko jedno: musisz przekonać tego chłopaka, Damiana, żeby powtórzył wszystko przed sądem. Powiedz mu, że tak będzie lepiej dla jego rodziny. Jeśli go przyciśniesz i jakimś cudem znajdziesz tego, kto zafundował Sikorom telewizor, to nie tylko mamy wygraną sprawę, ale i trafiamy na trop jakiejś zмовы. Przecież nikt dla jaj nie daje biedakom kasy na monstrualny telewizor! W grę wchodzi jakiś brudny układ...

Usiadła ciężko, aż kanapa zadrżała.

– Wiesz co? Cenię sobie, że nigdy mnie o to nie zapytałaś. – Popatrzyła Ewie prosto w oczy. – O to, dlaczego wzięłam sprawę Banaszczyka. Tylko na samym początku spojrzałaś na mnie ze zdziwieniem, kiedy usłyszałaś, że ma mi zapłacić dopiero po wygraniu sprawy...

Pociągnęła łyk herbaty i powoli odstawiła szklanekę na stolik.

– Wyprosiła to u mnie jego żona, Beata – dodała po chwili. – Chodziłam z nią do liceum do jednej klasy. Razem grałyśmy w kosza w szkolnej drużynie. W drugiej klasie zaszła w ciążę i przeniosła się do wieczorówki. Szkoda, bo była naprawdę bystra. Wiesz, że to dzięki niej zdałam maturę z matematyki? Stała pod

szkołą, a ja wyrzuciłam zadania w pudełku zapalek. Beata rozgryzła je szybko i matka jednej z koleżanek podrzuciła mi rozwiązania w kanapce. Byłam tak szczęśliwa, że obiecałam Beacie, iż zrobię dla niej wszystko. Powiedziałam to w chwili emocji, wielkiej radości, ale okazało się, że ona przez całe życie pamiętała o tym moim długu wdzięczności... – Nabrała tchu. – Potem nasze drogi się rozeszły, Beata wyjechała z malutkim synem do Niemiec. Tam wyszła za mąż, potem się rozwiodła, a jeszcze później poznała Banaszczyka i zamieszkała z nim w Szwajcarii. Wróciła siedem lat temu jako pani Banaszczykowa, założyła zakład kosmetyczny. Widziałyśmy się raz czy dwa... Nie było już za bardzo o czym rozmawiać, kiedy skończyły się wspominki o dawnych nauczycielach. Jej sprawy rodzinne zupełnie mnie nie interesowały; zresztą niewiele o nich mówiła. Nawet nie znałam jej syna. Nie wiedziałam, że ma na imię Hubert, a nazwisko Engel nie jest rzadkie. I niedawno przyszła do mnie, i przypomniała mi o moim długu wdzięczności.

To wyznanie najwyraźniej sprawiło Goście wielką ulgę. Ale przy tej mieszaniu emocji, z których jedna zastępowała drugą, było coś niezmiennego – podziw dla Ewy.

– Ani razu się nie poskarżyłaś – powiedziała Gośka. – Ani razu, że wszystkiemu są winni ci gnoje, przez których byłaś niewyspana. Że to z powodu niewyspania zrobiłaś fałszywy skręt kierownicą i porysowałaś auto tego gangstera. Myślałam, że o tym dzisiaj porozmawiamy... Ty miałaś mi się wyzalić, a ja miałam coś zaproponować. Wciąż czekam, a ty nic.

– Albert był moim piorunochronem. – Uśmiechnęła się lekko Ewa. – Po nim spłynęła cała moja złość...

Gośka popatrzyła na koleżankę ze współczuciem. Zawsze jej imponowała, ale teraz szczególnie. Ani słowa skargi na ten przekłety ciąg zdarzeń, którego pierwszym ogniwem były hałasy narkomanów na podwórku, a drugim żrąca bezsenność. Ta dzielna kobieta, profesjonalistka w każdym calu, cierpi z powodu *infernum*, w jakie zamieniło się centrum miasta. Cierpi, bo zrobiła błąd i – kierując się emocjami – wróciła do krainy dzieciństwa, która była już teraz krainą zgnilizny.

Ucałowała Ewę i wyszła z jej mieszkania.

Przestało już padać, więc szła spacerem przez Rynek, a tam ujrzała, jak pijany kibic oddaje mocz do fontanny. Od razu wyjęła telefon i wybrała numer do Marcjańskiego. Odebrał po dwóch sygnałach.

– Twoja propozycja jest wciąż aktualna? – zapytała.

Jego aż zatkało.

– Oczywiście – wydukał po chwili milczenia. – Nigdy nie zmieniałaś zdania...

– Pytam, czy twoja propozycja jest aktualna – odpowiedziała ostro. – Mów „tak” lub „nie”, no i nie każ mi wyjaśniać, skąd taka decyzja.

– Oczywiście – powtórzył, ale już radośniejszym tonem. – Jak najbardziej aktualna.

Rozłączyła się i spojrzała w stronę mężczyzny, który zapinał rozporek i chwiejnie schodził z fontanny.

– Ty śmieciu! – wrzasnęła. – Teraz ci lepiej, co? Bo wyjąłeś swego malutkiego fistaszka i naląłeś do fontanny?

Jej głos poderwał gołębice do lotu.

Pijany facet był niewysoki i drobny. Widząc postawną kobietę zmierzającą szybko w jego kierunku z zaciśniętymi pięściami, odwrócił się i po prostu zwiął wśród rechotu kumpli.

– No to zaczynamy sprzątać to miasto! – Uśmiechnęła się do siebie Gośka. Przez chwilę poczuła się jak komiksowa superwoman.

Prychnęła z pogardą w stronę uciekającego facecika i ruszyła przez Rynek.

Uderzenia jej obcasów o bruk brzmiały jak salwy.

ROZDZIAŁ VI

MIEJSCE BEZ KAMER

Przez następne kilka dni Ewa Skoczek pracowała na pół gwizdka. Większość czasu zabierały jej masaże u fizjoterapeuty i wystawanie w kolejkach w dwóch towarzystwach ubezpieczeniowych, gdzie cierpliwie tłumaczyła podejrzliwym urzędnikom, jak wyglądało tamto nieszczęsne zdarzenie na drodze, a nawet kilkakrotnie szkicowała im schematyczne rysunki, które miały opisać wypadek.

Jego skutki nie odrywały jej jednak całkiem od aktualnie prowadzonych spraw, z których najważniejsze były dwa zadania zleczone jej przez Małgorzatę Drewnowską.

Pierwszym – wciąż nie rozwiązany – było odnalezienie Rakiety. Do tego zadania oddelegowała swojego Waldka.

Ów sześćdziesięciodwuletni emerytowany policjant, człowiek anielsko cierpliwy i dziko uparty, a przy tym niezwykle odporny na spotykające go impertynencje, rozpoczął obchód wszystkich kamienic wokół dworca.

Dostanie się do nich nie było trudne, ponieważ w rzadko której działał domofon. Zimniak otwierał zatem bramy bez najmniejszych przeszkód, a kiedy natrafiał na barierę, używał starego wybiegu – dzwonił i podawał się za kuriera.

Raz czy dwa spotkała go za to kłamstwo obelga albo nieżyczliwy komentarz, gdy jakiś podejrzliwy lokator, przycisnąwszy guzik domofonu, wychodził na korytarz, aby sprawdzić, czy wpuścił rzeczywiście kuriera i zamiast młodego człowieka w czapce dźwigającego paczkę widział zasapanego siwowłosego i siwowąsęgo pana w kaszkiecie. Waldemar przeproszał wtedy za swój podstęp i wykorzystywał oczywiście okazję, aby zapytać owego lokatora o drobną i niewysoką młodą kobietę o ksywie Rakieta.

Pukał tak do każdych drzwi i wszędzie zadawał to samo pytanie. Gdy odmawiano mu jakichkolwiek informacji, a zachodziło choćby nikłe prawdopodobieństwo, że pytany może coś wiedzieć, zapisywał starannie numer mieszkania, gdzie go zbyto, i postanawiał, że tam wróci i być może natrafi na lepszy humor lokatora.

Po kilku dniach wyniki jego poszukiwań były nader mizerne – zgodnie zresztą z przypuszczeniami. Jeśli już ktoś chciał w ogóle z nim rozmawiać, to na ogół Ukrainki z dziećmi, które były jeszcze zbyt małe na pójście do przedszkola. Kobiety te zachowywały się wobec Waldka uprzejmie – niektóre z wrodzonej grzeczności, inne z obawy, że starszy pan z notatnikiem stukający do ich drzwi jest jakimś państwowym urzędnikiem, a niewpuszczenie takiego wróży kłopoty. Detektyw wchodził zatem do ich skromnych czystych mieszkań, niekiedy wypijał herbatę lub szklanekę kwasu chlebowego, zamieniał parę słów i wychodził z niczym. Żadna z mieszkających tu Ukrainek nie miała pojęcia o Rakiecie.

Rodacy – mieszkańcy przydworcowych kwartałów – byli bardziej nieufni i na ogół pokazywali Waldkowi drzwi. Inne reakcje były rzadkie, ale też się zdarzały.

Jedna z lokatorek, mająca najlepszy czas już dawno za sobą, zrozumiała opacznie, iż starszemu mężczyźnie chodzi o kobiece wdzięki. Niewiele myśląc, zaoferowała mu swoje. To spotkało się z bardzo kulturalną, lecz zdecydowaną odmową.

Jakiś osobnik o rozbieganych oczach i nerwowych tikach chudych ramion omal go nie pobił, co detektyw oczywiście zapisał z odpowiednim komentarzem. Mimo tego incydentu uznał swoją rozmowę z nerwowym facetem za udaną. Usłyszał bowiem w jego mieszkaniu charakterystyczny stukot włączanej instalacji grzewczej i zauważył pobłysk mocnego światła, a to mogło świadczyć o domowej uprawie marihuany. Miał więc być może na swego rozmówcę haka, którego mógł użyć przy następnych odwiedzinach.

W jeszcze innym mieszkaniu, ozdobionym wielkim portretem Róży Luksemburg, Zimniak trafił na rozzłoszczone aktywistki, które – usłyszawszy, że szuka on prostytutki – upomniały go ostro, że nie należy używać stygmatyzujących

słów i właściwsze będzie określenie „pracownica seksualna”. Kiedy uprzejmie im podziękował za uwagę językową i użył łagodniejszego jego zdaniem wyrazu „kurtyzana”, jedna z aktywistek wściekła się, nazwała go dziadersem i kazała mu się wynosić. Detektyw zapisał to zdarzenie w kajecie, po czym ruszył na dalsze poszukiwania.

Wielkiej nadziei na sukces nie miał, ale praca to praca.

W czasie gdy jej pracownik chodził po przydworcowych kamienicach, Ewa Skoczek odebrała wiadomość, która mogła zaważyć na całym śledztwie.

Siedziała właśnie w jednym z dwóch pokoi swojej agencji i poszukiwała w szafie pancерnej materiałów z pewnej starej sprawy przedrozwodowej, gdy zadzwonił jej telefon i w słuchawce usłyszała dziewczęcy głos, drżący od emocji:

– Mój brat zaginął! Zaginął! Rozumiesz, suko? To przez ciebie!

– Kto mówi? – zapytała spokojnie.

– Sandra! To przez ciebie!

– Zaraz będę!

Ewa chciała się rozłączyć, ale usłyszała w słuchawce piskliwy, świdrujący uszy krzyk.

– Nie przyjeżdżaj tu, suko! Nie masz wstępu do Harlemu! To przez ciebie wszystko się stało. Nie przyjeżdżaj tu nigdy, policyjna szmato! Bo tu każdy w Harlemie cię dojedzie!

Potem zapadła cisza.

Ewa porzuciła przeszukiwanie segregatorów i przez kolejne dwie godziny usiłowała nawiązać jakikolwiek kontakt z Sandrą. Dziewczyna nie odbierała jej telefonów, a na SMS-y typu: „Pomogę Ci znaleźć brata, ale muszę z tobą spokojnie porozmawiać”, odpowiadała krótkimi wulgaryzmami.

W końcu najwyraźniej się uspokoiła i wreszcie odebrała. Co więcej, zgodziła się spotkać.

Mecenas Drewnowska, jako obrończyni Ireneusza Banaszczyka, złożyła w sądzie nowe wnioski dowodowe w sprawie przeciwko jej klientowi. Sąd je przyjął i miał oznajmić swoją decyzję w kolejnym dniu rozprawy.

Tego kwietniowego dnia słońce zalewało salę sądu, wpadając przez ogromne okno z widokiem na kasztanowce rosnące nad Fosą Staromiejską. Mocno przypiekało i najwyraźniej nie służyło Ireneuszowi Banaszczkowi.

Biznesmen był oskarżony o wyłudzenie odszkodowania, zanieczyszczenie środowiska o znacznych rozmiarach oraz o nieodpowiednie postępowanie z odpadami. Ze smutną miną siedział obok Drewnowskiej i ocierał pot obficie występujący mu na czoło. Był ubrany w staromodną marynarkę zapinaną na trzy guziki i w wypuszczoną na spodnie koszulę. Owocowe, słodkoźgńię aromaty, jakie wydzielał, mogły pochodzić albo od kiepskiej wody kolońskiej, albo z jego trzewi – jako pamiątka po wczorajszym alkoholu.

Mecenas Drewnowska odsunęła się nieco dalej od swego klienta pod pozorem, że jakoś niewygodnie usiadła i coś ją ugniata. Gładząc swój zielony adwokacki żabot zwieńczający togę, patrzyła w napięciu na sędziego Zdzisława Klicha, który właśnie zasiadał przy sędziowskim stole.

Ten sześćdziesięcioletni mężczyzna o wielkiej tuszy i gwałtownym usposobieniu włożył na nos okulary, których srebrne oprawki wyraźnie odbijały się od jego purpurowej twarzy. Poniżej, przy małym stoliku, usadowił się aplikant sędziowski, wykonujący rolę protokolanta, zaś w ławach dla publiczności siedziała żona Ireneusza, Beata Engel-Banaszczyk, ubrana z dyskretną elegancją, mocno kontrastującą z niechlujnym strojem jej męża, oraz podobny do niej młody człowiek, który choć nie był krótkowidzem, to wciąż unosił ku oczom zegarek z silikonowym paskiem ozdobionym ogromnym napisem ZENITH.

Drewnowska odniosła wrażenie, że robił to, jakby chciał zademonstrować całemu światu swój status, odbijający się w tym arcydziele szwajcarskiego zegarmistrzostwa. Wiedziała od Willema, który uwielbiał zegarki, a nawet prenumerował magazyn „Chronos”, że cena zenithów zaczyna się od około dwudziestu tysięcy złotych.

Dwudziestopięcioletni syn Beaty i pasierb Ireneusza nazywał się Hubert Engel. Drewnowska знаła jego wiek, lecz nic więcej o nim nie wiedziała. Jej koleżanka z liceum nic o nim nie mówiła.

Był ubrany w elegancką białą koszulę z podwójnym, misternie obszytym kołnierzykiem oraz w dzinsy i niebieską modnie przyciasnąwą marynarkę ledwo sięgającą bioder. Z jej kieszonki wystawała purpurowa poszetka, uformowana w kwiat róży.

Oprócz rodziny Banaszczyka na sali znalazła się dziewczyna w wieku Engela z nosem w laptopie. Pilnie coś notowała, a jej wyrazu twarzy, zasłoniętej kapturem czarnej aksamitnej bluzy, nie dało się odczytać.

Pasierb Banaszczyka co chwila na nią spoglądał, przerywając kontemplację zegarka. Nie udało mu się jednak przyciągnąć jej wzroku. O to – nawiasem mówiąc – starał się również prokurator Adrian Wojtala.

Drewnowska wiedziała, kim jest dziewczyna – to Mirella Szewczuk, debiutująca dziennikarka, która swym lokalnym programem śledczym wdarła się przebojem w centrum uwagi mieszkańców miasta. Jej dziennikarskie śledztwo, tropiące sprawcę spalenia składowiska opon i sugerujące niedwuznacznie winę Banaszczyka, ściągnęło na nią nienawiść żony oskarżonego i jego pasierba oraz wielką łaskawość prokuratora.

Ciepłe uczucie skrycie żywiła do niej również Gośka. Ewa Skoczek nie dotarłaby przecież do Damiana Sikory, gdyby nie informacja od Mirelli i jej przychylność dla pani detektyw.

Oprócz dziennikarki nie pojawił się żaden przedstawiciel mediów, nawet niejaki Jureczek Bąk, znany wszystkim sędziom, arogancki i awanturujący się na rozprawach bloger sądowy, który był już o krok od poniesienia odpowiedzialności finansowej czy nawet krótkiej izolacji w zakładzie karnym z powodu naruszenia powagi sądu.

Zainteresowanie dzisiejszą rozprawą było tak niewielkie, ponieważ miała ona charakter czysto proceduralny. Niczego ciekawego nie widziano w tym, że sędzia

ustali teraz tryb dalszego postępowania, wyznaczy datę kolejnej rozprawy, a nade wszystko rozpozna złożone wnioski dowodowe.

I tak też się stało.

Po wygłoszeniu rytualnych formuł sędziego Klich zsunął na nos okulary i powoli zeskanował wzrokiem wszystkich obecnych na sali.

– Sąd ogłasza – mówił powoli, tak aby protokolant zdążył wszystko zapisać – że w sprawie Ireneusza Banaszczyka obrona złożyła nowe wnioski dowodowe.

Spojrzał na zebranych i milczał przez chwilę, jakby oczekując aplauzu dla swoich słów. Był nim jedynie lekki stukot palców Mirelli i protokolanta, piszących na komputerach.

– Nie pytając prokuratora, sąd dopuścił nowy dowód w sprawie. Jest to film nagrany telefonem komórkowym marki Samsung. Niniejszym sąd dopuszcza dowód z opinii biegłego z zakresu informatyki na okoliczność weryfikacji, czy materiał jest autentyczny i czy nie nosi śladów ingerencji. Oczywiście oskarżenie musi się również zapoznać z tym dowodem. Dlatego przewodniczący zarządza przerwę w rozprawie na czterdzieści dwa dni ze względu na nowe dowody w sprawie, jakie dostały się w posiadanie obrony.

Sędzia Klich przypieczętował swoją decyzję, uderzając młotkiem w podstawkę, po czym wstał.

Mecenas Drewnowska zerwała się z miejsca, jakby uniesiona tą decyzją. Na twarzy oskarżonego nie odbijały się żadne uczucia, natomiast Beata Banaszczyk i jej syn aż klasnęli w ręce, czym narazili się na ciężkie i pełne nagany spojrzenie sędziego Klicha.

Prokurator Wojtala poczuł ukłucie niepewności. Zaniepokoiło go zwłaszcza tak długie odroczenie rozprawy przez Klicha, który słynął z niechęci do przeciągających się procesów, nazywając je sądową operą mydlaną. Jego decyzja świadczyłaby o tym, że film, którego prokurator jeszcze nie widział, musiał mieć pierwszorzędne znaczenie, skoro wymagał tak dokładnego zbadania. Inna sprawa, że biegłych sądowych informatyków było jak na lekarstwo. Przedstawiciele tej

profesji unikali jak ognia wszystkiego, co ich odrywało od programowania, a już na pewno kiepsko płatnych sądowych zleceń.

Niezależnie od motywów decyzji sędziego prokurator Wojtala na pewno musiał jeszcze poczekać z odkorkowywaniem шамpana. Drewnowska była trudnym przeciwnikiem. Sława, jaka za nią szła, oraz charakterystyczny przydomek Brzytwa nie były bezpodstawne.

Wyszedł z sali rozpraw jako ostatni i poszedł korytarzem sądowym. Na jego ramieniu kołysała się toga z czerwonym żabotem budzącym widoczną niechęć u siedzących na korytarzach ludzi w kajdankach, którzy dla prokuratorów i policjantów żywili tylko jedno uczucie: nienawiść.

Wojtala czuł, że sprawy uległy gwałtownej zmianie.

I był pewien, że nie jest to zmiana na lepsze.

*

Ewa spotkała się z Sandrą w Fabrique – ogromnym kompleksie handlowo-rozrywkowym, przed którym rozegrała się akcja tak ważnego dla sprawy filmiku. Dziewczyna pracowała tam na stoisku firmy o nazwie, która była jednocześnie maksymą: „Herbata jest dobra na wszystko”. Ewa pomyślała o Goście, która czarną herbatę earl grey mogła pić hektolitrami.

Stoisko mieściło się w niezbyt prestiżowym miejscu – na poziomie minus jeden, wciśnięte pomiędzy pralnię a salon operatora komórkowego Joynet. To położenie nie przekładało się oczywiście na duże zyski firmy, a ponadto popyt na kupowaną na wagę herbatę był dość umiarkowany. Nie chciał tego przyjąć do wiadomości właściciel sklepu, stary Turek, którego do Polski sprowadziły z Niemiec porywy serca. Zamiast zmienić nieco asortyment i sprowadzać świetną herbatę ze swojej ojczyzny, on wciąż oferował klientom jakieś dziwne napary o bananowym lub poziomkowym smaku i zapachu, po których zaparzeniu pływały na powierzchni miękkie farfocle.

Zainteresowanie szklankami, kubkami i czajniczkami do esencji było też niewielkie, toteż upartemu właścicielowi pozostawało jedynie zacisnąć zęby i czekać, aż wygaśnie umowa z centrum handlowym – za wcześniejsze jej zerwanie groziły surowe kary.

Z niewielkiego zainteresowania klientów zadowolona była jedynie Sandra, która miała to szczęście, że mimo żenująco niskiego wynagrodzenia zatrudniono ją tutaj na umowę o pracę. Ponieważ nie miała zmienniczki – i to już cieszyło ją znacznie mniej – pracowała bez przerwy po dwanaście godzin dziennie, poza środami i niedzielami, gdy zastępował ją właściciel lub jego żona.

Ruch był tu niewielki, pracy mało, toteż każdy, kto mijał szyld „Herbata jest dobra na wszystko”, zwykle widział za szybą krzykliwie ubraną dziewczynę z utlenionymi włosami, która pochylona nad smartfonem, przegląda wiadomości o celebrytkach, śmieje się do rozpuku z ich prawdziwych czy rzekomych gaf i wpadek albo godzinami wystukuje – ostrożnie, by nie uszkodzić tipsów – kąśliwe komentarze na Instagramie.

Teraz tego nie robiła. Gestykułowała i wykrzykiwała coś wprost w twarz starszej od siebie kobiety z grzywką i końskim ogonem, ubranej w czarny wełniany płaszcz, dzinsy i czarne trzewiki.

– Widziała pani ten napis pod naszymi oknami? Widziała pani? – wołała Sandra. – Że Damian to kurwa i konfident?

Ewa przytaknęła.

– Tak go kiedyś opluwali, napisali to. Ale nie wiedzieli na pewno. Natomiast kiedy Kłosu i ziomale zobaczyli panią z Damianem, to był koniec. Już nie ma życia w Harlemie.

Ewa usłyszała historię, jakich znała wiele. Ludziom żyjącym w świecie praw dżungli nie trzeba dużo, by powziąć wobec swych współplemieńców podejrzenia o zdradę – nawet na podstawie bardzo nikłych przesłanek. A od podejrzeń do gwałtownych czynów droga była krótka. Niejaki Kłosu i jego kumple, harlemowi *bad boys*, zapewne dilerzy narkotyków – to sobie już dopowiedziała – wzięli ją za

policjantkę. Damian dowiedział się o tym przypadku i już nie czekał, aż go „dojadą”. Dzisiaj rano uciekł z rodzinnego domu, zostawiwszy siostrze wizytówkę Ewy.

– Dokąd poszedł? Gdzie się ukrył? – zapytała Ewa, wciągając w nozdrza owocową woń naparów, która była produktem skomplikowanych chemicznych reakcji.

Sandra spojrzała na nią wzrokiem, w którym zdumienie mieszało się z lekceważeniem.

– Musi pani wiedzieć, że w Harlemie jest jedna zasada – powiedziała. – Klops na jaźwę. Niczego pani nie powiem. Już i tak przez panią mamy przesrane.

– Mów do mnie po ludzku – obruszyła się lekko Ewa. – Co za klops?

– Klops na jaźwę – odparła Sandra. – Milczeć. Omerta. Rozumiesz, czy mam ci to napisać?

Ewa spojrzała na jej różnokolorowe tipsy, a potem na błękitną bluzkę z kryształkami wszytymi na piersiach. Na jej rękawach biegły dwa srebrne pasy, utworzone z kombinacji liter D i G. Dolce i Gabbana. Taki sam autentyk jak kolor włosów dziewczyny.

I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Ewa poczuła do niej szacunek. Nic nie wiedziała o Sandrze – czy jest dobra, szczerą, godną zaufania, a może wręcz przeciwnie. Może jest przebiegła, podstępna, kłamliwa? Wiedziała jednak, że ta córka alkoholika i niezaradnej życiowo matki to twarda sztuka. Że się nie poddaje. Że codziennie rano budzi się w pokoju, który dzieli z matką i bratem – o ile nie śpi tam jeszcze jej chłopak – idzie do łazienki, tłucze kapciami prusaki biegające po wannie, prostuje przed pękniętym lustrem białe włosy i wkłada bluzki, które są według niej ładne i szykowne. Bo chce dobrze wyglądać w tej beznadziejnej pracy – na kiepskim stanowisku i za psie pieniądze. Bo Sandra wie, co to obowiązek.

W tym momencie Ewa przypomniała sobie, że złożyła Damianowi obietnicę. Że załatwi mu protezę oka, bo zna dobrego okulistę i protetyka. Sytuacja była dużo bardziej skomplikowana. Owszem, przy okazji jednego ze swoich śledztw – zanim

się jeszcze związała z Albertem – poznała pewnego specjalistę. Ten samotny, starszy i kulturalny pan starał się ją uwieść. Jego próby były śmieszne, staromodne i nieudolne. Odganiała się od niego, aż kiedyś nie wytrzymała. W złości nazwała go starym dziadem i kazała mu się odczepić raz na zawsze. Okulista posmutniał i pocałował ją wtedy w rękę.

Gdyby chciała teraz zwrócić się do niego z prośbą o wykonanie dobrej protezy oka za niewielką cenę, musiałaby przede wszystkim go przeprosić, a to jej się nie uśmiechało.

„Zrobię to, przemogę się – pomyślała. – Słowo to słowo”.

– Powiedz mu – Ewa szepnęła, jakby zdradzała największą tajemnicę – że z tym okulistą protetykiem to szczerą prawdą. Załatwię mu świetną protezę oka i za nią zapłacę, rozumiesz?

Już z samochodu zatelefonowała do Waldka. Powiedziała mu, żeby porzucił poszukiwanie Rakiety. Teraz priorytetem stało się odnalezienie Damiana Sikory. Wyobraziła sobie, jak przyjmą starszego człowieka mieszkańcy Harlemu, wyznający zasadę „klops na jaźwę”. Jej człowiek pewnie niewiele wskóra, ale w ich teamie to on był od sytuacji beznadziejnych.

*

Wojtala, zostawiwszy togię w biurze, wyszedł na ruchliwą ulicę Mickiewicza i stanął na światłach na przejściu dla pieszych. Obok niego kręcił się dokoła własnej osi jakiś adwokat – znany mu z widzenia, lecz nie z nazwiska – i przyłożywszy do ucha telefon wielkości małej książki, zapewniał swego rozmówcę, że „wszystko idzie swoim torem i jest na dobrej drodze”. Po jego lewej ręce stał natomiast młody, niedawno przyjęty pracownik kancelarii archiwum akt sądowych. Trzymany przez niego wózek wypełniony był kartonowymi teczkami.

Zmieniły się światła, Wojtala wszedł na pasy i natychmiast zawrócił. Wolał tamtych dwóch puścić przodem – nie chciał, aby ktokolwiek z pracowników sądu widział, dokąd się teraz udaje.

Zawrócił zatem, po czym znów wbiegł na pasy – w ostatniej chwili, gdy zielone światło już migąło ostrzegawczo. Był ostatnim przechodzącym, a dwaj bywalcy sądu idący przed nim już mu znikali z pola widzenia.

Ruszył Promenadą Staromiejską w stronę urzędu stanu cywilnego. Było ciepło. Na ławkach pod kasztanowcami siedzieli przedstawiciele różnych klas społecznych, a nawet różnych nacji, w tym bezdomni z naręczami wypchanych swoimi skarbami reklamówek, młodzi ludzie – zapewne marzący już o lecie, bo ubrani w krótkie spodenki i podkoszulki – wydmuchujący z waporyzatorów słodkawe owocowe opary, Ukrainiec tłumaczący nerwowo partnerce, że nie dostał potrzebnego im zaświadczenia, dwaj czarnoskórzy rozwoziciele jedzenia, którzy – porzuciwszy swe plecaki, ogromne jak skrzynie – podsuwali sobie pod nos telefony i klócili się zażarcie w jakimś afrykańskim języku.

Wojtala minął ich wszystkich i koło urzędu stanu cywilnego przeszedł przez ulicę, precyzyjnie się pomiędzy autami „popsutymi”, jak pomyślał z ironią, „bo przecież o awarii miałyby świadczyć ich migające światła”. Zmierzał do restauracji Pablo, która mieściła się na rogu. Jej nazwa oraz wystrój – niezbyt udane kopie malarstwa kubistycznego – miały świadczyć nie tylko o artystycznych pretensjach właścicieli, ale chyba też o grupie docelowej, do której kierowana była gastronomiczna usługa.

Prokurator Wojtala znał smutną prawdę. Wiedział, że artyści tu raczej nie bywają. Sam nie był znawcą malarstwa, ale potrafił ocenić – jako nader nieudolne – te wszystkie obrazy, namalowane przez przypadkowych kopistów, studentów pierwszego roku uniwersytetu artystycznego. Prędzej odstręczyłyby malarzy i osoby wrażliwe na piękno, niż przyciągnęły ich do tej restauracji.

Tak rzeczywiście było. W Pablo, oddalonym nieco od Rynku Staromiejskiego, czyli zagłębia alkoholowo-rozrywkowego, nigdy nie pojawił się żaden artysta – ci woleli znacznie niższe ceny w tak zwanych pijalniach wódki i piwa. Przychodziły tu zatem głównie młode pary i ich goście, którzy wyszli z pobliskiego pałacu ślubów i chcieli się napić przed weselną imprezą.

Wojtala wiedział też, że nazwa lokalu ma dwa nawiązania. Oficjalnie odnosi się do Picassa, nieoficjalnie – do hiszpańskiej formy imienia Paweł, które nosił właściciel restauracji. To do niego właśnie szedł.

Jeśli lokal miał być nie dbającą o klientów pralnią brudnych pieniędzy, jak przypuszczał prokurator, to świetnie spełniał swoją funkcję. Ogromne obrazy przypominały halucynacje i tylko wyjątkowo nieczuły lub pijany klient chciałby spędzać czas wśród kubistycznych fruwających oczu i wykrzywionych twarzy o zaburzonej symetrii.

Barman stojący przy barze, zmuszony do obcowania z tymi dziełami, wyglądał na człowieka zdesperowanego, gotowego do ucieczki lub do ataku.

– Jestem znajomym Krzyśka i Pawła – powiedział mu Wojtala.

– Szef jest u siebie – wskazał antresolę barman.

Prokurator wszedł tam po metalowych, chwiejących się nieco schodkach i zapukał w drzwi oklejone kubistyczną tapetą.

– Wszedł! – Usłyszał donośny głos.

Paweł Barylski, gdy przed laty był gwiazdą sekcji bokserskiej policyjnego Klubu Sportowego „Kohorta”, nosił przydomek Baryła, który niezbyt wtedy pasował do smukłego zawodnika wagi średniej. Teraz, gdy dawny bokser był o trzydzieści kilo starszy, stał się nader adekwatny.

Widząc Wojtalę, właściciel oderwał się od ekranu komputera i odsunął z krzesłem od biurka. Wielką dłonią wskazał na drzwiczki po swojej prawej ręce.

Nie musiał nic mówić. Prokurator doskonale wiedział, gdzie są tutaj przechowywane stare przyciskowe telefony komórkowe – z numerami prepaidowymi kupionymi przed kilku laty w Czechach, kiedy nie było tam jeszcze obowiązku imiennej rejestracji telefonów na kartę.

*

Prezes Krzysztof Barylski miał o wiele lepszy gust niż brat, a jego gabinet prywatnych rozmów w restauracji Walkiria swym wystrojem – z obrazami Fangora

i meblami Starcka – mógł zachwycić miłośników nowoczesności obdarzonych najbardziej wyrafinowanym zmysłem artystycznym. Toteż każdy nie znający go bliżej kontrahent czy partner w interesach mógłby się bardzo zdziwić, gdyby w tej ultranowoczesnej scenerii usłyszał przestarzały dźwięk dzwonka telefonu – taki jak teraz, dochodzący od strony biurka.

Nie był to aksamitny sygnał jakiegoś aparatu za siedem tysięcy z optycznym ekranem dotykowym na podczerwień – a takiego można by się spodziewać po prezesie – lecz toporny i głośny firmowy dźwięk starego, klawiszowego telefonu marki Sony Ericsson.

Marcin Orszulski, asystent i prawa ręka Barylskiego, znał swojego szefa bardzo dobrze. Wiedział, że stare aparaty kupione w Czechach służą mu tylko w sprawach najwyższej wagi. Podszedł do biurka, wyjął aparat i podał Barylskiemu. Ten przyłożył go do ucha.

– Fangor – usłyszał, po czym rozmówca się rozłączył.

Prezes kiwnął palcem na asystenta.

– Jedziemy! Akcja Fangor!

Sięgnął po marynarkę.

Orszulski spojrział na zegarek. Do pierwszej brakowało dwudziestu minut. Nazwisko ulubionego malarza szefa oznaczało: „Spotykamy się o najbliższej pełnej godzinie”. Inne trzy nazwiska – Abakanowicz, Maciejowski, Sasnal – oznaczały odpowiednio kwadransy po najbliższej pełnej godzinie: pierwszy, drugi i trzeci. W razie gdyby szef nie zdążył, proponujący je człowiek był zobowiązany przyjeżdżać co godzina w znane im obu miejsce.

Miejsce bez monitoringu, który by uchwycił dziwne spotkania młodego prokuratora z jednym z najbogatszych mieszkańców miasta.

*

Obaj stali teraz na małej platformie technicznej pod mostem, któremu patronował niegdyś Michał Rola-Żymierski. Obiekt został zdekomunizowany i nazwany – za

sprawą pewnej upartej radnej miejskiej – mostem Kubusia Puchatka. Wbrew oczekiwaniom kobiety, która zasłynęła innymi infantylnymi, bajkowymi gniazdami nazewniczymi, nowa nazwa się nie przyjęła w języku potocznym i mieszkańcy uparcie identyfikowali ten obiekt jako most Roli.

To niezbyt imponujące dzieło sztuki inżynierskiej jeszcze przed wojną swoimi pięcioma przęsłami łączyło brzegi rzeki. Most nie był ozdobiony żadnymi rogatkami czy wieżyczkami jak inne w mieście, ale z punktu widzenia Barylskiego miał jedną wielką zaletę – można było pod niego wejść wprost z wałów rzeki i swobodnie stanąć na schowanym pod nim pomoście. Była to typowa robocza platforma podwieszana, która pozostała po ostatnim remoncie drenaży. Latem czasami nocowali na niej bezdomni, a młodzież z pobliskiego osiedla oddawała się różnym rozrywkom.

Tam można było czuć się swobodnie, oczywiście po oczyszczeniu terenu przez Czarka, człowieka z irokezem na głowie, i po sprawdzeniu specjalnym detektorem elektroniki, czy miejsce to jest pozbawione pluskiew lub ukrytych kamer. Po tych wstępnych czynnościach następowały tajne rozmowy, a Orzulski i Czarek krążyli po moście i pilnowali, aby nikt w nich nie przeszkadzał.

Tak było i teraz. Prezes Barylski i prokurator Wojtala stali na owej platformie i patrzyli sobie w oczy.

– Pierwsza ważna wiadomość – powiedział Wojtala. – Mirabelka ją zdobyła od Alberta Kucaja, a ten od swej żony. Mecenas Małgorzata Drewnowska zdecydowała, że bierze pod swoją opiekę... Że zostaje obrończynią Andrzeja Jaworowskiego.

– Kogo niby? – przerwał mu prezes.

– Tego, co się wściekł na Wyspie Garbarskiej i złamał szczękę facetowi, któremu jakaś panna robiła loda w biały dzień przy ludziach. Nie słyszał pan prezes? To ostatnio temat numer jeden nie tylko w naszym mieście!

„Czyżby Marcjański przeciągnął Brzytwę na swoją stronę?” – Barylski zadał sobie w myślach to pytanie, a na głos powiedział:

– Tak, słyszałem. Ciekawe, ciekawe... Warto wiedzieć, czym się zajmują nasi przeciwnicy. No naprawdę ciekawe. Co jeszcze, Wojtala? Po to mnie pan tutaj wzywał? O tym mogę przeczytać w internecie.

– Jest jeszcze coś. Pojawił się nowy dowód w sprawie. Jakiś filmik, który ma Drewnowska. Będę wiedział więcej dopiero po ekspertyzie informatycznej biegłego. To może być coś bardzo ważnego. Klich to widział i odroczył rozprawę aż na czterdzieści dwa dni. Bardzo długo jak na niego. To fanatyczny zwolennik sądów dwudziestoczworgodzinnych. Co świadczy o wadze tego dowodu! Tu nie ma żartów, panie prezesie, a pan prezes, jak sądzę, nie miałby chyba problemu ze sforsowaniem drzwi magazynu dowodów...

Barylski pokiwał głową.

– Tak, tu nie ma żartów! – zgodził się. – Dobrze, że mi pan powiedział o tej drugiej sprawie, panie prokuratorze!

Podał rękę Wojtali, a ten zaraz zniknął na schodach prowadzących na górę.

– O pierwszej zresztą też! – szepnął do siebie deweloper.

Wieczorem tego dnia Marcin Orszulski został wezwany przez prezesa do Walkirii. Wszedł do tajnego gabinetu i stanął prawie na baczność z notesem i z piórem w dłoniach.

Ubierał się tak jak pryncypał: garnitur szyty na miarę i trykot z długimi rękawami od Ermenegildo Zegna. Był młody, wysoki i szczupły. Bezgranicznie zakochany w swym szefie – miłością męską bez żadnych erotycznych podtekstów. Tak jak może kochać – całą siłą bezgranicznej wdzięczności – tylko ten, kto zawdzięcza wszystko pomocnej dłoni swego mistrza i mentora.

– Mam sposób na panią mecenas, jej pupila Banaszczyka, a nawet na tę jej przyjaciółkę, pannę Marple – powiedział Barylski.

– Uruchamiamy Cześka? On obie te panie zna na wylot. Byli razem na roku. Z kandydatem Marcjańskim zresztą też...

– Nie, nie uruchamiamy. – Prezes rozparł się wygodnie w fotelu i przyglądał się z upodobaniem swym dobrze wytrenowanym mięśniom brzucha. – Jesteś z nim na

ty? Z Czesławem?

– Nie – odpowiedział asystent. – Jak tak tylko przy panu...

– Dobrze. – Barylski napiął mięśnie uda i poklepał się po nich. – Nigdy nie mów do niego „panie Cześku” ani „panie Czesiu”. On tego nie znosi i od razu traci dobry humor. Najlepiej w ogóle nie używaj jego imienia i mów mu po prostu *per pan*.

Popatrzył przeciągle na Marcina i dodał w zadumie:

– Nie, z Czesława Zbroińskiego na razie nie skorzystamy. Byli funkcjonariusze służb specjalnych nie mają poczucia finansowej przyzwoitości. Zażąda udziału w zyskach. Jest nienasycony. Chce być w każdej radzie nadzorczej, w każdym gremium, nawet w radzie osiedla. To człowiek spragniony władzy... – Przeniósł spojrzenie na zwisające z sufitu drzewka. Uśmiechnął się nieznacznie. – Jak nasi przyjaciele z Luksemburga wybudują na Zadrożu osiedle, to Czesław za swoją pomoc zażąda wiceprezesury w spółce zarządzającej osiedlem. A to bardzo dużo, zbyt dużo – dodał dobitnie. – Owszem, Czesław jest dobry, ale to będzie nasza brzytwa, której się chwycimy w ostateczności. Na razie wystarczy nam pani mecenas.

Potem kazał Orszulskiemu umówić kilka spotkań i przedstawił plan. Tak misterny, że aż nierealny.

Asystent ufał swojemu szefowi bezgranicznie. Wiedział, że Barylski nie doszedłby do takiego majątku, gdyby nie realizował zuchwałych wizji. Gdyby nie podejmował pozornie nieracjonalnych decyzji.

Choćby takich jak pomysł, by uczynić swą prawą ręką młodego kelnera, który mu w amerykańskiej restauracji Westland podawał ulubione pieczone żeberka. I tak on, absolwent politologii, który niegdyś bawił bogatego klienta paradoksami i dykteryjkami, objawiając nadzwyczajną inteligencję, teraz uczestniczy w fascynujących pojedynkach o wielkie stawki.

Był na szczycie, ale w swej młodzięcej jeszcze zapalczywości nie brał pod uwagę jednego.

Że ze szczytu droga już wiedzie tylko w dół.

CZEŚĆ II

PŁOMIEŃ

ROZDZIAŁ VII

GODZILLA

Sędzia Jarosław Muskat nie był ulubieńcem większości prokuratorów. Według nich ferował dość łagodne wyroki, ponieważ – tak to sobie tłumaczyli – był nieodrodnym synem liberalnego środowiska o niechlubnej komunistycznej przeszłości.

Jego pochodzący ze Lwowa ojciec, Adolf Muskat, Żyd, ciężko doświadczony przedwojennym polskim antysemityzmem oraz niemieckim Holokaustem, który mu zabrał pierwszą, ukochaną żonę, był zapalczywym komunistą, stalinowskim prokuratorem tępiącym polskich niepodległościowców – tych wszystkich klerykalno-burżuazyjnych zbrodniarzy, w których umysłach, jak sądził, idea Zagłady kiełkowała już długo przed wojną, a tylko przypadkiem to właśnie Niemcy wprowadzili ją w życie.

Po październiku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego ten komunistyczny inkwizytor przejrzał na oczy i dostrzegł nieludzkie skutki działania stalinowskiej maszyny zbrodni, której sam był trybikiem. Załamał się wówczas i trafił do szpitala psychiatrycznego. Tam przeżył metamorfozę. Postanowił pomagać wszystkim tym, których niegdyś oskarżał lub mógł oskarżać.

Po wyjściu z Tworek na początku lat sześćdziesiątych podjął praktykę adwokacką i wkrótce się ożenił – w bardzo już dojrzałym wieku sześćdziesięciu dwóch lat – z młodą tłumaczką języka rosyjskiego, nie podzielającą zupełnie ani jego wcześniejszych, stalinowskich, ani późniejszych, tak zwanych rewizjonistycznych, poglądów politycznych. Nie przeszkadzało to jej jednak pokochać szczerze „miłego starika”, jak o nim mówiła, i znaleźć się w stanie błogosławionym już w noc poślubną.

Jarosław Muskat w wieku nastoletnim miał ze swoim ojcem bardzo ograniczony kontakt. Pamiętał go jako wiecznie narzekającego i schorowanego starca, który nie opuszczał łóżka, całymi nocami kaszlał i zdręczał matkę wciąż nowymi żądaniami. Unikał zatem kontaktu z ojcem i – wbrew opiniom – wcale nie od niego odebrał rzekomą lewicowo-liberalną formację.

W liceum – nawiasem mówiąc, najlepszym w mieście – zakochał się w Ance, koleżance z klasy, hipisce i działaczce katolickiego Ruchu Światło-Życie. Kochał się w niej beznadziejnie, usiłując zdobyć jej przychylną współzawodniczką wyjazdami na złoty hipisów do Częstochowy oraz perfekcyjną znajomością każdego akordu Doorsów. Wiedział, że to są półśrodki, że naprawdę tylko jedno pozwoli mu cieszyć się miłością Anki. Tym decydującym środkiem było wejście w grono wiernych Kościoła katolickiego.

Gdy osiągnął pełnoletniość, podjął – ku umiarkowanemu zainteresowaniu swej matki, która po śmierci ojca oddawała się wyłącznie rozgrywkom brydża sportowego – radykalną decyzję. Tuż po skończeniu osiemnastego roku życia przyjął chrzest i wstąpił do ruchu oazowego. Nie krył przy tym swoich żydowskich korzeni, co zresztą w środowisku młodych katolików przysporzyło mu sympatii.

Ten gest zrobił tak ogromne wrażenie na Ance, że oddała mu ona swe serce, ciało i rękę, a owoce tego małżeństwa – trzy córki – pojawiały się na tym świecie w równych odstępach, komplikując nieco rodzicom terminowe ukończenie studiów prawniczych.

Wszystkie okoliczności skierowały Jarosława – wbrew jego woli – w stronę stołu sędziowskiego. Po ukończeniu studiów nie został mecenasem, ponieważ drogę do aplikacji zablokował mu dziekan okręgowej rady adwokackiej, były stalinowski więzień polityczny, który Adolfa Muskata znał aż za dobrze. Na aplikację notarialną, niezwykle prestiżową i finansowo najbardziej intratną, nie miał szans, gdyż dostać się na nią można było wtedy wyłącznie za protekcją. Prokuratorem natomiast nie chciał być za żadne skarby.

I tak w końcu wypowiedział przed prezydentem Trzeciej Rzeczypospolitej uroczystą przysięgę sędziowską, otrzymał nominację, a dwa dni później po raz

pierwszy wszedł na salę rozpraw w todzie z fioletowym żabotem.

Dwie dekady później wszyscy prokuratorzy mieli go za zgniłego liberała, zagorzałego przeciwnika kary śmierci, który traktuje przestępców niemalże po ojcowsku – jak przesadzali niektórzy.

Muskat nie był jednak liberałem dlatego – jak to plotkowano – że padał na niego cień ojca, który z jastrzębia stał się gołębiem i wpoił w serce syna łagodność i wyrozumiałość dla błędów cudzych i własnych. Te cechy nie zostały też ukształtowane przez hipisowskie lata Jarosława. Brały się one z jego oazowej historii i swoiście pojętego chrześcijańskiego miłosierdzia.

Sędzia wydawał wyroki zawsze z dołu widełek, ponieważ naiwnie wierzył nie w to, że każdy zasługuje na drugą szansę, ale w to, że łagodnością wyroków realizuje chrześcijańskie przesłanie, jakim jest przebaczenie win. Nikomu nie mówił o swoich motywacjach, nawet żonie, bo zdawał sobie sprawę, że wyrozumiały sędzia karnista jest w sensie logicznym pewną sprzecznością, jak nie przymierzając, płonący lodowiec.

Kiedy się okazało, że właśnie jemu system losowego wyboru spraw przydzielił przewodniczenie głośnemu medialnie procesowi karnemu przeciwko Andrzejowi Jaworowskiemu, w prokuraturze napięcie, i tak zresztą niewysokie, spadło jeszcze niżej. Wszyscy wiedzieli, że sędzia Muskat i tak potraktuje agresora łagodnie i że sprawa ta nie zapisze się złotymi zgłoskami w dziejach prokuratury, nawet jeśli by zlecono ją najbardziej przenikliwym i elokwentnym jej pracownikom.

Zbigniew Bazylak, szef prokuratury rejonowej dzielnicy Starówka, przydzielił ją zatem od niedawna tam zatrudnionemu prokuratorowi Adrianowi Wojtali. Jego szef chciał nieco utrzyć nosa młodemu, który otrzymawszy inną głośną sprawę – podpalenia składu opon – lekceważąco spoglądał na innych kolegów. Druga po sprawie Banaszczyka konfrontacja z Brzytwą miała ustawić go do pionu.

W odróżnieniu od prokuratury mecenas Małgorzata Drewnowska była zadowolona, ale z radości nie skakała. Adwokatka dowiedziała się od Ewy Skoczek, że starsza pani Muskatowa, partnerka brydżowa Alberta Kucaja, uważa

swojego syna za nieprzewidywalnego choleryka, który nic innego nie robi, jak tylko całymi dniami czyta prasę izraelską w internecie i pomstuje na Arabów. Co gorsza, wyznała kiedyś Albertowi, że „jej Jarek” jest uzależniony od środków nasennych. Obwiniła przy tym „wspaniałą katolicką synową” za stan umysłowy i zdrowotny męża. Jej obojętność wobec Anki zamieniła się w silną niechęć.

Nie wiadomo, czy starsza pani Muskatowa mówiła prawdę. Wszyscy w środowisku prawniczym plotkowali, że nie lubi swojej synowej i mówiąc o lekomanii syna czy o jego antyarabskiej manii, oskarża dawną oazowiczkę o zły wpływ na syna. Tak czy inaczej – Drewnowska nie cieszyła się na zapas. Przewidywalność nie jest cechą żadnego nałogowca, również lekomana.

Spojrzała teraz na sędziego, gdy ten nasadzał okulary na wysokie czoło – jak zawsze, gdy miał oznajmić coś ważnego.

– Oskarżenie uważa – mówił zgrzytliwym nieco głosem – że pokrzywdzony Wojciech Dąbała, artysta muzyk, stał się ofiarą brutalnej napaści, motywowanej odrażającymi pobudkami. Atak na pokrzywdzonego wziął się z nienawiści do otwartej działalności artystycznej, zwanej „erotycznym *live performance*’em”.

Sędzia zacisnął zęby, aż zadrgały pod skórą jego wydatne szczęki. Miał rzadkie, krótko przycięte, szpakowate włosy, wydatny nos i małe oczy. Niektórzy niezbyt urodziwi mężczyźni bywają nazywani oksymoronem „piękny brzydal”. Ten do nich nie należał.

– Obrona natomiast twierdzi – ciągnął – iż oskarżony Andrzej Jaworowski stanął w obronie własnego dziecka. Chronił mianowicie to dziecko przed zgorszeniem publicznym i jego skutkami, czyli stratami moralnymi, jakie mogłaby w umyśle dziecka poczynić scena seksu w miejscu publicznym. A oglądania tej sceny owo dziecko nie mogło być praktycznie uniknąć. – Spojrzał w swoje notatki. – Czy seks w miejscu publicznym może być dziełem sztuki? Rodzajem artystycznej ekspresji? Jeśli artystyczna ekspresja jest czymś normalnym i pożądanym, to może owa scena seksu oralnego była czymś właściwym, dobrym, wartościowym? A może, niezależnie od wymiaru artystycznego, takie publiczne zachowanie seksualne pokrzywdzonego Wojciecha Dąbały jest zwykłą ludzką

aktywnością, jej wyprowadzenie zaś poza ściany sypialni jest tylko *signum temporis*?⁴ Jeśliby tak było, to nie można by wtedy mówić o żadnych stratach moralnych, bo dziecko obejrzało to, co jest dobre.

Muskat powiódł okiem po stronach procesu, po oskarżonym i jego żonie, a potem po nabitych ławach dla publiczności.

Składali się na nią pośpiesznie akredytowani przedstawiciele mediów, *de facto* – aktywiści lewicowi i prawicowi, którzy w wielkich torbach z Ikei i OBI trzymali wypisane na kartonach różne hasła i czekali na właściwy moment, aby je wyciągnąć.

Muskat, sędzia z długoletnią praktyką, zdawał sobie z tego sprawę i na jego polecenie porządku pilnowało dzisiaj aż czterech policjantów, gotowych w razie czego do natychmiastowej interwencji. Inni funkcjonariusze z komisariatu Starówka w pełnej gotowości stali pod gmachem sądu.

– Sąd uważa wyjaśnienie tej kwestii za fundamentalne i postanawia z urzędu dopuścić dowód z opinii biegłego seksuologa celem wyjaśnienia, czy zachowanie pokrzywdzonego, pomijawszy tu element artystyczny, którego istnienie jest jeszcze oczywiście do ustalenia, było po prostu nieskrępowanym i normalnym w warunkach publicznych przejawem ludzkiej aktywności, czy też zawiera element nieobyczajności. Skoro poszkodowany wstrzymuje się od dodatkowych wyjaśnień, zarządzam postępowanie dowodowe i oddaję głos pierwszemu z biegłych.

I Wojtala, i Drewnowska zgodnie zaprotestowali:

– Wysoki sędzie, nic o tym nie wiedzieliśmy! – zahuczała mecenas. – A jeśli jest pierwszy biegły, to musi być i drugi! Aż dwóch bez naszej wiedzy?

– To ekspertyza nagła, a nawet nieoczekiwana – zawtórował jej prokurator. – Nie mamy przygotowanych pytań!

Sędzia Muskat nawet nie mrugnął, ale się zarumienił. Jego głos stał się nieco bardziej zgrzytliwy.

– Aby procedować nasze postępowanie, musimy wyjaśnić tę najważniejszą kwestię, którą przed chwilą przedstawiłem w formie pytań – głos zadrzał mu

z irytacji. – Jeśli opinia biegłej seksuolog, pani doktor Moniki Wikiery z Uniwersytetu Warszawskiego, będzie dla stron niejasna lub niezupełna, to sąd rozważy dopuszczenie uzupełnienia opinii. To wszystko. Proszę, pani doktor!

Na środek sali wyszła niewysoka kobieta po czterdziestce w okularach o dużych szklach umieszczonych w zaskakująco cienkich oprawkach. Miała dobrze przycięte włosy z biegnącą nieco na ukos grzywką. Była ubrana gustownie i bez żadnych ozdób – poza złotym okrągłym wisiorkiem na szyi, odcinającym się swą barwą od szarej ciepłej sukienki z dzianiny. Kiedy mówiła, w kącikach jej ust zbierały się kropelki śliny.

– Wysoki sędzie, szanowne strony! – Seksuolog lekko skinęła głową najpierw sędziemu, a potem prokuratorowi i pani mecenas. – Otrzymałam od wysokiego sądu zadanie, aby ocenić z seksuologicznego punktu widzenia zjawisko seksu oralnego w miejscu publicznym, a zatem widocznego dla przypadkowych świadków. W szczególności miałabym odpowiedzieć na pytanie, czy ten rodzaj seksu i w takich jak wyżej okolicznościach jest zwykłą aktywnością ludzką, czy też wykazuje znamiona nieobyczajności.

Przerwała i spojrzała na tablet, na którego ekranie wyświetlały się punkty wykładu.

– Seks jest normalną czynnością ludzką, a jego oralna odmiana jest niekontrowersyjna i praktykowana przez ogromną większość osób aktywnych seksualnie. Zaspokajanie seksualne to realizacja jednej z najbardziej pierwotnych potrzeb różnych gatunków zwierząt, również gatunku zwanego *homo sapiens*. Uczeni zbudowali całą hierarchię ludzkich potrzeb, z których na najniższym poziomie są potrzeby fizjologiczne: sen, jedzenie, picie, aktywność seksualna oraz unikanie skrajnych temperatur. W społeczeństwach ludzkich ukształtowały się w związku z owymi potrzebami pewne obyczaje. I tutaj dochodzimy do zadania, które mi zlecił wysoki sąd... Zwracamy tu uwagę na wyrazy „obyczaje” i „obyczajność”. – Spojrzała na Muskata. – Jeśli chodzi o seks, w odróżnieniu od zwierząt uprawiamy go ukryci przed oczami innych... – teraz zerknęła na Andrzeja Jaworowskiego – ... w typowo ludzkich okolicznościach! Te okoliczności to

etykiety z napisem „zgodne z dobrymi obyczajami” albo „zgodne z kulturą”. Tymczasem zaspokajanie popędu seksualnego w miejscu publicznym to czynność zwierzęca bez żadnej etykiety obyczajności! To zwierzęce uleganie popędom. – Doktor Wikiera nabrała tchu. – Odpowiadam. Seks, w tym seks oralny, w miejscu publicznym to aktywność nieobyczajna!

Na sali podniosło się oburzenie. Ludzie się przekrzykiwali, wstawali z ławek, jakaś ubrana na czarno dziewczyna wyciągnęła transparent z napisem:

WALKA Z OBŁUDĄ TO NASZ CEL
PORNOGRAFIA NASZĄ METODĄ

Sędzia Muskat uderzył młotkiem sędziowskim w podstawkę, zwaną tamburynem.

– Jeśli publiczność się zaraz nie uspokoi, zarządzę dzisiejszą rozprawę z wyłączeniem udziału publiczności! – zawołał i spojrzał na policjantów.

Ci powstali i spojrzeli groźnie na ludzi w ławkach. Zapadła cisza. Sędzia skinął na doktor Wikierę.

– Czy biegła chciałaby kontynuować, czy też doszła już do konkluzji?

Seksuolog wyjęła chusteczkę i otarła kąciki ust.

– Mam coś jeszcze do powiedzenia...

– Proszę.

– Jako seksuolog dodam: spełnianie potrzeb seksualnych nie jest podobne do spełniania potrzeb fizjologicznych takich jak wydalanie. Te ostatnie można odsunąć w czasie, retardować, ale zawsze jest moment, gdy musimy tej potrzebie ulec. W wypadku popędu seksualnego długie odraczenie jest możliwe. Nawet w wypadku hiperseksualności...

– Zawsze można zwalić konia! – krzyknął ktoś z publiczności.

Rozległ się śmiech.

Sędzia Muskat uderzył w tamburyn i nakazał policjantom, by opróżnili salę rozpraw z publiczności. Gdy ludzie z okrzykami gniewu opuszczali salę sądową,

ktoś zbliżył się do mecenas Małgorzaty Drewnowskiej i krzyknął:

– Godzilla, Godzilla!

Adwokatka w tym całym zamieszaniu nie rozpoznała głosu, co więcej – nie miała pewności, czy był męski czy kobiecy.

Ktokolwiek by to był, osiągnął swój cel. Gośka zmieniła się na twarzy, słysząc przydomek, który był znienawidzonym towarzyszem jej młodych lat.

*

Przed gmachem sądu zrobił się potężny korek. Utknął w nim tramwaj i kilkanaście samochodów. Motorniczy, kierowcy i pasażerowie gromili wzrokiem ludzi tłoczących się na ulicy.

Zebrało się tu około dwustu osób, rozdzielonych kordonem trzydziestu policjantów. Ludzie ci tworzyli dwie antagonistyczne względem siebie grupy i zapewne – wobec nikłego policyjnego muru – zaraz rzuciliby się sobie do gardeł, gdyby do akcji nie wkroczył dowódca policjantów. Ogłosił przez megafon, że zgromadzenie jest nielegalne i blokuje ruch uliczny, po czym poprosił wszystkich o udanie się na pobliski plac manewrowy, gdzie zgodnie z zasadami demokracji, lecz bez wulgaryzmów, będą mogli zaprezentować swe poglądy. Zagroził, że w przeciwnym razie zastosowane zostaną środki przymusu bezpośredniego, zmierzające do przywrócenia normalnego ruchu na skrzyżowaniu.

Te ostatnie słowa poskutkowały. Demonstranci obu stron odeszli na pobliski duży plac, na którym zgodnie z nazwą dokonywano musztry i ćwiczeń wojskowych – przed stu laty, gdy w obecnym gmachu sądu mieściły się jeszcze koszary kirasjerów.

Na tym placu, otoczonym drzewami i zamkniętym z jednej strony fosą, z drugiej zaś – nowoczesnym Teatrem Opery i Baletu, przeciwnicy polityczni zaczęli wyładowywać swój gniew wywołany okolicznościami „sprawy o loda”, bo pod taką nazwą zaczął funkcjonować wśród ludzi proces prowadzony przez sędziego Muskata.

Lewicowa młodzież stała bliżej budynku teatru. Były to najczęściej typowe „kolorowe ptaki” – chłopcy z dredami, w jaskrawych szarawarach lub w spodniach rurkach, i obute w martensy dziewczyny w kolorowych włosach i tatuażach wychodzących im na uda spod spódniczek. Stali tam też młodzi ludzie w strojach zupełnie nierzucających się w oczy – džinsach, adidasach i skórzanych kurtkach. Niektórzy z nich mieli farbowane grzywki, inni byli ostrzyżeni krótko, jeszcze inni chowali się pod kapturami. Wielu nosiło tęczowe flagi. Kręcili się wśród nich starsi mężczyźni w czapkach bejsbolówkach lub w skórzanych kaszkietach. Trzymali w dłoniach pliki ulotek i broszur. Byli to członkowie antyklerykalnej partii Słuszność oraz Polskiej Frondy Komunistycznej.

Naprzeciwno nich stał szpaler krótko obciętych lub ogolonych na łyso prawicowych radykałów w wojskowych kurtkach z zielono-czarnymi opaskami na rękawach. Wśród nich nie brakowało kibiców miejscowego klubu piłkarskiego oraz chłopaków bez barw klubowych, lecz noszących bluzy z godłem Polski. Byli też nie wyróżniający się strojem młodzi ludzie – wśród nich kilka dziewcząt – którzy w swych ubraniach równie dobrze mogliby się znaleźć po drugiej strony barykady. Prawicowa młodzież tworzyła mur, za którym klęczeli starzy ludzie z różańcami w dłoniach. Niektórzy głośno się modlili, inni usiłowali wznosić ku niebu nabożne pieśni. Wkrótce dołączyli do nich prawicowi działacze samorządowi w garniturach i z megafonami w dłoniach.

Jeden z nich przyłożył do ust sprzęt nagłaśniający.

I tak zaczęła się wojna na hasła.

– Brońmy dzieci przed zalewem pornografii!!! – wyrzaskiwał miejski radny.

– Dzieci na Wyspie były świadkami tego, czego nie mówi się im w szkołach! – ryczał jego kolega z ławy rajcowskiej. – To była lekcja wychowania seksualnego!

Nad głowami prawej strony pojawił się baner:

RODZINA – TAK, DEPRAWACJA – NIE

Jedna z dziewczyn lewicy wyciągnęła tęczową flagę z napisem:

LOVE IS STRONGER THAN HATE

– Precz z patriarchalną opresją! – krzyczała jej koleżanka z kwiatami we włosach. – Kościół do konfesjonału, bić się w piersi za własne grzechy!

– Sztuka to nie kloaka! – odpowiadał jej przeciwnik, dobiegający czterdziestki rzeczniczek prasowych kibiców. – Do Amsterdamu, hołoto!

Potem zaczęły się groźby.

Nad głowami aktywistów ze Słuszności pojawił się transparent:

ZAŁATWIMY WAS MIŁOŚCIĄ

– Wasz koniec to nasz początek! – wtórował przez megafon tej wypowiedzi chłopak o szyi wytatuowanej w gwiazdki.

Druga strona nie pozostała dłużna:

WON DEGENERACI – PORNOLE W BERLINIE KRĘCIĆ!

Czarnoskóremu aktywiście, który trzymał transparent z napisem „Chrystusowa Kruczata”, podstawiono pod nos megafon.

– Barbarzyńcy, nie artyści! – zawołał. – Obronimy się przed wami! Znikniecie z naszych miast!

Atmosfera była coraz bardziej napięta, ale doświadczeni stróże prawa byli pewni, że energia tych ludzi już się wyładuje. Wiedzieli, że nikt nie przejdzie do bezpośredniego ataku; jeszcze trochę pokrzyczą, po czym rozejdą się odprowadzani złymi spojrzeniami przeciwników.

Wiedziała też o tym kobieta w pikowanej granatowej kurtce i w czapce smerfetce. Z komórką w ręce trzymała się blisko fotoreporterów. Tak jak oni chciała wykorzystać ostatnie chwile demonstracji.

Ustawiała się głównie na tle demonstrantów lewicowych i robiła selfiki. W jej głowie dźwięczało polecenie, które dostała od Goški.

– Słuchaj, Ewka, odstaw dzisiaj sprawę Banaszczyka. W związku z procesem Jaworowskiego szykują się rozróby. Wiem, bo po akredytację zgłosiło się mnóstwo tak zwanych dziennikarzy. Zrób kilka fotek zwolennikom tego *live sex performance*, a potem sprawdź, czy nie mogli być inspirowani przez wrogów Grześka Marcjańskiego.

Ewa Skoczek wiedziała, że w dzisiejszych czasach identyfikowanie twarzy nie jest trudne dzięki takim technologiom jak choćby Clearview – wykorzystywane przez FBI. Nigdy jeszcze nie wykonywała takiego zadania, ale dla współpracującego z nią informatyka będzie ono pewnie jak bułka z masłem.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

Ta jednak okazała się płonna.

*

Doktor habilitowany i profesor uczelni Lech Kostecki, kierownik uniwersyteckiego Zakładu Kultury Współczesnej, nie był zachwycony tym, że musi mówić prawie do pustej sali. Przyzwyczajony do wielkiego audytorium i do licznych, wpatrzonych w niego, zachwyconych oczu studentek, tutaj czuł się niepewnie – wśród zimnych spojrzeń prawników. Wiedział, że swoją wypowiedzią nie poruszy ich serc. O ile młodzi studenci byli żyzną glebą, na którą padało ziarno jego idei, podlane obficie retoryką najwyższej próby, o tyle tutaj, w ogromnej, zalanej słońcem sali, wymagano od niego krótkiej i treściwej odpowiedzi na pytanie: czy zaangażowana społecznie pornografia na żywo jest dzisiaj moralna?

Owszem, znał odpowiedź na to pytanie – oczywiście twierdzącą – ale jej uzasadnianie z pewnością nie trafi do tych prawniczych głów, które nie pojmą subtelnych światłocieni jego wywodu. Zdecydowanie wolałby stać teraz przed tymi, co jego słowa w czasie wykładów spijali jak miód.

– Występuję tutaj przed wysokim sądem jako specjalista z zakresu antropologii kulturowej i jako członek rady programowej Festiwalu Postpornograficznego. Zaświadczam, że pan Wojciech Dąbała jest bardzo aktywnym uczestnikiem

naszych debat organizowanych przez Café Antropo, działające pod egidą uniwersytetu. Zaangażowanie pana Dąbały w nasze dyskusje i działania popularyzujące wiedzę antropologiczną pozwala mi nazwać go aktywnym działaczem postpornograficznym.

Sędzia Muskat przyjrzał się temu dobiegającemu pięćdziesiątki, dwumetrowemu prawie mężczyźnie o szpakowatej, krótko przyciętej brodzie.

Ekspert od współczesnych zjawisk kulturowych ubrany był dość niechlujnie w wyciągniętą na spodnie koszulę dżinsową i w wełniane wdzianko – ni to marynarkę, ni to sweter z wytartymi nieco łokciami. Workowate sztruksowe spodnie były zbyt długie, bo opadały w dwóch fałdach na miękkie zamszowe buty. Siwiejące na skroniach włosy profesor miał zaczesane do góry, a brodę – nieznacznie uniesioną, co w połączeniu z jego wzrostem sprawiało wrażenie, że na wszystkich patrzy z góry.

Prokurator Wojtala, sam zawsze pedantycznie ubrany, nie mógł ukryć niesmaku z powodu niedbałego stroju naukowca. Mecenas Drewnowska natomiast – patrząc na włosy wychodzące ze zbyt głębokiego rozpięcia jego koszuli – nie mogła przestać zadawać sobie pytania, czy Kostecki swych idei nie wprowadza w życie na spotkaniach swingersów.

– Proszę nam powiedzieć – polecił mu sędzia – co to jest postpornografia i jaki ma związek z naszą sprawą.

– Wytlumaczę to, jak mogę najprościej... – zamyślił się biegły. – Rzeźba przedstawiająca śmiejącą się żabę na naszej Wyspie Garbarskiej nie odsyła naszych myśli do niczego więcej niż do radości i do świata płazów. Natomiast rzeźba ukrzyżowanej żaby autorstwa Martina Kippenbergera, która w jednej ręce trzyma kufel piwa, a w drugiej jajko, jest nasycona wyjątkową treścią, bo każe się nam konfrontować z symbolem chrześcijaństwa. Zastanowić się, czy krzyż, symbol cierpienia, nie staje się dzisiaj obiektem szyderstwa. Niby i tu, i tu rzeźba. I tu żaba, i tu żaba.

– Prosiłbym biegłego, by zmierzał do definicji postpornografii! – przerwał mu Muskat zniecierpliwionym tonem. Motyw ukrzyżowanej żaby najwyraźniej nie przypadł mu do gustu.

Naukowiec wzniosł oczy ku sufitowi wybitemu starymi kasetonami, jakby brał go na świadka sędziowskiego prostactwa.

– Postpornografia to pornografia społecznie zaangażowana – powiedział. – I tu, i tu seks jest przedstawiony detalicznie, ale w pornografii zwykłej o nic więcej nie chodzi, tylko o wywołanie u odbiorcy podniecenia. W postpornografii zwraca się natomiast uwagę na problemy społeczne, na przykład na nierówności płci. Pokazując na przykład seks osób niepełnosprawnych, ta dziedzina sztuki mówi: oni są tacy sami jak my, tak samo się kochają! W ten sposób postpornografia uczy tolerancji. Na naszym festiwalu nagrodę publiczności uzyskał wybitny duński film pokazujący seks dwóch kobiet po siedemdziesiątce. Przesłanie tego filmu, przede wszystkim ze względu na mocne, dobitne metody porno, jest potężne: nie dyskryminujemy ludzi ze względu na wiek! W badaniach nad pornografią jesteśmy daleko w tyle za cywilizowanym światem. Na uniwersytetach amerykańskich i kanadyjskich, na przykład na Simon Fraser University w Vancouver, gdzie występowałem jako *visiting professor*, na kierunku Gender Sexuality and Women's Studies jest osobny kurs Porn Studies!

Spojrzał na sędziego i na strony. Po ich minach poznał, że są ludźmi uprzedzonymi do propagowanej przez siebie dziedziny zaangażowanej społecznie sztuki i nauki, którą uprawia. Chciał jeszcze mówić o wybitnym filmie *Głębokie gardło*, który pokazał kobietom amerykańskim w latach siedemdziesiątych, że mają prawo do orgazmu i do mówienia publicznie o swoich łechtaczkach; o tym, że dyskusje na temat tego filmu toczony na nowojorskich salonach były przejawem nowoczesności. Jednak na tych ignorantów szkoda mu było słów – i tak mu przerwał, i każą zmierzać do konkluzji.

– Pan Dąbała przedstawił wraz ze swoją partnerką zaangażowane społecznie dzieło sztuki na żywo – powiedział dobitnie. – Pokazujące seks jako naszą codzienność. Dzieło przekonujące, że w czasach nieznośnych nacisków, jakim są

poddawane nasze seksualne ekspresje, istnieje erotyka wolna od zakazów rodem z kościelnej kruchty, może wyjść na ulicę i przyjaźnie się uśmiechnąć do ludzi... – Odsapnął. – Skończyłem, wysoki sędzie!

Sędzia Muskat przyjął wzmiankę o kościelnej kruchcie z równą przyjemnością jak tę o ukrzyżowanej żaby. Skrzywił się i nawet nie spojrzał na eksperta.

– Panie prokuratorze – musnął wzrokiem Wojtałę – jakieś pytania do biegłego?

– Nie mam pytań.

– A pani mecenas?

Drewnowska wstała i z wysokości adwokackiego podium spoglądała z góry na eksperta.

– Owszem, mam pytania – oznajmiła.

Przyglądała się przez chwilę ironicznie Kosteckiemu.

– Użył pan ciekawego porównania, panie profesorze. Wy tłumaczył nam pan profesor na przykładzie żaby, czym jest postpornografia, prawda?

– Tak zrobiłem. – Ekspert przyjrzał się pani adwokat, jakby wietrząc podstęp. – Żaba była tylko punktem wyjścia...

Mecenas chciała osłabić nieco jego czujność przed zadaniem dotkliwego ciosu.

– Czy obie żaby: i ta śmiejąca się na Wyspie Garbarskiej, i ta ukrzyżowana przez artystę Kippenbergera... czy obie są dziełami sztuki, panie profesorze?

Kostecki zmarszczył brwi. Nie wiedział, do czego zmierza ta masywna kobieta o zimnych oczach, lecz czuł, że przesłuchanie idzie w nie dobrą stronę. Postanowił się zaasekurować. Nie wiedział jednak, że przed błyskotliwością Drewnowskiej trudno o jakąkolwiek asekurację.

– Nie tyle same żaby, ale kontekst i każda z nich w swoim kontekście... Kontekst wraz z głównymi obiektami kontekstu, to właśnie jest dziełem sztuki.

– Dobrze. – Adwokat się uśmiechnęła. – Możemy zatem powiedzieć, że obie żaby, oglądane jako całość wraz z ich kontekstem, mają coś wspólnego ze sobą oprócz tego, że reprezentują ten sam gatunek zoologiczny. Mianowicie to, że są dziełami sztuki, czy tak?

– Tak – odparł niepewnie.

– Wyciągam teraz implicytne wnioski z pańskiego porównania. – Drewnowska pochyliła się i oparła dłonie o stół. – Jeśli porównanie obu rodzajów żab prowadzi nas do wniosku, że obie są dziełami sztuki, czyli artefaktami, a jednocześnie porównanie żab ściśle odpowiada porównaniu obu rodzajów pornografii, czyli pornografii zwykłej i postpornografii, to jaki wyciągam wniosek? Że jeśli postpornografia jest sztuką, co pan profesor przyznał *expressis verbis*⁵, to i zwykła pornografia jest sztuką! Nieprawdaż?

– Ależ to zbyt daleko idące wnioskowanie! – krzyknął Kostecki.

– Czy biegły miał logikę na studiach? – zapytała Drewnowska z ironicznym uśmiechem. – Bo jeśli miał, to wie, że nie ma wnioskowań dalej i bliżej idących, są tylko takie, które się różnią prawdziwością przesłanek...

Odwróciła się do sędziego.

– Wysoki sędzie, oskarżonym w tej sprawie powinien być występujący jako pokrzywdzony pan Wojciech Dąbała, a nie mój mandant. Chciałabym ponadto zauważyć, iż ekspertyza biegłego, w której przemyca on konstatację, jakoby pornografia, nazywana dla zmylenia postpornografią, była dziełem sztuki, które, jak się pan profesor wyraził, cytuję: „wychodzi na ulicę, przyjaźnie się uśmiecha do ludzi”, koniec cytatu, stoi w jaskrawej sprzeczności z artykułem dwieście drugim, paragraf drugi kodeksu karnego, który w tym miejscu mówi: „Kto małoletniemu poniżej lat piętnastu prezentuje treści pornograficzne lub udostępnia mu przedmioty mające taki charakter albo rozpowszechnia treści pornograficzne w sposób umożliwiający takiemu małoletniemu zapoznanie się z nimi, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch” – zacytowała z pamięci, po czym spojrzała na eksperta ze złośliwym błyskiem w oku. – Wnoszę o nieuwzględnianie ekspertyzy profesora Kosteckiego. – Teraz wzrok miała wbity w sędziego. – Jego ustalenie nie jest żadnym dowodem z opinii biegłego i ma charakter wypowiedzi, w których pusta treść jest pokryta obfitą retoryczną pianą.

Doktor habilitowany i profesor uczelni Lech Kostecki po raz pierwszy w życiu był na sali sądowej. I przyrzekł sobie – że po raz ostatni.

Gośka wróciła do domu w świetnym humorze. Po kolacji, którą przyrządziła z płatów łososa, spędziła przemiły wieczór z Willemem. Owinięci kocami, siedzieli po kolacji na tarasie apartamentu na piętnastym piętrze, palili papierosy i popijali białe wino Blanc de Mer, które zostało po kolacji.

Patrzyli na miasto i prawie się do siebie nie odzywali. Było im bardzo dobrze w tym zgodnym milczeniu.

A potem się kochali.

Kiedy rano Gośka włączyła komórkę, ujrzała SMS o treści:

Z KING KONGIEM NIE WYGRASZ GODZILLO.

4 Znak czasu (łac.).

5 Bez ogródek (łac.).

ROZDZIAŁ VIII

INTERNETOWA NIENAWIŚĆ

Robert Mroczek, eksmaż Ewy, był przystojnym czterdziestopięcioletnim mężczyzną, który bardzo o siebie dbał. Grał w tenisa w dni robocze nieparzyste, w koszykówkę – w parzyste, a w soboty i w niedziele biegał dziesięć kilometrów dziennie nad rzeką. Jego sportowa aktywność i wydolność wzbudziłyby ogromne zdumienie u fizjologów, gdyby Mroczek im powiedział, że do niedawna dwa razy w tygodniu – w piątkowy i w sobotni wieczór – spożywał po półlitrowce wódki. W niedziele trzeźwiał, biegał i pił wyłącznie soki owocowe, po czym w poniedziałek stawiał się – świeży, czysty, ogolony i wyperfumowany – na służbę w komendzie wojewódzkiej policji.

Przez cały kolejny tydzień zajmował się sprawami przestępczości zorganizowanej i odliczał dni do piątku, kiedy to udawał się z kilkoma kolegami do ulubionego baru dla singli. Z kolegami upijał się w sposób kontrolowany – nigdy więcej niż pół litra na głowę, często zaś mniej – zwłaszcza wtedy gdy poderwał jakąś kobietę i udawał się z nią do swojej zagraconej i brudnej garsoniery w centrum miasta.

Tak było do niedawna. Do czasu, gdy pewna z poderwanych na jedną noc kobiet w pijanym widzie wyjęła z ramki i podarła zdjęcie stojące na półce, na którym trzymał w objęciach swoją malutką córkę. Zrobiła to, kiedy zasnął. Obudził się rano nieprzytomny, a po owej kobiecie pozostało rozbite szkło, połamany plastik oraz strzępy rodzinnej fotografii. Robert wylał wtedy do zlewu dwie butelki piwa, którymi zawsze zapijał kaca. Dziś mijał miesiąc, od kiedy nie pił i chodził na terapię.

Był funkcjonariuszem bardzo wysoko cenionym przez komendanta wojewódzkiego nie tylko ze względu na skuteczność w rozpracowywaniu gangów i w infiltrowaniu ekstremalnych środowisk lewicowych i prawicowych. Wykazał się również jako niezwykle sprawny negocjator, szczególnie zasłużony w rozmowach ze skłotersami, anarchistami i ekoaktywistami.

Większość z nich znał, był z nimi po imieniu i – starając się o ich szacunek – nie osądzał ich i nie krytykował. Po prostu robił swoje. Spokojnie ich przekonywał, by opuścili jakąś zajętą kamienicę, po cichu sugerując jej właścicielowi zapłacenie skłotersom swoistego „odstępnego”. Gdy aktywiści przykuli się łańcuchami do drzwi urzędu wojewódzkiego i żądali wpuszczenia do Polski uchodźców, Roberto – jak go nazywali – załatwił im gorącą herbatę. Chyba go lubili, nie wiedząc, że bez wzajemności. Traktował ich jak przestępców zorganizowanych – niektórzy zresztą, zwłaszcza członkowie głęboko zakonspirowanego Trockistowskiego Ruchu Antyfaszystowskiego, faktycznie nimi byli: produkowali domowymi sposobami materiały wybuchowe, szkolili się w sztukach walki i planowali ataki podczas świąt państwowych.

Komisarz nie tylko prowadził z nimi negocjacje w sytuacjach kryzysowych, lecz także infiltrował ich środowisko, podobnie zresztą jak środowisko kibiców i prawicowych ekstremistów, choć ci mniej go znali, bo rzadziej pojawiał się jakiś problem do negocjacyjnego rozwiązania. Z tymi ostatnimi najczęściej jedyną metodą działania policji było użycie brutalnej siły.

Tego dnia, kiedy zadzwoniła do niego Ewa z prośbą o pomoc w zidentyfikowaniu niektórych uczestników demonstracji, zatkało go. Z byłą żoną utrzymywał stosunki poprawne, choć nie bezpośrednie – kontaktowali się ze sobą wyłącznie telefonicznie i tylko w sprawie Natalii. Dlatego kiedy zaproponowała mu spotkanie, pomyślał, że skoro potrzebuje jego pomocy, pewnie prowadzi jakąś ważną sprawę.

Rzeczywiście tak było. Nadzieje Ewy na to, że Michał szybko zidentyfikuje twarze uczestników demonstracji, okazały się złudzeniami.

– Nie żyjemy w Stanach, Ewa – powiedział jej współpracownik. – A i tam tylko przez niektóre służby specjalne stosowane są programy do rozpoznawania rysów twarzy. W Unii Europejskiej jakieś kraje chcą korzystać z tych technologii, ale chyba nie Polska. Oficjalnie nie przystąpiła do tego programu, a nieoficjalnie... to nie wiem... Nie wypowiadam się na ten temat. Służby to już twoja działka. *Sorry*, tu nie mogę ci pomóc.

– Jasne – weszła mu w słowo Ewa. – A ja naiwna myślałam, że jest jak w filmach: program skanuje twarz i wrzuca w wyszukiwarkę. No dobra, dzięki. Tak czy inaczej, będziesz mi potrzebny. Masz teraz czas, aby wpaść do biura na godzinę, może dwie?

– Jasne, wsiadam na rower.

Ewa rozłączyła się i wtedy właśnie zadzwoniła do Roberta. Po raz pierwszy od wielu lat nie chodziło jej o Natalię.

Siedział teraz naprzeciwko niej i bawił się niezapalonym papierosem. Ubrany był – jak Harry Hole, bohater powieści Jo Nesbø – w granatową bosmankę, spod której wystawał cienki golf. Zawsze nosił golfy, co w latach, gdy studiował psychologię, sprawiało, że mówiono do niego „Roger” – był to skrót od Rogera Moore’a.

Należał do nielicznych mężczyzn, którzy bez względu na modę zawsze dumnie noszą wąsy, bardzo zresztą charakterystyczne, bo sięgające do końca żuchwy, podczas gdy podbródek jest gładko ogolony.

Ewa – ze względu na tę jego cechę – nazywała go w myślach Danny, lecz bez cienia podziwu, jaki miała dla aktora Danny’ego Trejo. Do Roberta czuła niechęć, która zajęła miejsce nienawiści. Ta zapłonęła w jej piersi osiem lat po ich ślubie, tego fatalnego poranka w ich mieszkaniu na Zadrożu. Obudziła się skacowana. W mieszkaniu był ktoś jeszcze. Tą osobą nie był Robert, który zapewne wyszedł po piwo, nie była nią też Natalia, która poprzedni wieczór spędziła u babci. Ich sąsiad, Wojtek, leżał w dużym pokoju na dywanie, przykryty własną marynarką i potężnie chrapał.

Ewa była wściekła. Starła się dobudzić Wojtka, chciała posprzątać cały ten chlew. Nie dało się. Wojtek bełkotał i przewracał się na bok. Miała złe przeczucia. Wczoraj Robert podrywał Ilonę, żonę Wojtka. Pobieгла do mieszkania sąsiadów. Nikt nie reagował na stukanie i na dzwonienie. Ewa wróciła do siebie i śpiącemu Wojtkowi zabrała klucze z kieszeni. Wróciła z nimi do jego lokum. Na korytarzu usłyszała trzaśnięcie drzwiami, a potem szybkie kroki. Ktoś zbiegał w dół po schodach. A potem doszło do jej uszu siarczyste przekleństwo, rzucone męskim bełkotliwym głosem. Drzwi sąsiadów nie były zamknięte na klucz. Otworzyła je. Ilona była w łazience. Szum wody. Brała prysznic. Na stole w kuchni leżała droga srebrna zapalniczka. Ewa podarowała ją mężowi dzień wcześniej – jako prezent na imieniny.

Na klatce schodowej kilka pięter niżej znalazła ślady krwi. Ktoś zawadził dłonią o żyletkę, którą spragniona wrażeń osiedlowa młodzież wcisnęła w szparę w poręczy. Robert wrócił po czterech godzinach z opatrunkiem na rękę. Był rozdrażniony. Twierdził, że nie wie, gdzie się skaleczył, a swoją nieobecność tłumaczył długim pobytem na pogotowiu. Komórka mu się oczywiście rozładowała i nie mógł zadzwonić. Z wczorajszego wieczoru nic nie pamiętał.

Ewa połączyła wszystkie kropki w tej zgadywance. W końcu była policjantką.

Nie mogła mu wybaczyć, choć przez kolejne tygodnie Robert błagał ją na kolanach i zarzucał kwiatami; choć jego najbliższy przyjaciel Mariusz – człowiek wyjątkowo prawy, religijny i pryncypialny – zapewniał ją, że był to ze strony Roberta tylko jeden jedyny akt zdrady; choć Marta, atrakcyjna sekretarka komendanta wojewódzkiego, przyznała się Ewie, że nie udało się jej – mimo usilnych starań – uwieść Roberta. Ewa wiedziała, że już nigdy Robertowi nie zaufa. Kiedy patrzyła na skruszonego wiarołomnego męża, w jej głowie wciąż rozlegały się idiotyczne przeprosiny Ilony, które tej feralnej niedzieli, jeszcze półpijana, wypowiedziała z rozbrajającą szczerością:

– Nie mogłam się oprzeć. Ten bandycki urok twojego bad boya... Żadna mu nie odmówi...

Nie wybaczyła. Robert się wyprowadził. Rok później uzyskali rozwód za tak zwaną obopólną zgodą. Nie chcieli prac brudów przed sądem. Po rozprawie ich stosunki stały się poprawne. Robert płacił regularnie alimenty, brał córkę na weekendy i wakacje, a w jej obecności – co Ewa skrupulatnie sprawdzała – nigdy nie pił.

Natalia go kochała i idealizowała, co później siłą rzeczy wymagało od jej ojczyzna Alberta anielskiej wprost cierpliwości. I ten ją okazywał pasierbicy, nie pozwalając wyprowadzić się z równowagi, chociaż niejeden by nie wytrzymał zmiennych nastrojów nastolatki. Z tego to właśnie powodu Ewa za prawdziwego mężczyznę uważała Alberta, a Roberta – mimo całej bijącej od niego samczej mocy – określała pogardliwym mianem „żigolaka z wąsikiem”.

On znał to określenie i nie miał nic przeciw niemu. Zapalił teraz papierosa i wypuścił dym pod sufit, ku zdumieniu Michała, który siedział przy biurku obok Ewy.

– Albo gasisz tego peta, albo odwołuję nasze spotkanie i zapłacę ci za bilet autobusowy, żebyś do siebie dojechał – powiedziała zimno. – Co prawda, masz niedaleko, ale pewnie jesteś zmęczony po upojnej nocy.

Robert wyjął podręczną popielniczkę i otworzył ją, wysypując na podłogę sporo popiołu. Zgasił papierosa.

– Grzeczniej nie można? – Uśmiechnął się lekko.

– Poczekaj chwilę – powiedziała. – Zaraz będzie znacznie grzeczniej...

Wstała i poszła do kuchni. Robert odprowadził ją wzrokiem. Świetnie wyglądała w obcisłych džinsach i w niebieskiej koszulowej bluzce z zaszewkami. Przypomniawszy sobie ich dawne chwile na osiedlu Zadroże i nagle poczuł przyływ pożądania. Żadna kobieta – ani wcześniej, ani później – nie była mu tak bliska. Z żadną nie lubił się tak kłócić i godzić. A z Ewą seks na zgodę był najwspanialszy.

Wróciła i podała mu zmiotkę oraz szufelkę.

– Będę posłuszny, proszę pani! – zawołał, udając dziecko, i sięgnął po utensylia do sprzątnięcia. – Już, już, proszę pani!

Zmiótł popiół na szufelkę, a potem wyciągnął ku niej złożone dłonie. Mrugnął przy tym do Michała, jakby chciał pokazać, jaki potrafi być zabawny.

– Zakuje mnie pani w kajdanki?

Ewę bawiło niegdyś to jego błaznowanie. Ale tylko na początku. Teraz nie dała się sprowokować. Wiedziała, że Robert – choć jest głupawym dowcipnisiem oraz mocno zaburzonym erotomanem – ma jedną dobrą cechę. Kiedy dostaje zadanie policyjne, natychmiast mu się całkowicie poświęca.

– Przyjrzyj się, proszę, tym zdjęciom – powiedziała łagodnie, lecz zdecydowanie, podsuwając mu swój telefon komórkowy. – I podaj mi jakieś personalia.

Spojrzał na fotografie i zaczął je przeglądać, przesuwał palcem po ekranie.

– Tak... – mruknął. – Kogoś tu poznaję. Ale znam tylko ksywki.

Ewa spojrzała pytająco na Michała, a ten pokiwał głową. Ten gest oznaczał: tak, ksywki wystarczą.

Robert przejrzał wszystkie zdjęcia i zerknął na Ewę – już bez swojego głupawego uśmiechu. Pokazał jej zdjęcie chłopaka z wytatuowanymi na szyi gwiazdkami.

– To jest niejaki Kosmita, a tu – przesunął ekran kilkakrotnie – ten gruby w długim płaszczu w pasy to Pucho. Mimo swojego misiowatego wyglądu dość niebezpieczny i bardzo bystry.

Michał już wpisywał te ksywki w wyszukiwarę.

– Kogo my tu jeszcze mamy... – zastanawiał się Robert. – Ta dziewczyna to Blondzia...

Blondynka w obcisłym różowym sweterku z angory, z transparentem NIE BĘDĘ DLA WAS UMIERACĆ, miała włosy spięte w dwie kitki – każda z nich pofarbowana była na czerwono.

– ... a ten to Śliwa.

Chłopak ubrany był jak uczeń szkoły prywatnej: w krawat i granatowy pulower.

– To zresztą jego prawdziwe nazwisko. Mikołaj Śliwa – dodał Robert, po czym rozparł się wygodnie w fotelu i rozejrzał po pokoju, który spełniał funkcję archiwizacyjno-biurową.

Znajdował się tutaj długi stół na kozłach z litego drewna, a za nim dwa stojące obok siebie fotele. Na jednym siedziała Ewa, na drugim Michał ze swoim laptopem. Za nimi rozciągało się okno. Boczną ścianę zajmowała prawie w całości korkowa tablica, której centrum stanowił wielki telewizor, a wokół niego wisiało mnóstwo fiszek i wydruków komputerowych. Pod tablicą umieszczono półkę z segregatorami spraw prowadzonych obecnie, a obok rozpięta się duża szafa pancerna, w której zarchiwizowano zamknięte śledztwa.

Nie podobało mu się tutaj. Było idealnie czysto i bezduszenie. Wszystko to przypominało mu Ewę, której nie lubił – zasadniczą, niedostępną i uładzoną. Jedynym figlarnym, może trochę niepoważnym elementem, który stanowił blade przypomnienie tamtej dawnej Ewy – szalonej, imprezującej i nieco chaotycznej – były dziwnie tu niepasujące lampki ledowe rozmieszczone wokół okna, emitujące błękitne światło.

Wstał.

– To wszystko. – Wyciągnął papierosa i zapalniczkę, po czym dotknął swojego policzka. – A teraz zapłata! O, tutaj! Buziak!

Ewa przesunęła ekran komputera tak, by dobrze widzieć swojego byłego. Splotła palce i patrzyła na niego bez zmrużenia powiek.

– Dziękuję ci bardzo! – powiedziała zimno. – Pomogłeś mi! Naprawdę. Do widzenia.

Robert zrobił płaczliwą minę i dotknął znów policzka.

– Jeden buziak – zaczął się droczyć. – Chcę zapłaty w naturze!

Ewa wstała. Drżała ze wściekłości.

– Chcesz w naturze?

– No przecież!

– Wyraz „natura” jest wieloznaczny – syknęła. – Papier też należy do przedmiotów naturalnych...

Położyła przed nim bilet autobusowy.

– To za fatygę! Żebyś dojechał do siebie na czas na ostre bzykanko!

Robert uniósł bilet autobusowy do oczu i przyglądał mu się przez chwilę. Potem zapalił papierosa, dmuchnął jej w nos dymem i wyszedł z biura – wolno i majestatycznie jak Danny Trejo, odsłaniający w filmie *Desperado* swój pas z nożami.

W kieszeni czuł kanciasty kształt samochodowej kamerki.

Nie oddał jej.

To była jego zemsta.

Ewa usiadła ciężko. W oczach Roberta była niechęć. Ale coś jeszcze. Jakby łobuzerski uśmieszek. Albo pożądanie.

Pochylony nad laptopem Michał udawał, że nie słyszał ostatniej wymiany zdań, a ona nie umiała znaleźć sobie miejsca w biurze. Była zbyt wzburzona całą tą sceną z „Danny’em Trejo dla ubogich”, jak go w myślach nazwała. Zdecydowała, że musi wyjść przynajmniej na dłuższy spacer nad fosę.

Chodząc wśród kasztanowców, zadzwoniła do Natalii. Po drugiej stronie wyczuła niechęć i zniecierpliwienie, którego córka nie potrafiła i nawet nie starała się zamaskować. Była z chłopakiem na sushi i nie miała dla niej czasu.

Kiepski nastrój poprawił się Ewie nieznacznie, gdy godzinę później wróciła do pokoju, wywietrzonego już z dymu, i spojrzała na ekran laptopa Michała.

– Coś już o wiem o tych anarchistach – powiedział.

Uruchomił pilotem telewizor i sklonował na nim swój ekran. Rozpoczęła się prezentacja zrzutów ekranu jego komputera.

– Miał rację twój były – powiedział Michał. – Ten Pucho, grubasek w płaszczu w pasy jak zebra, to musi być ktoś znaczny w strukturach ruchu rewolucyjnego. Nic o nim nie wiadomo, żadnego konta społecznościowego... Musi być głęboko zakonspirowany. Pewnie przez jakąś zaufaną osobę skłania małolatów,

popleczników jego idei, do użyczania mu numerów telefonów. Potem na te numery zakłada konta na różnych oficjalnych portalach i wymienia się mejlami z zaufanymi ludźmi. Każde konto jest przeznaczone do kontaktu z kim innym. Potrzebowałbym trochę czasu, aby do niego dotrzeć. I trochę pieniędzy, aby podkupić tego i owego.

– Nie jest to aż tak ważne. – Ewa potrząsnęła głową, słysząc o dodatkowych kosztach. – Chodzi tylko o to, czy mają oni jakieś związki z przeciwnikami Marcjańskiego. Gośka podejrzewa, że specjalnie zakłócają spokój, by pokazać Marcjańskiego jako prawicowego dziadersa walącego bogoojczyźniane, dęte tyrady...

– Czekaj, to nie wszystko – przerwał jej Michał i w telewizorze pojawiły się kolejne fotografie, na których powtarzały się te same trzy osoby: chłopak z gwiazdkami wytatuowanymi na szyi, dziewczyna z czerwonymi kucykami i prymus w krawacie.

Były tam różne zdjęcia, zarejestrowane na imprezach, w knajpach i podczas plenerowych wygłupów oraz demonstracji: Kosmita przechyla półtoralitrową butlę piwa, Blondzia skacze przez ognisko, Mikołaj Śliwa rozdaje ulotki. To wszystko przemieszane z linkami do lewicowych artykułów i stron.

– No i? – zapytała Ewa, nieco zniecierpliwiona. – Na co mam niby zwrócić uwagę? Normalne zdjęcia młodych ludzi, antysystemowców...

Michał uśmiechnął się triumfalnie.

– A o tym człowieku coś wiesz? – zapytał.

Na ekranie telewizora pojawił się młody, przystojny mężczyzna w białej, rozpiętej do połowy piersi koszuli ze stójką. Na jego owłosionym torsie pobłyskiwał złoty wisior, a podwinięte rękawy koszuli odsłaniały artystyczne tatuaże na przedramionach, głównie z motywami celtyckich plecionek. Jego prawy przegub dłoni był owinięty skórzaną czarną bransoletką z płytkami złotego metalu, a na lewym pysznił się zegarek marki Zenith, co oznajmiał wielki napis na silikonowym pasku.

– Cóż... – westchnęła Ewa. – Nie znam wszystkich bogatych przystojniaków w tym mieście.

– Naprawdę nie wiesz, kto to?

Michał miał dwa irytujące zwyczaje: pierwszy to skłonność do wygłaszania długich wykładów na tematy komputerowe i internetowe, a drugi to ciągłe stawianie pytań, gdy prezentował wyniki swoich poszukiwań. Ewa z trudem, ale to tolerowała, bo – jak wiedziała – zwykle takie egzaminowanie poprzedzało jakąś rewelację. I właśnie na nią czekała teraz w napięciu, traktując to całe droczenie się jak... Zdziwiło ją porównanie, które samo jej się nasunęło: jak grę wstępną. Pomyślała, że to chyba przez Roberta, bo Michał, dwudziestoosmioletni, wysoki, szczupły brunet o bladej twarzy, zawsze ubrany na czarno, odznaczał się cechą, która działała na nią zdecydowanie nieerotycznie: miał dość szerokie biodra i wąskie ramiona. Poza tym sądziła, że jest gejem.

– No... – mruknęła. – Mów! Nie trzymaj mnie w niepewności!

– To niejaki Hubert Engel. – Michał uśmiechnął się triumfalnie. – Właściciel sieci sklepów Tutaj, które cała ta trójka młodych ludzi, członków Kolektywu Imprezowego Wyspa Garbarska, Blondzia, Śliwa i Kosmita, polubiła na Facebooku i na Instagramie.

Kliknął i Ewa zobaczyła ich na zdjęciach, jak tańczą na wyspie, piją piwo i turlają się na trawie pod drzewami.

– Zobacz dalej – mruknął Michał i na ekranie pojawiło się zdjęcie mężczyzny z bródką, w średnim wieku, w czarnych okularach, który siedział na słońcu gdzieś pod baobabem w towarzystwie Afrykanów, mających za cały strój biodrowe przepaski.

– Kto to? – Zmrużyła oczy. – Powiesz mi od razu czy znów zadasz pytanie?

– Przypadkiem na niego natrafiłem, bo wolałem szperać, niż słuchać waszych kłótni. – Michał się roześmiał. – A potem dałaś mi trochę czasu, bo nie było cię dobrą godzinę. To Lech Kostecki, profesor naszej Alma Mater, znany propagator artystycznej pornografii. Jest stałym bywalcem klubu...

Michał kliknął i na ekranie pojawił się Kostecki, ubrany w obcisły fluorescencyjny tiszert. Naukowiec tańczył wśród młodych kobiet, od których był wyższy o dwie głowy. Nad tańczącymi ludźmi błyskał neon wyobrazający sympatyczny, uśmiechnięty pyszczek małpki. Ewa wiedziała, co to za gatunek małpy.

Bonobo. Znała to logo – widziała je z okna swojego mieszkania. Właścicielem klubu Bonobo był również Hubert Engel.

Wszystko się jej teraz ułożyło w zwartą, logiczną całość. Wiedziała od Gośki, że Grzegorzowi Marcjańskiemu zależy na głośnym procesie wymierzonym w sieć sklepów Tutaj oraz w imprezownię na Wyspie Garbarskiej. Wszyscy, którzy bronili Wojciecha Dąbały – demonstranci, profesor Lech Kostecki – byli związani jakoś ze sklepami Tutaj i z Hubertem Engelem, który dużo by stracił, gdyby po głośnym procesie, wygranym przez Gośkę, zamknięto wokół wyspy sklepy z alkoholem.

– Michał, muszę wiedzieć o tym żigolaku w rozpiętej koszuli wszystko, co się da wyciągnąć z internetu. Naprawdę wszystko.

Michał wstał i odrzucił z czoła falę czarnych niesfornych włosów. Był teraz bardzo poważny.

– Mam coś jeszcze. – Słowa ledwo przechodziły mu przez gardło. – Coś bardzo przykrego. Chyba... Właściwie sam nie wiem.

W końcu na nią spojrzał.

– Czy twoja przyjaciółka, pani mecenas Drewnowska, ma ksywkę Godzilla?

– Tak – odparła po chwili wahania. – A raczej miała w liceum. Nienawidzi jej. Raz na studiach nazwał ją tak jakiś pijany koleś na imprezie... Myślałam, że go zabije. Dlaczego o to pytasz?

– Zobacz. – Michał uruchomił przeglądarkę. – Jest jakiś zmasowany atak na Godzillę.

Na ekranie pojawiły się konta instagramowych i tiktokowych grup społecznościowych, wspierających wolną miłość i publiczne jej demonstrowanie.

Wiele wpisów opatrzoneo zdjęciami wykrzywionej mordy potwora ze słynnych japońskich filmów.

GODZILLA BRONI BANDYTY CO NAPADŁ NA NIEWINNEGO
CZŁOWIEKA
GODZILLA CONTRA WOLNA MIŁOŚĆ
WREDNY PYSK GODZILLI

Na niektórych memach widniało zdjęcie Gośki Drewnowskiej. Na jednych była jak Gorgona z węzami we włosach, na innych – z ust wystawały jej wampirze zęby.

Ewa roześmiała się tylko.

– Gośka nie takim prześladowcom dawała radę – powiedziała lekceważąco, co jednak wcale nie przekonało Michała.

– To wszystko pojawiło się wczoraj i przedwczoraj. To naprawdę wygląda na zaplanowany atak. Jest też dziwna animacja... – Urwał na chwilę, po czym niepewnie dokończył: – Prymitywna, ale dość obrzydliwa.

Chrząknął. To oznaczało, że zwleka z przejściem do rzeczy.

– Odkryłem, że ktoś to powiesił na chińskim hostingu – powiedział Michał po chwili wahania.

– Możesz jaśniej?

– Hosting to pusta przestrzeń w internecie, którą możesz kupić i zorganizować, jak chcesz, na przykład postawić tam swoją stronę. Hostingi rosyjskie, chińskie lub amerykańskie są najlepsze. Ktoś, kto chce te strony usunąć, musi się skontaktować z dostawcą zasobów sieciowych, a to bardzo skomplikowane w Rosji, w Chinach i w Stanach. O wiele trudniejsze niż w Polsce... – Nabrał tchu. – No właśnie... Na takim chińskim hostingu został załadowany filmik, czyli plik formatu MP4. Prawdopodobnie jest on nie do namierzenia przez zwykłą wyszukiwarke... Jego twórca dystrybuuje poprzez link, wysyłany znajomym i followersom, którzy śledzą na Insta albo na fejsbuku poczynania twórcy. Każdy chętny może go pobrać komendą CTR+S. Jeśli link trafi do grupy nastawionej na hejt, to ludzie z tej grupy

umieszczą go we własnych zasobach i zaczną rozsyłać dalej, a on wkrótce zniknie z pierwotnego hostingu. W ten sposób znalezienie źródła publikacji tego materiału będzie bardzo trudne, a właściwie niemożliwe. Już próbowałem i nic z tego. Film jest rozsyłany przez link, łatwo może się rozprzestrzenić w sieci. Wystarczą odpowiednio zmotywowani użytkownicy.

Ewa wpatrywała się w niego bez słowa, a potem skinęła głową w stronę laptopa. Michał kliknął w link.

Pokazały się dwie bardzo prosto animowane postaci. Do Godzilli, która idzie po łące wśród kwiatów, podbiega pólnagi mężczyzna, podnosi ogon potwora, rozpina spodnie i zaczyna kopulować z nim szybko jak królik. Po chwili rozlega się jego krzyk. Mężczyzna zagląda pod ogon monstrualnego gada, a tam dynda samcze przyrodzenie. I wtedy rozlega się bardzo wyraźny męski głos: „Takim obojnakiem jest Godzilla. W środku cipa, na zewnątrz kutas. Godzilla w młodości seksu nie zaznała, bo odstraszała kutasem. To dlatego odgrywa się teraz na tych młodych, którzy chcą się radośnie kochać na wyspie!”.

Filmik się skończył. Michał patrzył wyczekująco na Ewę.

Nic nie powiedziała. Nagranie rzeczywiście było prymitywne, ale zrozumiała też, co miał na myśli, mówiąc, że niektórym może się wydać obrzydliwe. Powinna uprzedzić Gośkę. Jej przyjaciółka dobrze radziła sobie z hejtem, jednak to... Aż się wzdrygnęła.

*

Siedem godzin wcześniej pani mecenas otrzymała drugi SMS o wyniku starcia King Konga z Godzillą. Wychodziła właśnie spod prysznic, kiedy zawibrował telefon leżący obok umywalki. I znów pojawił się na nim tekst:

Z KING KONGIEM NIE WYGRASZ GODZILLO.

Ale było w nim coś jeszcze – link. W normalnej sytuacji za nic nie kliknęłaby w link od nieznanego nadawcy, lecz był ranek, ona była wciąż nieco zaspana,

a obydwie wiadomości wyprowadziły ją z równowagi. Dlatego kliknęła. Na ekranie pojawił się kopulujący potwór z japońskich filmów i rozległ się męski głos.

Poczuła, jak zalewa ją fala gorąca.

A potem – sama nie zarejestrowała, kiedy to się stało – po policzkach zaczęły płynąć jej łzy.

Mijały minuty.

Do drzwi łazienki zapukał Wilk. Otworzyła mu machinalnie.

Jej mąż był potężnym mężczyzną, lecz jego imponująca postura nie brała się bynajmniej z góry mięśni. Holender lubił polską tradycyjną kuchnię, uwielbiał kopytkę, paruchy i kluski śląskie, mocno słodzoną kawę z mlekiem oraz ciasto drożdżowe z kruszonką. I było to po nim widać.

Willem miał wydatny brzuch, dużą, łysą głowę, okoloną wianuszkami krótko przyciętych włosów, i zaróżowioną cerę, co na pozór mogło zdradzać albo skłonność do ulegania emocjom, albo miłość do napojów wyskokowych.

Kolor jego skóry na twarzy nie był jednak spowodowany ani jednym, ani drugim czynnikiem. Vrijberg alkoholu pił niewiele, ograniczając się do spożywania – wyłącznie do posiłków – wina lub polskiego piwa; emocjom zaś ulegał bardzo rzadko.

Od ponad dwudziestu lat potrafił godzinami tłumaczyć studentom niderlandystyki zawilosci gramatyki ojczystej i poprawiać cierpliwie i z uporem błędy językowe, popełniane przez nich w czasie konwersacji, które prowadził na niderlandystyce jako *native speaker*.

Nigdy się też nie złościł na swoją żonę, którą poznał jako studentkę prawa tydzień po pierwszych poprowadzonych przez siebie zajęciach.

Jeśli już szukał winnego swej zaróżowionej skóry na twarzy, to znaleźć go mógł jedynie w genach. Jego ojciec, masywny chłop spod Rotterdamu, miał identyczny kształt głowy, identyczne jej owłosienie i kolor.

Po swej matce jednak, subtelnie urodziwej holenderskiej Żydówce, której rodzina cudem ocalała z Holokaustu, Willem nie odziedziczył najmniejszej nawet

cechy zewnętrznej, przejął natomiast zgodnie z tradycją wyznanie. Nominalnie był bowiem wyznawcą judaizmu, faktycznie zaś – człowiekiem religijnie obojętnym.

Gośka też nie była specjalnie religijna, toteż bardzo się zdziwił, gdy otworzył drzwi łazienki i zastał swoją żonę klęczącą z rękami złożonymi jakby do modlitwy i z twarzą zalaną łzami. Była w niej jakaś nieoczekiwana kruchość, bezbronność, gdy tak tkwiła bez ruchu w rozchełstany szlafroku na mokrych kafelkach.

Willem sięgnął po leżący obok niej telefon komórkowy.

– Mogę? – zapytał. – To stąd płynie zło?

Holender uczył się polskiego na opowiadaniach Jarosława Iwaszkiewicza i często jego polszczyzna zbaczała w poetyckie i archaiczne rejony.

Gośka kiwnęła głową.

– Zobacz sam! – Otarła nos kawałkiem papieru toaletowego.

Willem obejrzał filmik i wysłuchał wypowiedzi z offu. Raz i dwa.

A potem jego różowe oblicze stało się purpurowe. Ton głosu pozostał jednak ten sam – jak zawsze spokojny.

– Ktoś, kto o tym wie – rzekł powoli, starannie dobierając słowa – to ktoś z dawna... Przecież po operacji w Utrechcie już tylko ze mną byłaś... A wcześniej? Kto doświadczył twojego kłopotu?

Milczała. Willem ukląkł koło niej i mocno ją przytulił. Jego oddech pachniał kawą.

Kobieta otarła oczy z łez. Często porównywała samą siebie do dachu, który mnóstwo wytrzyma. Ale nawet najlepiej zaprojektowany dach potrzebował więźby. Taką więźbą – na której zawsze mogła się oprzeć – był jej mąż.

W jego ramionach odnajdywała poczucie sensu. Mogła teraz myśleć bez bólu o dawnych czasach.

O tym, gdy w liceum przed lekcją wychowania fizycznego wkładała ciasne, elastyczne majtki, bo tylko takie przytrzymały boleśnie przerośnięte wargi sromowe mniejsze. Pamiętała te straszne, szybkie jak błyskawica chwile, gdy na to wkładała szerokie jak worki szorty, w których już bez obawy mogła wyjść na

parkiet sali gimnastycznej. Pamiętała też prymitywny śmiech kolegów, gdy na lekcji biologii rozmawiali o androgynii i ona, która nie bała się niczego, drżała ze strachu, że zaraz spojrzą na nią, będą wytykać ją palcami i przezywać hermafrodytą. Pamiętała dobrze swój pierwszy raz, kompletnie nieudany, na początku studiów, gdy Grzesiek Marcjański już po wszystkim zażartował sobie z jej „dolnej spódniczki”, a ją oblał straszliwy, palący rumieniec wstydu. Pamiętała bardzo dobrze, jak później nie zaznała żadnej przyjemności z Grzegorzem. Nawet nie chodziło o orgazm – po prostu na samą myśl o uprawianiu z nim seksu całe podniecenie wyparowywało. Dlatego z nim zerwała.

Próbowała jeszcze dwa razy z dwoma różnymi mężczyznami – przypadkowymi, co do których miała nadzieję, że z nimi się jej w końcu uda. Niestety, skutek był zawsze ten sam – żalony.

I pamiętała tę chwilę, gdy poznała Willema i wybuchła pomiędzy nimi namiętność. Jak się jej poddała i pozwoliła mu na większą poufałość. I znów nie czuła przyjemności, ale on się nie wycofał. Pewnej nocy wypowiedział słowa, które będzie pamiętała do końca życia.

– *All you need, is plastic surgery!*⁶

I jak potem, zdobywszy fundusze na jej zabieg, zabrał ją ze sobą do Utrechtu, do kliniki chirurgii plastycznej, gdzie starsza, miła lekarka zawyrokowała:

– *It's nothing strange. A common macronympha or sinus pudoris . A few women have that anatomical feature. We'll get it fixed!*⁷

Wróciła stamtąd szczęśliwa. I wkrótce wyszła za Willema. A potem było już tylko dobrze, a może coraz lepiej. Ich małżeństwo kwitło w leniwych rozmowach przy śniadaniu, wspólnym oglądaniu filmów i w wyjazdach na krańce świata, gdzie kochali się w nieoczekiwanych miejscach. Na wyżynach irańskich lub w puchowym śpiworze na Alasce.

– Kto o tym wie? – ponowił pytanie mąż.

Gośka odetchnęła głęboko i pocałowała go w czubek łysej głowy.

– Chodźmy na taras – powiedziała. – Muszę zapalić!

Stali tak przez chwilę i patrzyli na zakole rzeki i na dachy kamieniczek w Rynku Staromiejskim.

– Nigdy o to nie pytałeś. – Wypuszczała kłęby dymu. – To teraz ci powiem. Przed tobą miałam trzech mężczyzn. Najpierw był Grzegorz Marcjański. Głupi studencki romans. On wie na pewno o moim dawnym *sinus pudoris*. Podobnie jak ci dwaj, których nawet nie chcę wspominać. Oraz Ewa, z którą poszłam do ginekologa, a ten stary skurwysyn, co to robił skrobanki jedną po drugiej, w ogóle się mną nie zainteresował i wyśmiał moją rozpacz.

Spojrzała bystro na męża. W jej oczach nie było już śladów łez.

– Tamci dwaj... Nie wiem, nie chcę ich sprawdzać. Wolę o nich nie pamiętać. Może któraś z moich koleżanek z liceum lub ze studiów, z sekcji koszykarskiej? Staralam się to ukrywać, lecz może któraś coś widziała? Ale równie dobrze mogło to wyjść z gabinetu ginekologicznego – westchnęła. – Są ludzie, Wilku, którym się naraziłam. A oni mają wielkie możliwości. Nawet klinika w Utrechcie nie jest poza ich zasięgiem.

Zgasiła papierosa i napięła mięśnie ramion. Czuła siłę i taką koncentrację jak w dawnych czasach – gdy jako najlepsza koszykarka w szkole rzucała rzuty osobiste, trafiając dziewięć na dziesięć.

– Jeśli autor tego ohydneho filmiku myśli, że mnie złamie i porzucę sprawę Jaworowskiego, to się grubo myli. Wygramy ten proces!

Willem nie był pewien, czy dobrze zrozumiał żonę.

– Powiedziałaś „my”? – zapytał. – Jak to „my”? Przecież ja nie jestem adwokatem.

– Nie pomyliłam się, Wilku. – Poglaskała go po twarzy. – Pomożesz mi?

– A jak?

– Jesteś jedynym wyznawcą judaizmu na naszym uniwersytecie, prawda?

– Tak, owszem. – Willem lubił słowo „owszem”, o którym ktoś mu powiedział, że jest zbyt manieryczne i książkowe. – Formalnie, bo wiesz, że nie jestem religijny.

– Mówiłeś mi kiedyś – przerwała mu żona – że pokazywałeś gościom z Izraela, jakimś uczonym z Tel Awiwu, ślady kultury żydowskiej w naszym mieście. A nawet bywałeś z nimi na nabożeństwach w synagodze, tak?

– No... tak. Nudziłem się tam strasznie, niczego nie rozumiałem.

– Zachowałeś jakieś znajomości z tamtych lat? Pisziesz do kogoś? Do jakiegoś dziennikarza?

– Tak. Korespondowałem kiedyś z jednym z anglojęzycznej gazety. Chyba „Jerusalem Post”.

Gośka uśmiechnęła się, a potem pocałowała go w usta.

– Pomożesz mi? – wyszeptała.

Nie musiał nic mówić. Zobaczyła odpowiedź w jego spojrzeniu. A potem rozchylił jej szlafrok i pociągnął za sobą do łazienki. Tam oddali się sobie – po raz drugi w ciągu tej doby – z takim zapamiętaniem, jakby nie robili tego od lat.

6 Wszystko, czego potrzebujesz, to chirurgia plastyczna (ang.).

7 To nie jest nic dziwnego. Zwykła *macronympha* albo *sinus pudoris*. Niektóre kobiety mają taką anatomiczną właściwość. Naprawimy to! (ang.).

ROZDZIAŁ IX

W KRZAKACH JEŻYN

Ten dzień Ewa poświęciła rozpracowywaniu Huberta Engela. Siedzieli obok siebie z Michałem, ona zapisywała coś w notatniku, on – znając bardzo dobrze niemiecki – prześwietlał w sieci przeszłość Engela. Buszował po niemieckich stronach. Sprawdzał zainteresowania i poglądy polityczne jego biologicznego ojca, Günthera Engela, przedsiębiorcy budowlanego z Essen. Przeklinając dialekt Schwyzertüütsch i młodzieżowy slang, czytał dawne wpisy uczniowskie – wśród nich wypowiedzi Huberta – na forach internetowych szwajcarskich gimnazjalistów z miasta Chur.

W ciągu trzech godzin dowiedział się całkiem sporo na temat ostrych antyimigranckich wypowiedzi jego ojca, narzekań leniwego gimnazjalisty na to, że gnębi go nauczyciel matematyki, czy też nastoletnich peanów na cześć Eminema, ale wciąż nie wyszperał niczego, co by się przydało Ewie. Kiedy sytuacja wydawała się beznadziejna, znalazł jednak coś, co sprawiło, że krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach – filmik z Engelem na YouTube. Była to jego całkiem niedawna wypowiedź dla telewizji lokalnej.

Najpierw Michał sam wielokrotnie obejrzał nagranie, a później zaprezentował je szefowej. Nie ulegało wątpliwości, że głos szydzący z Godzilli i głos przystojnego restauratora oraz właściciela sklepów z alkoholem należał do tego samego człowieka.

Wibrujące „r” w głosie hejtera, słyszalne w wyrazie „środek” – „w środku cipa, na zewnątrz kutas” – było identyczne jak w wypowiedzi telewizyjnej Huberta Engela, który pytany, jak zamierza przeciwdziałać nabywaniu w jego sklepach alkoholu przez nieletnich, odpowiadał:

– Podejmiemy wszelkie niezbędne środki.

Identycznie i dziwacznie wymawiał samogłoskę nosową w wyrazie „konsekwencje” – jako „konsekwancje”. Tak właśnie było słycać – i w filmiku, wymierzonym w Gośkę, i w odpowiedzi na pytanie dziennikarza, czy nie oburza się, że młodzież na Wyspie Garbarskiej zachowuje się skandalicznie.

„W konsekwancji odgrywa się teraz na tych młodych, co chcą się radośnie kochać!” – to było słycać na filmiku. „Jeśli przekroczą prawo, to poniosą prawne konsekwancje” – mówił w lokalnej telewizji.

Ewa ucieszyła się niezwykle tym odkryciem Michała. Niestety, jej współpracownik szybko stłumił budzący się w niej entuzjazm. Uświadomił jej, że sama identyfikacja głosu nie wystarczy, by postawić Hubertowi Engelowi zarzuty o zniesławienie.

– To na nic. Powie, że ktoś komputerowo przerobił jego głos. *Deepfake audio* jest już znane w Polsce. – Spojrzał na ekran laptopa. – Na stronach Polskiego Radia znalazłem informację o wyłudzeniu pieniędzy z wykorzystaniem tej techniki. Do matki dzwoni syn i prosi o przelanie mu kasy na konto. Numer konta przesyła oczywiście SMS-em. Ona rozpoznaje głos i... traci pieniądze.

Michał zawsze lubił się popisywać swoją znajomością świata nowych mediów i technologii, a ona zawsze go cierpliwie słuchała, dzięki czemu przynajmniej nie była całkiem zielona w tych sprawach.

– Wyobraź sobie, że kiedyś oglądałem nawet bluzgającego „fuckami” Baracka Obamę. A potem Biały Dom wydał krótki komunikat: *Obama's deepfake voice*. Nie mówiąc już o różnych naśladowcach, których można zatrudnić...

Ewka ciężko westchnęła. No jasne, sprytny i zamożny biznesmen, którego stać na uruchomienie internetowej kampanii nienawiści na taką skalę, raczej nie dałby się tak łatwo złapać. Jej początkowy entuzjazm szybko zmienił się we frustrację. Zniechęcona, postanowiła poprawić sobie nastrój. Miała na to niezawodny sposób – dobre jedzenie.

Poszła do przytulnej restauracji Zaułek, w której serwowano przewidywalnie dobre polskie domowe jedzenie, czasami tylko dołączając do menu – dla inkrustacji

– dania mniej typowe. Jak choćby naleśniki ze szpinakiem i z serem gorgonzola, polane sosem grzybowym, które zamówiła dla siebie na miejscu oraz na wynos dla Michała.

Szefem tej małej restauracji i jednocześnie jedynym kucharzem był pan Henryk – przystojny, szpakowaty mężczyzna po pięćdziesiątce, który otworzył swój lokal koło sądu pięć lat wcześniej. Przez ten czas dorobił się sporej klienteli, składającej się z prawników oraz z międzynarodowej grupy pracowników pobliskiej korporacji, którzy zagustowali w polskiej kuchni. O właścicielu szeptano, że dla męskiej miłości porzucił stan duchowny i wraz ze swym przyjacielem prowadzi wspólne gospodarstwo domowe.

Ewa go lubiła – i z wzajemnością. Nie przepadała natomiast za Wową, ukraińskim kelnerem, który w odróżnieniu od Henryka był humorzasty. Niekiedy dwoił się i troił, jak na przykład teraz, w godzinach szczytu, gdy knajpa była pełna korpolutów; niekiedy zaś, zwykle po *rush hours*, zachowywał się, jakby czynił wielką łaskę, przyjmując zamówienie.

Henryk z wyrozumiałością tolerował dąsy swojego pracownika, obarczonego niepracującą żoną i trójką małych dzieci. W tych czasach niełatwo było o dobrego kelnera, choćby jego profesjonalizm zależał od pory dnia.

Ewa siedziała w rogu salki, czekając na swoje zamówienie, i wyłapywała – tak dla ćwiczeń językowych ze słuchu – angielskie wyrazy i zdania z rozmowy, prowadzonej przez dwóch Hindusów przy sąsiednim stoliku.

Po chwili straciła nią zainteresowanie, gdyż obaj ciemnoskórzy panowie poruszali jakieś kwestie informatyczne, co w połączeniu z ich specyficzną wymową sprawiało, że niewiele rozumiała. Rozglądała się zatem z nudów po dobrze sobie znanym, cichym wnętrzu, ozdobionym wielkimi pękami suszonych ziół i kwiatów oraz starannie postarzonymi okiennymi ramami.

Nie minęło dziesięć minut, gdy podszedł do niej z talerzem sam mistrz Henryk Masny.

– Dzień dobry, pani Ewo! – zawołał tubalnym głosem.

– A dzień dobry! – Uśmiechnęła się do niego.

Henryk postawił przed nią talerz, a kiedy sięgnęła po sztućce, zabrał go nagle z łobuzerskim uśmiechem.

– Coś za coś, pani Ewuniu. – Czarne oczy restauratora błyskały wesoło. – Ja pani dam jedzenie, a pani za to mi coś powie o mojej konkurencji, dobrze?

Nie czekając na odpowiedź, przysunął jej talerz i usiadł na krześle. Ze swą śniadą cerą wyglądał na południowca – Włocha, a może nawet na Araba, ale jego poplamiony sosami i zupami fartuch był żywym dowodem na to, że Henryk sam przygotowuje dania.

Ewa odkroiła kawałek naleśnika.

– W czym mogę pomóc? – zapytała.

Nie lubiła rozmawiać przy jedzeniu, zwłaszcza kiedy była bardzo głodna – tak jak teraz. Naleśniki były jednak gorące i musiała poczekać, aż wystygną, mogła więc poświęcić Henrykowi chwilę.

– Pani przyjaciółka mecenas Drewnowska broni teraz w głośnym procesie. Tym o podpalenie składowiska opon.

Ewa przypomniała sobie, że kilka razy zaciągnęła do Zaułka Gośkę, nie bez trudu zresztą, bo ta wolała kuchnię byłej stołówki policyjnej. Choć skrupulatnie unikały poruszania w lokalu szczegółów aktualnie prowadzonych spraw, to ich relacja zawodowa i przyjacielska była dla bystrego obserwatora, takiego jak Henryk, oczywista. Ponadto w małym Zaułku wszystko było słychać.

– Wiem, że częstym gościem na sali rozpraw w sprawie tego pożaru jest Hubert Engel – ciągnął restaurator. – Mówią, że w ten sposób wspiera psychicznie swojego ojczyrna. Nie lubię tego młodego gnojka, powiem szczerze. Chce otworzyć lokal niedaleko stąd, wie pani, na parterze dawnej zbrojowni, więc będę miał konkurencję pod nosem... – westchnął. – Dlatego chciałbym zapytać, czy pani mecenas Drewnowska dobrze go zna. A może go reprezentuje? Co on tam naprawdę robi na rozprawie? Jakie są jego plany? Wie coś pani na ten temat? Przepraszam, że tak zasypuję pytaniami, ale tak po starej znajomości...

W tej chwili podszedł do nich Wowa i dotknął ramienia szefa.

– Haniu, ile mamy schabowych? Bo znowu jest ta grupa Szwedów.

– Już idę – rzekł właściciel do kelnera i spojrzał błagalnie na Ewę. – Mogę do pani zadzwonić w tej sprawie?

– Tak, oczywiście! – zapewniła. – Powiem panu, ile mogę.

Henryk kiwnął jej głową i wstał od stolika. Był zbyt kulturalny i przenikliwy, by rzucić: „Nie musi pani płacić za obiad, to gratis od firmy”. Wiedział, że nie przyjęłaby takiego podziękowania, lecz z pewnością ucieszy się z dobrego rabatu na wigilijne potrawy, które od dwóch lat u niego zamawiała.

Ewa podniosła widelec do ust i nagle jej ręka zastygła w połowie drogi, jakby tknięta paraliżem.

Właśnie do niej dotarło, że w osobie Huberta Engela łączą się obie sprawy Goški. Jej najlepsza przyjaciółka broni człowieka, którego pasierb organizuje na nią internetową nagonkę jako na „Godzillę z kutasem”. Jeśli Engel rzeczywiście wspiera ojczyma podczas procesu, zapewne mają dobre relacje i Banaszczyk musi wiedzieć o jego ataku na swoją adwokatkę. Niewykluczone, że nawet sam sfinansował tę armię trolli obrzucających Goškę błotem! Tylko po co miałyby to robić? Raczej powinno mu zależeć na tym, by nic nie odciągnęło uwagi mecenas Drewnowskiej od sprawy składowiska.

Na to pytanie Ewa nie umiała znaleźć odpowiedzi, odkryła za to jeszcze jeden punkt łączący Banaszczyka, Engela i Goškę: żonę, matkę i koleżankę.

– Beata była razem z nią w sekcji koszykarskiej w liceum i być może zauważyła to, co Goška starała się ukryć – szepnęła do siebie, odkładając widelec.

– Skąd nastolatka miałaby wtedy wiedzieć o przeroście warg sromowych? Raczej nikt nie mówił o tym na lekcjach biologii, za to o hermafrodytyzmie owszem. Mogła wziąć to za cechę hermafrodytyczną! I może, choćby przypadkiem, wspomniała o tym swojemu synowi?

Jedno było dla Ewy pewne: teraz musiała wyjaśnić obydwie sprawy. Czy Ireneusz Banaszczyk wie o akcji pasierba przeciwko Gošce? Czy matka Huberta

Engela zna prawdę o jej dawnej anomalii anatomicznej?

Na te pytania mogła odpowiedzieć jedna tylko osoba.

Ewa wyjęła telefon i wyszukała adres zakładu kosmetycznego Beaty Engel-Banaszczyk, a potem wyszła bez słowa.

Ku strapieniu Henryka nie zjadła dzisiaj naleśników, a Wowa – rozzłoszczony jak osa – musiał na polecenie szefa zanieść obiad jakiemuś freakowi, który ledwo raczył mu podziękować, nie mówiąc już o jakimkolwiek napiwku.

*

W drodze do zakładu kosmetycznego Nenufar Ewa zatelefonowała dwa razy i obu rozmówcom zadała to samo pytanie: czy Ireneusz ma dobre relacje z Hubertem?

– Bardzo dobre, sądząc po zdjęciach na Facebooku – powiedział Michał. – Dwa miesiące temu byli na rejsie żeglarskim na Karaibach. Na zdjęciach Banaszczyk i Engel objęci, z szampanem w dłoniach. Najlepsi kumple!

– Nie wiem – odparła Gośka Drewnowska. – Później powiesz mi, dlaczego pytasz. Muszę kończyć. Przepraszam, mam przerwę w rozprawie Jaworowskiego.

I rozłączyła się, zanim Ewa zdążyła wypytać ją o Beatę.

Udało się jej dojechać do północnej dzielnicy Kostynice jeszcze przed korkami. Siedząc za kierownicą, czuła wielką przyjemność, ból pleców już prawie minął. Świeżo wyremontowana corolla w kolorze cappuccino pachniała ulubionym przez nią zapachem nowego auta. Mechanicy policyjni, znając z dawnych czasów jej gust, zrobili miłą niespodziankę i przywiesili do lusterka małe kartonowe drzewko z napisem *new car*.

Kostynice były zielonym, spokojnym i prestiżowym osiedlem na północy miasta, gdzie stare domy sąsiadowały z ultranowoczesnymi willami, choć sama nazwa bywała nieco problematyczna, zwłaszcza dla przyjezdnych. Istniały bowiem jedne Kostynice, czyli piąta – obok Południa, Starówki, Chorążówki i Karpin – dzielnica miasta, oraz drugie – czyli willowe osiedle, leżące na obrzeżach tejże dzielnicy. Dla odróżnienia pierwsze nazywano kiedyś Wielkimi, drugie – Małymi.

Oba te określenia usiłowali wykorzystać agenci biur obrotu nieruchomościami. By podbić ceny mieszkań, dokonywali sprytnej manipulacji na kupujących, którzy nie znali realiów miasta, i nazywali Kostynicami wszystko, co leżało w granicach wielkiej dzielnicy.

I tak na przykład reklamowano „wspaniałą inwestycję na prestiżowych Kostynicach”, jakby nie zauważając, że mieszkania te wybudowano obok parterowych murowanych baraków socjalnych, gdzie lepiej było nie zapuszczać się po zmroku. Również to ponure miejsce, zwane przez tutejszych Bronksem, nazywano w ogłoszeniach Kostynicami, choć z pięknym osiedlem willowym miało tyle wspólnego, co Paryż – wieś w gminie Żnin – ze stolicą Francji.

Inwestorzy spoza miasta nie dbali o takie szczegóły. W dobie gigantycznego popytu na nieruchomości płacili dużo, bo i tak nabyte mieszkania zamierzali wynajmować, a studenci – jak powszechnie wiadomo – nie przejmują się niewygodnym sąsiedztwem.

Zakład kosmetyczny Nenufar mieścił się na skraju tych dobrych Kostynic, w małym apartamentowcu z podziemnym garażem, jakich wybudowano tutaj kilka, w czasach gdy szef Departamentu Zagospodarowania Architektonicznego Urzędu Miejskiego – skazany później na trzy lata więzienia za korupcję – przez palce, a właściwie przez stosy banknotów patrzył na jawny gwałt dokonywany na starej, tradycyjnej tkance przestrzennej miasta.

Na parterze tego budynku mieścił się sklep z pieczywem pod szyldem Chlebodajnia, mała prywatna przychodnia stomatologiczna, zwana z grecka Odontos, oraz zakład kosmetyczny Nenufar.

Choć Ewa z centrum na Kostynice jechała tylko dziesięć minut, to kolejne dziesięć zajęło jej znalezienie miejsca do parkowania. Uliczki były tu wąskie z powodu stojących po jednej stronie aut, przez co jadący kierowcy musieli organizować swoisty ruch wahadłowy. Kiedy już zauważyła jakieś wolne miejsce, okazywało się wjazdem na posesję i tylko dzięki wybitnym umiejętnościom parkowania „na zatoczkę” udało się jej w końcu wcisnąć pomiędzy dwa

samochody, pozostawiwszy sobie odległość po dwadzieścia centymetrów od zderzaka każdego z nich.

W zakładzie kosmetycznym były dwie klientki. Jedna – o tuszy Gośki, lecz wzrostu zdecydowanie niższego – siedziała przy stoliku i patrzyła, jak manikiurzystka lakierem hybrydowym pokrywa jej paznokcie. Druga spoczywała na miękkich poduszkach po przeciwnej stronie sali na podwyższeniu i moczyła stopy w wypełnionej wodą waniencie, wbudowanej w podłogę. Pedikiurzystka siedziała obok niej i czekała, aż woda zmiękczy skórę klientki.

Wszystkie sprzęty i ściany były białe. Jedyne w centralnym miejscu każdej z nich pyszniły się obrazy z ogromnymi żółto-różowymi kwiatami.

Wszystkie cztery kobiety, zajęte ożywioną rozmową, nawet nie zauważyły wejścia Ewy. Dopiero kiedy im przerwała, pytając o szefową, manikiurzystka zapytała, czy przybyła jest z nią umówiona. Ewa potwierdziła zgodnie z prawdą, że spotkanie uzgodniła telefonicznie. Została zaprowadzona na zaplecze, gdzie czekała na nią Beata Engel-Banaszczyk.

Przyjęła ją z miłym uśmiechem i z kurtuazyjnym zapytaniem, czy tak świetna współpracowniczka „kochanej pani mecenas”, która broni jej męża, ma ochotę na kawę i kawałek domowego ciasta. Ewa zgodziła się i na napój, i na poczęstunek.

Kiedy Beata włączała ekspres, Ewa przez chwilę się zastanawiała, czy zachowanie jej gospodyni nie jest sztuczne i nadmiernie słodkie. Nie wyczuła tu jednak fałszywej nuty. Już w czasie rozmowy telefonicznej pani Engel-Banaszczyk była bardzo zaaferowana faktem, że mecenas Drewnowska chciałaby przez swoją pełnomocniczkę Ewę Skoczek wyjaśnić pewną przykrą dla jej męża sprawę.

Beata podała Ewie na porcelanie Rosenthala duży kawałek ciemnego ciasta, które niepoprawnie politycznie nazywała murzynkiem. Ewa odkroiła kawałek widelczykiem i wypięła łyk świetnej kawy z gęstą pianą.

Szefowa salonu kosmetycznego patrzyła na nią z nieukrywanym napięciem. „Przykra sprawa”, o której Ewa powiedziała przez telefon przed godziną, nie dawała Beacie spokoju.

Zmarszczka zafrasowania rozcinała wpół jej czoło, dodając lat. Miała podkrążone oczy, co było zastanawiające u kosmetyczki, która doskonale wie, jak maskować takie skórne problemiki.

„Przeżywa trudne chwile... A może za dużo pije?” – nagle przeszło przez myśl Ewie.

Beata była wysoką kobietą, ubraną gustownie w białą dopasowaną bluzkę i w prążkowane czarne spodnie. Na jej niedużych piersiach spoczywał spory liliowy ametyst oprawiony w stare złoto.

– Sprawa jest rzeczywiście przykra, pani Beato – zaczęła i podsunęła swej rozmówczyni tablet.

Dotknęła przycisk i uruchomiła filmik o kopulującej Godzilli.

Beata była wstrząśnięta.

– Co za podłość! Co za świństwo! – krzyknęła, obejrzawszy materiał. – Kto to mógł zrobić? Jaka świnia?

Ewa obserwowała uważnie Beatę. Ta była czerwona z oburzenia. Gdyby udawała, musiałaby się wznieść na wyżyny sztuki aktorskiej godne Oscara.

– Zanim odpowiem, kto to zrobił, proszę mi coś powiedzieć. Gdyby tak ktoś chciał pani dokuczyć i zamieścićby jakiś szkalujący filmik, na którym miałyby pani garb, to co? Też by się pani oburzyła? Chyba nie... Przecież nie ma pani garbu.

– No nie... – odparła niepewnie właścicielka salonu. – Uznałabym to za idiotyzm i machnęła na to ręką.

Spojrzała przez okno na podwórko, przez które zmierzał mężczyzna w krótkim trenczu dźwigający papierową torbę z napisem „Chlebodajnia”. Pomachał jej ręką, a ona zrobiła smutną minę, jakby szukała u niego pomocy przed przenikliwymi pytaniami, które zaraz padną.

– To dlaczego uznała pani za szczyt chamstwa ten hejt na mecenas Drewnowską? Czyżby pani mecenas była obojnakiem i miała członek?

– Tu nie chodzi o to. – Beata zaczęła bardzo szybko mówić. – To nie to, że ten chamski film pokazuje seks... Ale Godzilla... Gosia była bardzo czuła na punkcie

tego przezwiska.

– Gosia może i jest nadal czuła, gdy ktoś ją tak przezywa. Ale wie pani, co wtedy Gosia robi? Wali w mordę i się nie przejmuje. Jeśli ktoś chciał jej dopiec, to nie przezwiskiem, lecz właśnie tym członkiem. – Urwała i patrzyła uważnie na swą rozmówczynię. Ta była wyraźnie zmieszana. – A ten penis na filmiku to panią nie oburza? Nic a nic?

Beata była coraz bardziej zdenerwowana. Ewa uznała, że to dobry moment do frontalnego ataku.

– Nieładnie, pani Beato – powiedziała cicho. – Wie pani, kto stoi za tym filmikiem? Wie pani, kto obrzuca Gosię w internecie błotem? Hubert Engel. Mówi coś pani to nazwisko?

W oczach szefowej salonu zabłyśły łzy.

– Tak to wygląda. – Ewa jeszcze bardziej ściszyła głos. – Wyprosiła pani, wybłagała swoją dawną koleżankę, żeby wzięła dętą sprawę pani męża. Gosia zrobiła to tylko dla pani. Wzięła Ireneusza pod opiekę, a wraz z nim całą pani rodzinę. I jak się odwdzięczacie? Pani syn obsmarowuje ją w internecie ohydnyymi filmikami!

Beata zaczęła płakać. Ewa spokojnie dokończyła murzynka.

– Albo mi pani teraz powie, czy coś wie na ten temat, albo wychodzę. I zapewniam panią, że wtedy Gosia zrezygnuje z reprezentowania pani męża, a dobrze pani wie, że nikt inny się tego nie podejmie...

Beata sięgnęła do szuflady i wyjęła okrągłe papierowe pudełko z chusteczkami higienicznymi. Na pudełku przedstawiony był wielki nenufar.

– Widziałam kiedyś – pociągnęła nosem i zaczęła szeptać – po treningu koszykówki... Kapałyśmy się... pod prysznicem. Weszłam do jej kabiny, bo zabrakło mi mydła... i zauważyłam to między jej nogami... Wycofałam się, Gosia mnie chyba nie widziała. Spłukiwała szampon i miała oczy zamknięte. – Wytarła raz jeszcze nos i wrzuciła chusteczkę do kosza. – Ten widok utkwił mi w pamięci,

ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nigdy o to nie pytałam i nikomu o tym nie mówiłam.

Patrzyła Ewie prosto w oczy – szczerze i bez zmrużenia powiek.

– Nigdy – powtórzyła z naciskiem. – A już zwłaszcza Hubertowi. Zdenerwowałam się, oglądając ten filmik, bo wiedziałam od czasów tamtego prysznic, że z Gosią coś jest nie tak... tam na dole. Ale potem wszystko chyba było okej. Przecież ma męża, wygląda na szczęśliwą. Dzisiaj kobiety nie muszą się tym martwić, zwłaszcza zamożne. Operacja plastyczna i po sprawie. Tak mi się zdaje...

Milczała przez chwilę, a Ewa wpatrywała się w nią jak hipnotyzerka. Beata poruszyła się nerwowo i zmięła w dłoni kolejną chusteczkę.

– To nie ja powiedziałam Hubertowi o tej przypadłości. To nie ja, przysięgam! – zawołała. – Nikomu bym o tym nie powiedziała. Zwłaszcza jemu!

Wyglądało na to, że mówi prawdę, ale Ewa w swoim policyjnym i detektywistycznym życiu nie takich szczerych kłamców widywała.

– Przysięgła pani, że nikomu by o tym nie powiedziała, tak?

– Gosia jest świetną dziewczyną! – ciągnęła wciąż roztrzęsiona właścicielka salonu. – Kiedy zaszłam w ciążę pod koniec drugiej klasy liceum, broniła mnie jak lwica, była przewodniczącą samorządu uczniowskiego. Nasza dyrektorka była wredną suką, robiła wszystko, żebym odeszła ze szkoły. Gośka jej nawrzucała. Miała przeze mnie nieodpowiednie zachowanie i niemal wyleciała ze szkoły!

Ewa wciąż nie spuszczała z niej przenikliwego spojrzenia. Miała całkowitą pewność, że Beata mówi prawdę. Co więcej, wiedziała, że scysja z z dyrektorką miała dla jej przyjaciółki znaczenie wręcz formacyjne. To właśnie wtedy Gośka postanowiła, że zawsze będzie bronić ludzi niesłusznie uciskanych i poddawanych opresji. I podjęła decyzję o kierunku studiów i o swoim przyszłym zawodzie. Ewa potrząsnęła głową, jakby odrzucając wspomnienia.

– A dlaczego nie powiedziała pani o tym „zwłaszcza Hubertowi”?

Kobieta upiła łyk stygnącej już kawy i skubnęła widelczykiem ciasto. Zaczęła je równo kroić na talerzu.

– Bo Huberta chyba ciągnie do dziwnych... dziwnych rzeczy... – Pociągnęła nosem. – Marzyłam o tym, żeby Hubert pokochał swojego ojczyma... Na początku było to bardzo trudne, jednak chyba się udało... Chyba tak jest. Są dobrymi kumplami. Irek, zapewniam panią, zapewniam, przysięgam... na pewno nic wie nie o tym oczernianiu Gosi przez Huberta. – Otarła palcem łzę, która znów wypłynęła jej na policzek. – To bardzo przykre, ale ostatnio Hubert się zmienił i wiele ukrywa przed Irkiem. Ktoś zaczął sprowadzać go na złą drogę. I to są właśnie owe dziwne rzeczy, o których wspomniałam.

Ewa skrzywiła się w duchu, słysząc całą pretensjonalność tej wypowiedzi. Zabrzmiało to jak zdanie z opery mydlanej niskich lotów.

– Hubert ma jakieś zboczone fantazje, pani Ewo. Bardzo mi trudno o tym mówić.

Detektyw zastygła w milczeniu. Czekwała.

– Dwa, może trzy lata temu poznał pewnego faceta i zrobił z niego cichego wspólnika. Ten facet jest w moim wieku, ma bardzo dużo pieniędzy i bardzo imponuje Hubertowi... I go zdeprawował!

Ewa z trudem powstrzymała się od komentarza, że dwudziestopięcioletniego mężczyznę trudno już zdeprawować. Beata przypominała jej te wszystkie matki łapanych przez nią niegdyś bandziorów, które krzyczały: „To nie mój kochany synek jest winny, to wszystko przez jego kolegów!”.

„W sumie też taka jestem – pomyślała po chwili. – Przecież sama uważam, że to nie Natalia się upiła na studniówce, tylko koleżanka wlewała jej wino do gardła...”

– Znam tego faceta. – Beata przerwała jej te gorzkie rozmyślania. – Bywał u nas, miał mój numer telefonu... – Westchnęła ciężko i już nie kroїła, lecz rozgniatła ciasto na talerzyku. – Ten facet pomylił się kiedyś i zamiast Hubertowi

wysłał coś mnie... Miał nasze nazwiska zapisane w telefonie obok siebie. Engel obok Engel-Banaszczyk. I się pomylił... Zdarza się...

Sięgnęła do szuflady po komórkę. Długo czegoś szukała w pamięci telefonu. W końcu to znalazła.

Podsunęła Ewie pod oczy dużego, zgrabnego iPhone'a.

Na ekranie wyświetlił się filmik pornograficzny. Widać było wypięte kobiece pośladki. Nagle zbliżyło się do nich męskie przedramię porośnięte gęstym włosem. W dłoni mężczyzny tkwiła strzykawka wypełniona białym płynem.

– Zobacz, Hubi, mam tu mleczo... – dochodził głos z offu. – I wpompuję je w jej dupkę. No, sam zobacz!

Końcówkę strzykawki wcisnął pomiędzy pośladki.

– A potem, jak już ją napompuję, to będzie strzykać jak fontanna, wiesz, Hubi? Załatwić ci taką dziewczynę? Chcesz?

Filmik się na szczęście urwał. Ewa pokręciła głową z wyraźnym niesmakiem. W czasie pracy w policji widziała o wiele bardziej wstrząsające i ohydne materiały, na przykład pornografię dziecięcą, sadystyczną czy zoofilną. Ale ten głos na filmiku był pełen wstrętnej, koprofagicznej lubieżności, przylepiającej się jak cukier i śmierdzącej jak kloaka.

Być może ta pornograficzna scenka nie zrobiłaby na niej tak wielkiego wrażenia, gdyby nie to, że wiedziała, do kogo należy ten głos.

Nie musiała nawet pytać Beaty, jak się nazywa zboczeniec, który który zdeprawował rzekomo biednego, niewinnego dwudziestopięciolatka. Znała go bardzo dobrze i omijała szerokim łukiem.

*

Gdy sekretarka Czesława Zbroińskiego, prezesa rady nadzorczej firmy doradczej Clever Consulting, pochylała się i nalewała Ewie Skoczek wody gazowanej do szklanki, ta obserwowała jej pośladki opięte szarą spódnicą. Czyniła to wcale nie

dlatego, że nagle obudziły się w niej jakieś homoerotyczne ciągoty. Zastanawiała się, czy to właśnie ta kobieta jest bohaterką filmu o mleczku.

– Za chwilę pan prezes panią poprosi – powiedziała sekretarka wysokim, jakby dziecięcym, głosem i usiadła za swoim biurkiem.

Ewa była bardzo zadowolona z rozmowy z Beatą. Dobry nastrój ogarnął ją jednak tylko dlatego, że wpadła na nowe tropy w sprawie. Postanowiła teraz, czekając na audiencję u szefa Clever Consulting, podsumować wypadki dnia.

Już wiedziała, że Banaszczyka łączą z Hubertem bliskie stosunki, nie знаła jednak odpowiedzi na pytanie, czy szef spalonego składowiska znał i aprobował hejt na Gośkę, wzniecony w sieci przez Engela. Beata zapewniała, że Irek nic o tym nie wie, ale Ewa nie bardzo wierzyła tym zaprzeczeniom i wolała zadać to pytanie mężczyźnie, z którym przez prawie trzy lata studiowała w jednej grupie – dopóki nie urodziła Natalii i nie poszła na urlop dziekański.

Sądziła, że ze względu na stary sentyment, jakim Czesław niegdyś ją darzył, udzieli jej na to pytanie choćby częściowej odpowiedzi. Utwierdzał ją w tym przekonaniu przebieg wypadków po wyjściu z salonu Nenufar. Gdy zadzwoniła pod prywatny numer Czesława, ten zgodził się ją przyjąć natychmiast.

Była bardzo podekscytowana tym, że odkryła związki Huberta Engela z jedną z najbardziej tajemniczych i niebezpiecznych – jak sądziło wielu – osobistości miasta. Znajomość właściciela Bonobo ze Zbroińskim, znanym bon vivantem i sybarytą, była czymś więcej niż oficjalną, a może i nieoficjalną, spółką biznesową. Oferowanie młodemu mężczyźnie przez znanego satyra dziewczyn poddających się wyszukanyemu praktykom świadczyło, że ich zażyłość jest bardzo ścisła.

Dokonała też dzisiaj jeszcze jednego ważnego odkrycia: Beata znała dawną anatomiczną osobliwość Gośki. Choć Ewa w tym wypadku nie wątpiła w przysięgi Banaszczykowej, to nie mogła jednak wykluczyć, że ta przyczyniła się jakoś, świadomie lub nie, do powstania filmiku, który – tego Ewa była pewna – dotknie jej przyjaciółkę do żywego.

Drzwi do gabinetu prezesa właśnie się otworzyły i wyszedł z nich starszy, siwowłosy mężczyzna. Obwisła skóra na twarzy upodabniała go do leciwego buldoga, a intensywna woń perfum – do starej burdelmamy. Spojrzał powłóczyстым wzrokiem na sekretarkę i zerknął na Ewę, po czym powiedział coś po niemiecku do prezesa, a ten odezwał się słodko do sekretarki:

– Zamów, Karolciu, taksówkę dla pana dyrektora. A ty, Ewciu – zwrócił się do niej i słodycz jego głosu stała się jeszcze bardziej lepka – wejdź, proszę.

Niemiec coś powiedział i zaśmiał się lubieżnie. Ewa właściwie nie znała języka Goethego, ale z wypowiedzi gościa Zbroińskiego zrozumiała tylko „*schöne Frau*” i „*mein lieber eslaus*”. Reszty się domyśliła. Zapewne Niemiec powiedział:

– Nie przejmuj się mną. Zajmij się piękną kobietą, drogi Czesławie!

„Jeśli to o mnie – pomyślała ze wstrętem – to ten komplement brzmi jak słodkie mleko tryskające z dupy”.

Po chwili siedziała już w gabinecie Czesława, a jego gość przekomarzał się za drzwiami z sekretarką. Dziewczyna mówiła płynnie po niemiecku. Najwyraźniej nie została przyjęta do pracy tylko ze względu na zgrabne pośladki, choć i tej motywacji Ewa – odkrywszy dzisiaj ciemną stronę Czesława – wykluczyć nie mogła.

Jeszcze nigdy tu nie była i rozejrzała się z zainteresowaniem po gabinecie. Został urządzony bardzo ascetycznie i na pozór skromnie, ale Ewa była pewna, że do kompletu, który stanowiły biurko, fotel, stolik, kanapa i szafa na dokumenty, była niegdyś przyczepiona metka z dużą, pięciocyfrową liczbą. Nie wisały tu żadne, tak natrętne w bogatych biurach, abstrakcyjne obrazy. Jediną ozdobą ścian pomalowanych na kolor jasnoszary była pięknie odnowiona stara biała stolarka drzwiowa i okienna. Szefa Clever Consulting najwyraźniej nic nie mogło rozpraszać.

Uśmiechał się do niej radośnie, jakby czekał, że zaraz zaczną snuć studenckie wspomnienia. Postanowiła szybko rozwiązać te nadzieje.

– Darujmy sobie opowieści z dawnych lat. – Uśmiechnęła się. – Mam do ciebie ważną sprawę dotyczącą Huberta Engela.

Zbroiński wstał zza biurka. Przez grubą szybę, która – zamiast nóg – z trzech stron podtrzymywała ten mebel, Ewa widziała nogawki jego spodni opadające na buty, których cena zapewne zapewniłaby miesięczny wikt rodzinie Sikorów.

– Chodź, Ewcia, usiądziemy sobie tutaj. – Wskazał na kanapę. – Jak starzy kumple z roku, nie jak prezes i petentka. To jakaś ważna osobista sprawa, prawda?

Przesiadła się niechętnie, a on zajął miejsce tuż koło niej. Poczowała perfumy Toma Forda.

Nigdy się jej nie podobał. Był zbyt nalany – tak na granicy, poza którą już można mówić o nadwadze. Głowę miał wielką i podłużną, z mocno przerzedzonymi włosami, zaczesanymi do góry. Dwadzieścia lat temu miał ich więcej, ale zawsze czesał się w dziwny, staromodny sposób. Pewnie dlatego – w mniemaniu wielu – pasowało do niego jego równie staromodne imię. Oczywiście wszyscy na roku na początku z niego trochę drwili, lecz szybko się zorientowali, że nie robi to na nim żadnego wrażenia. Zachowywał się tak, jakby był dumny z imienia, a tych, którzy próbowali je zdrabniać, zawsze poprawiał – wołał być Czesławem niż Cześkiem. „Jestem Czesław” – uśmiechał się, poprawiając palcami fryzurę. Spojrzała na jego porośnięte włosami dłonie. Przypomniała sobie, jak na filmiku trzymał w nich strzykawkę wypełnioną mlekiem, i natychmiast oprócz jego perfum poczuła smród ekskrementów.

Przełknęła ślinę. Zdecydowanie zbyt blisko niej siedział w samej koszuli i w tym swoim ręcznie tkanym krawacie.

– Hubert Engel jest twoim przyjacielem – powiedziała. – Bardzo bliskim... Podsyłasz mu dziewczyny tryskające mlekiem z tyłka.

Urwała. Twarz Zbroińskiego ani drgnęła, wciąż uśmiechał się uprzejmie. Nawet oczu nie zmrużył. Wyglądał, jakby słuchał komplementów na temat urządzenia swego gabinetu.

– Widziałam filmik, poznałam twój głos.

– Głos można zawsze podrobić, Ewcia.

– Nie, nie podrobiłeś. Pomyliłeś się i kliknąłeś nie to nazwisko, wysyłając SMS-a. Zboczony filmik dostała Beata, nie jej syn Hubert.

Zdobyła punkt. Zbroiński podjął hipotezę o *deepfake voice* subtelną i zawoalowaną próbę obrony, przez co pośrednio się przyznał do swych perwersyjnych rozrywek.

– Wiem, dlaczego Hubert oczernia w internecie Gośkę: walczy o swoje sklepy, a sprawa Jaworowskiego zagraża jego interesom. Szum wokół Wyspy Garbarskiej im nie służy. – Spojrzała na jego zegarek ze złotą bransoletą, wystającą spod rękawa śnieżnobiałej koszuli. – Pytanie, czy Banaszczyk wie, kto stoi za hejtem na Gośkę. Dlatego tu jestem, Czesławie. Przyszłam po prośbie... Pytam cię jako dawnego kumpla z roku oraz przyjaciela Engela: ile wie Banaszczyk?

Zbroiński rozparł się wygodnie na kanapie, przez co wyraźnie nad paskiem odznaczył się jego brzuch. Stanowczo miał zbyt opiętą koszulę.

Już się nie uśmiechał.

– Dlaczego miałbym ci o tym mówić? Może mam twoją wzmiankę o tym filmiku potraktować jako groźbę? Szantaż?

– Daj spokój. Ja miałabym cię szantażować? Jesteś zbyt przenikliwy, szybko byś rozbroił każdą taką próbę.

Pochlebstwo nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Wciąż przyglądał jej się spod lekko przymrużonych powiek.

– Coś za coś, Czesławie. – Upiła trochę gazowanej mineralnej. – Ty mi odpowiesz na moje pytanie, a ja prześwietlę twoją byłą żonę. Może dowiem się czegoś ciekawego, co ci się przyda w twojej *never ending story*, bo sprawa wciąż wraca na wokandę.

Spodziewała się, że ten cios trafi w cel. Wiedziała od dawna od Gośki, jak strasznie toksyczny i wyniszczający był rozwód Czesława i Dagmary, która nieustannie wymyślała jakieś powody, by dręczyć znienawidzonego eksmęża.

Wciąż wytaczała przeciwko niemu działa: a to chciała ograniczyć mu kontakty z nastoletnią córką, oskarżając go o pedofilię, a to żądała podwyższenia alimentów.

– Dlaczego twoja oferta „coś za coś” miałyby mnie zainteresować? Prześwietlenie mojej byłej mogę zlecić każdemu innemu detektywowi w tym mieście.

Była przygotowana na tę ripostę. Zablefowała.

– Ale może ja jestem lepiej zorientowana w sprawach toczonych przez różnych adwokatów?

Czesław pochylił się ku Ewie, opierając łokcie na kolanach.

– Zapamiętam twoją ofertę, Ewcia. Powiem ci... Powiem wszystko o Engelu i Banaszcyku. I wcale nie poproszę o wzajemność.

Wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem po swoim gabinecie.

– Bywam u nich często – zaczął, nie patrząc na nią. – Znam dobrze Irka, Beatę i Huberta, choć oczywiście ten filmik oraz *deepfake voice*... nie będzie żadnym argumentem za moją przyjaźnią z młodym.

Usiadł za biurkiem. Przez szybę widziała jego szare spodnie w brązową kratkę i kolorystycznie dopasowane skarpetki.

– Tak, Ireneusz wie, że Gośka występuje przeciwko interesom Huberta. Wspiera zresztą finansowo i jego samego, i filmiki o Godzilli. Działa dwutorowo. – Wzruszył ramionami. – To normalne w biznesie. Oczywiście, że chce wygrać sprawę o podpalenie, ale jeśli Marcjański zlikwiduje alkohol wokół Wyspy, to uderzy w interesy jego pasierba. A że Gośka ma pecha i łączy obie te sprawy? Trudno. – Uśmiechnął się. – Ireneusz potrafi to oddzielić.

Rozparł się wygodniej na fotelu i zastukał palcami o blat.

– Wiesz, robię to tylko dla ciebie, Ewcia. Ważniejsza jest dla mnie nasza przyjaźń niż Engel.

Ewa pomyślała, że to wszystko jest kłamstwem, a słowo „przyjaźń” – jaskrawym nadużyciem.

– Ja ci mogę powiedzieć dużo, dużo więcej. – Odchylił się na fotelu. – Duuużo więcej! Bo pracuję dla kogoś, kto jest związany z całą tą sprawą podpalenia. Ale mnie obowiązuje zasada poufności i milczenia. Lecz dla ciebie mogę ją złamać...

Tym przedłużeniem samogłoski „u” przypomniał jej niedawne popiskiwanie Roberta: „Buuuziak, buuuziak!”.

Zrobiło się jej niedobrze.

Za chwilę poczuła już prawdziwe mdłości. Stało się to wtedy, gdy Czesław nieoczekiwanie włożył rękę pod stół i chwycił się za krocze. Widziała to dokładnie poprzez grubą szybę przytrzymującą blat biurka.

– A ty mi się odwdzięczysz, co, Ewcia? Tak jak wtedy podczas studiów na obozie, wśród krzaków jeżyn, pamiętasz? – Masował się po kroczu. Najwyraźniej doznawał erekcji. – Ty klęczałaś, a ja zaszedłem od tyłu. Jeżyny nas drapały, gdy wchodziłem w ciebie przez tylną bramę. A potem eksplodowałem z rozkoszy. Chodź, moja słodka, Zapoznasz się z moją strzykawką z mlekiem...

Ewa wstała z płonąca twarzą. Znała tego gnoja, ale chyba nie dość dobrze, bo tego się jednak po nim nie spodziewała.

– Brak mi słów, Cesiek – syknęła. – Zwal sobie gruchę, Cesiek, myśląc o mnie! Bo jedyne, co z tobą mogłam kiedyś i mogę robić teraz, to występować w twoich fantazjach.

– Jak zawsze ostra. – Czesław zdjął rękę z krocza. – Ostra jak brzytwa.

Ewa zatrasnęła drzwi z dziką wściekłością.

Nienawidziła zdrobnienia „Ewcia”. Prawie tak samo jak on formy „Cesiek”.

ROZDZIAŁ X

WERDYKT

Mecenas Drewnowska nie mogła przestać myśleć o nieoczekiwanych powiązaniach, które odkryła przyjaciółka. Następnego dnia, po wysłuchaniu raportu Ewy, wpadła jak bomba do salonu kosmetycznego Nenufar, gdzie akurat zastała oboje Banaszczyków. Zażądała od nich wyjaśnień na temat kampanii nienawiści rozpętanej przez Engela.

Jak się Gośka mogła spodziewać, Ireneusz wszystkiego się wyparł. Jako dowód swojej dobrej woli złożył solenną obietnicę, że zażąda od pasierba zlikwidowania wszelkich materiałów internetowych szkalujących panią adwokat. Obietnice męża histerycznie potwierdzała żona, co zresztą w Drewnowskiej budziło głęboki niesmak. Powołując się na dawną przyjaźń, Beata ze łzami w oczach błagała ją o wybaczenie. Gośka nie mogła uwierzyć, że ta wciąż atrakcyjna kobieta tak kurczowo się trzyma starzejącego się nieudacznika, który ją zdradza z prostytutkami, ale mimo wszystko wciąż jej ufała – za to jej mężowi ani za grosz.

Była zbyt doświadczoną osobą i zbyt dobrze się znała na ludziach, by uwierzyć w obietnice właściciela składowiska. Zdawała sobie sprawę, że te nic nie kosztują, a w dodatku nie mają mocy sprawczej. Jeśli się okaże, że hejt kwitnie w najlepsze, Banaszczyk i tak zwali winę na pasierba. Wiedząc o tym, Gośka dała mu tydzień na wygaszenie internetowego ataku Huberta. Jeśli on nie dotrzyma słowa, ona zrezygnuje z prowadzenia sprawy. Już kiedy to mówiła, czuła, że jest to pusta groźba.

Po pierwsze, wciąż w głębi ducha uważała, że powinna się odwdzięczyć Beacie za starą sprawę, po drugie zaś, zdawała sobie sprawę, że jej rezygnacja byłaby na rękę Czesławowi Zbroińskiemu.

To była tylko intuicja – argumenty za taką tezą miała dość wątle. Opierały się one wyłącznie na znajomości dawnego kolegi ze studiów.

Wiedziała, że ten krętacz, manipulant, oszust i lizus schlebający profesorom, a jednocześnie lojalny kolega wobec współtowarzyszy studenckiej doli – bo tak go zapamiętała z tamtych czasów – nie zdradziłby tak sam z siebie informacji o wspieraniu Engela przez jego ojczyma.

Coś musiało nim kierować i nie była to raczej słabość do Ewy. Owszem, podczas studiów próbował ją podrywać – podobnie jak każdą inną napotkaną dziewczynę, no może poza nią samą. To się działo prawie dwadzieścia lat temu i Gośka nie wierzyła, że nawet największego erotomana przez tyle lat bolało odrzucenie.

Ten znany lobbysta, doradca przedsiębiorców, którzy dorobili się na ciemnych interesach, i człowiek operujący w gospodarczym światłocieniu, musiał mieć jakiś powód, dla którego chciał zdyskredytować Banaszczyka wobec niej. Liczył, że jeśli ona wkurzy się na klienta, to go porzuci, a ten wówczas przegra i zostanie skazany za próbę wyłudzenia odszkodowania?

Gośka nie miała zielonego pojęcia o jego interesach i biznesowych związkach z mężem Beaty, mimo to postanowiła, że nie da satysfakcji dawnemu koledze ze studiów.

– Jestem ponad to – szepnęła do samej siebie, zarzucając togę na ramię. – Ponad takie gówna jak rysunkowa Godzilla z fiutem. To mnie nie wystraszy ani nie odciągnie od sprawy Banaszczyka. Jeśli on się okaże złamanym kutasem, który oszukiwał i kłamał, to popamięta mnie na długo. A Beata może się nawet zalać łzami, wtedy ją wyślę do teatru!

Wzięła teczkę z aktami.

Wydała swojej sekretarce pani Kasi kilka dyspozycji i wyszła z biura.

Do rozpoczęcia posiedzenia sądu – być może ostatniego w sprawie Jaworowskiego – miała niecały kwadrans, a przed nią było dobre pół kilometra drogi, potem jeszcze stanie w kolejce na bramce bezpieczeństwa przed wejściem do

sądu. Następnie kolejka do jednej jedynej windy, która jechała na trzecie piętro, gdzie odbywała się rozprawa pod przewodnictwem sędziego Jarosława Muskata przeciwko Andrzejowi Jaworowskiemu.

Nie miała zatem zbyt dużo czasu, dlatego szła szybkim krokiem. Nie zwracała przy tym uwagi, że wokół wybucha wiosna.

Zbliżały się Święta Wielkanocne, najpiękniejszy wiosenny czas. Krzewy forsycji obsypały się żółtym kwieciami, wokół słychać było śpiewające ptaki, a na kasztanowcach rosnących nad fosą pojawiła się zapowiedź liści, przypominająca delikatny zielony puch. Po ścieżkach rowerowych śmigali rowerzyści i miłośnicy hulajnóg – ubrani tak, jakby był początek lata, a nie kwiecień.

Emeryci, którzy czuli z ich strony zagrożenie, bo nie mogli spokojnie spacerować tymi samymi alejkami co „od czterdziestu lat, panie”, wygrażali im pięściami i rzucali przekleństwa.

Co bardziej pewni siebie zaczepiali licznych prawników, którzy z telefonami przy uchu i z togami na ręku zmierzali szybko w kierunku sądu. Pytali ich o to, czy przepisy pozwalają na taką dziką jazdę.

Niektórzy ze sług Temidy udawali, że ich słuchają, inni bąkali coś na odczepnego, a jeszcze inni – wśród nich mecenas Drewnowska – odpędzali się od rozzłoszczonych starców zdecydowanym słowem i gestem.

Udało się jej dotrzeć do sali rozpraw na czas.

Przywitała się z Andrzejem Jaworowskim i z jego żoną, po czym zasiadła na miejscu adwokackim. Wszyscy już wiedzieli, że to może być ostatnia rozprawa. Jeśli strony nie wygłoszą przesadnie długich mów, to sędzia Muskat zarządzi przerwę i najpewniej jeszcze dziś ogłosi werdykt.

Gośkę zdumiewała szybkość, niemal błyskawiczna, z jaką toczy się sprawa Jaworowskiego. Chyba komuś bardzo zależało. I to komuś o dużych możliwościach.

Przez chwilę głęboko oddychała. Zrobiło się duszno, a salę zalewało słońce. W jego blasku tłum dziennikarzy tłoczył się w ławach. Oślepiła ją światłość i nie

zauważyła nawet, jak wyraźnie zdenerwowany prokurator Wojtala kłania się jej z daleka. Pokrzywdzonego Dąbały nigdzie nie było.

Nie wyglądało to na idealne warunki do wygłoszenia mowy końcowej. Przydałaby się jej chusteczka do wycierania czoła, a zapomniała o niej w pośpiechu. Zanim sędzia wszedł na salę, zdążyła jeszcze wysłać sekretarce prośbę o przyniesienie jej dwóch bawełnianych chustek z szuflady biurka.

Gdy sędzia Jarosław Muskat pojawił się na sali, wszyscy wstali. Usiedli dopiero, gdy on sam w błysku fleszy zajął miejsce za stołem i spojrzał na protokolantkę ulokowaną nieco niżej.

– Proszę zapisać. Na rozprawę stawili się: oskarżony Andrzej Jaworowski, prokurator Adrian Wojtala oraz obrońca, adwokat Małgorzata Drewnowska. Sąd nie dostrzega pokrzywdzonego Wojciecha Dąbały...

Począł, aż protokolantka zakończy wstukiwanie tych informacji.

– Sąd co do zasady wyraża zgodę – ciągnął w powolnym tempie – na obecność przedstawicieli środków masowego przekazu, z tym jednakże ograniczeniem, aby ze względu na drastyczność obyczajową sprawy nie były przez nich podawane dane personalne oraz wizerunek oskarżonego i pokrzywdzonego. Sąd ostrzega przy tym przedstawicieli mass mediów, że złamanie tego ograniczenia skutkuje odpowiedzialnością za złamanie ustawy o RODO. – Odetchnął. – A teraz *ad rem!* Czy strony zgłaszają jeszcze jakieś wnioski dowodowe?

Zapadła chwila ciszy.

– Wobec milczenia stron, po wysłuchaniu stron, świadków oraz biegłych – mówił nieco szybciej – zamykam przewód sądowy i oddaję głos stronom. Tradycyjnie pierwszą z nich będzie oskarżenie. Proszę, panie prokuratorze!

Adrian Wojtala wstał i zaczerpnął tchu.

– Wysoki sędzie, szanowni państwo! Byliśmy w trakcie tego procesu świadkami osobliwej manipulacji. Obrona skupiła się bowiem nie na zarzutach ciężących na oskarżonym, lecz na wysuwaniu zarzutów przeciwko pokrzywdzonemu. Wyobraźmy sobie taką sytuację: brutalny agresor atakuje

mężczyznę ubranego w damską sukienkę i łamie mu szczękę. Następuje rozprawa sądowa, w której trakcie adwokat oskarża pokrzywdzonego o noszenie damskiej sukienki!

Sala zaszumiała aprobatą dla słów Wojtali.

„Sprytnie to wykombinował” – pomyślała mecenas, przypominając sobie niedawny głośno komentowany atak dwóch kibiców na transwestytę w biały dzień, pod ratuszem. – Zrównuje mniejszość seksualną z zadowolonym z siebie facecikiem, który wywalił fujarę i śmiał się wszystkim prosto w twarz!”

Spojrzała na salę. Ktoś się do niej uśmiechnął i przymknął powieki w uspokajającym geście. To był Grzegorz Marcjański.

Z niechęcią już wczoraj skonstatowała, że wygląda dobrze i że schudł dobrych parę kilo. Gustownie przycięte gęste włosy z precyzyjnym przedziałkiem z boku i cera, która z pewnością miała dyskretny kontakt z solarium. Jasnobłękitna koszula i śnieżnobiały uśmiech były tym, co szczególnie lubiły kamery telewizyjne. A na sali było ich kilka.

– Tak, wysoki sędzie! – grzmiał Wojtala. – Obrona zamiast na czynie oskarżonego skupiła się na jakichś mitycznych „postpornografistach”! Zamiast na napastnika łamiącego szczękę rzucała gromy na społecznych deprawatorów!

Adwokatka przypuszczała, że jej przeciwnik pójdzie w swej mowie oskarżycielskiej tą drogą. Spojrzała na notatki do mowy obrończej. Coś wykreśliła, coś dopisała. Uczyniła to jednak bez większego przekonania.

Była roztargniona i poirytowana wysoką temperaturą na sali. Widok zadowolonego z siebie przystojniaka Marcjańskiego poruszył jakieś bolesne struny w jej sercu.

Nagle zdała sobie sprawę, że zbyt szybko przeszła do porządku dziennego nad ohydnyimi materiałami, które wciąż można było obejrzeć w sieci. Machnęła ręką na ten ruch poniżej pasa, a tymczasem on wymagał reakcji. I to zdecydowanej.

Po raz pierwszy od rozmowy z Willemem pomyślała o dwóch mężczyznach, którzy po Marcjańskim poznali jej wstydliwą tajemnicę.

– Osobliwy argument, proszę wysokiego sądu! – wołał Wojtala. – Zaraz usłyszemy argument żałośnie nielogiczny! Jakoby oskarżony występował w obronie własnego dziecka. Usłyszemy odesłanie do obrony koniecznej. Tak jakby oskarżony Andrzej Jaworowski nie potrafił inaczej ochronić swojego dziecka, niż gruchocząc twarz pokrzywdzonego Wojtka Dąbały i wysyłając go do kliniki chirurgii szczękowej!

To było *novum*. Mecenas szybko zapisała swoją uwagę na takie *dictum* i znów wróciła myślami do dawnych czasów.

Pierwszym z tych mężczyzn po Marcjańskim był Adam, jej kolega z bloku. Wesoły, zabawny wspinacz, o mięśniach napiętych jak stalowe liny. Na drugim roku studiów zachorowała i przez tydzień leżała w łóżku. Adam ją odwiedzał, bawił dowcipami, a pewnego dnia, gdy już wychodził, chwyciła go za rękę i pociągnęła ku sobie.

Nie było to udane zbliżenie, podobnie jak drugie – po zawodach sportowych w Austrii, dokąd pojechała jako wyróżniająca się zawodniczka sekcji koszykarskiej AZS-u Uniwersytet. Po wygranym meczu świętowała zwycięstwo w jednym z wiedeńskich klubów młodzieżowych i w pewnym momencie zauważyła, że dobrze zbudowany czarnoskóry koszykarz z Belgii uważnie się jej przygląda. Uśmiechnęła się do niego i to był początek dalszych nocnych przygód z nieudanym finałem, w czasie którego jej kochanek, imieniem Bob, okazywał nieprzyjemne zdumienie jej anomalią.

– Zgromadzony materiał dowodowy, w szczególności dowody z zeznań wszystkich świadków oraz dokumentacji fotograficznej i filmowej, nie pozwala na przyjęcie tezy obrony za wykazaną i uzasadnioną...

Znów się wyłączyła, a do przytomności przywrócił ją dopiero szum na sali.

– Tak – mówił prokurator. – Oskarżenie uważa, że rok bezwzględnej pozbawienia wolności byłby adekwatną karą i uświadomiłby społeczeństwu, że w naszej rzeczywistości wysoko rozwiniętego kraju europejskiego nie ma miejsca na samosądy!

Sala zawrzała od braw. Sędzia Muskat uderzył młotkiem w tamburyn.

Gośka spojrzała na salę. Marcjański wyciągał kciuk, zagrzewając ją do walki.

I wtedy poczuła żrącą złość na tego pięknisia – złość, która wzbierała w niej przez lata, od momentu gdy beztriosko zakpił z jej „dolnej spódniczki”.

„Wiedział, że mam do niego słabość i mnie po prostu wykorzystał” – pomyślała.

I nagle zrozumiała rzecz oczywistą.

Politycy nie mają przyjaciół ani wrogów, tylko tymczasowe koalicje. Kto wie, czy to właśnie kandydat na prezydenta miasta, mający rozliczne kontakty, nie zawarł z kimś, być może nawet z Banaszczykiem i jego pasierbem, jakiejś śmierdzącej, zgniłej koalicji i wniósł do niej – jako część swojego udziału – informację, która może rozstroić mecenas broniącą często w sprawach politycznych? Albo czy na jakimś raucie, w jakimś cichym gabinecie, rozgrzany kolejną szklaneczką trzydziestoletniej whisky, nie zdradził innym facetom jej wstydliwego sekretu?

To było irracjonalne, nie miała żadnych podstaw do takich podejrzeń wobec Grzegorza, ale dobrze wiedziała, że jej pierwszy w życiu mężczyzna – jako polityk – nie miał ani krzty honoru. A jako taki sprzedałby ją za garść wyborczych głosów.

Wciąż się biła z myślami – spełnić czy nie spełnić jego polecenia, ukrytego w zachęcie, którą wczoraj Marcjański wykrzyczał jej z dzikim entuzjazmem: „Wygłoś mowę godną Cyncerona! Potrafisz to! I wszyscy wygramy!”.

– Pani mecenas? – odezwał się sędzia Muskat, patrząc na Drewnowską. – Czas na panią.

Wstała i spojrzała na Marcjańskiego. Uśmiechał się do niej przymilnie. Andrzej Jaworowski i jego żona patrzyli na nią z nadzieją.

Ewa też nie spuszczała wzroku z Gośki. Ta dwukrotnie zamknęła oczy, dając tym samym znak, że skończy za dziesięć minut. Wtedy Ewa wysłała do Michała wiadomość tej właśnie treści.

Drewnowska wciąż się wahała. Miała do wyboru: albo wygłosić mowę marną i improwizowaną, albo rewelacyjną, która powali wszystkich na kolana. W pierwszym wypadku dałaby Marcjańskiemu po nosie, w drugim – uczyniłaby go triumfator, bo dmuchałaby w tę samą trąbę, co ten pseudokonserwatysta, stałaby się jego tubą wyborczą.

W końcu wybrała pierwsze rozwiązanie. Oskarżony nie był tu ważny, bo i tak – choćby zamiast mowy obrończej zaśpiewała piosenkę – nie zostanie skazany na bezwzględną karę pozbawienia wolności, tylko dostanie karę w zawieszeniu.

Kiedy wygłosiła najsłabszą mowę w swojej karierze, wszyscy byli zdumieni. Publiczność szemrała, na twarzy Marcjańskiego stopniowo gasł uśmiech, a sędzia Muskat drapał się nerwowo po czole. W pewnym momencie zaczął się nudzić i przestał nawet słuchać, myśląc o obiedzie.

W jego gabinecie, położonym piętro wyżej, zawibrował telefon komórkowy leżący na biurku. Przyszedł SMS od jego żony Anny z odsyłaczem do artykułu z „Jerusalem Post”.

*

Ewa wyszła po cichu z sali rozpraw w trakcie mowy końcowej. Pobiegła do swojego biura i zastała tam Michała skoncentrowanego jak szachista przed matem.

Usiadła obok niego bez słowa. Jej współpracownik trwał w milczeniu, analizował wszystkie swoje działania krok po kroku i w końcu spojrzał na szefową.

Na jej znak nacisnął ENTER.

Wtedy na telefon sędziego Jarosława Muskata przyszedł SMS od jego żony o treści:

PRZECZYTAJ TO,

a pod tym poleceniem był link do artykułu, zamieszczonego na stronie „Jerusalem Post”. Autor tego artykułu redaktor Yair Kifer pełen oburzenia przytaczał opinie turystów z Izraela, którzy przed ponad miesiącem przybyli do miasta swoich przodków i w czasie porannego spaceru na Wyspie Garbarskiej

natrafili na parę ludzi bez skrępowania uprawiających seks oralny. Kifer wszystkie materiały na ten temat otrzymał od Willema Vrijberga, swojego dobrego znajomego z Polski.

– Dostał – powiedział Michał.

– Dobrze – rzekła Ewa. – Muskat powinien właśnie teraz kończyć posiłek, na który zarządził przerwę. Sędzia najedzony wydaje łagodne wyroki.

Michał się uśmiechnął i spojrział z podziwem na szefową. Był pod wrażeniem precyzji jej planu i ryzyka, jakie podjęła wraz z przyjaciółką. Gdyby ich intryga została odkryta, Ewa Skoczek mogłaby zapomnieć o licencji prywatnego detektywa, a mecenas Drewnowska stanęłaby przed rozzłoszczonym obliczem przewodniczącego adwokackiego sądu dyscyplinarnego.

Pierwszym i bardzo ważnym elementem całej układanki był restaurator Henryk Masny, którego częstym i regularnym gościem bywał sędzia Muskat. Szef Zaułka, poproszony przez Ewę o przysługę w zamian za informacje o Engelu, przyniósł jej ważną wiadomość. Słyszał mianowicie, że Muskat rozmawiał w czasie obiadu z żoną na temat jakichś jej badań lekarskich, które zrobiła sobie w firmie położonej nieopodal ich mieszkania. Była taka tylko jedna – o nazwie Medicinalia.

Dzień później, gdy zatrudniona tam młoda recepcjonistka wychodziła z pracy, natknęła się na miłego wysokiego i bladego młodzieńca, ubranego na czarno. Nad jego czołem zwisała długa grzywka, jaką w latach osiemdziesiątych nosili miłośnicy zespołu Republika. Młody człowiek zaproponował recepcjonistce dwa tysiące za to, aby sprawdziła, jakie badania robiła Anna Muskat i kiedy ma dostać ich wyniki. Nagabywana kobieta przez dłuższą chwilę się wahała, ale szybko zrozumiała, że i tak – w razie wpadki – będzie jedną z trzydziestu podejrzanych, bo tyle osób miało dostęp do danych. Poza tym rozgrzeszyła się w myślach – w końcu nie miała udostępnić wyników badań, lecz tylko ich rodzaj i datę wysłania.

Zgodziła się zatem i dzień później Michał otrzymał w tej sprawie anonimową wiadomość wysłaną z bramki SMS. Mówiła ona o pakiecie specjalistycznych

badaniach endokrynologicznych Hormonoptima. Następnie łatwo złamał zabezpieczenia operatora sieci komórkowej Joynet i zdobył numer Anny Muskat.

Mając te dwie kluczowe informacje, dzień później wysłał żonie sędziego wiadomość w imieniu firmy Medicinalia, że wyniki badań są do wglądu na stronie takiej a takiej – i tu oczywiście do wiadomości dołączył odpowiedni link.

Anna Muskat w niego kliknęła i zobaczyła wiadomość: WYNIKI BADAŃ HORMONOPTIMA UKAŻĄ SIĘ NIEBAWEM. W jej telefonie rozgościł się komputerowy koń trojański, który przejął kontrolę nad danymi. Godzinę później pani Anna rzeczywiście dostała wyniki, więc nie przejęła się niedziałającym linkiem.

Michał – mimo że wtargnął do świata Anny Muskat – to zachował się jak dżentelmen włamywacz. Nie przeglądał żadnych danych żony sędziego, żadnych zdjęć, lecz uśpił swojego trojana i tylko czekał na moment, gdy dostanie od Ewy impuls do działania.

I dzisiaj się to wydarzyło. Wysłał do jej męża SMS-a z tekstem PRZECZYTAJ TO i linkiem do „Jerusalem Post”, po czym wyszedł z telefonu pani Muskat i już nigdy tam nie wrócił. W oprogramowaniu telefonu pozostała niegroźna i nieaktywna informatyczna bakteria.

Sędzia Muskat, wchodząc na salę rozpraw, miał w pamięci dramatyczne sformułowania i gromy, jakie izraelski dziennikarz Yair Kifer rzucał na zdziczenie obyczajów w Polsce. W głowie dźwięczał mu tytuł artykułu: *Sodoma i Gomora w kraju przodków*, oraz jego końcówka: „Ocaleni z Holokaustu, odwiedzający miasto swoich przodków, byli widzami dzikiego zwierzęcego spektaklu, w którym cywilizowane obyczaje wałęsały się w proch. Niektórzy z nich płakali, nie wierząc własnym oczom”.

Usiadł za stołem i powoli rozpoczął wygłaszanie sentencji wyroku. Kiedy już wymienił nazwisko swoje, protokolanta i stron procesu, kiedy już określił datę i miejsce rozpoznania sprawy i wydania wyroku, kiedy już scharakteryzował

przedmiot sprawy oraz żądania stron, spojrział ponad okularami na oskarżonego. Spojrzenie Muskata było surowe, ale była to tylko poza.

– Oskarżony Andrzej Jaworowski zostaje uznany winnym pobicia i zostaje skazany na jeden rok ograniczenia wolności poprzez obowiązek wykonywania prac społecznych. Sąd ustala ich wymiar na dwadzieścia godzin miesięcznie.

Na sali podniósł się krzyk. W odróżnieniu jednak od procesów politycznych, w których funkcjonariusze dawnego reżymu skazywani byli na symboliczne zdaniem publiczności kary i ta swoje oburzenie wyrażała skandowaniem: „Hańba! Hańba!”, tutaj pojawiły się obelgi pod adresem sędziego:

– Dziaders! Sędzia dziaders! Dziaderstwo!

Policjanci na znak Muskata ruszyli w stronę ław dla publiczności. Pod ich surowym wzrokiem protestujący stracili cały swój zapał.

Grzegorz Marcjański szalał z radości. Wstał, rzucił się na Jaworowskiego, uściskał go serdecznie, a potem chwycił za dłoń i podniósł w geście zwycięstwa. Błyskały flesze usługanych fotoreporterów.

Gośka patrzyła z niechęcią na ten opracowany w każdym szczególe spektakl spontanicznej radości. Na opaloną twarz Marcjańskiego z nieskazitelnie białymi zębami oraz na jego błękitną koszulę, która tak dobrze wyglądała w telewizji. Czuła niesmak, ale i drobną złośliwą satysfakcję, że swoją mową końcową nie przyczyniła się do tego oszałamiającego sukcesu konserwatywnego kandydata na prezydenta miasta.

Kiedy zbliżał się do niej z wyciągniętą dłonią, ogarnęło ją łagodne poczucie zadowolenia.

Nie sprzeniewierzyła się swojej przyjaźni z Ewą. Wzięła tę sprawę, chciała walczyć o wspólne dobro. Zrobiła to. Jednocześnie nie stała się marionetką w rękach Marcjańskiego – nie spełniła jego politycznych oczekiwań, nie wygłosiła mowy, która umocniłaby jego pozycję jako zbawcy miasta.

On też o tym wiedział. Podeszedł do niej. Oczy miał zmrużone, a uśmiech rozciągnięty od ucha do ucha. Znała go. Tylko jedno słowo, które dobrze opisywało

jego stan, przychodziło jej do głowy.

Był wkurwiony.

Uścisnęła jego wyciągniętą dłoń i pochyliła się nad jego uchem.

– Nie jestem cudotwórczynią – szepnęła. – Żaden sędzia nie uniewinni agresora, który łamie ludziom szczęki.

– Mogłaś się bardziej postarać w mowie obrończej – rzekł cicho, wciąż szczerząc zęby. – Za co ci, kurwa, płacę?

*

Ewa nie była zadowolona z siebie. Uwierało ją, że z Goską zmanipulowały Muskata. Miała też wyrzuty sumienia, że w ową intrygę wciągnęła Michała.

Owszem, ufała mu, ale tak naprawdę niewiele o nim wiedziała. Jeśli rzeczywiście uznawał on za święte standardy społeczności internetowej – na przykład to, żeby nie ścigać w sieci niewinnych ludzi – to włamanie do telefonu żony Muskata musiało być dla niego bardzo niewygodne. Owszem, poza samym włamaniem i wysłaniem SMS-a do sędziego nie miał sobie nic do zarzucenia, ale Ewa czuła, że mocno nadwerżyła Michałową lojalność.

Jako była policjantka zawsze uważała, że może wykonywać swój zawód skutecznie, nie stosując metod przestępczych. Oczywiście wywieranie presji i kłamstwo – jako mniejsze zło – były w jej działaniach potrzebne. Bez tego nikt by nie mógł uprawiać zawodu, który wręcz wymagał działania na granicy etyki, na przykład subtelnych gróźb, delikatnego szantażu.

Prywatny detektyw to jednak nie policjant. Z tym drugim trzeba rozmawiać, temu pierwszemu można po prostu pokazać drzwi. Ale to, co zrobiła wraz z Goską, było niezgodne z prawem. Mogła składać to wyłącznie na karb emocjonalnego zaczadzenia.

Było to też skutkiem nietypowego zachowania przyjaciółki – łez, na które pozwoliła sobie Gośka tego dnia, gdy dostała filmik. Ewa wpadła do niej wtedy

i twarda pani mecenas nie wytrzymała. Popłakała się przy niej jak wcześniej tego dnia przy mężu.

Ewie zrobiło się jej żal, a kiedy dowiedziała się, że Wilk skontaktował się z dziennikarzem z „Jerusalem Post”, uznała, że nie może Gosi zawieść i że zrobi dla niej wszystko.

Wszystkie te uczucia zostały jednak dzisiaj po akcji Michała wystawione na próbę. Ewa zdała sobie sprawę – czytając SMS-a od Gośki z informacją o wyroku – że uchodzący za łagodnego sędzieja Muskat i tak nie wymierzyłby kary bezwzględnego pozbawienia wolności.

Cała ta akcja z izraelską prasą była jedną wielką przesadą, próbą bezprawnego i w gruncie rzeczy niepotrzebnego postawienia kropki nad „i”. I bez tego artykułu Muskat by ją postawił.

Oparła się w fotelu i spojrzała na Michała.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie powinnam była cię o to prosić...

Michał milczał. Nagle wstał od biurka, odwrócił się do niej tyłem i stanął twarzą do okna. Ewa znała go dobrze i wiedziała, że nie jest to oznaka arogancji, ale głębokiego namysłu. Michał, gdy rozmyślał, lubił patrzeć przez okno na gałęzie drzew.

Stała obok i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Ja zrobiłam to dla mojej najlepszej przyjaciółki – ciągnęła. – Ale ty...

– Jeszcze dajcie sobie buzi! – usłyszała potężny głos dochodzący od drzwi.

Nie usłyszała, jak Albert wszedł do biura. Wpuścił go stojący obok Waldek. I kiedy się odwróciła do okna i położyła rękę na ramieniu Michała, Albert właśnie stanął w progu. Miał na sobie pikowaną kurtkę, dzinsy i błyszczące buty.

– Na co czekacie?! – krzyknął do nich. – Może teraz małe bara-bara?

Zalał ją rumieniec złości. Michał stał bez ruchu. Niedawno wlaźł z butami w świat Anny Muskat. Teraz został wciągnięty do świata obcych mu ludzi, którzy w jego obecności regulowali małżeńskie problemy.

Albert otworzył w swoim telefonie komórkowym wiadomość głosową. Patrzył na Ewę oczami ciemnymi od zazdrości. Jego usta drżały, jakby miał się rozpłakać. I wtedy z głośnika doszedł głos Czesława Zbroińskiego.

– Ty klęczałaś, a ja zaszedłem od tyłu. Jeżyny nas drapały, gdy wchodziłem w ciebie przez tylną bramę. A potem eksplodowałem z rozkoszy. Chodź, moja słodka... Zapoznasz się z moją strzykawką z mlekiem... Zrobisz to? Zrobisz?

Albert wyłączył aplikację.

– Już wtedy byłaś puszczalska – powiedział cierpięciznym głosem.

Milczała, lecz mięśnie na jej twarzy zadrżały.

– Nie wiedziałem, że lubisz przez tylną bramę – zakpił. – Szkoda, że nie masz tego na tablicy rejestracyjnej.

Wymacała coś, co stało na jej biurku.

Zacisnęła na tym palce.

Rzuciła.

Z czoła Alberta spłynęła strużka krwi.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że rzuciła w męża ciężkim zszywaczem do papieru.

Albert wybiegł z biura. Ewa podbiegła do okna. Cała dygotała. Widziała strużkę krwi spływającą po czole męża. Ręce zaczęły jej drżeć jeszcze mocniej. Zadawało się, że palce grają na jakimś niewidocznym instrumencie. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Mimo że Albert porządnie oberwał przed chwilą ciężkim zszywaczem i na pewno go bolało, to wesoło się teraz uśmiechał. I trzymał telefon przy uchu.

– Która godzina? – krzyknęła do współpracowników.

– Piętnasta dwadzieścia trzy.

Wieczorem do skrzynki Ewy przyszedł krótki mail od Czesława: „I jak Ci się podobało, Ewcia:)”.

Kwadrans wcześniej na sali rozpraw rozbrzmiewały okrzyki.

– Mogłaś się bardziej postarać w mowie obrończej – rzekł cicho Marcjański do Drewnowskiej wciąż szczerząc zęby. – Za co ci, kurwa, płacę?

Jeszcze nigdy nie słyszała przekleństwa w jego ustach. Jeszcze nigdy żaden jej klient – znajomy lub nie – nie ośmielił się tak do niej odezwać.

Żrenice jej oczu zwęziły się jak u dzikiego zwierzęcia przed atakiem.

– Już mi, kurwa, zapłaciłeś – szepnęła. – Puściłeś w obieg informację o Godzilli z fiutem. To jest twoja zapłata, skurwysynu!

Marcjański otworzył usta ze zdumienia. I nagle uśmiechnął się drwiąco.

W tym świetle zalewającym salę ujrzała bardzo wyraźnie każdy grymas na jego obliczu, jak wtedy gdy w męskim akademiku Żak, po ich pierwszej wspólnej nocy położył się na plecach, a ona – zdenerwowana – wyciągała spod niego prześcieradło poplamione własną krwią. Zapalił wtedy lampkę biurkową i ostry blask zalał jego uśmiechniętą twarz. „Fajną masz spódniczkę tam na dole...”

Zalała ją wściekłość, furia wymierzona w pięknego Grzesia, zarozumialca z głupawym uśmiezkiem.

I teraz, w tym gmachu sądu, wśród telewizyjnych kamer i radiowych mikrofonów, wsadziła kij w szprychy jego triumfalnego rydwanu.

Z wielką siłą, z jaką wsadzała piłki w kosz, z całą swoją mocą, z jaką zamykała pyski licealnym szydercom, którzy ją nazywali Godzillą, spoliczkowała Grzegorza Marcjańskiego.

*

Wieczorem mecenas Drewnowska próbowała zebrać myśli, paląc papierosa. Nikotyna nie zawodziła jej od szesnastego roku życia. Siedziała na tarasie, szczelnie otulona jasnym płaszczem, i wpatrywała się w telefon. Co chwila pojawiało się na nim zdjęcie uśmiechniętego Grześka i informacja GRZEGORZ MARCJAŃSKI DZWONI.

Razem siedemnaście połączeń nieodebranych i sześć SMS-ów, wszystkie tej samej treści: PROSZĘ, PRZYJDŹ NA PRZYJĘCIE. WSZYSTKO CI WYJAŚNIĘ.

Gośka zaciągnęła się mocno i zgasiła papierosa, a potem wykasowała Marcjańskiego. Ze swojego telefonu i ze swojego życia.

*

Trzy godziny później ręce Ewy Skoczek już nie drżały. Trzymały telefon Alberta tak mocno, jakby aparat był jakimś trofeum. Tymczasem mąż – w ubraniu roboczym i z obwiązany czołem – wychodził do garażu, nie zamieniwszy z nią słowa. Zwykle gdy się tam udawał, zostawiał telefon w domu. Najlepiej odreagowywał stres, dłubiąc przy swoim ukochanym chopperze. Nie chciał, aby wtedy ktoś mu przeszkadzał. Miała zatem sporo czasu.

Dobrała się do aparatu męża w sposób najprostszy z możliwych. Jako numer PIN wbiła datę urodzenia jego córki Zosi. A potem przejrzała spis połączeń.

Od godziny piętnastej dwadzieścia trzy cztery razy dzwonił do Mirelli Szewczuk.

A ona dwa razy do niego.

ROZDZIAŁ XI

PRZED EKSPLOZJĄ

Zbroińscy byli starą, patriotyczną rodziną szlachecką, której latyfundia leżały kiedyś pod zaborem carskim na terenie wschodniej Ukrainy. Pradziadek Czesława, Tadeusz, postanowił zerwać z tradycją rodu i przenieść się do miasta. Po spieniężeniu ogromnego majątku zamieszkał w Kijowie wraz z żoną i pierworodnym synem Czesławem. Tam nabył dwie kamienice, spłodził troje dzieci i umarł na apopleksję tuż po wybuchu pierwszej wojny światowej.

Jego żona Weronika była kobietą bardzo zaradną i mającą wbudowany w umysł swoisty barometr polityczny, dzięki któremu wyczuwała niebezpieczne zmiany. Tuż przed wybuchem rewolucji bolszewickiej sprzedała obie kamienice – znacznie poniżej ich wartości rynkowej – i wraz z dziećmi wyjechała do Krakowa, do swej rodziny mieszkającej tam od pokoleń.

Uniknęła w ten sposób konfiskaty nieruchomości przez bolszewików, a jej bliscy nie zostali doświadczeni przez rewolucyjne rzezie i zmienne losy rozmaitych wojen, gdy Kijów przechodził z rąk do rąk.

Bezpiecznie mieszkała w tym czasie w Krakowie. Jej syn podjął na najstarszej polskiej Alma Mater studia prawnicze, a trzy córki bardzo korzystnie i szczęśliwie powychodziły za mąż.

Syn Tadeusza, Czesław Zbroiński, w późnych latach trzydziestych stał się wschodzącą gwiazdą krakowskiej palestry. Zasłynął tam z obrony *pro bono* działaczy komunistycznych, przez co stał się obiektem rozmaitych ataków i znalazł się nawet na celowniku kontrwywiadu wojskowego. Tymczasem tych ludzi reprezentował on wcale nie z politycznych czy też – gorzej – agenturalnych pobudek. Nie mógł po prostu znieść prawnych nadużyć i pogwałcenia procedur

w procesach politycznych, w których oskarżonymi, a potem skazanymi na długoletnie wyroki byli wrogowie sanacji, w tym oczywiście komuniści.

Choć oprócz nich bronił również działacze ludowych, a nawet endeckich, to właśnie oskarżeni spod czerwonego sztandaru najlepiej zapamiętali jego niezłomną etyczną pasję i adwokacką energię, którą objawiał w sądach krakowskich, a później we lwowskich – do miasta nad Pełtwią przeniósł się wiosną roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego. Zamieszkał tam z żoną i dwiema córeczkami w pięknej willi w stylu zakopiańskim położonej w tak zwanej Kolonii Profesorskiej. Właśnie tam zrozumiał, że odziedziczył po matce wewnętrzny polityczny barometr. Kiedy bowiem Rosjanie najechali wschodnią Rzeczpospolitą i zajęli Lwów, jednym z prominentnych aparatczyków nowej sowieckiej władzy został jego były klient, niejaki Maciej Kogut, członek dawnej Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. I wtedy okazał wdzięczność swojemu „towarzyszowi mecenasowi”, jak go nazywał.

Ten chłop spod Dobromila uchronił Czesława Zbroińskiego przed wywózką na Sybir, a jego willę przed konfiskatą. Co więcej, już po wojnie spotkali się w tym samym mieście na terenie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i przewodniczący rady miejskiej Maciej Kogut przydzielił Zbroińskim – w zamian za mienie pozostawione na Wschodzie – okazałą willę w prestiżowej dzielnicy Kostynice.

Czesław kontynuował po wojnie jeszcze bardziej błyskotliwą karierę, na ogół wolną od politycznych nacisków.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku urodził się jego jedyny syn. Zgodnie z tradycją rodzinną, chłopiec, jako pierworodny, dostał na chrzcie po dziadku imię Tadeusz i po dwudziestu pięciu latach został prawnikiem tak jak jego ojciec Czesław. Kiedy jego adwokacka kariera była już nieźle zaawansowana, ożenił się i wkrótce potem urodził mu się syn, który dostał imię – oczywiście po dziadku – Czesław. On również poszedł na prawo i tak trafił ma jeden rok z Małgorzatą Drewnowską, Grzegorzem Marcjańskim i Ewą Skoczek.

Prawniczą część rodzinnej tradycji młody człowiek akceptował bez zastrzeżeń. Jego indeks ozdabiały wysokie noty – również dzięki oszustwom i manipulacjom –

był też lubiany przez koleżanki i kolegów z grupy. Nienawidził natomiast swego staromodnego imienia oraz tresury, jakiej był poddawany od wczesnego dzieciństwa.

Wychował się wśród książek i obrazów, lecz jako zbuntowany długowłose nastolatek nie czytał lektur szkolnych i na ścianach swojego pokoju malował satanistyczne symbole. Rodzice kazali mu się uczyć francuskiego, grać na pianinie i chodzić do filharmonii, podczas gdy on wolał ciężkiego rocka i angielszczyznę. W liceum raz powtarzał klasę i najbliżsi załamywali nad nim ręce.

Gdy oznajmił, że chce zdawać na prawo, nie wierzyli własnym uszom; kiedy go zobaczyli w garniturze maturalnym – przecierali oczy ze zdumienia; gdy się dostał na uniwersytet, kupili mu volkswagena garbusa.

Czesław powoli godził się z nietypowym dla swojego pokolenia imieniem. Dotąd – w podstawówce i liceum – musiał wybijać kumplom z głów naśmiewanie się z Cześka, a że miał ciężką rękę, był w tym dość skuteczny. Kiedy poszedł na studia, zdecydował się na używanie pełnego imienia i z pewną dumą powoływał się na rodzinną tradycję. Z jej powodu również rozpoczął aplikację adwokacką, z dnia na dzień był jednak coraz bardziej rozczarowany. Nie ukrywał negatywnych uczuć wobec swojego mentora i patrona, mecenasa Lucjana Buczyńskiego.

Pewnego dnia zaprosił go na rozmowę pewien znajomy rodziców, były oficer Służby Bezpieczeństwa, który w latach dziewięćdziesiątych zajmował się wprowadzaniem na polski rynek firm zagranicznych. zaproponował mu dobrze płatną pracę. Twierdził, że wiele słyszał o Czesławie od „znajomych znajomych”. Zbroiński – ku ubolewaniu rodziców – podjął pracę w firmie Clever Consulting. Czynił nadzwyczajne postępy, szybko się uczył i pewnego dnia rada nadzorcza spółki wybrała go na swojego prezesa. W jego życiu zaczął się zupełnie nowy etap. Gdy wspólnicy jeden po drugim odchodzili na emerytury i przeprowadzali się na Wyspy Kanaryjskie, on powoli przejmował pełnię władzy.

Wtedy też się ożenił. Dagmara była atrakcyjną, pewną siebie i bardzo sprytną dziewczyną z nizin społecznych. Nadzwyczaj szybko uświadomiła teściom, gdzie ma całą tę kresową i inteligentką tradycję.

Ci zacisnęli zęby i cieszyli się wnuczką Ewelinką. Nie wiedzieli, że małżeństwo ich jedynaka – wraz ze wzrostem jego zamożności – z roku na rok staje się fikcją.

Czesław zdradzał Dagmarę na prawo i lewo, czego nawet nie ukrywał. Ona mu się rewanżowała – tyle że dyskretnie. Związek zakończył się rujnującym Czesława rozwodem i rzadkimi spotkaniami z córką, które były złośliwie ograniczane przez Dagmarę.

Po rozwodzie popadł w tarapaty finansowe, musiał sprzedać piękną nowoczesną willę pod miastem i wrócić do rodzinnego domu, w którym mieszkała owdowiała matka. Dzięki swoim kontaktom i niewiarygodnym wręcz zdolnościom adaptacyjnym Czesław wkrótce znowu mocno stanął na nogi. Starszej pani kupił ładne dwupokojowe mieszkanie nieopodal, a sam wrócił do wypełnionej książkami i obrazami rodzinnej willi na Kostynicach.

*

Tego wieczoru, gdy jego dwie koleżanki z roku przeżywały trudne chwile – tak nieoczekiwane po wygranym przecież przez nie procesie Jaworowskiego – Zbroiński miał rzadką okazję gościć u siebie córeczkę.

Siedmioletnia Ewelinka siedziała przy stole w kuchni i patrzyła, jak ojciec smaży placki z jabłkami.

Nie była zachwycona tym weekendem. Najchętniej spędziłaby go w domu, zapraszając dwie najbliższe koleżanki z sąsiedztwa. Oglądałyby wspólnie Disneya lub bawiły się Barbie i świeżo jej kupionymi przez tatę kucykami z serii My Little Pony.

Tymczasem musiała siedzieć tutaj z tatą – w ponurym, wielkim domu z czarnymi starymi meblami i portretami jakichś nieprzyjemnych, cudacznie ubranych ludzi. Musi jeść te głupie racuchy zamiast ulubionych kawałków panierowanego kurczaka i hamburgerów!

Czesław podszedł do córki i pocałował ją w głowę. Podsunął jej talerz z racuchami. Potrząsnął tubką bitej śmietany.

– Moja mała księżniczka chce dużo pianki czy tylko trochę? – zapytał.

Dziewczynka się nadała i milczała.

– No co? Nie lubisz racuchów?

– Nuggetsy – powiedziała zbolalym tonem. – Wolałabym nuggetsy, tatusiu...

Czesław był bardzo szczęśliwy, że spędza ten dzień z Ewelinką. Każda chwila z jego księżniczką była mu droga, dlatego nie był zadowolony, że będzie ją musiał dzisiaj zostawić na godzinę lub dwie pod opieką nowej gosposi, Iryny. Miał do załatwienia pilną sprawę w podmiejskich Dębnikach. Wzmianka o nuggetsach poprawiła mu jednak nastrój.

„Przecież za zjazdem na Dębniaki jest KFC! – pomyślał. – Pojadę z Ewelinką do Marcjańskiego, załatwię sprawę, mała tymczasem poczeka w aucie, a potem pójdziemy razem na kurczaki!”

– Dobrze, kochanie! – zgodził się, przytulając córeczkę. – Pojedziemy na nuggetsy za chwilę, tylko tatuś się przebierze i zadzwoni do Iryny, że nie musi dziś przychodzić.

Wbiegł po schodach na piętro, odwołał wizytę gosposi i ubrał się w ten sam garnitur, w którym dzisiaj był w biurze. Tylko koszulę włożył świeżą. Był zdania, że mężczyzna zdejmuje koszulę, tylko aby uprawiać seks lub ją wrzucić do pralki.

Zawiązał krawat w kolorze oberżyny i zszedł na dół. Córka czekała na niego z rozpromienioną buzią. Już włożyła buciki i płaszczyk w kratkę, który jej kupił w Londynie.

Weszli do garażu, gdzie czekał na nich ogromny jasnoszary SUV infiniti QX80.

Czesław pomógł dziewczynce umościć się w zapinanym foteliku na tylnym siedzeniu. Usiadł za kierownicą i nacisnął guzik pilota. Brama garażu otworzyła się z lekkim sykiem.

Ruszył. Wyjechał na aleję Słowackiego, główną arterię komunikacyjną Kostynic, a potem skręcił w prawo w stronę obwodnicy. Dotarł do niej po pięciu

minutach, zostawiwszy za sobą typowy peryferyjny pejzaż: jedno- i dwupiętrowe, brzydkie przedwojenne domy w luźnej zabudowie, zakłady przemysłowe, magazyny, stacje benzynowe oraz centrum handlowe z restauracją McDonald's. Do niej wolał nie zajeżdżać z powodu panującego tam zwykle wielkiego tłoku. KFC w Dębnikach odwiedził raz i było tam przyjemnie pusto.

Autostradą pędził jakieś dwadzieścia minut, nie opuszczając lewego pasa, po czym zjechał zjazdem na Pokrzyce Dębniaki.

Trasa biegła najpierw wśród szczyrych pól, a potem przecinała dawną wioskę Dębniaki, pełną zakładów mechanicznych i blacharskich. Od głównej drogi odchodziły boczne uliczki, przy których tłoczyły się mikroskopijne segmenty bez garaży, za to z maleńkimi ogródkami. Tamtejsi mieszkańcy, choć zadłużeni w bankach do bólu, cieszyli się własnymi domami i przyjemnym widokiem na rozległe pola.

Czesław był pewny, że ich radość nie potrwa długo – tylko do momentu, gdy po drugiej stronie ich ulicy powstaną identyczne budynki. Wtedy też zaczną się spory i walki o miejsca parkingowe.

Minął „chlewiki”, jak pogardliwie określał segmentowce, i wjechał w zadrzewioną część podmiejskiego osiedla. Na samym jego końcu, w ogrodzonym prywatnym parku, stał starannie wyremontowany osiemnastowieczny dwór z półkolistym zajazdem. Był rzęsiście oświetlony. Robił wrażenie.

Zbroiński zatrzymał się przed bramą i wyszczerzył zęby do kamery. Po chwili drzwi się otworzyły i wyszło przez nie dwóch młodych mężczyzn w garniturach i ze słuchawkami w uszach.

– No co? – Czesław uśmiechnął się do nich, zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć. – Przepuście mnie, chłopaki, czy mam ściągać buty i przechodzić przez bramkę do wykrywania metalu? A może moja córeczka ma zrobić to samo?

Cerberzy pokiwali głowami ze zrozumieniem. Wprawdzie dostali informację, że wszyscy zaproszeni goście – oprócz pani mecenas Drewnowskiej – już są na

miejscu, ale ten elegancki mężczyzna w drogim, potężnym aucie, z małą dziewczynką przy boku, robił przekonujące wrażenie i nie przyszło im do głowy, by go zatrzymać.

– Proszę! – Jeden z nich uczynił zapraszający ruch ręką.

– Aaaa, powiedzcie mi jeszcze – Czesław nie zasował szyby – czy jest tu gdzieś KFC, czy coś mi się pomyliło? Pamiętam, że chyba gdzieś przy zjeździe z autostrady... jadłem tutaj rok temu; było ciemno i nie pamiętam dokładnie, gdzie to było. A teraz nie widziałem szyldu KFC.

– Tak, przy zjeździe – powiedział jeden z ochroniarzy. – Ale już nie ma... Sprzedali, teraz to rozbudowują, ma tam być salon samochodowy.

– Nie ma KFC?! – zawołała z tylnego siedzenia Ewelinka. – Tatusiu, ja chcę nuggetsy!

Uśmiechnął się uspokajająco do dziewczynki i dodał lekko gazu. Podjechał kilkadziesiąt metrów, słysząc wciąż za sobą rozkapryszony głos córki.

Kiedy wysiadał, pogłaskał dziewczynkę po głowie.

– Poczekaj chwilę, kochanie – rzekł łagodnie. – Tatuś ci zaraz coś przyniesie.

Wszedł do przestronnego holu. W nozdrza wciągnął zapach perfum, a w uszy wpadły mu łagodne dźwięki jakiegoś pięknego utworu, granego przez trio – skrzypaczkę, pianistkę i wiolonczelistkę.

„Nokturn Schuberta – pomyślał z niechęcią. – Na coś mi się przydała dawna muzyczna tresura”.

Bezceremonialnie przyjrzał się kobietom. Były ubrane w czarne długie suknie. Nie podobały mu się w tych strojach i w tej scenerii, która zbyt przypominała mu dom rodzinny. Zawsze, gdy zamawiał dla siebie dziewczęta ze specjalnej agencji towarzyskiej, gdzie można było mieć szczególne wymagania, żądał, by były ubrane jak sprzątaczkę lub robotnice. I żeby koniecznie wydzielały naturalną woń. Takie właśnie lubił.

„Zbyt długo bez seksu. Prawie dwa tygodnie i już nie wyrabiam” – pomyślał.

By poskromić budzące się podniecenie, pomyślał o czymś nader nieekscytującym – o sobotniej wizycie u mamy i wysłuchiowaniu jej narzekań, że nie może się wypróżnić. Podziałało. Wrócił jego zwykły – zimny i pogardliwy – stosunek do ludzi i do ich spraw.

Wszedł do ogromnego salonu i rozejrzał się za Marcjańskim – gospodarzem przyjęcia. Miał mu coś do powiedzenia. Coś, co wywróci Grzegorzowi życie do góry nogami, a na niego ściągnie morze nienawiści. Nie dbał o to. Nienawiść była jego środowiskiem naturalnym.

Na ścianach wisiały dziewiętnastowieczne obrazy – głównie Kossaka i Michałowskiego. Tu i ówdzie ich realizm stanowił kontrapunkt dla impresjonistycznych płócien Podkowińskiego i Wyczółkowskiego. Ozdobą salonu był nastrojowy pejzaż wielkiego miasta nocną porą – niedawno odnalezione dzieło Ludwika de Laveaux.

Zbroiński wiedział, że wszystkie te obrazy są oryginalne i żaden nie jest wypożyczony. Przypuszczał jednak, że po przyjęciu trafią one do jakiegoś ogromnego pancernego sejfu w mieście, a na tych ścianach zawisną ich idealne kopie.

Nigdzie nie dostrzegął Marcjańskiego, choć szukał go uparcie wzrokiem wśród grupki ludzi pograżonych w rozmowie. Ubrani oni byli na ogół wieczorowo – z wyjątkiem pewnego pianisty, którą wystąpił w artystycznie porozdzieranych dżinsach. Kobiety nosiły suknie lub eleganckie spodnie, mężczyźni ciemne garnitury – wielu, zgodnie z ostatnim sznytem, bez krawatów.

Goście stali pod ścianami albo przy wysokich stołach i raczyli się przekąskami. Widział kilku radnych, panią prorektor politechniki, dyrektora renomowanego liceum i licznych lekarzy, w tym kilku ordynatorów ze szpitala wojewódzkiego.

Jedni mu się kłaniali, inni odkłaniali, wielu udawało, że go nie poznaje.

Zbroiński nie był głodny – zjadł w domu na szybko wzgardzone przez Ewelinkę cztery racuchy – ale na widok świeżych bagietek, serów, past, humusów i różnych zawijasów poczuł, że chętnie przekąsiłby coś małego.

Po chwili namysłu machnął na to ręką. Jedzenie zaczeka. Musiał znaleźć Grzegorza.

I jeszcze coś – sprawdzić, czy nie ma tu gdzieś nuggetsów.

Ku swojej radości te drugie zlokalizował szybko. Kilkoro dzieci ubranych odświętnie – chłopcy w sweterki i muszki pod szyją, dziewczynki w lakierki i plisowane spódniczki – siedziało przy niskim stole, a hostessa, przypominająca strojem stewardesę, nakładała im na talerze różne smakołyki – były też nuggetsy!

Zbroiński już miał się zwrócić do dziewczyny z prośbą, aby mu zostawiła kilka sztuk, gdy poczuł, że ktoś lekko dotyka jego ramienia.

– Ty tutaj, Czesławie? – Natychmiast rozpoznał ten głos. – Nie pamiętam, żebym cię zapraszał.

Marcjański nosił smoking i muszkę. Jego brzuch był opasany szerokim ciemnowiśniowym pasem. Lekko się uśmiechał, lecz w oczach czaiło się zaskoczenie pomieszane z niechęcią.

– Cześć, Grzesiu – rozpromienił się nieproszony gość. – Chciałem ci pogratulować świetnego ruchu na politycznej szachownicy! Doskonale wykorzystałaś sytuację z tym... – nachylił się do jego ucha i dodał ściszym głosem – ... robieniem lodu na Wyspie. A nasza koleżanka z roku, kochana żelazna adwokat świetnie poprowadziła sprawę. I słusznie, że świętujesz taktyczne zwycięstwo, choć pewnie jeszcze cię piecze gładka buźka, co? Godzilla to ma krzepę, oj ma! Ale ci przywalała!

Marcjański ściągnął brwi. Zbroiński wiedział, że ten cios go zaboli – liczne, nie tylko lokalne, plotkarskie serwisy już wałkowały informację o policzku wymierzonym przez mecenas Drewnowską „polskiemu Giulianiemu”.

Gospodarz poczuł, że traci panowanie nad swoim sztucznym uśmiechem.

– Chciałeś mi pogratulować, Cesiek? – zapytał poirytowanym głosem. – No to już pogratulowałeś. Coś jeszcze, Cesiek?

Zbroiński rozejrzał się wokół, zatrzymując przez chwilę wzrok na dzieciach.

„Zbyt duże mają apetyty – pomyślał. – Nie zostanie nic dla Ewelinki”.

– Tak, coś jeszcze. – Przybysz już się nie uśmiechał. – Mam dla ciebie wspaniałą propozycję. Wiesz, taką nie do odrzucenia. Krótco ci ją przedstawię. A ty uśmiechaj się dalej, uśmiechaj, bracie, choćbyś... – ściszył głos jeszcze bardziej, niemal do szeptu – ... usłyszał coś, co cię powali na kolana.

Marcjański ruchem ręki odpędził kelnera, który przybiegł do nich z tacą pełną kieliszków szampana.

– Nie zaprosiłeś mnie na swoje święto, Grzesiu, bo wiesz, że pracuję dla twoich przeciwników. Nie gniewam się, naprawdę. Dziela nas tylko interesy. Nic nie przekreśli pięknych chwil z naszych szczęśliwych lat studenckich.

Marcjański rozejrzał się wokół. Goście byli zajęci rozmowami, a szampan i whisky sprawiały, że mówili coraz głośniej. Z holu dobiegały niebiańskie wręcz dźwięki Duetu Kwiatów z opery *Lakmé* Léo Delibes'a, z tą jednak różnicą, że kobiece głosy były transkrybowane na skrzypce i wiolonczelę.

– Wygrałeś tę rundę, Grzesiu, nabiłeś sobie trochę punktów, choć Godzilla kilka z nich ci zabrała – ciągnął Czesław. – Ale bądź pewien, że następną rundę przegrasz. Chyba że...

Zawiesił teatralnie głos. Marcjański pochylił się ku dawnemu koledze i szepnął z wściekłością.

– Mów, Cesiak! Bo już dłużej nie chcę oglądać twojej wrednej mordy!

Zbroiński patrzył, jak jego rozmówca sięga po mikroskopijny kawałek quiche.

– Wszystko pójdzie jak po maśle, jeśli dogadasz się z ludźmi, których reprezentuję – mówił szybko, przeczuwając, że zaraz będzie musiał opuścić ten dom. – Oni nie przepadają za obecnym prezydentem; jest zbyt powściągliwy w kwestiach deweloperskich. Mogą cię wesprzeć finansowo wielką sumą, naprawdę wielką, Grzesiu... Ty wygrywasz wybory i jesteś jak Giuliani. Przycinasz sieć sklepów Tutaj wokół Wyspy, zamykasz ją na noc: żadnej młodzieży, żadnych rozrób, dotrzymujesz wyborczych obietnic. A potem, już jako prezydent, odwdzięczasz się moim ludziom umożliwieniem zabudowy miejsca po

starej fabryce Świerczewski. To idealna lokalizacja dla ekskluzywnego osiedla z własną linią kolejową do centrum!

Marcjański wsunął sobie kawałek ciasta od ust.

– Jak mnie do tego wszystkiego zmusisz? – zapytał z pełnymi ustami.

Czesław rozłożył ręce, jakby go chciał uściskać.

– Może sprawię, że informacja o twoim dawnym intymnym związku z Goską dostanie się do mediów? Dzisiejszy policzek świetnie by się z tym zgrał. Ciekaw jestem, co powie po sprawie Jaworowskiego adwokacki sąd dyscyplinarny, jak się dowie, co was łączyło. Trochę pogrzebię w historii waszych kontaktów i coś na pewno znajdę. Jej mąż i twoja piękna żona nie będą zadowoleni, a sama Gośka będzie miała przesrane, przy czym i ciebie to gównem opryska...

Gospodarz spojrział na swoje palce zatłuszczone od quiche lorraine, a potem przyłożył je do kłapy marynarki Zbroińskiego i dokładnie je wytarł. Delikatny materiał garnituru, szytego na miarę w słynnym warszawskim zakładzie Musielskiego, wchłonął tłustą błyszczącą substancję.

– Mam ci jeszcze napluć w ryj – Marcjański nie zwracał uwagi na zdziwione spojrzenia gości – żebyś opuścił mój dom, ty skurwysynu?!

Czesław zbliżył do niego swoją twarz.

– Żartowałem, Grzesiu... Sprawa twojego dawnego bzykanka z Godzillą jest mało interesująca. Teraz stanie się coś wielkiego, coś naprawdę, naprawdę spektakularnego. Nastąpi nieprawdopodobna, potężna demonstracja naszej siły. Prawdziwy wybuch, który cię zmiecie. Wielkie bum!

Przyłożył serwetkę do zatłuszczonej kłapy, a potem wskazał na nią palcem.

– Brudząc mi ubranie, uruchomiłeś mechanizm zegarowy. Nic się niby nie zmienia, wszystko się toczy swoim własnym rytmem. Ale to tylko pozory, bo oto, po cichu, zbliża się eksplozja. Wybuch brudnej bomby!

Odwrócił się i poszedł przed siebie wśród ironicznych i zdumionych spojrzeń. Nie dbał o nie. Pogarda była od lat jego środowiskiem naturalnym.

Kiedy przechodził koło stolika dziecięcego, uśmiechnął się do hostessy.

– Można panią prosić o trochę nuggetsów dla mojej córeczki? – zapytał. – Czeka na zewnątrz.

– Już nie ma – odparła dziewczyna i wskazała na stojące przed nią naczynie. – To, co jest tutaj, to końcówka i właśnie rozdzielałam dzieciom po równo...

– Dobrze – rzekł w zamyśleniu sam do siebie, po czym sięgnął po miseczkę i zabrał ją sprzed oczu oniemiałej dziewczyny. Wystraszone dzieci umilkły.

Nikt nie zareagował.

Po chwili Czesław otworzył drzwi swojego samochodu.

– Masz, kochanie. – Podał miseczkę córce. – Tatuś zawsze dotrzymuje słowa...

*

Kilka dni wcześniej w miejscu oddalonym o ponad dwa tysiące kilometrów na południowy wschód – w gruzińskiej restauracji Deda przy drodze Ben Guriona w Tel Awiwie – dwóch mężczyzn zamówiło deser. Jeden z nich, łyśy okularnik z dwudniowym zarostem, poprosił o krem waniliowy; drugi, kędzierzawy brunet z kolczykiem w uchu i z ramionami pokrytymi tatuażami – o baklawę. Co do napoju byli zgodni – obaj wybrali kawę po turecku.

Siedzieli przy oknie i patrzyli na palmy, wąski pas plaży i zachodzące słońce. Woleli ten widok niż wnętrze Dedy wyściełane zakurzonymi czerwonymi gruzińskimi kilimami w czarne i białe pasy. Wielkie, oprawione w złoczone ramy obrazy – stylizowane na ludowy prymitywizm i przedstawiające wąsatych mężczyzn w kaukaskich strojach – też nie budziły ich zainteresowania.

Yaron Zlotner przesunął dłonią po łysinie i uśmiechnął się do Ilana Margalita.

– Wiesz, że w samym centrum kraju moich przodków uprawia się seks oralny na ulicy? Wybuchł skandal. Przeczytasz o tym być może w jutrzejszym „Jerusalem Post”... W redakcji trwa dyskusja, czy warto to zamieszczać.

– Może to *fake news*? Klikniesz, a tu się okaże, że nie seks, tylko rejs... I nie oralny, tylko lokalny...

Roześmiali się obaj.

– To nie jest *fake news* – powiedział Zlotner i umilkł, gdy ku nim zbliżył się kelner z tacą.

Wykazał zbyt dużą ostrożność. Chłopak po hebrajsku mówił słabo, i to w dodatku z silnym rosyjskim akcentem. Ale zarówno Zlotner, jak i Margalit pracowali w firmie, gdzie dyskrecja jest największą cnotą i gdzie uczono, że w restauracji każdy może być agentem. Powtarzano im to ciągle – zwłaszcza tuż przed wyjazdem, gdy dostali urlop, by spędzić święta Pesach w rodzinnym Tel Awiwie.

– Tekst napisał Yair Kifer – dodał Zlotner, gdy kelner zniknął. – To solidna firma. On musi mieć pewne i sprawdzone informacje...

– No nie! Muszę to jutro przeczytać! – Margalit nabrał na łyżeczkę kremu waniliowego.

– Czytaj już teraz! – powiedział kolega i podał mu swojego iPhone’a najnowszej generacji. – Dostałem ten tekst od zaprzyjaźnionej dziennikarki. Czytaj, a ja muszę do kibla.

Kiedy Zlotner zniknął w łazience, Ilan Margalit szybko przeczytał nieopublikowany jeszcze tekst Kifera. Informacje o starych Żydach, którzy byli świadkami rozpusty w dalekim polskim mieście, bardzo go wzburzyły. Zazwyczaj ukrywał prawdziwe uczucia pod maską wesołka, lecz gdy był sam – tak jak teraz – dochodziły do głosu jego niezłomne religijne przekonania.

Nie wytrzymał. Nie powinien był robić tego, co zrobił – czyli komentować w internecie zachowania tych zbrojnych. Jego szefowie, dowództwo wojskowego ośrodka badań nad bronią nuklearną położonego na pustyni Negew, dziesięć kilometrów od Dimony, zabraniali im korzystania z mediów społecznościowych. Margalit nie mógł się jednak powstrzymać, by nie założyć fikcyjnego konta na Twitterze. Tam umieszczał – tak jak teraz – jadowite komentarze i wdawał się w niekończące się polityczne polemiki.

Nie bał się, że zostanie zdemaskowany przez szefostwo. Potrafił zacierać po sobie ślady.

Nie wiedział jednak, że ta przezorność nie zabezpieczyła go jednak przed dawnym kolegą z roku. Giora Bleichman wytropił go niegdyś na Twitterze i zidentyfikował dzięki programowi śledzącemu manieryzmy językowe. Czytał jego posty uważnie.

Bleichman również i ten tweet przeanalizował, siedząc w małym mieszkanku, na oddalonej o pięćset metrów ulicy Anielewicza.

I wzburzył się równie mocno jak Margalit, z którym – choć różnili się mocno poglądami – przez pięć lat siedział w jednej ławce na zajęciach na uniwersyteckim wydziale technologii i informatyki.

Ale powód złości Bleichmana był zupełnie inny. On wściekł się na to, że jakieś państwo ogranicza swobodę ludzkich – choćby seksulanych – zachowań.

Giora Bleichman był skrajnym anarchistą, członkiem libertariańskiego kolektywu internetowego Sheol.

Nazwa ta oznaczała starohebrajską krainę umarłych.

CZĘŚĆ III

EKSPLOZJA

ROZDZIAŁ XII

KRÓTKI LONT

Ewa Skoczek położyła się spać przed pierwszą w nocy. Bolała ją głowa, dręczyły wyrzuty sumienia pomieszane ze złością na Alberta. Mimo to usnęła natychmiast.

Obudziła się jednak dość szybko. Spojrzała na telefon. Było trzynaście po czwartej.

Gwałtownie usiadła na łóżku i zaczerpnęła tchu z głębokim westchnieniem. Wynurzała się z lepkiej mazi ciężkiego snu, który nie przyniósł jej odpoczynku.

Miejsce obok niej było puste.

„Pewnie śpi w salonie zmęczony, bo długo przed snem wymieniał SMS-y z tą małą dziwką!” – pomyślała.

Spojrzała w okno i nastawiła uszu. Nasłuchiwała ohydnych wulgarnych wrzasków, brzęku rozbijanych butelek i dzikiego śmiechu. Czuła się przy tym tak, jakby do gardła podchodziło jej gliniaste słodkawe ciasto. Czekwała na ryki miasta.

Ale się nie doczekała. Na podwórku panowała cisza. To nie hałas za oknem ją obudził, tylko gonitwa myśli.

Wstała i na chwiejnych nieco nogach poszła do kuchni. Zapaliła światło i nalała sobie wody do szklanki.

Słyszała dochodzące z salonu chrapanie Alberta. Wyobraziła sobie u jego boku Mirellę, jak przytula się do jego ramienia i mrużąc jak kotka, chce go obudzić. Bez oporu sięga dłonią w spodnie jego pizamy...

Zrobiło się jej niedobrze. Wypiła pół szklanki wody i spojrzała na turkusowe kafelki na ścianach i chromowany ekspres do kawy. Wszystko, co razem odbudowali z osobistych traum, wszystko, do czego razem doszli, miała teraz rozbić w pył ta zdzira!

„Zaraz nadejdzie rozpacz wielką falą – przeszło jej przez głowę. – I zaszlocham jak mała skrzywdzona dusza w wielkim żalu nad sobą”.

Te ostatnie słowa wyszły spod pióra Zbigniewa Herberta, jej ulubionego poety⁸. Były jak kubek zimnej wody.

Przed oczami pojawił się jej licealny polonista, stary mężczyzna z farbowanymi na czarno włosami. Jak zawsze ubrany nienagannie, jak zawsze ściśnięty bardzo mocno pasem, by wytlumić ból rakowaciejących trzewi. Nigdy się nie skarżył, zawsze zachowywał spokój.

W jej oczach byłby nawet zabawny z tym swoim wiecznym herbertowskim patosem, gdyby nie obsesyjnie powracający w jego wypowiedziach motyw śmierci, o której mówił uczniom, parafrazując Wojaczka, że „przyczaiła się w nogach naszych łóżek”.

Ewa nie należała do jego ulubionych uczennic. Nawet nie była pewna, czy ją przez trzy pierwsze lata nauki w ogóle kojarzył z nazwiska. Miała duże opory przed publicznym wygłaszaniem własnych myśli, wypracowania pisała bez polotu. Dopiero w klasie maturalnej, gdy Piękny odkrył przed uczniami poezję współczesną, poczuła wiatr w żaglach.

Stary nauczyciel umarł dwa dni po jej maturze pisemnej, w ostatnim roku swojej pracy dydaktycznej. Na końcu jej wypracowania maturalnego o twórczości Herberta, obok oceny „bardzo dobrze”, dodał krótką recenzję. Zawarł w niej parafrazę słów z *Przesłania Pana Cogito*: „Uparcie drążysz w poezji interpretacyjne korytarze. Nie wahaj się. Nie rozpraszaaj. Bądź temu wierna. Idź”.

Zapamiętała sobie te słowa. I przywoływała je często w pozaliterackim kontekście.

Nigdy nie powiedziała Pięknemu, jaki był dla niej ważny.

Wyszła z kuchni i prychnęła lekceważąco w stronę posapywania dochodzącego z salonu. Owo „idź”, napisane w recenzji jej maturalnego wypracowania niewyraźnym, niechlujnym pismem profesora, wyświetliło się jej teraz przed oczami jak pulsujące pomarańczowe światło na nocnym skrzyżowaniu.

Weszła do garderoby przez łazienkę. Ubrała się szybko. Czapka, koszulka termoaktywna, legginsy, bluza z kapturem i adidasy. Tak – teraz mogła wyruszyć w ściśnięte przymrozkiem miasto i wykrzyzczyć swoją zazdrość na jego pustych ulicach.

Wybiegła na bruk Rynku Staromiejskiego, a potem skierowała się – pewnie, lecz bez zastanowienia – na zachód, w stronę osiedla Zadroże, gdzie w jednym z bloków spała młoda kobieta, która być może chciała zniszczyć jej małżeństwo.

Była pewna, że do tego nigdy nie dopuści. „Idź” oznaczało teraz: „Walcz o swoje”.

Po szóstej rano Ewa pojawiła się w swoim biurze. Na biurku zastała raport Waldemara. Nic nowego. Damian Sikora zniknął, a w Harlemie nikt nie chciał rozmawiać z detektywem.

Westchnęła. Wiedziała, że tak będzie.

Zaczęła się rozbierać. Miała za sobą trasę czternastu kilometrów i dwie godziny rozmyślań, zakończonych optymistycznym wnioskiem: ma czas. Sprawa Jaworowskiego zakończona; mogła jedynie czekać, aż Damian Sikora do niej zadzwoni. Musiała się teraz zająć czymś, od czego dotąd odciągała ją sprawa postpornograficznego show: Michałem Zawadzakiem. W osobie tego uwodziciela splatały się dwa wątki – osobisty i zawodowy. Bohaterką pierwszego była Mirella Szewczuk, drugiego – tajemnicza prostytutka, mistrzyni technik oralnych.

Wzięła prysznic, a mokry od potu strój do biegania wywiesiła na stojaku, zajmującym pół małego balkonu. Przebrała się w zestaw ciuchów, który zawsze trzymała w szafie na wszelki wypadek: stare džinsy, podkoszulek i w cienki golf. Było trochę za zimno, by w tym stroju wyjść na ulicę, pożyczyła sobie zatem pikowany bezrękawnik Waldka, który ten zawsze wkładał w czasie swojej bytności w biurze. Na głowę naciągnęła czapkę, która już zdążyła wyschnąć na kaloryferze.

Spojrzała w lustro. Nie wyglądała najlepiej bez makijażu – zmęczone oczy, dwie wyraźnie się odznaczające pionowe zmarszczki przy ustach. Z niechęcią

patrzyła też na swoje „służbowe” buty z cholewkami. Jasnoszary kolor ich zamszu nie najlepiej jej zdaniem współgrał z błękitem wytartych dżinsów.

Wypiła kawę, skubnęła kawałek tortu, który Michał, miłośnik słodczy, kupił dzień wcześniej i zostawił w lodówce, wysuszyła włosy, po czym trochę posiedziała przy biurku. Lubiła takie momenty zawieszenia przed akcją.

O wpół do ósmej wsiadła do corolli. Nie musiała jechać autem, do Instytutu Dziennikarstwa było niedaleko, ale po nocnym biegu była zbyt zmęczona, by iść piechotą, choćby zajęło to tylko dwadzieścia minut. Zresztą niewiele ponad trzy godziny snu, jakie zaliczyła tej nocy, wydłużyłyby pewnie ten czas o kilka dobrych minut, a poza tym śledzenie Mirelli, która przecież ją znała, będzie skuteczniejsze z okien samochodu.

Przed ósmą zaparkowała auto na bulwarze nad rzeką koło monstrualnego postmodernistycznego budynku z półokrągłymi oszkleniami na rogach. Ponad nimi wznosiły się kolorowe baszty z obłazącą tu i ówdzie farbą. Właśnie tam, w tym dziele architektonicznego przestępstwa popełnionego w afekcie, mieścił się Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej oraz dwie inne uniwersyteckie jednostki, każda z innej bajki – Katedra Logiki oraz Instytut Geografii. Ewa nie miała wielkiej nadziei na spotkanie Zawadzaka – w końcu był Wielki Czwartek, dzień wolny od zajęć, który nie zapowiadał tłumu interesantów pod gabinetem dyrektora instytutu.

Wysiadła z corolli. Z zawodowego przyzwyczajenia natychmiast uchwyciła spojrzenie kloszarda, który – udając drzemkę na ławce – nie spuszczał wzroku z jej samochodu.

„Ciekawa jestem, czy będzie chciał umyć mi szybę” – pomyślała.

Kloszard przewrócił się na drugi bok, wystawiając ku niej swój zadek. Oto odpowiedź.

W parkomacie wykupiła bilet do dziewiątej. Gdy wkładała go za przednią szybę, ujrzała, jak brodaty bezdomny zrywa się z ławki, podbiega do automatu

i wkłada brudną dłoń tam, gdzie urządzenie wypluwało bilet i drobne monety reszty.

Weszła do budynku. Na parterze mieściła się jadalnia o bezpretensjonalnej nazwie U Wiesi. Była już czynna i wabiła mocnym aromatem kawy.

Zanim Ewa dała się skusić, weszła na pierwsze piętro, gdzie mieściły się sale wykładowe i pokoje administracyjne. Zaczęła od łazienki, w której dokładnie umyła ręce, wciąż pamiętając, że dotykała tego samego miejsca co bezdomny, i dopiero potem skierowała się do gabloty z planem zajęć. Zanim spisała grafik zajęć profesora Michała Zawadzaka, weszła do sekretariatu, przedstawiła się jako interesantka i zapytała, czy „pan dyrektor będzie mógł ją przyjąć”. Z radością usłyszała od sekretarki odpowiedź twierdzącą, z tym wszakże zastrzeżeniem, że „pan profesor będzie niedługo, ale sam podejmie decyzję o ewentualnej rozmowie, bo będzie dziś bardzo zajęty”.

Wróciła do samochodu, przedłużyła czas parkowania do godziny dwunastej i – ignorując ciekawskie spojrzenia bezdomnego – zasiadła za kierownicą, włożyła ciemne okulary i zrzuciła nieświeżą już czapkę, w której biegła. Zamiast niej włożyła bejsbolówkę, a nad paskiem regulującym jej rozmiar przerzuciła koński ogon.

Przed oczami miała wejście do instytutu. Stąd dobrze wszystko widziała. Oto wszedł jakiś pracownik naukowy, potem jeszcze kilku, a jakichś dwóch studentów zapaliło papierosy.

Teraz pozostawało jej to, co było największą wadą jej zawodu – czekać i czekać. Nie myśleć o sprawach domowych, wyłączyć telefon, aby jej nie rozpraszał, i skupić się na zdarzeniach wokół.

Tak jak zawsze – pogrzyżyła się w poczuciu spokojnej beznadziei: nic się nie uda, nie porozmawia dzisiaj z Zawadzakiem, nie spotka Mirelli, nie będzie mogła jej śledzić – wszystko bez sensu. Taka negatywna wizualizacja zawsze dawała znakomity efekt: żadnych rozczarowań, chyba że przyjemne.

I takie właśnie czekało ją przed godziną dziewiątą. Wtedy to dostrzegła profesora Michała Zawadzaka. Szedł w rozpiętej kurtce dżinsowej, z telefonem przy uchu. Przez ramię miał przerzuconą skórzaną podniszczoną torbę raportówkę. Wyglądał na niechlujnego artystę, nie na pracownika naukowego, z jakimi Ewa się stykała w dawnych czasach na wydziale prawa.

Wysiadła pospiesznie i podbiegła do niego. Była pewna, że mimo licznych grup studentów wchodzących do budynku zwróci uwagę na jej szczupłą, zgrabną sylwetkę. Okularów nie zamierzała zdejmować – nie chciała światu pokazywać efektów kiepsko przespanej nocy.

Stała przed Zawadzakiem, tarasując mu drogę. Profesor się zatrzymał i przyjrzał jej uważnie, rzucił kilka słów do telefonu i schował go.

Zaproszenie na kawę U Wiesi i na rozmowę o Rakiecie przedstawiła z kamiennym wyrazem twarzy. Żadnym grymasem, żadnym uśmiechem nie chciała sugerować, że owa rozmowa może być wstępem do jakiegokolwiek flirtu. I ów notoryczny uwodziciel natychmiast to zrozumiał.

Kawa, tylko kawa. – Biło od niej chłodem.

Dobrze. Kawa to kawa – mówiło jego spojrzenie.

Zaproponował godzinę jedenastą – gdy skończy pewne ważne zebranie. Poszła w stronę samochodu. Tam usiadła wygodnie i dalej czekała. Przed nią było ponad dziewięćdziesiąt minut.

Nie panując nad odruchem, włączyła telefon. Osiem połączeń nieodebranych. Dwa nieznane numery i sześć od Michała. Dwie wiadomości tekstowe i dwie głosowe. Wszystkie od jej informatyka.

„To musi być pilna sprawa” – pomyślała.

I spokojnie wyłączyła telefon.

Teraz nie było ważniejszych spraw niż jej małżeństwo.

„Nie wahaj się. Nie rozpraszaaj” – zalecał Piękny.

*

Mecenas Małgorzata Drewnowska zachowała kamienny spokój przez całe popołudnie i wieczór po końcowej rozprawie. Wtedy to bowiem wydzwaniali do niej dziennikarze. Już pierwszy z nich, współpracujący z programem *Miasto w półmroku*, chciał pod fałszywym pretekstem gratulacji uzyskać komentarz do zdarzenia z udziałem Marcjańskiego i jej samej. Spoliczkowanie przez nią kandydata na prezydenta miasta rozpałiło wszystkich.

Na szczęście na krótko.

Gośka nie była seksbombą, która wszystkim pokazuje nowy stanik lub nowe licówki na zęby, ani kulinarną celebrytką, rzucającą w ultranowoczesnej kuchni gromy na niezdrowe jedzenie, toteż zainteresowanie jej osobą zostało szybko przyćmione – i to zresztą przez wyrok, w którego złagodzenie tak bardzo była zaangażowana.

Lokalni dziennikarze odbili się od niej jak od ściany, ale musieli przecież o czymś pisać i mówić. Skupili się zatem na przewidywaniu, jak sprawa Jaworowskiego wpłynie na szanse Marcjańskiego w wyborach. Przedstawiciele mediów ogólnopolskich komentowali zaś znaczenie wyroku dla przyszłych tego typu spraw obyczajowych, których – jak sądzono – będzie wkrótce coraz więcej.

Wielu kontaktowało się z prokuratorem Wojtałą, a ten – choć przegrany – zachowywał się jak triumfator. Butnie zapowiadał apelację i gromił bandycki napad na niewinnego człowieka, który może i przesadził, ale przecież nic złego nikomu nie zrobił – w odróżnieniu od brutalnego agresora, który złamał mu szczękę.

Dziennikarze, znudzeni w końcu tą fanfaronadą, znów telefonowali do Gośki, aby prosić ją o komentarz do sprawy. Niestety, swoje relacje musieli zakończyć rytualnym stwierdzeniem: „Adwokat Małgorzata Drewnowska nie odbierała telefonów od naszej redakcji”.

Rzeczywiście, nie odbierała połączeń z nieznanymi numerów. Trzykrotnie odrzuciła też połączenie od Marcjańskiego.

Wieczór spędziła z Willemem przed telewizorem. Obejrzelili cztery odcinki znakomitego amerykańskiego serialu o nauczycielu chemii, który zszedł na złą

drogę.

Spała dobrze, wstała później niż zwykle, a po wypaleniu papierosa na tarasie i wypiciu kawy pełna energii zeszła do podziemnego garażu i zasiadła za kierownicą swojego subaru forestera.

Gdy już wyjeżdżała na ostre słońce poranka, rozdzwonił się w aucie jej system głośnomówiący. Numer pulsujący na ekranie należał do Exploratrix.

– Cześć, Ewka! – krzyknęła, skręcając na most, pod którym pieniały się wyjątkowo dziś wzburzone wody rzeki.

– Michał Fiłonowicz. – Usłyszała cichy, spokojny głos współpracownika Ewy.

– Mam bardzo ważną wiadomość. Sądzę, że pani mecenas może być w niebezpieczeństwie.

Urwał.

– Pańska szefowa wie o tym niebezpieczeństwie? – Gośka przeklęła w myślach rowerzystę, który wślizgnął się przed jej maskę.

– Nie, nie mogę się do niej dodzwonić. I to mnie niepokoi.

– Ewa nie odbiera, gdy pracuje. – Gośka wjechała na drugi most, stary i żelazny, który niknął w cieniu potężnych piętnastopiętrowców, wybudowanych niedawno na nadbrzeżu. – Co pana tak niepokoi?

– Wyłączyła telefon, ale potem logowała się do sieci – odparł Michał. – Oczywiście prawo do tej inwigilacji mam za jej zgodą. I nie oddzwoniła. To mnie niepokoi. A mam bardzo niedobre informacje, które mogą pani zaszkodzić...

– Za kwadrans widzimy się w Zaułku – powiedziała Gośka i się rozłączyła.

Przejechała wzdłuż fosy, za którą stały dawne koszary – przerobione na supernowoczesne lofty.

Marcin Strzyż, bogaty człowiek z branży farmaceutycznej, wykupił w nich trzydzieści mieszkań i wszystkie oddawał na krótkoterminowy wynajem. Cały kompleks budynków uzyskał przez to miano imprezowni. Jej właściciel był niegdyś klientem Gośki. Zerwała z nim, gdy zaoferował jej jedno z mieszkań – jako bonus za wygranie sprawy. Odmówiła, choć była w przeddzień zakupu

własnego mieszkania. Zaoszczędziłaby mnóstwo pieniędzy, gdyby przyjęła propozycję. Odmówiła, mimo że Strzyż ją straszył, że nigdy jej nie tego nie zapomni. Mieszkanie w imprezowni byłoby równie przyjemne jak na zapleczu lokalu z karaoke.

Pomknęła prawie pustą o tej porze Targową i zaparkowała na swoim miejscu na podwórzu przed kancelarią.

W Zaułku była o wpół do jedenastej. Nie dostrzegło tu nikogo – oprócz właściciela lokalu i Michała Fiłonowicza, który popijał świeży sok z pomarańczy.

Gośka zamówiła wodę mineralną gazowaną i przysiadła się do niego. Było jej gorąco. Zdjęła marynarkę i została w białej koszuli z czarną aksamitną kokardką pod szyją. Pachniała papierosami i dobrymi perfumami.

– No co jest, panie Michale? – zapytała bez wstępów.

Fiłonowicz rozejrzał się dokoła. W przedobiedniej porze nie było tu nikogo, a Henryk zniknął na zapleczu.

– Ktoś sprytnie podesłał mi ukryte informacje – rozpoczął ściszym głosem. – Pierwszą o Hubercie Engelu jako o inicjatorze kampanii nienawiści wymierzonej w panią...

Był szczerze oburzony. Źrenice mecenasa zwięziły się w jednej chwili.

– A drugą o zażyłości Huberta Engela z Ireneuszem Banaszczykiem. Te dwie informacje zostały mi po prostu podesłane, choć bardzo dyskretnie, gdy na polecenie Ewy prześwietlałem Engela. Wtedy to się stało. Poprosiłem o przysługę znajomego, aby w poszukiwaniu informacji o Engelu przejrzał chińskie zasoby sieciowe. Sam nie miałem na to czasu, a ciągłe używanie tłumacza mnie drażni...

– Do rzeczy, panie Michale. – Gośka nie kryła zniecierpliwienia.

– Kolega sprawdził i przesłał mi jakieś informacje, a kilka godzin później inne, dodatkowe. Zadzwoiłem do niego wczoraj w nocy w zupełnie innej sprawie i podziękowałem za obie paczki informacji. A on się zdziwił i powiedział mi: przesłałem ci tylko jedną.

Umilkł.

– No i co dalej?

– Ktoś się podszył pod mojego kumpla i wysłał mi dane z jego konta. Sklonował to konto tak, żebym był przekonany, że to od niego... – Przełknął ślinę.
– Ta druga paczka zawierała linki do wstrętnych filmików na pani temat z głosem Huberta Engela. Zawierała coś jeszcze. Linki do zdjęć Engela z Banaszczykiem. Ten tajemniczy nadawca chciał, aby się pani dowiedziała, że pani klient jest dwulicowy i wspiera ataki na panią.

Gośka oparła się na krześle z takim impetem, że aż zatrzęszczało. Jej głos był jednak niezwykle spokojny.

– Wiem o tym, panie Michale. Tak, ktoś chciał, abym porzuciła sprawę Banaszczyka, kiedy się dowiem, że jest dwulicowy... Ale jest pewne *novum*. – Zasepiła się. – Ten ktoś...

– Nazwijmy go Nadawcą – przerwał jej Michał.

– Nadawca. – Mecenasa kiwnęła głową na zgodę. – Właśnie przestał być taki tajemniczy. Pan go zidentyfikował, wprowadzając nie z imienia i nazwiska, ale... już wiemy, że to on jest motorem akcji, zapewne hojnie opłaconym, wymierzonej przeciwko mnie.

Michał obniżył głos do szeptu.

– On chciał, żebym go odkrył, pani mecenas. On mi się przedstawił, ale nie z imienia i nazwiska, lecz ze swojej mocy.

Adwokatka spojrzała na Michała uważnie, jakby chciała sprawdzić, czy jej rozmówca nie wchodzi w jakieś ezoteryczne rejony. Gdy słyszała, że informatycy zaczynają mówić o mocy, stawała się podejrzliwa.

– Ja wiem – młody człowiek był śmiertelnie poważny – że teraz pani na mnie patrzy, jakby mi się wrotki całkiem odpięły... Pani myśli, że jakiś nerd, co lata na Polkomy, bredzi coś typu: „Niech moc będzie z tobą”. Ale ja wiem, co mówię.

Podsunał ku Goście laptop i wyświetlił na nim źródło przesłanej, na pozór niewinnej, wiadomości.

I wtedy wprowadził panią mecenas w ciemny świat przesuujących się w dół linijek pełnych tajemnych symboli. Każda z nich zawierała jakieś przesłanie, każda była napuchnięta od informacji, każda otwierała dostęp do wirtualnych głębin, do namiarów dla skryptów śledzących ukrytych w linkach albo dla kodów naprowadzających. Sprawdzanie każdego z nich mogłoby zająć tygodnie, a i tak możliwe, że doprowadziłyby donikąd. Były jak piana pokrywająca ciemny, nieruchomy ocean, który nagle eksplodował gniewnym tsunami niosącym śmierć.

Michał dotarł do tych przestrzeni. Odkrył nick Nadawcy. Zamknięty w HTML-owym, na pozór nic nie znaczącym wtrąceniu:

```
<!-- &#128013; -->
```

Ten kod niczego nie uruchamiał ani nie wyświetlał, pozornie wydawał się bezużyteczny. Ale tylko pozornie, bo pełnił bardzo ważną funkcję.

Był ostrzeżeniem.

Ten ciąg znaków nic nie mówił Drewnowskiej. Fiłonowicz otworzył więc interpretator kodu HTML i wkleił w niego samą wartość „🐍”. Wówczas na ekranie laptopa ukazał się wąż.

Wyobrażenie tego gada symbolizowało w darknecie hakerski kolektyw Sheol, który nazwę zaczerpnął od mitycznej hebrajskiej otchłani, krainy smutku, gdzie pył jest jadłem, a błoto napitkiem.

– Sheol, kiedy chce, zostawia swoje ślady, by zastraszyć wszystkich tropicieli – mówił Michał gorączkowo – To ślady na stronach darknetowych, gdzie kwitnie handel narkotykami, pornografią dziecięcą i bronią. Wielu o Sheolu mówi, nikt go nie lekceważy, każdy się boi.

Jak wynikało z opowieści Fiłonowicza, kolektyw słynął z niszczenia ludzi, którzy zagrażają szerzonej przez jego członków skrajnie libertariańskiej idei, czyli bezwarunkowej i absolutnej wolności. Sheol, oprócz nurzania się w największych plugastwach tego świata, współtworzy również portale do swobodnej wymiany „myśli i plików”, gdzie anonimowi użytkownicy mogli publikować nie tylko swoje manifesty, ale też zdjęcia, filmy i dokumenty – często kompromitujące znanych

polityków i osoby publiczne, na które chętnie rzucali się żądni sensacji dziennikarze. Być może wzięli panią mecenas na celownik, ponieważ dowiedzieli się, że broni ona Jaworowskiego, który zaatakował krzewiciela seksualnej wolności.

– Teoretycznie rzecz biorąc, ukryty znak węża w wiadomości – kończył już Michał – mógł zostawić każdy, jednak zręczne kodowanie wskazuje, że mamy do czynienia z profesjonalistami najwyższej próby. To ostrzeżenie od ludzi, z którymi nie chcę i nie mogę się mocować. Tak, pani mecenas, temu, kto do nich dotrze, zapala się od razu lampka alarmowa w głowie. I budzi się nagła myśl: lepiej ich zostawić... Nawet jeśli Sheol blefuje, to jego blef jest jak płomień oddalony o kilka centymetrów od lontu. Bardzo krótkiego lontu.

Umilkł i pociągnął resztę płynu, który zbulgotał w słonce.

– A ja ich posłucham – rzekł, spuściwszy wzrok na blat stołu. – Nie chcę kopać w gniazdo szerszeni... I powiem Ewie, że w tej sprawie już nie może na mnie liczyć... – Zaczerpnął tchu. – Sheol atakuje panią za bronienie Jaworowskiego. Zdaniem wolnościowców seks i używki są prawem każdego człowieka. A teraz najwyraźniej chodzi o to, żeby pani zostawiła sprawę Banaszczyka. Nie wiem dlaczego, ale... Proszę, niech pani weźmie na serio ich ostrzeżenie.

Drewnowska spojrzała na niego z lekkim lekceważeniem. Ten młodzieniec z pofarbowaną na czarno grzywką naprawdę naoglądał się zbyt dużo fantastyki.

– Mówi pan o szerszeniach... – starała się opanować ironię w głosie. – Kiedyś, jak byłam mała, walnęłam kamieniem w ich gniazdo. Jeden ugryzł mnie w ucho. Potem zamiast płotka miałam tam dużą ciemną śliwę. Ale w końcu znikła. – Pochyliła się ku Michałowi. – Dziękuję panu. Mimo wszystko zaryzykuję. Nie boję się ani szerszeni, ani... – zawiesiła głos – ... internetowych demonów.

*

W tym samym czasie, gdy mecenas Drewnowska wygłaszała śmiałe deklaracje, na Kostynicach, w dużym apartamencie na pierwszym piętrze – nad sklepem

z pieczywem Chlebotajnia, nad małą prywatną przychodnią stomatologiczną, zwaną z grecka Odontos, oraz nad zakładem kosmetycznym Nenufar – Ireneusz Banaszczyk siedział nad butelką whisky.

Spóźniali się. Mieli tu być pół godziny temu.

Był piękny kwietniowy poranek – taki, gdy ludzie zapominają o niedawnych deszczach i o zimnych powiewach wiatru. Otwierają okna i wpatrują się z radością w rosnące z dnia na dzień słupki rtęci w termometrach.

On nie zwracał uwagi na temperaturę – i tak, niezależnie od niej, pocił się obficie od nadmiaru alkoholu.

Z dołu dochodził zapach pieczonego chleba i odgłos rozmowy dwóch kobiet, z których jedna opowiadała drugiej, kogo to mianowicie się spodziewa na wielkanocnym śniadaniu.

„No tak – pomyślał Banaszczyk. – W końcu dziś mamy Wielki Czwartek”.

Ireneusz nie był zbyt pobożny, ale z lekcji religii, udzielanych w Polsce w czasach jego dzieciństwa jeszcze w salkach katechetycznych, pamiętał – choć wcale nie był tego pewien – że właśnie wtedy, w Wielki Czwartek przed około dwoma tysiącami lat, w starożytnym Izraelu uwięziono w ciemnicy pewnego proroka, podającego się za Mesjasza.

– No tak, tak właśnie – bełkotał, nalewając sobie potężną porcję do szklanki z grubego szkła. – Teraz mnie czeka, kurwa, ciemnica...

Przyszli do niego wczoraj. Barylski i Zbroiński. Źle się wtedy czuł. Miał kaca. Beata była w pracy. Czesław podsunął mu akt sprzedaży terenu składowiska na Zadrożu, sporządzony przez zaprzyjaźnionego notariusza.

– Albo to podpisujesz, Irek, i inkasujesz ładną sumkę... – powiedział – ... albo nie podpisujesz i masz na sumieniu mecenas Drewnowską.

– Potraktuj to jako formę okupu. – Barylski uśmiechnął się lodowato. – Widzisz, ona jest naszą zakładniczką i żądamy za nią okupu w postaci twojego podpisu. Wiesz, co się dzieje z zakładnikami, za których nikt nie chce zapłacić?

– Masz czas do jutra, Iras – dodał Czesław. – O dziesiątej rano przyjedziemy po dokument...

A teraz było wpół do jedenastej. I właśnie rozległ się dźwięk domofonu.

Banaszczyk podjął decyzję.

Ważniejszy dla niego był ten grunt i to składowisko – bo to jedyne, co miał na własność, jedyne, nad czym jeszcze panował. Tylko to mu zostało po nieudanych interesach w Szwajcarii, po boleśnie błędnych decyzjach osobistych, do jakich zaliczał ożenek z Beatą i wychowywanie jej syna, który okazał się zbrodnicą.

Ale tylko ich miał, więc będzie ich chronić. Dlatego musiał trzymać w szachu tych ludzi, musiał się targować o swoją ziemię, żeby wrócili z taką samą ofertą, jaką lekkomyślnie na początku odrzucił.

Nie miał wyjścia, musiał poświęcić Drewnowską.

Znów zadzwieczał domofon. Ireneusz podszedł do okna i rzucił z pierwszego piętra podarty akt notarialny – wprost na głowę Barylskiego i jego ochroniarza Czarka.

Wydał wyrok na panią mecenas.

I wtedy zaczął płakać.

*

Jadłodajnia U Wiesi świeciła pustkami. Była schludna i wypucowana. Można było mieć pewność, że nocami nie biegają tu po kuchni hordy prusaków. Była też – jak to często w stołówkach, gdzie każdy przychodzi coś zjeść, a nikt się nie rozsiada na dłużej – pozbawiona jakichkolwiek cech charakterystycznych. Ot, taka zwykła jadłodajnia z zasłonkami w kratkę oraz z prostymi krzesłami i stolikami.

Tylko jeden stolik był teraz zajęty. Siedziała przy nim Ewa Skoczek z Michałem Zawadzakiem, sztywnym i milczącym jak grób. Przypuszczała, iż tylko dlatego się zgodził na rozmowę, że bał się szantażu.

Miała skuteczną broń na tego niepoprawnego podrywacza i erotomana, który pozornie żył w udanym trzydziestoletnim związku małżeńskim.

Bywał w burdelach, uprawiał „nieciekawe praktyki”, jak wnioskowała jego studentka Klaudia Kozaczyńska, i proponował sponsoring dziewczętom, a wśród nich, co było dla Ewy najważniejsze, Rakiecie. Wystarczyło zagrozić, że powie żonie o jego wyczynach.

I tak właśnie zrobiła teraz, gdy wypła łyk zaskakująco dobrej kawy.

– Panie profesorze, nie będę się z panem bawiła w podchody – powiedziała spokojnie. – Proszę mi powiedzieć wszystko o Rakiecie. Chciał pan zostać jej sponsorem.

Westchnęła, jakby z ubolewaniem.

– Czy moja prośba jest dla pana jasna, czy może mam ją powtórzyć przy pańskiej żonie?

Od Alberta wiedziała, że czasy, gdy jego dawny kolega z roku był jednym z filarów studenckiego teatru Scrinium i mała która aktorka oparła się jego urokowi, dawno już minęły. Upływający czas mocno nadgryzł jego aparycję, lecz on się nie poddawał. Wciąż był szczupły. Obsesyjnie dbał o formę, a swoją wagę kontrolował dwa razy dziennie. Jeśli zachodziła taka konieczność, aplikował sobie głódówkę, bo nie zamierzał przytyć ani kilograma.

W porównaniu z tamtymi czasami nie był jednak ani na jotę ostrożniejszy i bardziej powściągliwy. Wciąż się uganiał, taką przynajmniej miał opinię na wydziale, za coraz młodszymi studentkami, stając się powoli w ich oczach groteskowym satyrem „w wąskich spodenkach opiętych na jajeczkach” – jak to ujęła jedna z nich. Co gorsza, nastały czasy, gdy molestowanie seksualne wychodziło już z cienia profesorskich gabinetów. Od dawna zbierały się nad jego głową ciemne chmury, a Ewa na pewno nie pojawiła się po to, by je rozgonić.

Zawadzak spojrział na swoją rozmówczynię przekrwionymi oczami. Najpewniej od niedawna zakładał szkła kontaktowe, których niebieskawy poblask był widoczny w słonecznym świetle.

– Pani polecenie jest dla mnie zupełnie jasne – powiedział spokojnie, choć w jego głosie czaiły się jakieś dramatyczne nuty. – Polecenie, nie prośba. Jako

filolog znam wagę i znaczenie słów.

Pochylił się ku niej blisko i dotknął swej piersi, jakby chciał jej pokazać medalion na rzemyku, pobłyskujący w rozpięciu koszuli.

– Rozmawiam z panią szczerze. Całkowicie. Tak, miałem słabość do Rakiety. Korzystałem z jej usług seksualnych. Lubię wymyślne rozrywki. Chce pani wiedzieć jakie?

Ewa pokręciła przecząco głową. Zrobiło się jej gorąco. Zdjęła czapkę i okulary.

– Ani trochę.

Profesor przyglądał się jej z wyraźną przyjemnością.

– Nie wiem nawet, jak miała na imię. – Zdjął łokcie ze stołu.

Milczał przez chwilę. Jego siwoblond włosy układały mu się nad czołem w fale *à la* idol jego lat młodości, Stanisław Mikulski. Gdyby były dłuższe i gdyby nosił na nich opaskę albo bandanę, to w swej flanelowej kraciatej koszuli wypuszczonej na dzinsy przypominałby starego hippisa. Niepokojące były jego oczy – niekiedy ironiczne, niekiedy bardzo uważne. I ten głos – głęboki, aksamitny bas – musiał kiedyś robić silne wrażenie na kobietach. Zwłaszcza gdy recytował poezję romantyczną, z czego słynął w żeńskich akademikach.

– Zniknęła. Szukałem jej. Dzwoniłem, ale odbierała inna dziewczyna i mówiła, żebym się odczepił. Wie pani, Rakietka była moją kokainą... – Westchnął i zerknął na Ewę, jakby chciał sprawdzić, czy rozpoznaje nawiązanie do piosenki Stanisława Sojki. – Ale nowych dostaw narkotyku już nie było, a ja w końcu wyszedłem z nałogu. Ktoś później powiedział mi, że wyjechała do Luksemburga.

Do kafejki weszło troje studentów, a wśród nich Mirella Szewczuk, która uśmiechnęła się na widok Ewy. Młodzi ludzie ukłonili się profesorowi.

– A dzień dobry, dzień dobry – odpowiadał z uśmiechem.

Kiedy studenci podeszli do bufetu, Ewa powiedziała cicho:

– Niech pan profesor spojrzy na tę dziewczynę w granatowym swetrze i w dzinsach...

Zawadzak musnął wzrokiem smukłą sylwetkę Mirelli. Ewa nie spuszczała z niej wzroku.

Patrząc na jej olśniewającą cerę, czuła każdą swoją zmarszczkę. Płaski brzuch dziewczyny przypominał boleśnie jej o fałdkach, których nie potrafiła się pozbyć.

– Proszę mi o niej coś powiedzieć – rzekła. – A właściwie nie „coś”, tylko wszystko...

Zawadzak podrapał się w podbródek pokryty dwudniowym szarawym zarostem.

– Wiem o niej niewiele – powiedział, patrząc, jak studenci wychodzą z kartonowymi kubkami z kawą. – Tylko tyle, że pochodzi ze Skorniewa. To małe miasteczko na Mazowszu. Niech pani kiedyś posłucha, jak ona wymawia nosówkę „ą”. Jak „o”, proszę pani. Jest w tym jakiś plebejski urok. – Westchnął. – Rodzina biedna, ale bez patologii, bez alkoholu. Tak mi przynajmniej kiedyś powiedziała, gdy rozmawialiśmy o poezji po egzaminie, który zdała u mnie celująco. Ona sama jest przebojowa. Świetna, zdolna. Na przykład dzisiaj, w dzień wolny od nauki, będzie siedziała w czytelni nad prasą międzywojenną. Pisze u mnie pracę magisterską o kronikach kryminalnych w prasie dwudziestolecia. Jest naprawdę świetna...

Ewa spojrzała na niego bystro.

– Rozumiem pani spojrzenie – prychnął. – Zapewniam panią, że nie. Nie uwodziłem jej. Ona lubi starszych mężczyzn, ale ja od razu wiedziałem, że nie jestem w jej typie. Czuję, kiedy od kobiety bije niechęć.

„A mój mąż? – chciała zapytać. – On jest w jej typie?”

– Niech pan teraz uważa, panie profesorze. Kiedy będzie koło nas przechodziła, pocałuję pana w policzek, rozumie pan?

Zawadzak uśmiechnął się smutno.

– Od pani też bije niechęć! Mimo tej oszałamiającej perspektywy.

Odsunęła się od niego i pokiwała głową, potwierdzając jakby to rozpoznanie.

– Tylko w policzek. I to będzie nasze ostatnie spotkanie. Filolog zna wagę słów?

Profesor przeszywał ją wzrokiem.

– Zna. Aż za dobrze.

Kiedy Mirella ich mijiała, Ewa wstała i pochyliła się nad Zawadzakiem. Pocałowała go w policzek pokryty szorstkim zarostem.

Wszyscy to widzieli. Mirella również. Była tak zdumiona, że odjęło jej mowę.

Za to Ewie wprost przeciwnie.

– Pa, Michałku! – zawołała do profesora.

Studentka omal się nie zadławiła kawą.

*

Przez całe popołudnie Zimniak śledził Mirellę Szewczuk. Dziewczyna długo siedziała w instytucie, najpewniej w bibliotece, potem była z koleżanką w małej kawiarence Pied-à-terre, skąd autobusem pojechała na Zadroże. Wtedy Ewa zwolniła swego pracownika i sama znalazła się pod jej blokiem. Siedziała w aucie prawie do jedenastej wieczór. Przed północą była w domu.

Telefon włączyła dopiero wtedy. Było trzydzieści nieodebranych połączeń, ale żadne od osób, na których jej najbardziej zależało. Ani Natalia, ani Albert się z nią nie kontaktowali. Ani córka, ani mąż nie mieli jej nic do powiedzenia. Choć ona im – bardzo wiele. Jutro. Jutro z nimi porozmawia.

Usiadła przy stole i oparła łokcie na grubym szklanym blacie. Patrzyła bezmyślnie na brydżowe trofeum Alberta, który chrapał na kanapie w salonie. Chciała, żeby już wrócił do sypialni, wrócił do niej. Oddałaby wszystko za to, żeby znów było jak dawniej. Złość na niego za numer, który wyciął jej przy Michale, powoli mijiała. Zresztą ukarała go paskudnym skaleczeniem na czole. Może zostanie mu blizna? Znała swojego męża i w pewnym sensie przywykła do jego ataków zazdrości. Co prawda nigdy dotąd nie urządzał scen przy innych ludziach, ale skoro tak się zachował, to może jednak zrobił to, bo wciąż ją kocha?

Była potwornie zmęczona i sama już nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Tęskniła za mężem, nie chciała wracać do pustego łóżka i chyba była już gotowa, żeby się z nim pogodzić. Najpierw jednak musiała mieć pewność, że nie zdradza jej z Mirellą.

8 Wiersz *Dlaczego klasycy?*

ROZDZIAŁ XIII

BRUDNA BOMBA

Była godzina szósta rano w Wielki Piątek, gdy rozległ się łomot do drzwi. Małgorzata Drewnowska zerwała się z łóżka. Wybiegła do przedpokoju. Przy wizjerze stał Willem – ubrany jedynie w spodnie od pizamy.

Spojrzał na nią i powiedział spokojnie Iwaszkiewiczem:

– Panowie w czarnych kaftanach. Centralne Biuro Antykorupcyjne. Tak krzyczą.

Walili w drzwi tak mocno, aż futryna się trzęsła. Małgorzacie zdawało się, że wraz z każdym uderzeniem osypuje się tynk. Przyszła jej do głowy absurdalna w tych okolicznościach myśl, że musi tę nedoróbkę zgłosić deweloperowi.

– Niech pan odejdzie! Proszę wejść do mieszkania! – Usłyszała ryk na korytarzu, skierowany najpewniej do jej ciekawskiego sąsiada, znanego notariusza. – Natychmiast! CBA! Otwierać!

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, jej mąż otworzył drzwi i stanął w nich – półnagi i wielki jak skała.

– Nakaz – powiedział spokojnie, choć purpura, jak to dokładnie widziała, już zalała mu całą głowę, aż po wianuszek krótko przyciętych włosów. – Nakaz – powtórzył.

– Proszę nas przepuścić! – krzyknął mężczyzna „w czarnym kaftanie”.

– Nakaz – powtórzył Willem. – Nie przepuszczę!

Uderzenie w twarz wstrząsnęło jego wielkim ciałem. Musiał dostać w podbródek, gdzie łączą się różne nerwy. Trafienie w ten splot może pozbawić człowieka przytomności. U Willema najwyraźniej owo połączenie nerwów nie było zbyt ścisłe, bo zachował przytomność i tylko oparł się ręką o ścianę.

I stał tak przez kilka sekund. Jak skała.

Ale i on miał swoją wytrzymałość. Zachwiał się, gdy następny cios trafił go w kolejny splot – tym razem słoneczny.

I wtedy zaczął się osuwać na błyszczącą beżową podłogę. Kiedy upadał, a właściwie składał się jak gigantyczny scyzoryk, szarpnął za nowoczesny wieszak. Ten nie wytrzymał.

Willem runął na ziemię, po czym przywaliło go stalowe cudo, ozdobione prostokątnymi płytami – białymi, czerwonymi i żółtymi, kojarzącymi się z geometrycznymi abstrakcjami Pieta Mondriana, którego twórczość Willem uwielbiał.

Małgorzacie krew uderzyła do głowy.

Z zaciśniętymi pięściami rzuciła się na ludzi w czarnych kurtkach z napisem CBA.

Dwaj z nich ruszyli ku niej z szybkością huraganu. Zanim zdążyła zareagować, mężczyźni uskoczyli na bok, minęli gospodynię i pobiegli w głąb mieszkania.

To ją zdezorientowało – na tyle mocno, że kobietę, która pojawiła się w drzwiach, niewysoką i drobną, zauważyła w ostatniej chwili.

Gośka broniła swego gniazda. Palce przykurczyła w szpony i runęła ku napastniczce.

Nie potrafiłaby dokładnie opowiedzieć, co się dalej z nią działo. Mogłaby tylko mówić, co czuła, po tym jak ujrzała skaczącą jej do oczu funkcjonariuszkę.

Najpierw była to eksplozja w oczodołach, później – palące uderzenie w podbrzusze.

A następnie chłodny dotyk podłogowych płytek.

I to było wszystko.

*

Tego ponurego poranka Ewa siedziała w swojej corolli zaparkowanej na jednym z osiedlowych parkingów Zadroża, obserwowała dom Mirelli i podsumowywała

wydarzenia dzisiejszego poranka.

Tej nocy dobrze się wyspała – prawie siedem godzin z tylko jedną przerwą. To był naprawdę niezły, jak na nią, wynik.

Dzień się dobrze zaczął, a jeszcze lepiej rozwinął. O siódmej rano, gdy piła kawę i jadła śniadanie, zadzwoniła do niej Natalia. W pierwszej chwili Ewa wystraszyła się, widząc na ekranie telefonu imię córki. Wyobraziła sobie, że ta wraca z jakiejś imprezy i dzwoni, bo zrobiła coś nieodpowiedzialnego, a teraz potrzebuje pomocy. Albo po pijaku pomyliła numery i zaraz zacznie coś bełkotać. Nigdy dotąd się to nie zdarzyło, lecz Ewa – zwykle racjonalna i logiczna – miała najczarniejsze wizje i zupełnie traciła rozsądek, gdy chodziło o córkę.

Poszła szybko do łazienki, aby głośną rozmową nie obudzić Alberta śpiącego w salonie.

Tam odebrała. Odetchnęła z ulgą.

Jej przewidywania się nie sprawdziły.

Natalii najwyraźniej było głupio, że ostatnio odpędzała się od matki jak od natrętnego komara. Wiedząc, że ta zwykle wczesnie wstaje, zadzwoniła teraz do niej – na długo przed swoimi zajęciami – aby po prostu pogadać, a przede wszystkim opowiedzieć jej o chłopaku imieniem Błażej, który ostatnio tak zaprzętał jej uwagę, że nie miała czasu na rozmowę.

Gadały prawie piętnaście minut, a potem Ewa, uszczęśliwiona i odprężona po rozmowie z córką, podkreśliła oczy kredką i weszła do sąsiadującej z łazienką garderoby, gdzie włożyła stare džinsy, bluzę z kapturem, lekką brązową sportową kurtkę, czapkę z daszkiem i ciemne okulary.

Wróciła do kuchni po ulubiony składany bidon, który – po napełnieniu wodą z kranu – przypięła karabińczykiem do plecaka. W czasie pracy w terenie często zasychało jej w ustach, woda była potrzebna. Na samą myśl, że mogłoby jej zabraknąć, czuła niepokój. Terapeuta policyjny powiedział jej kiedyś, żeby mniej jej piła, bo to substytut alkoholu. Uznała to za głupotę.

Wychodząc z domu, słyszała, jak Albert człapie po granitowej podłodze przedpokoju. Nie odwróciła się, nie zerknęła w jego kierunku, chociaż miała ochotę go pocałować. Ale najpierw musi mieć pewność, że między nim a Mirellą nic się nie wydarzyło.

Jadąc na Zadroże, starała się opanować emocje. Powtarzała sobie po cichu, że przed nią jedno z wielu zadań detektywistycznych i tylko przypadkiem jest w nie zamieszany jej własny mąż.

Takie powtarzanie weszło jej w nawyk obok innego jeszcze zwyczaju. W ramach duchowego treningu stawiała się w roli rozmówcy zadającego jej samej naiwne pytania, na które ona powinna przekonująco odpowiedzieć. To pozwalało jej widzieć rzeczy we właściwych proporcjach – bez zbędnych emocjonalnych zaburzeń.

„ – Czemu śledzisz Mirellę od samego rana?

– Nie chcę niczego przeoczyć – odpowiedziała sama sobie. – To prawda, mogłabym pojechać teraz do biura i zająć się różnymi sprawami. Ale może Mirella za chwilę dostanie wiadomość od Alberta: »Chata wolna«? Ja siedziałabym w biurze, a ona leżałaby w łóżku w moim własnym mieszkaniu z moim własnym mężem!”

To nie była uspokajająca odpowiedź. Na myśl o mężowskiej zdradzie napłynęła jej do ust gęsta ślina, którą z trudem przełknęła.

Po piętnastu minutach jazdy znalazła się pod blokiem Mirelli i czekała, aż zwolni się miejsce parkingowe, będące lepszym punktem obserwacyjnym niż to, które właśnie zajęła.

Kiedy już wszystko dobrze widziała, zatelefonowała do Waldka i wyjaśniła mu, jakie zadania czekają go tego dnia. Zapowiedziała, że będzie potrzebował swojego skutera.

Potem wykorzystała wolną chwilę na rozmowę z Michałem. O ósmej ten nocny marek był jeszcze nieprzytomny i z trudnością wyjaśniał szefowej, jak wielkie zagrożenie czyha na panią mecenas Drewnowską. Ewa słuchała go uważnie, jednak

nie potraktowała jego ostrzeżeń z należytą powagą, chyba z powodu bariery terminologicznej – „ha-te-em-elowe skrypty” nie budziły jej obaw.

Poza tym – starsza od Michała o piętnaście lat – należała do innego pokolenia. Internet traktowała jako przydatne narzędzie do kontaktu z ludźmi, do rezerwowania biletów samolotowych i do robienia opłat. Nie dostrzegała w nim śmierniczości gębi pełnej cyberrekinów.

Podziękowała Michałowi za kawał dobrej roboty i obiecała przemyśleć całą sprawę. Bardzo się starała, aby nie usłyszał lekceważenia w jej głosie.

Rozłączyła się bez pożegnania, gdy Mirella wychodziła z domu. Uruchomiła wycieraczki, aby lepiej ją widzieć. Nowych kropel na szybie nie było. Poranny deszcz przestał padać.

Dziewczyna otworzyła pomieszczenie na wózki i rowery. Kiedyś była to komórka z kontenerami, do których zsypywano śmieci z mieszkań. Z powodu plag myszy i insektów wiele domów zrezygnowało z tego rozwiązania, rury zsypowe zaślepiono, a w przebudowanych pomieszczeniach zadomowili się sklepikarze oraz złote rączki albo przechowywano tam wózki i rowery.

Ewa, patrząc na wyjeżdżającą stamtąd dziewczynę, przypomniała sobie, jak w swym zadrożańskim mieszkaniu pewnej nocy na policzku czteroletniej Natalii ujrzała biegnącego karalucha.

Potrząsnęła głową. Dość tych wspomnień. Ta mała dziewczynka, leżąca wtedy w łóżeczku, rozmawiała z nią dzisiaj o antykoncepcji.

Zapуściła silnik i wolno pojechała za Mirellą, łącząc się telefonicznie ze swoim pracownikiem.

Wiedziała, że obserwowanie rowerzystów nie jest łatwe. Z jednej strony osoba śledzona nie czuje się tak pewnie jak w samochodzie i nie rozgląda się wokół oraz nie patrzy z nudów na innych uczestników ruchu. Z drugiej zaś – śledzący jedzie dość wolno, by zachować stosowną odległość od obiektu, i naraża się na złość innych kierowców, którzy zaczynają na niego trąbić. Poza tym w porannych korkach – a tak właśnie było dzisiaj – rowerzysta ma ogromną przewagę:

lekceważąc przepisy, może wjechać na chodnik lub zniknąć w jednokierunkowej uliczce. Dlatego właśnie potrzebowała Waldka i jego skutera – w razie gdyby straciła Mirellę z oczu.

Problemy zaczęły się, gdy wyjechali z Zadroża. Dziewczyna poruszała się bardzo szybko i nie należała do rowerzystek traktujących z przesadnym respektem zasady ruchu drogowego. Wcinała się między samochody, wjeżdżała na przeklinane przez kierowców pasy ruchu przeznaczone dla autobusów lub taksówek, slalomowała pomiędzy przechodniami na chodnikach. Na szczęście wtedy pojawił się Waldek. Miał niewidoczne pod kaskiem słuchawki oraz mały mikrofon w piankowej osłonie, dzięki czemu cały czas był w kontakcie telefonicznym z szefową i na bieżąco ją informował, jak przebiega trasa rowerzystki. Niekiedy – pod wpływem tych informacji – Ewa musiała zmieniać drogę. Nie było to łatwe w porannych korkach, gdy wszyscy szukali skrótów, ale miała świetny refleks – pod warunkiem że była wyspana.

Tylko dwa razy zadrżało jej serce z niepokoju. Raz, gdy Waldek ją poinformował, że Mirella skręca w stronę Rynku Staromiejskiego. „A więc jednak” – pomyślała; a po raz drugi, gdy wcięła się przed jakiegoś czarnego SUV-a, który ostro ją obtrąbił.

W końcu minęła uniwersytet i znaleźli się w dzielnicy pełnej starych – niekiedy starannie odremontowanych – przedwojennych kamienic. Znowu dostrzegła Waldka. Jego stara, lecz wypieszczona yamaha eserka z drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych była zaopatrzona w wielki kufer, w którym – jak wiedziała – jej pracownik trzyma sprzęt fotograficzny. Detektyw co pół minuty meldował, że obiekt ma na oku i wszystko jest pod kontrolą.

W tej dzielnicy ruch był mniejszy, ponieważ kierowcy wybierali pobliską obwodnicę. Prawdziwą za to plagą były tramwaje i samochody dostawcze, które stawały niemal na środku ulicy i migły światłami awaryjnymi, co w tym momencie Ewie było akurat na rękę – mogła się za nimi przyczaić, gdyby Mirella zaczęła coś podejrzewać i oglądać się do tyłu. Waldemar też nie przeklinał. Był spokojny z natury.

Dziewczyna niczego jednak nie zauważyła, bo na chwilę przystanęła, włożyła słuchawki i podśpiewywała pod nosem, uderzając do taktu dłońią po kierownicy.

Ewa patrzyła na nią z bezpiecznej odległości i myślała gorzko, że ta beztroska, może trochę lekkomyślna studentka o pięknej alabastrowej cerze i gładkiej skórze pod oczami jest tym wszystkim, czym ona już od dawna nie była. Bezsenność znała zapewne jedynie z książek, podobnie jak nałogi, problemy z dorastającymi dziećmi, zazdrosnymi mężami oraz z dziecinniejącymi, wiecznie chorymi rodzicami.

Przyhamowała nieco, pozostawiwszy Waldkowi kontrolę nad całą sytuacją, Minęło prawie czterdzieści minut, kiedy się w końcu zatrzymała. Była na ładnym osiedlu Sarneńsko, leżącym w zakolu rzeki i znanym z licznych terenów rekreacyjnych, należących do uniwersytetu sportowego.

Od Waldka wiedziała, że Mirella zsiadła z roweru pod restauracją Walkiria i zbliżyła się do drzwi nieczynnego dzisiaj lokalu.

– Dzwoni raz, drugi – donosił Waldek. – Nikt jej nie otwiera. Wyciąga telefon.

Ewa minęła ten lokal i skręciła w prawo w pobliską przecznicę. Zatrzymała się tam i wysłała SMS do Michała.

WSZYSTKO O RESTAURACJI WALKIRIA. PILNE.

Na prawidłowo zaparkowaną naprzeciwko lokalu niepozorną czerwoną kię rio z wgiętymi drzwiami nie zwróciła uwagi.

Czesław Zbroiński, siedzący za jej kierownicą, odprowadził wzrokiem corollę, ale ani ona, ani kierująca nią kobieta w czapce bejsbolówce nie wzbudziła jego zainteresowania. Przez kilka sekund co prawda zastanawiał się, dlaczego w tę pochmurną pogodę nosi ciemne okulary, ale zaraz całą swoją uwagę skupił na skuterze, który od kilku dobrych minut parkował na chodniku, dziesięć metrów od auta Czesława. Pojazd był stary, lecz bardzo zadbany. Siedzący na nim mężczyzna zdjął kask i nie spuszczał oczu z Mirelli, gdy ta przypięła rower i skierowała się w stronę restauracji, a kiedy zaczął poruszać ustami, Zbroiński dostrzegł mikrofon umocowany na sztywnym kabelku tuż przed ustami.

„Ten stary z wąsem to pies – pomyślał. – Ja ich wyczuwam na kilometr”.

Ale im dłużej mu się przyglądał, tym większy ogarniał go niepokój. Gość był za stary na psa. Może więc prywatny detektyw?

„Teraz? – westchnął w duchu Czesław. – Akurat przed ostatnim już, rozstrzygającym spotkaniem z Banaszczykiem? Trzeba się nim zająć...”

Gdy Mirella weszła do lokalu, wysiadł, przeszedł szybko przez jezdnię i zapukał do drzwi Walkirii. Wisząca tam duża kartka informowała, że restauracja jest nieczynna aż do poświętecznego wtorku.

Otworzył mu mężczyzna z irokezem na głowie.

– Miej na oku tego starego na skuterze, Czarek – szepnął mu na ucho Zbroiński. – Gdyby odjechał, weź rower i usiądź mu na ogonie. Muszę wiedzieć, co to za jeden. I bądź cały czas pod komórką, tylko na wibracji, żeby cię nie usłyszał, rozumiesz?

Czarek kiwnął głową i ruszył w stronę wiaty, pod którą stał rower elektryczny Kalkhoff.

W tym samym momencie zawibrował telefon Zimniaka.

– Trzeba zrobić zdjęcia, Waldek – powiedziała Ewa. – Masz przy sobie swój turboaparat?

– Mam. Gdzie jesteś?

– Koło wejścia na korty.

– Idę.

Zimniak ruszył w tamtym kierunku.

Kiedy Czarek wyciągnął rower spod wiaty, zaklął. Starego już nie było.

*

Małgorzata Drewnowska piętnaście minut po ataku siedziała w swoim salonie na kanapie. Willem – wciąż półnagi, purpurowy i obolały – obejmował ją mocno.

Zamknęła oczy, aby nie widzieć, jak funkcjonariusze depczą jej jasnoszary dywan, zostawiając na nim brudne smugi. Bolała ją głowa, a szczególnie oko, bo to

tam doszedł cios Małej Kobry, jak nazwała w myślach umundurowaną napastniczkę.

Patrzyła z niechęcią, jak ta podaje innej kobiecie jej laptop i cicho dyktuje nazwę firmy, która go wyprodukowała.

Choć słońce już wzeszło, jego promienie nie przebiły grubej waty chmur nad miastem. Po oszklonych ścianach tarasu zaciął deszcz. Wielki Piątek był taki, jaki być powinien – zimny i smutny.

– Jestem dowódcą tej specjalnej grupy realizacyjnej – usłyszała nad sobą męski głos – wchodzącej w skład Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Nakaz zatrzymania pani Małgorzaty Drewnowskiej wystawiła prokuratura okręgowa. Zostanie pani, jako zatrzymana, odtransportowana przez moich ludzi do izby zatrzymań przy zakładzie karnym.

Obszedł kanapę i stanął naprzeciwko małżonków.

– Pani wie, że nie mogę się przedstawić, moje nazwisko zna prokurator okręgowy Przemysław Biliński. Oto nakaz rewizji i zatrzymania.

Małgorzata poruszyła się na kanapie. Zabolało ją podbrzusze. Mimo to wstała gwałtownie.

Mężczyzna cofnął się pół kroku i spojrzał na Małą Kobrę. Ta odłożyła laptop i uważnie patrzyła na rozwój wypadków.

– Nagrywał pan akcję zatrzymania i wtargnięcia do mojego mieszkania? – zapytała pobita mecenas.

– Tak – odparł dowódca. – Ale okazało się, że kamera była źle skonfigurowana i nic się nie nagrało.

– Złożę skargę! – Gośka podniosła głos.

Mężczyzna pokiwał głową, jakby chciał potwierdzić: „Ma pani prawo”. Jego koleżanka wciąż stała i nie kontynuowała przeszukania.

– Jest pani podejrzana o sugerowanie wpływów w prokuraturze i w sądzie. Proszę się ubierać. Ma pani prawo wykonać jeden telefon wedle życzenia. Potem

dokonamy tymczasowego zajęcia aparatu, celem sprawdzenia danych. Może pani iść do łazienki, ale wyłącznie w towarzystwie funkcjonariuszki.

– Wolałabym w towarzystwie amstaffa chorego na wściekliznę – prychnęła, czując, jak poruszają się boleśnie mięśnie jej brzucha.

Wyciągnęła drżącą dłoń. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że ten gest pozwoli jej choć na chwilę stłumić ból, jaki przeniknął jej oczodół.

– Telefon! – warknęła.

Wybrała numer mecenasa Lucjana Buczyńskiego. Jeden z najsłynniejszych prawników w mieście i przewodniczący adwokackiego sądu dyscyplinarnego odebrał natychmiast.

Ów gwiazdor miejscowej palestry był pryncypialny, surowy, niezłomny. Jego usługi były bajecznie drogie. Cele realne osiągał prawie w stu procentach. Nierealnymi się nie zajmował, choćby oferowano mu honorarium wartości domu na Kostynicach.

Nie znosił mecenas Drewnowskiej za jej zuchwałą bezceremonialność i brak szacunku, okazywany wszystkim wokół. Choć nie krył się z niechęcią do niej, to w skrytości ducha uważał ją za znakomitego adwokata na nowe czasy, podczas gdy o sobie mawiał *Plusquamperfectum*⁹ – czym wzbudzał konsternację nowych pokoleń prawników, słabo znających łacinę.

Buczyński – mimo osobistych zaszłości – wiedział jednak, na czym polegają adwokackie obowiązki. I znał prawniczą zasadę *In dubio pro reo*. Sytuacje wątpliwe przemawiają na korzyść oskarżonego. Zwłaszcza gdy podejrzaną, a właściwie dopiero zatrzymaną, jest mecenas Drewnowska.

„Ma pewnie za uszami jakieś grzeszki jak wszyscy – pomyślał, wyłączając oczywiście siebie z tego grona – ale zarzut, jaki jej postawiono, jest idiotycznym wymysłem”.

Drewnowska była zbyt rozsądna, aby sugerować wywieranie za opłatą wpływu na prokuraturę i sąd. Coś takiego było jak wyrok na samą siebie. Najgorszy śmieć

mógłby ją potem oskarżyć o sugerowanie wpływów, a ona nigdy nie szła na kompromis z przestępcami.

„Nie chwając się – podsumował w duchu Buczyński – ja ją tego nauczyłem”.

Bez wahania obiecał zająć się sprawą po koleżeńsku *pro bono*, a potem wysłuchał dokładnie długiej, precyzyjnej relacji swojej koleżanki. Zanotował wypowiedź o rzekomej awarii kamery oraz o pobiciu Willema, a także informację o sprawie Banaszczyka i o roli, jaką w niej odgrywa detektyw Ewa Skoczek i niejaki Damian Sikora. Przy poleceniu: „Znaleźć E. Skoczek/ znaleźć D. Sikorę”, postawił wykrzyknik.

Pani mecenas podziękowała i oddała telefon Małej Kobre. Patrząc jej w oczy, poczuła uderzenie wściekłości.

„Właśnie stało się to, przed czym ostrzegał mnie Michał, a ja nie chciałam go słuchać” – pomyślała.

– Przytrzymasz mnie za głowę, jak będę sikała? – Uśmiechnęła się złośliwie do policjantki.

Skóra twarzy funkcjonariuszki stała się ciemna.

– Lubi pani dowcipkować, pani mecenas? – zapytała głosem drżącym z gniewu. – Przyda się pani dobry humor wśród naszych więźniarek. One nic innego nie robią, jak tylko ćwiczą na siłowni. I są bardzo, ale to bardzo spragnione nowości... Tfu! Chciałam powiedzieć „nowej miłości”...

*

Zanim Ewa zadzwoniła do Waldemara, wydawało się, że okoliczności jej sprzyjają. Wsiadła z samochodu i weszła na teren uniwersytetu sportowego. Z plecakiem wyglądała, jakby szła na basen albo na bieżnię, i nie wzbudziła najmniejszych podejrzeń strażnika, który otwierał szlaban, aby przepuścić uczelniane czy inne upoważnione samochody.

Po prawej ręce miała kryty basen akademicki, po lewej prywatny ogród, jak oznajmiała duża tablica, a właściwie lasek, należący do lokalu Walkiria. Był on

odgrodzony starym metalowym płotem od kortów tenisowych i od zamkniętej dla samochodów asfaltowej wewnętrznej drogi, którą właśnie szła. Wśród drzew stało kilka altan, obok których znajdowały się wiaty do grillowania. Tu urządzano letnie imprezy.

Choć pokonanie ogrodzenia nie nastęczało większych trudności, to byłoby wręcz proszeniem się o poważne kłopoty. Dwa wielkie rottweilery siedziały koło altanki i wodziły za Ewą czujnym wzrokiem. Były jednak na tyle dobrze wyszkolone, że nie skakały na płot na widok każdego przechodnia i nie szczekały, burząc spokój grywających tuż obok tenisistów. Po prostu siedziały i patrzyły. Ewa wolała nie sprawdzać, czy potrafią coś więcej.

Rozejrzała się wokół. Przy parkanie, pod wielkim modrzewiem, stała nieczynna dziś budka z kebabami i z napojami. Jej półkolisty dach był prawie niewidoczny wśród gęstych zielonych igieł.

Podeszła bliżej. Stała tuż przy płocie – w przestrzeni pomiędzy ogrodzeniem a budką, gdzie unosił się charakterystyczny smród moczu. Wybrała chwilę, gdy główną ulicą przejeżdżał hałasujący mocno tramwaj. Wspięła się wtedy na parkan i przeszła na dach kebabowni.

Psy zareagowały natychmiast. Ich szczekanie było jak głęboki, gardłowy ryk, przechodzący w skowyt.

Ewa natychmiast zeskoczyła i pobiegła w stronę kortów. Stała przed wejściem lekko zadyszana. Dozorca wpuszczający na korty spojrzał na nią obojętnie. Psy przestały szczekać i rzucać się na płot.

Zadzwoiła do Waldka.

Jej pracownik zjawiał się po minucie z dużym plecakiem. Ewa wskazała mu stróżówkę przy wejściu na kort i gestem ostrzegła przed psami. Zrozumiał ją bez słowa. Sam ją uczył technik operacyjnych.

Dozorca kortów tenisowych nie dziwił się, że w ten deszczowy, zimny Wielki Piątek nie ma na kortach żadnych graczy. Nie zdumiał go też starszy facet w kaszkiecie i z wąsem, który wręczył mu banknot pięćdziesięciozłotowy i zapytał,

czy może wejść na kort, żeby zrobić kilka artystycznych zdjęć kałużom, o które rozbijają się krople deszczu. Oczywiście się zgodził, a facet wszedł na małą trybunę dla publiczności. Nie fotografował kałuż, lecz całą swoją uwagę poświęcał parkanowi oddzielającemu kort od lasku, w którym stała restauracja Walkiria.

Szwedzki aparat Hasselblad XD2 100C był arcydziełem technologii fotograficznej. Wraz z teleobiektywem Nikon Nikkor Z 800 mm oraz z różnymi dodatkami kosztował prawie osiemdziesiąt tysięcy złotych. Zimniak kupił ten sprzęt za oszczędności całego życia. Jako bezdzietny wdowiec mógł sobie pozwolić na taką fanaberię. Kupił sobie to, o czym całe życie marzył, i aparat wykorzystywał do tego, o czym śnił już jako chłopiec – do fotografowania ptaków, na których znał się jak mało kto.

Teraz nie robił zdjęć swym skrzydlatym ulubieńcom. Oparł teleobiektyw na parkanie i przyłożył doń oko. Ujrzał wnętrze pokoju, rozświetlonego przez dziwne lampy – jakby drzewka rosnące na suficie koronami w dół.

Na środku eleganckiego pokoju z wymyślnymi krzesłami i abstrakcyjnymi płótnami na ścianach, na tle ogromnego telewizora, siedziało przy stole trzech mężczyzn. Czesław Zbroiński, łysawy, w skórzanej kurtce, wykonywał lekkie ruchy dłońmi – jakby tymi gestami chciał nadać swoim słowom większą wagę. Ireneusz Banaszczyk palił papierosa i wbijał wzrok w stół. Krzysztof Barylski ubrany jak zwykle w elastyczny trykot z długimi rękawami patrzył na nich i przyklepywał dłonią włosy. Lekko się uśmiechał, wprawiając w ruch swą wielką kwadratową szczękę.

Nagle wszyscy spojrzeli w stronę drzwi. Pojawił się w nich wysoki mężczyzna w garniturze i krawacie. Za nim stanęła Mirella Szewczuk. Barylski uśmiechnął się do niej i mówił coś przez dłuższą chwilę. Chyba coś obraźliwego, bo dziewczyna zaczęła gniewnie gestykulować, mięśnie jej twarzy drgały, a usta były otwarte, jakby coś wykrzykiwała.

Barylski rzucił pod nogi Mirelli kopertę. Ochroniarz schylił się, ale Barylski go powstrzymał. Dziewczyna zamarła. W końcu szef kiwnął na ochroniarza, ten podał Mirelli kopertę i tych dwoje opuściło pomieszczenie.

W tym momencie Banaszczyk zaczął się trząść i ocierać oczy z łez, po czym chwycił za stół, jakby chciał go przewrócić, ale ten okazał się zbyt ciężki. Płaczący mężczyzna machnął wściekle ręką, rozgniół na blacie niedopałek, a potem wybiegł z pokoju. Czesław się śmiał, uderzając dłońmi o uda. Barylski kiwał głową i uśmiechał się triumfująco. Nagle do ucha przyłożył śmieszny żółty telefon, wyglądający jak banan.

Zimniak w potężnym teleobiektywie widział błyszczące białe zęby mężczyzny. Po chwili obaj mężczyźni uściskali się wylewnie.

Każda scena została zarejestrowana.

Kiedy wśród krzewów za parkanem rozległ się szelest i warkot, Waldek uznał, że już na niego czas, i szybko schował sprzęt do plecaka. Jeden z psów zaszczeakał, ale zaraz dał spokój, bo intruz pospiesznie się oddalił. Były tresowane nie po to, by szczeakać, ale po to, by gryźć.

Dotarcie do skutera zajęło Waldkowi chwilę. Szybko zamieścił zdjęcia w chmurze, a potem wysłał Ewie link. Mimo swego wieku stary detektyw był niezłe zaawansowany w nowych technologiach, zwłaszcza fotograficznych.

Ewa siedziała w corolli i czytała wiadomość od Michała:

WŁAŚCICIELEM WALKIRII JEST KRZYSZTOF BARYLSK BOGATY
DEWELOPER WŁAŚCICIEL FIRMY CASTEL.

Na ekranie pojawiło się również zdjęcie mężczyzny – łysawy, w świetnie skrojonym garniturze, spod którego wystawał czarny trykot.

PODEJRZANY O KONTAKTY Z PRZESTĘPCZOŚCIĄ
ZORGANIZOWANĄ ZARZUTY ODDALONO – dopisał Michał.

Teraz dopiero Ewa zauważyła dwa nieodebrane połączenia i SMS od męża Goški. Trudno, przeczyta później – najpierw musiała doprowadzić do końca tę sprawę, bo w tej chwili liczyło się tylko jej małżeństwo.

*

Była godzina trzecia po południu, gdy prokurator Adrian Wojtala wszedł do pokoju wychowawców w zakładzie karnym. Sekretarce oznajmił, że chce zostawić książkę na biurku swojego znajomego Marcina Słotwińskiego. Ta wizyta prokuratora w pokoju wychowawców zupełnie jej nie zdziwiła. Wiedziała, że obaj panowie znają się od dawna i że są po imieniu. Co więcej – została uprzedzona przez Marcina, że prokurator Wojtala przyniesie mu jakąś książkę i zostawi ją na biurku.

Wskazała przybyszowi właściwe drzwi i wróciła do komputerowego pasjansa.

Powód wizyty prokuratora był prawdziwy, ale tylko częściowo. Wojtala, owszem, dał znać, że chciałby mu podrzucić książkę *Służba więzienna. Komentarz*, którą dostał na ostatnim szkoleniu.

Coś jednak zataił. Miał w teczce dwa egzemplarze tej książki. Jeden położył na biurku kolegi, drugi – na szafce obok drzwi wejściowych do pokoju.

Wrócił do sekretariatu i pożegnał się z urzędniczką, która nawet nań nie spojrzała znad ekranu.

Kiedy szedł więziennym korytarzem, usłyszał kroki na drugim jego końcu. Schował się za załom muru przed wejściem do toalety. W słabym świetle ujrzał prokuratora okręgowego Przemysława Bilińskiego zmierzającego do pokoju wychowawców. Prokuratura nadawała sprawie wielką rangę, skoro sam jej szef miał nieformalnie przesłuchać Małgorzatę Drewnowską w pokoju wychowawców, o czym przed kilkoma godzinami poinformował Wojtalę jeden z jego lokatorów.

– Uff... – szepnął. – Zdążyłem przed Przemkiem...

Prokurator Biliński powiesił płaszcz na wieszaku i podszedł do dużego stołu. Potarł skronie, jakby to miało mu poprawić koncentrację. Położył teczkę na stole i usiadł ciężko na tapicerowanym krześle, pamiętającym zapewne jeszcze lata siedemdziesiąte. Oparł się łokciami o blat.

Czekając na zatrzymaną Małgorzatę Drewnowską, rozglądał się po pomieszczeniu. Trzy biurka, przezroczysty, zakamieniony czajnik elektryczny, zakurzony dywan, słomiane maty na ścianach, a nich przyszpilone kartki z dowcipami rysunkowymi. Na jednej z nich było wydrukowane pocieszenie

WSZYSTKO
BĘDZIE
DOBRZE

Wiedział, że łamie procedurę, przesłuchując ją w zakładzie karnym, ale sprawa była pilna i chciał ją odfajkować przed świętami.

Drzwi się otworzyły. Drewnowska weszła do pokoju w towarzystwie strażniczki.

- Justyna Nowaczyk, starsza kapral Służby Więziennej.
- Przemysław Biliński, prokurator.

Strażniczka stanęła przy drzwiach i nie spuszczała wzroku z podopiecznej.

Pani mecenas daleko było do triumfującej prawniczki, którą przeklinali prokuratorzy. Teraz była zatrzymaną – nieco niepewną, lecz nie załęknioną, nieco smutną, lecz nie przygnębioną. Z jej oczu biła zimna determinacja.

„Ciekaw jestem, jak długo pozostanie tu taka harda – pomyślał prokurator. – Czy nie zakręci się łąza w jej oku, gdy jej mąż będzie jadł na tarasie śniadanie wielkanocne, a ona będzie dłużyć w jajku na twardo w dziesięciometrowej śmierdzącej celi z czterema nowymi koleżankami”.

Drewnowska usiadła naprzeciw, po drugiej stronie stołu. Nie pasował do niej szary kolor dresu, który podkreślał ziemistość cery oraz ciemne sińce pod oczami. Włosy, zwykle sięgające ramion, teraz – nieco przetłuszczone – miała spięte gumką nad karkiem, co odsłaniało męską jakby kanciastość jej szczęki. Brak makijażu czynił jej twarz niemalże groźną.

- No? – warknęła. – Dlaczego zostałam zatrzymana?

– Stawiam pani zarzut o sugerowanie swoich wpływów w prokuraturze i w sądzie. Przedsiębiorca pan Marcin Strzyż oskarża panią, że dwa lata temu zażądała pani jednego z jego mieszkań za wpłynięcie na korzystny wyrok sądu w jego sprawie.

Drewnowska natychmiast sobie przypomniała tego przymilnego klienta, który zaoferował jej łapówkę w postaci mieszkania w zamian za doprowadzenie do ugody z mieszkańcami nowoczesnych loftów przerobionych z dawnych koszar. Strzyż w tychże loftach wykupił trzydzieści mieszkań, które wynajmował głównie na wieczory kawalerskie i panieńskie. Sąsiedzi złożyli zbiorowy pozew cywilny. Kamienicznik ani myślał z nimi negocjować i cokolwiek im obiecywać. Obietnicę o wielkiej wartości – czyli stumetrowe mieszkanie – złożył natomiast pani mecenas, a ona odmówiła. I chyba właśnie teraz nadszedł czas zemsty Marcina Strzyża.

– Przed chwilą otrzymałem telefon z naszej prokuratury okręgowej – ciągnął Biliński. – Do oskarżeń dołącza się również Ireneusz Banaszczyk. Powtarza te same zarzuty: o sugerowanie wpływów.

Zaczerpnął tchu i obserwował kobietę przez dłuższą chwilę. Zmieniła się na twarzy. Jej górna warga podniosła się nieco, pokazując zęby. Ziemista cera traciła swą barwę, stając się kredowobiała.

– Oczywiście, pan Ireneusz Banaszczyk – prokurator spojrzał na stojącą w drzwiach strażniczkę – rezygnuje z pani usług. Dla pani mecenas sprawa pożaru na składowisku opon jest zakończona. Powiem więcej. Ona jest dla pani przegrana.

Wstał i podszedł do wiszącej na słomiance kartki z napisem: WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE. Dotknął jej palcem i uśmiechnął się lekko.

– Nic już nie będzie dobrze, pani mecenas. Już nigdy...

Drewnowska wstała i odwróciła się do niego plecami. Usłyszała, jak prokurator wychodzi.

Justyna Nowaczyk ujęła ją za łokieć. W drugiej ręce trzymała egzemplarz książki *Służba więzienna. Komentarz*.

Kiedy Małgorzata Drewnowska wróciła do celi, telewizor grał tam na cały regulator. Cztery więźniarki oglądały turecki serial opowiadający o perypetiach miłosnych i haremovych intrygach w pałacu szesnastowiecznych sułtanów. Losy rudowłosej piękności o wielkich zielonych oczach, w której niewątpliwie płynęła

słowiańska krew, były tak fascynujące, że kobiety ledwo spojrzwały na Gośkę, gdy ta kładła się na łóżku. Zajęła dolne, ponieważ – jak to ujęła na powitanie Andżelika, jedna z jej towarzyszek niedoli – „gdyby taka baba wlaźła na górne, to zaraz by je w chuj zarwała”.

Nowa nie bardzo rozumiała, jaki wpływ na zarwanie łóżka ma wysokość jego położenia, ale nie prosiła o wytłumaczenie. Zrobiła to, czego od niej żądano.

Nie zamierzała dyskutować z Andżeliką, która w tej celi była najwyraźniej najwyższa w hierarchii. Ta gruba kobieta – na oko pięćdziesięciolatka – o ogromnych piersiach, wydatnym brzuchu i z wytatuowanym całym ciałem oprócz szyi i głowy patrzyła na nią długo wąskimi szparkami swych oczu. Wyglądała na agresywną i łatwą do sprowokowania.

A Gośka nikogo prowokować nie chciała.

Była pewna, że nie zabawi tu długo, i nie zamierzała sobie układać życia z koleżankami z celi. Chciała tylko spędzić w miarę spokojnie te cholerne święta, by potem wrócić do miasta i zemścić się na tych, którzy ją tutaj wpakowali.

Leżała na wznak z rękami założonymi pod głowę. Za jej włosami rozpalony kaloryfer ział gorącem.

Cóż złego mogło tu jeszcze ją spotkać? Smród z kibla? Pogarda i niechęć współwięźniarek? Karaluchy wyłazające nocą z dziur? Wszystko to zniesie. Wszystko to zniesie, nie takie odory czuła w slumsach Kalkuty, nie takie insekty szturmowały namiot jej i Willema, gdy rozbijali go w dżunglach Gabonu albo w deszczowych lasach Papui-Nowej Gwinei!

Współwięźniarek się nie bała. Wiedziała, jaką ma siłę, i widziała, z jakim respektem patrzyły na jej potężną sylwetkę dwie najmłodsze – Agata i Nikola.

Przed Andżeliką i przed czwartą – Klaudią – musiała się jednak mieć na baczności. Ta pierwsza poczuła chyba, że Gośka może stać się dla niej konkurencją w hierarchii, i okazywała jej wyraźną niechęć, ta druga wydawała się natomiast nieobliczalna – taka, co to może w nocy dziabnąć pazurem w oko. Patrząc w telewizor, wciąż zanosila się głupkowskim śmiechem, ukazując spore braki

w uzębieniu, choć losy rudowłosej tureckiej piękności – o ile Drewnowska mogła się zorientować – nie były usłane różami. Chuda i wysuszona jak wiór, w wyciągniętym podkoszulku, odchyłała co chwila głowę, jakby chciała całemu światu pokazać ukłucia na szyi. Tam zapewne wstrzykiwała sobie substancje silniejsze od orgazmu. Klaudia była najwyraźniej pod silnym wpływem Andżeliki, bo wykonała kilka jej poleceń – zaparzyła herbatę, odpaliła papierosy.

Gośka spod współprzymkniętych powiek obserwowała celę. Naprzeciwko niej stały dwa dwupiętrowe łóżka. Pomiedzy szczebelkami rozpięte były sznurki, a na nich żabkami do bielizny przytwierdzono różne zdjęcia i artykuły prasowe. Nikola i Agata powiesiły sobie fotografie swych malutkich dzieci, Andżelika i Klaudia – jakieś wycinki.

Obok tego na sznurkach suszyła się bielizna: rajstopy, majtki i skarpety. Ze ścian odłaziły płaty olejnej farby. Na podłodze stały wypchane czymś torby foliowe. Na stołkach piętrzyły się kosmetyki – głównie farby do włosów – ale bez żadnych aerozoli, którymi można by zaatakować oczy.

Gośka patrzyła na to wszystko i czuła, jak zamykają się jej powieki. Wyciągnęła się wygodnie na łóżku, aż sprężyny jęknęły głośno. Było ono zbyt krótkie – leżąc na wznak, musiała wsuwać stopy pomiędzy szczebelki.

Usnęła. Nie usłyszała, jak otwierają się drzwi i staje w nich strażniczka Justyna. Nie widziała, jak Andżelika coś szepce i wskazuje palcem na nową.

Obudził ją straszliwy ból stóp. Chciała nimi poruszyć. Nie mogła. Zerwała się gwałtownie i uderzyła głową o sprężyny górnego łóżka. Poczowała na czole ciepłą wilgoć. Strużki krwi popłynęły jej po twarzy. Zdążyła zobaczyć, jak dwie najmłodsze więźniarki, Agata i Nikola, ściskają jej stopy pomiędzy swoimi udami. Odwrócone do niej pośladkami, naciskały na jej kostki, powodując palący ból.

Wtedy Andżelika runęła na nią całym swym potężnym ciężarem, przyciskając do łóżka jej ręce.

Gośka poczuła woń potu zmieszana z zapachem kiepskiego dezodorantu. Przekręciła się lekko. Uwolniła rękę spod ciała napastniczki i uniosła pięść, żeby

wyprowadzić cios. Nie zdążyła. Narkomanka, która trzymała oburącz nad głową niewielki drewniany stołek, uderzyła nim w nasadę jej nosa.

Goście zrobiło się ciemno przed oczami. Poczwała, jak Andżelika z niej złaży, a potem Klaudia znów wymierza cios stołkiem.

I kolejny.

Kości jej nosa zatrzeszczały i przesunęły się lekko pod skórą. Ból był paraliżujący. Nie miała siły się ruszyć.

– Smród opon ci szkodzi, ty kurwo – syczało jej do ucha wytatuowane babsko.
– Nie narażaj się ważnym ludziom. Oni cię zmiażdżą jak robaka!

Spojrzała na Klaudię.

– No co się patrzysz? Wal ją, kurwa! Raz a dobrze! To rozkaz, Sucha!

Heroinistka wybuchła piskliwym śmiechem. Ten dźwięk wibrował w uszach Drewnowskiej, gdy poczuła uderzenie w ucho kantem stołka.

Potem zapadła dla niej noc. Już po raz drugi tego dnia.

*

Kilka godzin później zmasakrowana mecenas Małgorzata Drewnowska trafiła na izbę chorych. Miała złamany nos, wybite dwa zęby i liczne krwiaki na twarzy.

Więźniarka Klaudia Wilczkowiak, zwana Suchą, znalazła się w izolatce. Zapewniała, że to ona sama zaatakowała nową stołkiem, bo ta ją „zwyzywała i nabijała się z jej tików nerwowych”. Pozostałe trzy kobiety z celi potwierdziły jej słowa.

Nocą Klaudię odwiedziła strażniczka Justyna. Przyniosła jej woreczek wypełniony kokainą. Był on dziwnie sprasowany – jakby wyciągnięty z jakiejś książki.

Starsza kapral Nowaczyk, wracając do domu nocnym tramwajem, uruchomiła w swoim telefonie aplikację bankową. Na jej konto wpłynęło pięć tysięcy złotych.

Zgodnie z umową.

9 Czas zaprzeszył (łac.).

ROZDZIAŁ XIV

UKŁADANKA

Kiedy Mirella z kopertą – zapewne wypchaną pieniędzmi – opuszczała na rowerze restaurację Walkiria, Ewa ściągała właśnie z chmury zdjęcia Waldka. Oderwała się od tej czynności i patrzyła teraz, jak Zimniak uruchamia skuter i jedzie za dziewczyną, a za yamahą na elektrycznym rowerze rusza jakiś człowiek w kasku.

Rowerzysta zachowywał się nietypowo. Gdy auta stawały na światłach, kierowcy jednośladów zwykle lawirowali pomiędzy nimi, wciskali się pomiędzy kolumny samochodów, mijali cały ich sznur i wyjeżdżali tuż przed sygnalizacją, aby spod niej ruszyć jako pierwsi.

Ten zaś tego nie robił. Stał grzecznie w kolejce i dodawał gazu dopiero wtedy, gdy ruszył samochód bezpośrednio przed nim stojący.

– Śledzi cię facet na elektrycznym rowerze – powiedziała Ewa do Waldka. – W czerwonym kasku na głowie. Ale nie zajmuj się nim. Niedługo przejmę obiekt, a ty pojedziesz do domu.

– Rozumiem – usłyszała.

Ruch nie był zbyt duży, lecz gęstniał wyraźnie, gdy dojeżdżali do tras prowadzących do centrów handlowych. Ludzie tłumnie robili ostatnie przedświąteczne zakupy.

I właśnie do centrum handlowego Dolina Radości skręciła teraz Mirella. Niestety, jakiś agresywny burak wjechał Waldkowi tuż przed nos, ten musiał gwałtownie hamować, a tymczasem Mirella była już za światłami i jechała wśród aut zaparkowanych pod centrum.

– Jedź do domu – powiedziała Ewa. – Do domu, nie do biura. To koniec na dzisiaj. Wesołych świąt tobie i twoim bliskim, z którymi je spędzisz.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź. Wiedziała, że jej współpracownik nie pogniewa się na nią za niewysłuchanie jego wzajemności.

Po chwili jechała wolno wzdłuż gęsto zaparkowanych aut. Musiała być teraz wyjątkowo czujna. Znalezienie miejsca do parkowania pod zatłoczonym centrum i jednocześnie szukanie wzrokiem Mirelli granoczyło z cudem. W ostatniej chwili zauważyła lukę wśród samochodów. Musiała cofnąć. W tylnym lusterku ujrzała młodą kobietę o nalanej twarzy. Wymachiwała rękami, rzucając pod adresem cofającej Ewy nieprzyjemne słowa. Detektyw zobaczyła we wnętrzu jej starej kii sportage dwoje dzieci – również o sporej nadwadze. Każde z nich trzymało przed nosem ekran wielkiego tabletu.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Też by się wściekła, gdyby musiała krążyć dalej, słuchając – jak się domyślała – brzęków i huków, dochodzących z gier komputerowych.

Wjechała tyłem w bardzo wąską przestrzeń pomiędzy autami, z której niejeden by zrezygnował. Ale nie ona – ona nie w takie luki się wciskała.

Nie przejmując się ostrzegawczymi piskami czujników auta, wysiadła, a właściwie wycisnęła się pomiędzy ledwo uchylonymi własnymi drzwiami a karoserią sąsiedniego citroëna.

Stała na środku parkingu wśród mżawiących z nieba kropel, które pod wpływem silnego wiatru padały na ukos i raczej nie ułatwiały widoczności.

Włożyła ciemne okulary, a włosy ukryła pod czapką bejsbolówką. Jako śledząca była w dość trudnej sytuacji. Musiałaby mieć niebywale szczęście, aby wypatrzeć Mirellę w tym przedświątecznym tłumie. Ale od razu przyszło jej do głowy sensowne pocieszenie.

„Przecież Mirella nie umówiłaby się z Albertem w centrum handlowym! – pomyślała. – A poza tym wcale nie muszę jej wypatrywać w sklepach. Przecież musiała przypiąć gdzieś rower. I po niego wróci”.

I wtedy odetchnęła. Przynajmniej na razie mąż nie zdradzi jej z Mirellą.

W tej chwili rozluźnienia wróciła do niej oczywista myśl, która zniknęła na czas śledzenia studentki. Ewa za bardzo była skoncentrowana na zadaniu. Mirella i Banaszczyk! I teraz nagle pojęła: Mirella ma jakiś tajemniczy związek z pożarem składowiska opon. Być może swoje programy robiła na czyjeś zlecenie, pod czyjeś dyktando? Czesława? A może tego Barylskiego?

Tak jak niedawno jej sprawy osobiste i zawodowe złąły się w jeden strumień w osobie profesora Zawadzaka, tak też stało się i teraz. Ale tym razem ich zwornikiem była panna Szewczuk. Przyjęła to z radością. Mogła sama prowadzić jednocześnie obie sprawy. Nie musiała zatrudniać Waldka.

Nad budynkiem centrum bił w oczy wielokolorowy neon Dolina Radości. Litery biegły sinusoidalnie, tworząc dwa wierzchołki – jakby dwie góry – i dolinę pomiędzy nimi. Z niej ku szczytom wspinały się ludzkie figurki, wymachując wesoło torbami, zupełnie jakby wysyłały przekaz: „Zrób zakupy, a zaszczytujesz”.

Rower Mirelli był przypięty do słupka tuż przy bocznym wejściu, gdzie dwie kolorowo ubrane dziewczyny zbierały datki na schronisko dla zwierząt.

Ewa podeszła do oddalonej o kilkadziesiąt metrów stacji benzynowej i pod jej dachem schroniła się przed deszczem. Wiedziała, że za chwilę może wzbudzić zainteresowanie obsługi, dlatego weszła do środka, kupiła kawę oraz kanapkę i usiadła przy oknie. Wokół niej piętrzyły się słodyczne, napoje energetyczne, a na stojakach audiobooki i błyszczące pornograficzne gazetki. Żaden z tych produktów nie był w stanie skupić jej uwagi na tyle, by oderwać ją od obserwacji roweru.

Mirella wróciła po dwóch godzinach – w najbardziej dla Ewy odpowiednim momencie, gdy jedna ze sprzedawczyń zaczęła ją pytać, czy życzy sobie czegoś jeszcze, a w podtekście: „Albo coś zamawiasz, albo spadaj!”.

Detektyw wrzuciła kartonowy kubek do specjalnego pojemnika, a zaraz za nim resztki kanapki. Wyszła ze stacji i podbiegła do dziewczyny. Ta na jej widok uśmiechnęła się radośnie i wyciągnęła trzy małe torebki z nadrukiem logo drogiej firmy jubilerskiej.

– Och, witam! Z nieba mi pani spadła, pani Ewo! Kupiłam prezenty „na zajęczka” dla mojej rodziny. Potrzyma mi je pani? Bo roweru nie mogę odpiąć, a na ziemi nie chcę stawiać torebek. Tam mokro...

Ewa podeszła do niej bardzo blisko. Wzięła jeden z pakunków i bezceremonialnie do niego zajrzała. Obok pudełka od Szpaka była jakaś książka. Uśmiech zamierał na twarzy dziewczyny wraz z każdym słowem, które teraz wychodziło z ust Ewy.

– Naucz się, niedoszła dziennikarko, że słowo „witam” zakłada nadrzędność witającego albo sytuację, gdy witający wita we własnej przestrzeni, na przykład w mieszkaniu. Jesteś wobec mnie nadrzędna czy ten parking to twoje mieszkanie?

– A może tak najpierw od pani usłyszę „dzień dobry” – powiedziała Mirella, wykrzywiając się jej złośliwie. – Nie należy mi się to od osoby, której dałam ważny dowód procesowy? A poza tym nigdy nie słyszałam o jednostronnym bruderszafcie, jeśli już tak mówimy o dobrych językowych manierach... Z pani mężem też nie jestem na ty.

Ewa jeszcze bardziej się przysunęła.

– Wyżej od ciebie stoję – syknęła. – I to ja powiem „witam”. Ale wiem, że trzeba to powiedzieć w jakiejś własnej przestrzeni, na przykład w samochodzie. Pójdiesz do mojego samochodu czy mam zatelefonować do Michała Zawadzaka i coś mu o tobie powiedzieć? Coś, co przekreśli twoją karierę?

Mirella nie przestraszyła się ani na jotę. Zuchwale patrzyła na Ewę. Bez zmrużenia powiek. Detektyw lekko się od niej odsunęła.

– Nie wiem, co pani chce powiedzieć temu obleśnemu dziadowi – prychnęła pogardliwie. – Ale mam pytanie: czy nasza zasadnicza i trudna rozmowa, te straszne i przerażające groźby – zerknęła na zegarek – nie mogłyby zaczekać do wtorku? Za cztery godziny mam pociąg. Obiecuję, że nigdzie nie ucieknę. Tu mam studia, tu mam...

– Chłopaka? – Ewa weszła jej w słowo. – Faceta?

Dziewczyna zacisnęła zęby. Teraz to ona zbliżyła się do Ewy. Była nieco niższa. Zadarła głowę i zmrużyła oczy.

– Za trzy godziny na dworcu, rozumiesz? – Owiąła jej twarz wonią papierosów.
– Wtedy będę miała dla ciebie godzinę, pani detektyw. A jak nie, to spadaj. Cokolwiek byś powiedziała temu dziadowi, i tak wiem, jak go urobić.

Wyrwała Ewie z ręki torebkę. Wypadła z niej książka.

Wiersze zebrane Zbigniewa Herberta. Stare wydanie osiągające sporą cenę na antykwarycznych aukcjach.

Ewa schyliła się i podniosła książkę. Uśmiechnęła się lekko.

– Deszcz straszny, pani Mirello – powiedziała. – Zmoczy pani prezenty, jadąc na na rowerze. Podwożę panią na Zadroże, a potem na pociąg. A pani mi wszystko powie w samochodzie, dobrze? Zaczniemy od mojego męża, a potem porozmawiamy o prezesie Barylskim. A rower tu sobie postoi, tu sobie poświętuje...

Mirella zastanawiała się przez długą chwilę. Krople deszczu spływały po jej czole.

– Coś za coś – powiedziała. – Dwa warunki. Po pierwsze, wystąpi pani w moim programie *Miasto w półmroku*. Po drugie, nawiążę z panią stałą współpracę, na której obie skorzystamy. Będę robiła programy typu *true crime*, a pani zostanie w nich narratorką, może bohaterką... Pod takim właśnie warunkiem wszystko pani powiem. A mam bardzo dużo do powiedzenia... Sporo dzisiaj usłyszałam w pewnej knajpie... Co pani na to?

Ewa przez chwilę się zastanawiała. Nie znosiła dawania obietnic.

– Proszę za mną. – Kiwnęła głową, co było przecież gestem wieloznacznym.

Poszła pierwsza. W jej głowie grały triumfalne fanfary. Nie spodziewała się, że tak łatwo jej pójdzie skłonienie dziewczyny do zeznań.

Kiedy zbliżały się do ciasno zaparkowanej corolli, minęła ich czerwona zdezelowana kia rio.

Ewa gdzieś ją widziała. I to całkiem niedawno. Może wczoraj? Albo dzisiaj?

Nie pamiętała jednak, gdzie to było.

Przez głowę jej przeszło, że łańcuch inwigilacyjny być może wcale nie liczy czterech ogniw – Mirelli, Waldka, rowerzysty na elektryku i jej samej.

Może jest też jakieś piąte ogniwo?

*

Mecenas Lucjan Buczyński siedział w swoim eleganckim, wyłożonym egzotycznym drewnem biurze na siódmym – ostatnim – piętrze galerii handlowej Maxima koło dworca i patrzył przez panoramiczne okno na miasto pokryte ciemnymi, mokrymi chmurami.

Dobrze wyglądał jak na swoje sześćdziesiąt pięć lat. Wieku odejmowała mu z pewnością gęsta szpakowata fryzura z misternym przedziałkiem na boku.

Był ubrany w brązową tweedową marynarkę z angielskiej wełny, uszytą na miarę w salonie Petronius na reprezentacyjnej ulicy Mickiewicza. Z rozpięcia koszuli wystawał mu misternie pofałdowany żółto-zielony fular. Ten niezobowiązujący strój – tak różny od ciemnych dwurzędowych garniturów noszonych przez niego na co dzień – był odpowiedni na przedpołudnie tego dnia, kiedy żadnych klientów się nie spodziewał, a chciał w spokoju popracować nad pewnymi sprawami.

Telefon od mecenasa Drewnowskiej zaskoczył go całkowicie. Natychmiast po zakończeniu rozmowy zadzwonił do dwóch swoich współpracowników – jednego stałego i jednego aplikanta. Nie spodziewał się entuzjazmu w ich głosie, nie spodziewał się też, że zjawią się w biurze w takim stroju jak on. Ale przyjść musieli. Sprawa była zbyt poważna.

Obaj zapowiedzieli – jakby się umówili – że mogą stawić się najwcześniej koło południa. Buczyński zgodził się na tę porę; zarządził zebranie na dwunastą, sądząc, że do tego czasu uda mu się skontaktować z Ewą Skoczek.

Niestety, pani detektyw nie odbierała jego telefonów od dwóch godzin, a w biurze uruchamiała się automatyczna sekretarka, która mówiła głosem

szefowej agencji Exploratrix:

„W Wielki Piątek nie pracujemy. Zapraszamy w poświęcony wtorek od godziny dziewiątej do siedemnastej. Wesołych świąt!”.

Stary adwokat – wiedząc, że detektyw Skoczek cieszy się zasłużoną dobrą opinią osoby bardzo pracowitej – doszedł do wniosku, że użycie automatycznej sekretarki nie wyklucza obecności pani detektyw w biurze. Być może chce – jak on sam – spokojnie popracować w wolny dzień.

Postawiwszy taką hipotezę, postanowił uruchomić swoje kontakty. Zatelefonował do Henryka Masnego, starego znajomego i dawnego klienta, który miał restaurację Zaulek w pobliżu sądu.

– Heniu, pójdz ty, drogi chłopcze, do biura detektywistycznego Exploratrix i sprawdź na własne oczy, czy tam ktoś jest, dobrze? Bardzo cię proszę. Jeśli ktoś będzie, to powiedz, żeby odebrali telefon ode mnie...

– W wolnej chwili pójde, dobrze – odparł Henryk. – Mam huk roboty z mazurkami. Masa zamówień na święta. Ale wyślę Wowę i zaraz do ciebie oddzwonię, Lucjanie.

Buczyński, wspominając tę rozmowę, spojrzął na prostokątny zegarek omega ze szczerego złota. Dochodziła dziesiąta – to „zaraz” trwało już dziewięćdziesiąt minut. Mecenas bardzo się niecierpliwił. Był zły, że nie zapytał Drewnowskiej o adres domowy Ewy Skoczek.

I wtedy zadzwonił jego wielki iPhone w obudowie z hartowanego tytanu.

– Słuchaj, Lucjanie. – Usłyszał głos Henryka. – Wowa był w biurze pani Skoczek. Siedzi tam dwóch facetów, jednego Wowa zna z widzenia. Powiedział, żeby odebrali twój telefon. No, muszę kończyć, huk roboty... Wesołych świąt, mój drogi!

Buczyński zadzwonił. Tym razem odebrał młody człowiek, Michał Fiłonowicz, i powiedział mu, że godzinę temu do jego mieszkania przyszedł sponiewierany i roztrzęsiony Willem Vrijberg, mąż mecenas Drewnowskiej, przerażony, że nie może się połączyć z Ewą Skoczek. Jej mąż Albert twierdzi, że poszła na jakąś

akcję, bo ubrała się tak, jakby miała się pobrudzić. Ich drugi współpracownik, Waldemar Zimniak, nie odbiera, dlatego Michał siedzi teraz z Willemem w biurze i czeka, aż pani detektyw raczy się w końcu pojawić.

Adwokat, wysłuchawszy tego wszystkiego, nie znoszącym sprzeciwu tonem zarządził, że – wobec zatrzymania mecenas Drewnowskiej – w biurze Exploratrix będzie od teraz ich sztab kryzysowy i zaraz do nich dołączą dwaj jego prawnicy.

– Macie tam dobrą kawę? – zapytał na koniec mecenas Buczyński. – Senny jakiś ten dzień...

Deszcz, który po południu spadł na miasto, całkowicie sparaliżował komunikację. Długie sznury aut błyskały co chwila czerwonymi światłami stopu. O ich dachy odbijały się coraz większe krople deszczu, a wycieraczki zgarniały potoki wody.

*

Z centrum handlowego Dolina Radości na Zadroże było dwadzieścia kilometrów po prostej, dwadzieścia pięć, licząc po liniach ulic. Ewa pokonała tę odległość w ciągu półtorej godziny.

Była jedną z nielicznych osób za kierownicą, które nie narzekały na korki. Zadawała precyzyjne pytania, a Mirella Szewczuk precyzyjnie na nie odpowiadała.

Ale nie od samego początku tak dobrze szło. Gdy ruszyły spod centrum handlowego, studentka się zacięła. Na temat swoich kontaktów z Albertem Kucajem odpowiadała banałami i monosylabami.

– Świetny profesjonalista, mój nauczyciel. – Tak reagowała indagowana o ich relacje zawodowe. – Nigdy, nic więcej między nami...– Tak odpowiadała na pytania o relacje pozazawodowe.

Ewa nie była zadowolona z takiej rozmowy. Kiedy corolla utkwiała na moście nad rzeką, a klaksony wytrąbiły już ludzką frustrację, pani detektyw poczuła, że zaczyna jej drgać powieka.

A to oznaczało wzrastającą złość.

– Droga pani Mirello – powiedziała, hamując po raz enty – wzbudziła pani moje zaufanie, a nawet rodzaj sympatii, o ile jedna kobieta może czuć sympatię do innej, którą podejrzewa o romans z własnym mężem...

Znów zahamowała, a czerwone światła stopu poprzedniego auta rozbłysły ostrzegawczo.

– Nie chce mi pani nic powiedzieć. Zmarnowała pani szansę. Nie wystąpię w pani programie...

Mirella szarpnęła się na siedzeniu i odpięła pas. Sięgnęła po zakrzywioną klamkę przy drzwiach.

– No to spadaj! Wysiadam stąd! Zrobiłaś mnie w bambuko!

Ewa szybko zablokowała drzwi właściwym przyciskiem.

– Wrócisz na zawsze do swojego Skorniewa – powiedziała spokojnie. – Do swojego bloku. Zamieszkas z rodzicami. I jakiego znajdziesz faceta w tym swoim Skorniewie? Syna wójta, który żadnej książki nie przeczytał? Z nim nie porozmawiasz o Herbercie.

Mirella ani drgnęła. Była nieruchoma w tej milczącej furii.

– Wiesz, kim będziesz za kilka lat? – ciągnęła Ewa. – Rozczarowaną starzejącą się kobietą, która zajada stres i robi się coraz grubsza w biodrach. Jak wiele takich w Skorniewie. A wiesz, dlaczego miałybyś wyjechać do Skorniewa?

Najwyraźniej napawała się nazwą tej do bólu prowincjonalnej miejsciny.

– Zaraz ci powiem dlaczego. Widziałaś, że jestem blisko z twoim dyrektorem? Zapewniam cię, że mam równie dobre układy z dziekanem wydziału. Powiem im wszystkim, że bierzesz pieniądze od Barylskiego za materiały telewizyjne na jego zamówienie. Mam zdjęcia z przekazania ci pieniędzy. Weszłaś do ich pokoju z przystojniakiem z garniturze... Pokazać ci?

Mirella patrzyła tępo w szybę.

– Chcesz być dziennikarką śledczą, Mirelko? Prowadzić swój własny program? Ciekawa jestem, co powie Zawadzak, gdy usłyszy o twojej rzetelności. Może go

uspokoisz seksem, kochana... Może i tak, ale dziekana nie obłaskawisz. On nie gustuje w kobiecych wdziękach.

W końcu corolla zjechała z mostu. Po obu stronach szerokiej ulicy, wypełnionej samochodami jak koryto pomyjami, wznosiły się wysokie na kilkanaście pięter akademiki – targowiska narkobiznesu.

– Wylecisz ze studiów, złotko. Może przesadziłam. Może nie wrócisz do Skorniewa, może zostaniesz tutaj? Będziesz pisała na jakichś portalach za marne grosze o dziurach w moście albo pójdziesz do pracy w lokalnej telewizji. A tam z roku na rok będzie gorzej. Najpierw mikrofon w garści i wywiady, a potem przyjdą młodsze, ładniejsze. Faworyty kolejnych dyrektorów. A ty będziesz im kawę serwować. I co innego w garści będziesz trzymać. Najpierw to będzie fiut szefa działu, a potem? Dziennikarze, kamerzyści, a w końcu nawet kierowcy będą cię mieli. Wszyscy będą tak zwanymi szwagrami.

– Przestań, suko! – krzyknęła Mirella. – Powiem ci wszystko! I to wcale nie dlatego, że boję się tych głupich pogroźek. Wiesz, jak mnie potraktował Barylski? Rzucił mi pieniądze na ziemię jak jakiejś kurwie! I wiesz, co mi powiedział? „Fajna jesteś, gdy tak patrzę na ciebie z góry. Wiesz, co mi chodzi po głowie, gdy tak kucasz przede mną?” Tak powiedział ten skurwysyn!

Ewa umilkła. Już nie chciała szantażować dziewczyny. Czuła, jak wzbiera w niej sympatia. I szacunek. Milczenie przerwała Mirella.

– I o twoim mężu ci powiem... i o Barylskim... – rzekła jakby w zamyśleniu.

– A ja wystąpię w twoim programie – powoli odparła Ewa. – Obiecuję.

I Mirella wszystko opowiedziała. Że Albert zachowuje się jak prawiczek, że jest nieśmiały jak nastolatek. Że niczego jej nigdy nie proponował. Że przechwala się jak chłopiec jakimiś trofeami brydżowymi, a dla niej brydż to gra dla dziadersów. Że się dąsa. Że bywa nieprzyjemny. Że patrzy na nią z pożądaniem albo ucieka wzrokiem. Że – od czasu, gdy dowiedział się, że Mirella lubi poezję – to dzwoni i recytuje. Albo dzwoni i milczy. Nic nie mówi i czeka, aż ona coś

powie. A Mirella nie chce nic mówić oprócz jednego słowa, które jej się ciśnie na usta. „Spierdalaj” – tak brzmi to słowo.

– A ja mam już tego dosyć, rozumiesz?! – krzyczała, gdy stanęły na kolejnym moście, a dźwięk tramwajowego dzwonka świdrował im uszy. – Chciałabym po prostu wiedzieć, czego on, kurwa, ode mnie chce! Jestem wiele gotowa poświęcić dla mojego programu, ale nigdy nie pójdę do łóżka z facetem po pięćdziesiątce, rozumiesz? A zwłaszcza z twoim starym! Bo wiem, że on by mnie potem zamęczył swoimi humorami, swoim narzekaniem i pierdoleniem. Wiesz co? – Spojrzała na nią błyszczącymi od gniewu oczami. – To ja już wolę jurnego syna wójta!

– Zamknij się! – krzyknęła teraz Ewa.

Czuła dzwony gniewu bijące w jej głowie. Z jednej strony była wściekła na Mirellę za jej zuchwałość, ale z drugiej – każde jej słowo było jak precyzyjny dotyk pędzla w malowaniu portretu psychologicznego Alberta. Ona po prostu miała rację. Przejrzała go na wylot!

– Teraz chwilę pomilczymy – powiedziała Ewa, a zaciśnięte zęby zniekształcały jej słowa. – Muszę to przetrwać, bo jeśli nie przetrwam, to cię wypieprzę z mojego auta razem z twoimi prezentami. Milcz. Patrz w okno i milcz.

Dojeżdżały do Rynku Staromiejskiego. Po prawej ręce zostawiały gołe, bezlistne kasztanowce parku Centralnego, po lewej wyrastający pośród starych kamienic absurdalnie wysoki wieżowiec pełen mikroapartamentów. Ewa raz prowadziła tu pewne śledztwo i poznała tych weekendowych turystów i handlarzy ze Wschodu, którzy w dzień smażyli sobie ryby w kuchniach o popsutej wentylacji, a w nocy pili i wydawali odgłosy ekstazy w pokojach o ścianach grubości kartonu.

Te wspomnienia nieco ją uspokoiły. Gdy ujrzała załamane dachy miejskiego ratusza, odwróciła się do Mirelli.

– Dobra. Jestem już spokojna. Powiedz mi teraz wszystko o Barylskim, Zbroińskim i o Banaszczuku.

– I powiedziała mi wszystko. – Ewa założyła ręce za głowę i wygodnie się rozparła w fotelu.

Lekko odepchnęła się od stojącego na kozłach biurka i podjechała pod okno.

Zapach perfum, bijący od mecenasa Buczyńskiego, był niewątpliwie bardzo wytworny, ale jej już po kilku minutach zaczął działać na nerwy. Jak wszystko dzisiaj.

Była godzina trzecia po południu. W biurze prócz nich przebywało jeszcze dwóch mężczyzn: Michał Fiłonowicz i Dawid Jurkowski, aplikant Buczyńskiego. Willem, kompletnie rozbity psychicznie, a fizycznie mocno poturbowany, zeznał Buczyńskiemu, co miał zeznać, a Paweł Zysman, etatowy prawnik kancelarii, odstawił go taksówką do domu. Buczyński stwierdził, że aplikant Jurkowski całkowicie wystarczy do zaprotokołowania wszystkich zadań i ustaleń.

– Wchodzimy na bardzo grząski polityczny grunt – powiedział Buczyński. – Ale ja dobrze się czuję na bagnach...

Wcale tym Ewy nie uspokoił. Od kiedy się dowiedziała o zatrzymaniu Goški, szalała z niepokoju, tym bardziej że cały ranek zajmowała się własnymi sprawami i zupełnie zaniedbała przyjaciółkę. Tymczasem ten bawi się w metafory.

– Na bagnach, powiada pan mecenas... Rzeczywiście wygląda pan jak bohater Conan Doyle’a, jak angielski lord... – powiedziała, nie mogąc opanować ironii – ... który w tych gustownych zieleniach i brązach przyjmuje gości w swym wiejskim domu. A potem *no brown after six*¹⁰, prawda, panie mecenasie?

Miało to zabrzmieć zaczepnie. I tak właśnie zabrzmiało.

– Powinna pani udzielać korepetycji z etykiety... – Uśmiechnął się lekko adwokat. – Pierwszą pani uczennicą byłaby moja żona. Ona nigdy nie słyszała o *no brown after six*. Ale cóż, ma dopiero lat trzydzieści...

Ewa zamilkła. Nie miała ochoty na *small talk* z adwokatem, tym bardziej na podziwianie jego, wzmacnianej przez viagrę, męskiej siły, która pozwala mu mieć żonę młodszą o trzydzieści pięć lat.

W głowie jej huczało, a w uszach brzęczały szybkie jak pchnięcia szpada zdania o jej mężu wypowiedane przez Mirellę. A potem powolnie się wlokąca jej relacja o rozmowach w Walkirii, którą studentka przedstawiała w bardzo starannie dobranych słowach.

Milczał teraz również Michał przeglądający internet w poszukiwaniu wiadomości o pewnej firmie, której nazwę podsłuchała dzisiaj Mirella.

– Podsumujmy to wszystko. – Mecenas Buczyński nie miał zamiaru milczeć. – Panna Szewczuk siedziała pod drzwiami pokoju i czekała na swoje pieniądze za program. Prezes Krzysztof Barylski obiecał jej za to sześć tysięcy i właśnie miał zamiar wręczyć jej w gotówce te pieniądze w swojej restauracji Walkiria. W tym czasie ochroniarz prezesa Barylskiego flirtował z panną Szewczuk i nie przejmował się, iż ona przez drzwi słyszy to i owo wypowiedane podniesionymi głosami. Patrz, Dawidku, czy wszystko dobrze napisałeś!

Aplikant Jurkowski spojrzał. Coś skreślił, coś dopisał. A potem robił to, co do tej pory – spoglądał już to na komputerowe wydruki, przypięte do korkowej tablicy, już to na rozmieszczone wokół okna lampki ledowej emitującej błękitnawe światło.

– A „to i owo” mają dużą wagę procesową – ciągnął Buczyński. – Prezes Barylski powiedział panu Banaszcykowi, cytując: „Godzilla została raz uziemiona na zawsze, ona już nie istnieje”. A pan Czesław Zbroiński dodał, cytując: „Grzesiek zgodził się na układ, kiedy zobaczył, że my możemy wszystko, że nawet uziemić Godzillę potrafimy. Grzesiek się bardzo wystraszył”. Przypominam ci, Dawidku, że tym osobliwym mianem „Godzilla” obdarzano w rozmowie panią mecenas Małgorzatę Drewnowską.

Aplikant podkreślił dwukrotnie ten przydomek w swoich notatkach.

– Dalej pan Czesław Zbroiński mówił, cytując: „Impex pomoże Grześkowi w kampanii wyborczej, a gdy ten zostanie prezydentem, sprzeda Impeksowi ziemię”. – Mecenas zerknął na Ewę i innym już tonem dodał: – Będziemy potrzebowali więcej informacji na temat tej firmy. Rozumiem, że się tym zajmiecie?

Ewa dała znak Michałowi, a ten szybko pokiwał głową.

– I na takie *dicta* – ciągnął Buczyński, znów zwracając się do aplikanta – pan Ireneusz Banaszczyk wybuchnął płaczem, i zgodził się sprzedać prezesowi Barylskiemu swój grunt, na którym było to nieszczęsne składowisko opon. Panna Szewczuk nie dosłyszała, za jaką sumę. Pan Banaszczyk zgodził się również zeznawać przeciwko pani mecenas Małgorzacie Drewnowskiej. Miał złożyć identyczne zeznanie jak pan Marcin Strzyż. Obaj mieli oskarżyć panią mecenas Drewnowską o sugerowanie swych wpływów w prokuraturze i w sądzie.

Buczyński z widoczną przyjemnością pociągnął trochę kawy z filiżanki.

– Pod imieniem „Grzesiek” kryje się, przypominam ci, Dawidku, kandydat na prezydenta naszego miasta, pan Grzegorz Marcjański...

Protokolant nawet nie drgnął. Już dawno to napisał.

– O niczym nie zapomniałem, prawda? – Buczyński spojrzał na Ewę. – To wszystko są zeznania panny Szewczuk, która zgodziła się z nami współpracować i wszystko raz jeszcze zeznać po świętach, prawda?

Ewa pokiwała głową. Nie wspomniała Buczyńskiemu o wątkach osobistych. Nie powiedziała również nic o układzie z Mirellą ani o tym, jak dziewczyna na koniec ich spotkania wyraziła swój podziw dla niej słowami: „Chciałabym być taka jak ty! Dziennikarka śledcza jest jak siostra prawdziwej śledczej!”.

W tym momencie trzasnęły drzwi wejściowe do jej biura. Do pokoju wszedł słaniający się na nogach Willem Vrijberg. Czuć było od niego alkohol.

Miał na sobie spodnie od dresu i podkoszulek opięty na brzuchu. Na wierzch narzucił płaszcz z wielbłądziej wełny. Krople deszczu lśniły mu na łysinie, a podbródek z fioletowym sińcem drżał.

– *Fuck!* Nikt z was nie odbiera telefonu – szepnął. – A tymczasem Gosia została zmasakrowana w więzieniu. Usłyszała: „Zostaw sprawę Irka!”.

Ewa znów odsunęła się z fotelem pod okno. Jej brwi podjechały ku górze, czoło się zmarszczyło, a półotwarte usta zadrżały. Lodowaty dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

Buczyński wstał, pochylił się ku niej i pochwycił za podłokietniki fotela. Z nieoczekiwaną siłą przyciągnął do siebie przerażoną kobietę.

– Oni nie odpuszczą. Boją się śmiertelnie pani mecenas, bo ich groźby, a nawet to wepchnięcie do więzienia nie złamały jej siły ducha. Ona wciąż chce prowadzić sprawę Banaszczyka. Przekona go. Tak mi powiedziała przez telefon!

Spojrzał Ewie głęboko w oczy.

– Wszystko w pani rękach. Musi pani znaleźć Damiana Sikorę. Tylko wtedy wygramy.

– Ale jak? – wyszeptała, bo głos odmówił jej posłuszeństwa. – Jak go znaleźć?

Popatrzyła bezradnie na mecenasa, a potem na Michała, który posłał jej współczujące spojrzenie. To ją nieco otrzeźwiło. Wzięła głęboki wdech.

– Już wiem – powiedziała normalnym, mocnym głosem. – Śniadanie wielkanocne ludzie na ogół jedzą w rodzinnym gronie. Wiem, gdzie Damian Sikora będzie świętował Wielkanoc.

*

Noc z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę Ewa spędziła w biurze. Albert nie był zachwycony jej decyzją, ale uspokoił się zaraz po tym, jak szorstko mruknęła do telefonu:

– W każdej chwili, mniej więcej od dziesiątej, możesz tu przyjść i mnie skontrolować! Daleko nie masz.

Wciąż była na niego zła. Rozmowa z Mirellą, zamiast przynieść ulgę, rozjątrzyła tylko jakąś ranę w jej sercu. Nie chciała się jednak teraz na niej skupiać. Najważniejsza była Gośka, cała reszta mogła poczekać.

Popołudnie i wieczór spędziła na intensywnej pracy obserwacyjnej. Po rozmowie z mecenasem Buczyńskim pojechała do Harlemu, żeby mieć oko na mieszkanie Sikorów, choćby miała tam spędzić całą noc. Niestety, tutaj wszystko szło jak po grudzie. Kiedy krążyła wokół bloku, szukając wolnego miejsca do

parkowania, natychmiast wypatrzyli ją nastoletni chłopcy, ubrani w białe dresy i czapki.

Krążyli wokół z telefonami przyłożonymi do ucha i bez żenady wskazywali ją sobie palcami.

Wiedziała, że nie są dilerami. W tych latach w Polsce nikt już nie zaczepiał ludzi i nie oferował im towaru. Wszyscy umawiali się przez telefon albo w sieci. Kilka lat temu późnym wieczorem, gdy na osiedlu Mazurowo obserwowała pewną wiarołąmną żonę, podszedł do niej chłopak, włączył muzykę z komórki i zaczął do niej rapować. W jego nawijce pojawiały się jakieś słowa i zwroty, które miały sugerować, że można u niego kupić narkotyki. Dzisiaj taka sytuacja byłaby możliwa, ale w Berlinie czy w Pradze, na pewno nie w Polsce, gdzie za dilerkę groziły poważne kary.

Chłopcy w białych dresach mogli być klientami dilerów. Ale takie rozpoznanie też nie wyglądało prawdopodobnie – zbyt pewnie się zachowywali; widać było, że są u siebie. Poza tym wyglądali już na „porobionych”. Śmiali się głośno i piskliwie, żartowali i podskakiwali. Jeden z nich wyginał się jak *street dancer*, a inni bili mu brawo.

Nie podobało się jej to zgromadzenie. Do pełni szczęścia brakowało, aby się zjawił „Kłosu z ziomalami”, który od czasu jej wizyty u Sikorów uważał ją za policyjnego szpicla.

Kiedy znalazła już dobre miejsce do obserwacji mieszkania Sikorów, młodzi z Harlemu zaczęli ją jeszcze bardziej niepokoić. Podchodzili do nowiutkiego audi Q5, wyróżniającego się mocno spośród stojących wokół skorodowanych gratów, i zagadywali ją.

Dobrym pomysłem – tak się jej na początku wydawało – było wypożyczenie samochodu od mecenasa Buczyńskiego. Miał on zamiejscowe tablice rejestracyjne. Adwokat kupił to auto dla żony. Wziął je w leasing w stolicy sąsiedniego województwa. Chłopcy podchodzący do Ewy mogli ją zatem brać za kobietę

w delegacji, która – wobec braku kontaktu ze swoim osobistym dilerem – zdecydowała się na ryzykowny zakup towaru na osiedlu.

Jej ciemne okulary i czapka dobrze współgrały z ich wrażeniem – oto damulka, która przyciśnięta potrzebą, wstydzi się pokazać swoją buźkę. Tak mogli uważać.

Okazało się jednak, że owo auto skierowało ich na zupełnie niewłaściwy trop, który miał się dla Ewy okazać nader kłopotliwy. Jeden z nich zapukał w szybę. Kiedy ją opuściła, wyznał jej miłość. Wtedy pomyślała, że może prawdziwe są historie o prostytutującym się młodych chłopcach z ubogich dzielnic, którzy byli obiektem zainteresowań bogatych kobiet.

I za taką ją chyba wzięli. Chłopcy pod błazenadą ukrywali być może swe właściwe zamiary – czyli seks z milfiarą, co już samo w sobie było marzeniem ich wielu. Dodatkowa opłata za takie usługi byłaby bonusem! Byli jednak nieletni – najstarszy miał na oko czternaście–piętnaście lat – a to groziło kobiecie wynajmującej ich do erotycznych usług poważnymi konsekwencjami, bo podchodziło pod paragraf o pedofilii.

Wiedziała, że gdyby zdjęła ciemne okulary, entuzjazm chłopców być może by opadł – nie była wszak typową seksbombą, której wyczyny można było sobie obejrzeć na stronach pornograficznych pod zakładką MILF. Ich błaznowanie wydało się jej przez chwilę nawet zabawne, jednak zaraz przysłała trzeźwa myśl, że oni jej po prostu przeszkadzają w pracy.

A chłopcy nie ustawali. Jeden częstował ją czekoladą, twierdząc, że ma przy sobie jeszcze „laskę całą z cukru”, a inny odstawił cały spektakl. Z butelki wylał reszkę piwa w ten sposób, że mokry ślad ułożył się przed jej samochodem w zgrabne serduszko. W środku tego serduszka postawił pustą butelkę, a w jej szyjkę wetknął łydę paproci, zerwaną naprędce z jakiejś doniczki.

Odchodzili ze śmiechem i wracali, a kiedy – już mocno zniecierpliwiona – kazała im „spadać na drzewo”, wcale się nie poddawali. Znów podchodzili do samochodu i mówili to, co przed chwilą. Mogłoby to świadczyć o uszkodzeniu

przez marihuanę pamięci krótkotrwałej. W końcu zniknęli ze śmiechem, ale to nie znaczyło, że Harlem o Ewie zapomniał.

Po godzinie obserwacji okna Sikorów zauważyła, że w jej kierunku zbliża się dwóch mężczyzn przed czterdziestką o ponurym wyrazie twarzy. Ci nie wyglądali na żartownisiów.

„Dość ryzyka” – pomyślała.

Zapуściła silnik i szybko wyjechała na pełną dziur osiedlową uliczkę. Dodała gazu. W lusterku wstecznym widziała, jak obaj stoją na środku ulicy i gapią się na znikające auto.

*

Pociąg z Warszawy zgodnie z rozkładem miał przyjechać o szóstej rano, ale Ewa zjawiła się na dworcu już o piątej – po pierwsze, nie mogła się doczekać przyjazdu Natalii na święta, po drugie, i tak nie była w stanie zasnąć: zbyt dużo kawy w połączeniu z rozmyślaniami nad sprawą Banaszczyka i Goški oznaczało bezsenną noc.

Siedziała na ławce i patrzyła bezmyślnie na nieliczne gołębie, które – mimo kolców przymocowanych do belek i poprzeczek – uparcie krążyły pod sklepieniem nad peronami i szukały miejsca, gdzie mogłyby usiąść. Czasami ryzykowały i ukłute kolcem, odlatywały z trzepotem skrzydeł.

„Zupełnie jak ja – pomyślała gorzko o wczorajszej wyprawie do Harlemu. – Też tak krążę wokół Damiana Sikory, szukam miejsca zaczepienia, a potem muszę uciekać”.

Czasami żałowała, że nie jest mężczyzną – przynajmniej te typy na osiedlu inaczej by ją potraktowały i na pewno nie musiałyby się stamtąd tak szybko ewakuować. Szybko porzuciła tę myśl. Starszy już Waldek albo nerdowaty Michał, wędząc w Harlemie, byliby również uważnie obserwowani i zagrożeni atakiem. W takich miejscach tylko „ziomale” mogli czuć się bezpiecznie

Wstała z ławki, gdy ujrzała sunącą ku niej staruszkę z wielkim garbem, przykrytym kilkoma kurtkami. Na gołych stopach miała zbyt duże gumowe klapki; pozostawiała za sobą smugi cieczy.

Ewa, uniknąwszy spotkania z bezdomną, poszła szybkim krokiem do restauracji McDonald's. Zamówiła kawę i placek z jabłkami na ciepło, ale nie zjadła go od razu – wolała poczekać, aż trochę wystygnie, pomna, jak kiedyś nadzienie poparzyło jej usta.

Zegarek wskazywał piątą dwadzieścia. Do przyjazdu Natalii miała jeszcze czterdzieści minut. Otworzyła notes i spojrzała w zapiski, które zrobiła tej nocy na podstawie kopii protokołu od Buczyńskiego.

(1) Barylski chce kupić od Banaszczyka teren obok Zadroża. Barylski jest deweloperem, a teren Banaszczyka idealnie się nadaje pod apartamentowiec.

Skrzywiła się nieco, widząc frazę „nadawać się pod”. Potrząsnęła głową. Nie czas teraz na stylistyczne subtelności.

(2) Banaszczyk się nie zgadza (o tym świadczyłoby jego zeznanie o nakłanianiu go do sprzedaży gruntu, co miałyby potwierdzić Rakietka).

Ewa wyobraziła sobie, jak na taką odmowę reaguje bogaty deweloper, mający kontakty z tak podejrzanymi personami jak Czesław Zbroiński.

Tak, ujęła to w notatkach w punkcie trzecim.

(3) Barylski płaci Ryszardowi Sikorze za podpalenie składowiska opon, a jego rodzinie każe o to oskarżyć Banaszczyka – że to sam Banaszczyk zapłacił przez jakiegoś „grubego i łysego” mężczyznę. „Macie mówić, że łysy i gruby, nic więcej! Nic więcej nie pamiętacie!” – tak mi zrelacjonował polecenie mężczyzny Damian Sikora.

(4) Prokurator Wojtala oskarża Ireneusza o nielegalną utylizację. Gośka wchodzi do akcji.

(5) Sprawa toczy się jednak nieśpiesznie. Mirella na rozkaz Barylskiego grilluje swoim programem Banaszczyka (przyznała mi się do tego w samochodzie).

„I wtedy być może naciskają na Banaszczyka, obiecują, że wycofają oskarżenie, jeśli sprzeda im teren” – Ewa wyjęła pióro, aby dopisać tę myśl.

(6) Banaszczyk nie ulega, Gośka jest coraz bardziej pewna wygranej w jego sprawie, bo ja znajduję filmik i docieram do Damiana.

„I pojawia się nowa sprawa – stwierdziła, upijając łyk kawy. – Jaworowski i porno na żywo”.

(7) Barylski i Zbroiński postanawiają zniechęcić Gośkę do Banaszczyka, do czego wykorzystują sprawę fellatio na Wyspie. Co było łatwe do przewidzenia, Engel chce powstrzymać ataki na swoje sklepy i organizuje internetowy atak na Gośkę, a Barylski i Zbroiński podsyłają ichałowi właściwe linki, żebyśmy nie przegapili tego tropu.

„Ten idiota właściwie sam się do tego przyznał” – pomyślała, wzdrygając się z obrzydzenia, kiedy przed oczami stanął jej Zbroiński masujący się po kroczu.

(8) Gośka nie ulega hejtowi i naciskom. Wygrywa sprawę Jaworowskiego, ale wciąż nie ma zamiaru porzucić sprawy Banaszczyka.

„I wczoraj rano ją zaatakowano, mocno i boleśnie” – pomyślała Ewa i zaraz podkreśliła punkt następny.

(9) Bestia, doprowadzona do furii oporem Gośki, organizuje jej zatrzymanie. Za aresztowaniem stoi prok. Adrian Wojtala, który oskarżał i Banaszczyka, i Jaworowskiego. To przypadek?

(10) Gośka zostaje pobita przez inną więźniarkę. Kto jej zapłacił? I jak mu się udało tak szybko to zlecić?

Stuknęła długopisem w punkt jedenasty.

(11) Tymczasem Banaszczyk, złamany losem Gośki, rezygnuje z jej usług. Wspólnie z niejakim Strzyżem oskarżają Gośkę o sugerowanie wpływów. Barylski i Zbroiński wygrywają. Dodatkowo mają w garści Marcjańskiego, który jest przerażony ich wyczynami i zgadza się na owocną współpracę. Oni mu finansują kampanię wyborczą, a on sprzeda miejskie grunty firmie mpex...

Ewa zamknęła oczy. I wtedy zawibrował telefon. Dzwonił Michał, który całą noc spędził na przetrząsaniu internetu.

– Impex to firma z kapitałem rosyjskim – zaczął bez żadnych wstępów i Ewa przez chwilę pomyślała, że chłopak musi chyba czytać w jej myślach. – Zarejestrowana w Luksemburgu – ciągnął zmęczonym głosem. – Kupuje ziemię w całej Europie. Stawia tam pawilony transportowe, galerie handlowe lub osiedla mieszkaniowe. Polski oddział firmy nazywa się Castel. Jego prezesem jest Krzysztof Barylski, a wiceprezesem Czesław Zbroiński. To wszystko, Ewa. Idę spać... – Ziewnął przeciągle. – Masz pięć minut na dodatkowe pytania. Potem wyłączam telefon.

Ewa o nic nie pytała. Uzyskała całkowitą pewność. Już wiedziała, kim jest bestia.

*

Pociąg z Warszawy przyjechał punktualnie. Natalia wyskoczyła z wagonu pierwszej klasy z walizką i małą torbą podróżną. Wyglądała pięknie w czerwonej kurtce z czarnym sztucznym futerkiem przy kapturze.

Postawiwszy na peronie walizkę, rzuciła się matce na szyję. Były tego samego wzrostu. Ewa przytuliła ją mocno, starym policyjnym zwyczajem jednocześnie obserwując, czy w zamieszaniu, jakie się zrobiło na peronie, ktoś nie sięga po jej bagaż. Nagle przypomniała sobie o starej żebraczce, która nie panowała nad zwieraczami i pozostawiała za sobą mokry ślad. Prawie w tym miejscu, gdzie przed chwilą była torba podróżna Natalii.

Rozejrzała się gwałtownie, ale widziała jedynie walizkę. Ktoś ukradł torbę!

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, zauważyła, że Natalia uśmiecha się do kogoś szeroko.

– Tato! – krzyknęła dziewczyna. – Mama będzie zła, że jej nic nie powiedzieliśmy!

– Zapraszam do mnie na śniadanie wielkosobotnie. Ciebie też, Ewuniu!

Spojrzała na niego. Wciąż ten urok łobuza i podrywacza. I wąsy, które teraz znów zaczynały być modne. Był trzeźwy. Pachniał papierosami i dobrą wodą po goleniu.

– Posprzątałem mieszkanie. – Uśmiechnął się uwodzicielsko. – Zobacz sama, czy ładnie.

10 Żadnych brązów (tj. brązowych ubrań) po godzinie szóstej po południu (ang.).

ROZDZIAŁ XV

SKURCZ MIĘŚNI

Śniadanie wielkosobotnie u Roberta było proste i bardzo smaczne – jajka w majonezie z kaparami, sałatka jarzynowa, świeże, chrupiące bułki, szynka z przyjemnym marginesem tłuszczu oraz pasta z żółtego sera i porów – dla wegetarianki Natalii. Wszystko zostało pokrojone nieco nonszalancko, po męsku – w grube kawały.

„Postarał się” – pomyślała Ewa o Robercie niechętnie, patrząc na posprzątaną starannie kawalerkę.

Rozmowa ojca z córką iskrzyła się od dowcipów i przekomarzań. Widać było, że się za sobą stęsknili. Natalia jadła z ogromnym apetytem, a Robert wciąż jej dokładał. Kręcił się po małej wnęce kuchennej, nastawiał ekspres do kawy, kroił wielkanocny mazurek, parzył mocną, aromatyczną herbatę w tureckim urządzeniu składającym się z dwóch czajników, z których mniejszy stał na większym. Z przepasanym wokół bioder fartuszkiem wyglądał śmiesznie i rozbajająco, ale jego mocne przedramiona, pokryte kilkoma tatuażami, nie budziły już rozbawienia – raczej respekt i poczucie bezpieczeństwa.

Ewa siedziała wciąż nachmurzona i nie wierzyła, że przyjęła to zaproszenie, że to, co ma przed oczami, dzieje się naprawdę. Że oto ich rozbita rodzina mogłaby teraz zewnętrznemu obserwatorowi przypominać tę dawną – z czasów gdy zwarci wzajemną miłością, mieszkali we trójkę na osiedlu Zadroże.

Kłuł ją jak drzazga ten sielankowy obrazek, szarpały nią wyrzuty sumienia, chciała zatelefonować do Alberta, a nawet wyjść, lecz Robert zatrzymał ją, padając komicznie na kolana, czym Natalię rozbawił do łez.

Ewa raz jeszcze podjęła taką próbę opuszczenia kawalerki, w której – czego była pewna – często po kątach się walały damskie majtki. Wstała wtedy, gdy córka poszła do łazienki wziąć prysznic, jednak Robert znów ją zatrzymał – tym razem bez żadnego błaznowania.

– Wykorzystajmy chwilę, że Natalia się kąpie – powiedział, a rozbawienie znikło z jego twarzy – To coś bardzo ważnego, Ewa.

Wiedziała, że nie żartuje. Zbyt dobrze go znała. Rozejrzała się uważnie, jakby szukała nagrywających mikrofonów, po jego niespełna dwudziestometrowym apartamencie, składającym się z pokoju z kuchenną wnęką i łazienką, umeblowanym prostymi sprzętami z Ikei: stołem, czterema krzesłami i kanapą.

– Może gdzie indziej pogadamy – odparła. – Jeśli to rzeczywiście takie ważne...

– Sprzątałem bardzo dokładnie. – Głos Roberta brzmiał ponuro. – I nie znalazłem żadnej pluskwy...

Jej eksmąż miał zwyczaj żartować z nieruchomą twarzą. Ale teraz nie żartował.

– Ładny porządek, rzeczywiście. Choć zlewozmywak pozostawia trochę do życzenia.

– Namierzyli cię – przerwał jej. – Namierzyli twojego informatyka, jak zbierał tej nocy informacje o Impeksie.

Wbiła w niego zdumione spojrzenie. Z łazienki dochodził wesoły śpiew Natalii.

– Kto mnie namierzył? – zapytała.

– Centralne Biuro Śledcze we współpracy ze służbami ukraińskimi oraz z OLAF-em...

– Z czym?

– To skrót francuski. Po polsku to Europejski Urząd do spraw Zwalczenia Nadużyć Finansowych z siedzibą w Brukseli. Ścigają ogromne przekręty w państwach członkowskich Unii Europejskiej. Impex jest na ich celowniku.

Kiwnęła głową, czując, że jedzenie podchodzi jej do gardła.

– To się nazywa *honeyspot*, Ewuniu. Służby specjalne założyły fikcyjną stronę internetową firmy Impex, na której zamieściły informacje, że rekrutują współpracowników do różnych działań. Oferty są napisane normalnym językiem, ale jest w nich coś, o czym wiedzą tylko ludzie chcący się zatrudnić do nielegalnej współpracy, choćby przy produkcji kryptowalut. I ci ludzie szukają takich ofert, wchodzą na lewą stronę danej firmy i zostawiają swój ślad IP. A służby biorą to IP pod lupę. I tak natrafili natychmiast na twojego Michała.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

Robert gładził przez chwilę palcami swoje wąsy. Patrzył na Ewę wymownie.

– Powiedz chociaż, skąd tu się wzięły służby ukraińskie – poprosiła.

– Impex to firma umocowana na Kremlu – odpowiedział Robert. – Z siedzibą w Luksemburgu. Ukraińcy ze zrozumiałych względów się nią interesują. A my im pomagamy.

Wyciągnął ku niej papierosa, upewniając się, że Ewa nie ma nic przeciwko, a kiedy skinęła głową, zapalił.

– Impex tworzą bardzo groźni ludzie. Skrytobójstwa, narkotyki, handel żywym towarem, a to wszystko pod deweloperską przykrywką. Weszłaś na pole minowe, Ewcia. Ale ja nie dopuszczę, żebyś zrobiła fałszywy krok.

Nawet nie zwróciła uwagi na zdrobnienie, którego nie lubiła. Zresztą inaczej brzmiało w ustach Roberta niż tego zboka Czesława.

Patrzyła na byłego męża szeroko otwartymi oczami. Z łazienki dochodził szum suszarki do włosów.

– To jest rozmowa nieoficjalna, oczywiście. – Zaciągnął się dymem. – I wynika wyłącznie z troski. Naprawdę, teraz nie żartuję.

Popatrzył na nią poważnie.

– Od miesiąca chodzę na terapię, nie piję i jestem szczery. To znaczy staram się. – Uśmiechnął się lekko. – Rzadko zakładam maskę błazna. Raz, może dwa razy dziennie... Nie tak jak kiedyś, gdy ze wszystkiego robiłem sobie jaja.

Oparł dłonie na stole. Były silne, nie drżały.

– Nasi koledzy z Luksemburga i Holandii dzwonili dziś w nocy do pewnego człowieka, żeby ci pogroził palcem i kazał zostawić sprawę Banaszczyka pod groźbą utraty licencji. Przekonałem go jednak, żeby poczekał do wtorku.

W łazience zadzwonił telefon. Natalia przerwała suszenie włosów.

– O, cześć! – zawołała. – Jestem u ojca. Mama też tu jest.

Robert wyciągnął dłoń i dotknął jej palców. Cofnęła rękę, choć gest byłego nie był uwodzicielski, raczej opiekuńczy.

– Musisz zakończyć tę sprawę przez święta, lecz nie jestem pewien, czy dasz radę sama. Powiedz, co mam robić, a zrobię to!

Natalia wyszła z łazienki w wielkim kraciastym szlafroku ojca. Poprawiła mokre włosy i spojrzała na Ewę niepewnie.

– Chyba zrobiłam coś głupiego, mam... – odezwała się cicho. – Powiedziałam Albertowi, że jesteście tu ze mną obydwójcie, a on się wściekł. I powiedział, że wyjeżdża. Że sam spędzi święta.

*

Pół godziny później Ewa była w swoim mieszkaniu. Na stole leżał list od męża.

Weszła do kuchni, gdzie w zlewozmywaku walały się brudne naczynia. Na blacie leżała biała kiełbasa, przygotowana do pieczenia, i góra pasty jajecznej, a obok święconka, z którą Albert miał iść do kościoła. Wiklinowy koszyk był do połowy pełny i przystrojony gałązkami bukszpanu.

Ewa wróciła do jadalni i spojrzała na list. Jej uwagę od razu przyciągnęła ostatnia fraza, nieznośnie melodramatyczna, podkreślona trzykrotnie.

„Żegnaj na zawsze”.

Podeszła do kryształowego pucharu. Dotknęła go prawie pieszczotliwie, a potem zrzuciła ukochane brydżowe trofeum męża na podłogę. Z przyjemnością chodziła przez chwilę po trzeszczących odłamkach szkła.

*

Damian Sikora minął okno rodzinnego mieszkania, pod którym napis oznajmiał całemu światu, że XXXX TO KURWA I KONFIDENT. Przez iksy przebijały litery jego nazwiska. Szedł powoli – gruby i ociężały – kiwając się lekko na krzywych nogach, z których niegdyś wyśmiewała się jego matka, mówiąc, że chodzi jak kaczką.

W rękę trzymał torbę z brudną bielizną, której nie miał gdzie wyprać. Ostatnie dni spędził na ogródkach działkowych, gdzie była wyłącznie zimna woda tłoczona pompą. Mimo to wolał mieszkać tam, niż wrócić do Harlemu. Po wizycie dziwnej dziennikarki nie miałby tu życia. Wszyscy ją uznali za policyjną sukę, a jego za psiego szpicla. W ten sposób plotki o jego donosicielstwie ogłoszone tym cholernym napisem – kiedyś najzupełniej wysrane z palca – stały się oczywiste dla władców tego miejsca, takich jak Kłosu i inni ziomale. Po jego wyprowadzce, a właściwie ucieczce, wszyscy mieli go już za konfidenta.

Nie chciał jednak za nic spędzać świąt samotnie – w altance, w której pozwolił mu mieszkać jej właściciel, pan Wiesio, ten dawny sąsiad, majster ze „Świerczewskiego” i były wytwórca płyt pirackich, któremu czasami – po starej znajomości – Damian za parę groszy pomagał na działce. Mógł się tam zatrzymać na kilka dni, pod warunkiem że nie zużyje zbyt wiele prądu.

W Wielką Sobotę po południu podjął decyzję. Zdmuchnął znicz, który służył mu za jedyne źródło światła w ciemnym jak nora domku, starannie zamknął go na zasuwę i pojechał autobusem do domu z torbą brudnej bielizny.

Szedł teraz wzdłuż Jamnika, dochodził już do swojej bramy i pozdrawiał młode kobiety, które mimo wietrznej pogody siedziały z papierosami na ławkach i pokrzykiwały na rozrabiające dzieci. Żadna z nich mu nie odpowiedziała. Spodziewał się tego.

Wszedł do bramy, nad którą wypisano stosowne powitanie:

TEREN SZLACHTY Z HARLEMU
WYCIERAĆ BUTY KURWY

Damian wszedł do długiego korytarza, wypełnionego wonią gotującego się żurku i świeżo obranych ze skorupki jajek. Te kuchenne zapachy buchały z mieszkań, których niedomknięte drzwi spełniały swoistą funkcję wentylacyjną. Z tą wonią mieszał się wszechobecny dym z papierosów, które na tym korytarzu paliły kobiety, odpoczywające na chwilę od gotowania świątecznych potraw, albo ich mężczyźni już pociągający z gwinta na wielkanocną chwałę. Było też – jak zawsze – kilku skulonych staruszków żywo dyskutujących o polityce bezzębnymi ustami.

Damian kłaniał się im wszystkim, ale odpowiadali mu tylko starcy – dawni pracownicy Zakładów Włókienniczych imienia Świerczewskiego, nie znający harlemowego kodeksu, zgodnie z którym z konfidentami – rzeczywistymi czy tylko domniemanymi – nie wolno gadać.

Gdy się zbliżał do swego mieszkania, zadrżał.

Pod jego drzwiami stał Kłosu. Uśmiechnął się szeroko, a dwa skrzyżowane miecze wytatuowane na jego policzkach poruszyły się śmiesznie w górę i w dół.

– Co jest, Kaka? – krzyknął. – Do rodzinki przysześć?

– Tak – odpowiedział Damian. – Na święta. Do matki i siostry.

Stał niezdecydowany. Nie mógł się poruszyć. Strasznie bał się Kłosa, ale jeszcze bardziej ciemności na ogródkach działkowych, gdy pod drzwiami altanki chrząkały dziki albo wrzeszczały hordy nabuzowanych amfetaminą młodocianych bandytów, którzy szukali tu bezdomnych, aby ich skopać – tak dla żartu i dla treningu. Mimo wszystko jednak wolał być w Harlemie, nawet gdyby go wszyscy wyzywali tutaj od kurew i konfidentów. Nawet gdyby wybili mu zęby. Byle nie wyłupali jedyne go oka.

Kłosu chwycił go nagle za gardło i przycisnął do drzwi mieszkania.

– Co ty sobie, kurwa, myślisz? Że u mnie jest, kurwa, miejsce dla konfidentów jebanych?!

Zza drzwi doszedł krzyk matki oraz Sandry:

– Puście go, bandyci!

– Cicho, karyna jedna! Bo ci córcię na oczach wyrucham! Chcesz tego? Chcesz, kurwa, tego?

To był głos ziomala Kłosa, Sebastiana, ksywa „Cyborg”, narkomana po dwóch wyrokach.

Damian się trząsał. Jego tłuste ciało dygotało ze strachu. Kłosu dławiał mu grdykę. Z jego ust dochodziła woń przetrawionego alkoholu.

– Słuchaj, kurwo, liczę do trzech! A ty spierdalasz stąd, i to w podskokach. Daję ci wypad, bo szanowałem twojego starego. Nie wyskrobię ci tego jedyne go ślipia, ale pokaż mi się tu jeszcze raz, to wrócisz, kurwa, na ślepego do swoich kanałów. Rozumiesz mnie, kurwo?

– Tak – szepnął Damian. – Już idę. Mogę się tylko z rodziną przywitać?

– Nie!

Chłopak zaczął kaszleć, gdy napastnik go puścił.

W jednej chwili przypomniał sobie, jak Jerzy Kłos, brat tego bandziora, kiedyś troskliwie się nim zajął. To było z siedem lat temu. Jakaś paskudna grzybica zaatakowała Damianowi rogówkę oka. Tak przynajmniej mówił okulista ze szpitala, gdzie Jerzy Kłos był pielęgniarzem i dokąd zabrał kiedyś ze sobą małego niedowidzącego chłopca.

Doktor dał mu receptę. Nikt tych leków nie wykupił, recepta gdzieś zginęła, Jurek się wyprowadził. A potem wszystko szło po staremu. Ojciec pracował lub pił, matka spała lub oglądała *Dynastię*. Nikt nie dbał o chłopca.

– To nawet dobrze – wycharczał Damian do Kłosa. – Bo ja... tak naprawdę... to nawet nie chcę się z nimi widzieć...

– Co jest, Kłosu? – rozległ się nagle donośny męski głos. – Są święta, Kłosu! Pozwól chłopakowi jajeczko zjeść z rodzinką!

Z sąsiedniego mieszkania wyszedł jakiś mężczyzna. Nie dało się go rozpoznać. Miał na sobie sięgającą do połowy uda kurtkę z wysoko postawionym kołnierzem, a okna klatki schodowej – brudne i częściowo zabite dyktą – nie przepuszczały zbyt wiele światła.

– No, zapal żarówkę, to mnie poznasz! Planeta dzisiaj mało kopsa żara¹¹, co, Kłosu?

Wywołany podszedł do mężczyzny na szeroko rozstawionych nogach. Wykonał szybki ruch ręką i zapalił mu zapalniczkę przed twarzą.

Ten nawet nie drgnął. Po chwili szef Harlemu odwrócił się do swoich.

– To Kinder – rzucił. – Odchodzę. Klops na jaźwę przed psem! Omerta!

– Nie odchodź – zawołał mężczyzna z udawanym żalem. – Stęskniłem się za wami, chłopaki!

Kłosu i jego kumple weszli po schodach na pierwsze piętro, kobiety zgasiły papierosy i wróciły do gotowania, ich mężowie woleli pić teraz wódkę w domu, a jedynie staruszkowie wciąż gapili się na całą scenę. Oni nie wiedzieli, kim jest Kinder.

Damian za to wiedział. Każdy, kto choćby się otarł o powtarzaną z ust do ust historię Harlemu, znał dobrze także jego historię. Pies, który przed laty pracował w komisariacie osiedlowym na Zadrożu, był raz świadkiem, jak Miki, jeden z chłopaków z Jamnika, został osaczony nad Siecznicą przez kibiców klubu z sąsiedniego miasta. Ci od lat mieli kosę z Włóknierzem, przyzakładowym klubem piłkarskim ze „Świerczewskiego”. Wymachiwali maczetami Mikiemu przed twarzą, jeden rozpiął rozporek, żeby nalać na chłopaka, a pies – choć nie miał przy sobie broni, bo właśnie był z córeczką na spacerze nad rzeką – przyszedł mu na pomoc.

Dziesięciu kiboli, słysząc, że jest z psiarni, rzuciło się na niego jak wygłodniałe szakale. A wtedy jeden z nich dostał w grdykę. I upadł. I się nie podnosił. Zrobił się siny. Umierał. Tak się przynajmniej zdawało.

Dziewięciu odpuściło, odeszło wśród bluzgów, zabierając charczącego kolegę. Małe dziecko psa popłakało się żałośnie. I wtedy Miki, który cudem uszedł niepokaleczony i nieprzecwelony, usłyszał, jak ojciec mówi do córeczki:

– Nie płacz, Natałko, tatuś ci kupi kinderniespodziankę!

I tak narodziła się legenda Kindera.

Żaden pies nie ośmielił się wejść do dawnego hotelu robotniczego w pojedynkę, ale Kinder był wyjątkiem. Choć już dawno awansował i nie pracował w osiedlowym komisariacie, śmiało mógł to zrobić, no – przynajmniej póki jeszcze żyli, nie siedzieli w kiciu i pamiętali o tamtym zdarzeniu tacy ludzie jak Kłosu.

Nikt z tym psem nie chciał jednak gadać, bo pies to pies; nikt by mu nie zeznał nic, bo omerta to święta zasada; nikt by nikogo nie sprzedał, lecz też nikt by tego psa nie zaatakował, chyba że jakiś narkus o totalnie zrytym berecie.

– Chodź, Damianku. – Kinder uśmiechnął się do niego. – Ktoś na ciebie czeka u sąsiada.

Rzeczywiście od dwóch godzin czekała po sąsiedzku Ewa. Stała oparta o ścianę, bo nie było gdzie usiąść. Towarzyszył jej Robert oraz właściciel tego mieszkania, niejaki pan Kazik.

Ten, jako jedyny, siedział – na kłębie pościeli, leżącym na wersalce. Obecność Kazika nie była uciążliwa, choć śmierdzący dym jego tytoniu dawał się Ewie mocno we znaki.

Robertowi natomiast, wspólnikowi w nałogu, dym zupełnie nie przeszkadzał. Stał obok Ewy w milczeniu i też palił, choć dużo lepsze papierosy. I starał się wydmuchiwać dym daleko od niej.

Gdy po dwóch godzinach usłyszał hałasy za drzwiami, uchylił je cicho, a potem wyszedł. Po chwili ożywionej i głośnej rozmowy wrócił – ale już w towarzystwie Damiana Sikory.

Wszystko szło zgodnie z planem. Pan Kazik zainkasował dwadzieścia złotych i poszedł na spacer, a Ewa otworzyła okno, by wywietrzyć pokój, na co wcześniej kategorycznie się nie zgadzał jego lokator, bojący się przeciągów.

Damian Sikora stał w progu pokoju, masował szyję i przyglądał się Ewie. Był ubrany w te same spodnie ze ściągaczami u dołu, w których widziała go za pierwszym razem. Na jego tęgiej twarzy, zakończonej szopą gęstych szorstkowatych włosów, odmalowywała się niechęć.

Robert Mroczek inaczej sobie tłumaczył minę chłopaka. W mieszkaniu Kazika był wyjątkowy chlew i przybysz – choć jego dom pewnie też nie był wzorem czystości – być może swoją miną wyrażał dezaprobatę wobec skłębionej pościeli bez poszwy, leżącej na starej wersalce i zmieszanej z przynajmniej trzema podartymi płaszczami. Może nie podobał mu się stary, zakurzony telewizor, którego kolory były równie wyraźne jak tematyka świętego obrazu wiszącego na ścianie i pokrytego pajęczyną? Może nie mógł patrzeć na piętrzące się na podłodze worki z Castoramy, wypełnione starą garderobą, albo słoiki z brunatną wodą, w której pływały niedopałki?

– Cześć, Damian – powiedziała Ewa. – Mówiłam wtedy prawdę: mam znajomego okulistę, który wstawi ci ładne oko. Nie martw się, zapłacę za wszystko i już żaden wredny gnój nie będzie ci ubliżał. Nikt nie odróżni prawdziwego oka od sztucznego.

Czekała na jego reakcję, a on tylko milczał i uciekał wzrokiem.

– Wiem, że jesteś nieufny. – Ewa się uśmiechnęła. – W Harlemie trudno komukolwiek ufać, ale ja nie jestem stąd.

Spojrzał na nią szybko ze złośliwym uśmiechem.

– Pewnie, że nie stąd – odezwał się w końcu. – Tu żadna laska nie nosi butów za dwa tysiąki. Chyba że małolaty z branzówki, co dostają prezenty od słodkich tatusiów.

Ewa policzyła w myślach do dziesięciu i nieco się uspokoiła. Miała teraz Damiana Sikorę i nie pozwoli mu odejść. To był jej triumf. Nawet gdyby chłopak nie chciał zeznawać, wiedziała, że może liczyć na Roberta, który go do tego przekona. I w tym właśnie tkwił problem: musiała polegać na eksmężu, czego wolałaby uniknąć. Nie chciała nic zawdzięczać facetowi, który ją zdradził i zniszczył psychicznie. Dlatego właśnie od niego odeszła i ułożyła sobie życie na nowo z innym mężczyzną. Tyle że i to nagle się posypało, zaledwie w ciągu kilku dni, może tygodnia. Wszystko stanęło na głowie – Albert okazał się zazdrosnym

mięczakiem podrywającym stażystki, a Robert mężem opatrnościowym w piekielnie trudnej sytuacji.

Zazdrość nagle zakłębiła się w jej sercu. Nie mogła jej jednak okazać, nie mogła dać jej ujścia, bo Mirella, ta mała wywłoka, była jej potrzebna w tym cholernym śledztwie! Do tego pojawiła się Natalia, uwielbiająca tatusia, i zniknął Albert – na zawsze, jak pisał – pozostawiwszy za sobą chlew przedświątecznych przygotowań!

Trudno jej było w tej sytuacji zachować spokój. Najchętniej zostawiłaby całe przesłuchanie w rękach tego żigolaka z wąsikami, ale przecież nie chciała niczego mu zawdzięczać.

Spojrzała na Damiana, na jego zaciętą twarz – i poczuła, że traci już panowanie nad sobą.

– Masz to wszystko w dupie, tak? – warknęła. – Swoje oko też? Jeśli tak, to co ja tu robię?! Co ja tu robię, do kurwy nędzy?!

Była wściekła, że tak klnie. Była wściekła, że jej życie się rozsypuje.

Odwróciła się. I wtedy usłyszała:

– Nie, oka nie mam w dupie. Mam je w głowie.

Robert parsknął śmiechem. Damian przyglądał się Ewie w wielkim skupieniu.

– Chciałbym kiedyś mieć pracę przy komputerze – powiedział. – Nie widzieć ludzi przez cały dzień, tylko świat na ekranie. Ale jak długo patrzę, boli mnie oko. Mięśnie są zbyt napięte. Dobrze jest mieć znajomego okulistę, nie takiego, do którego trzeba się zapisać rok naprzód i składać podania o dofinansowanie protezy oka. Patrzeć na kolejnych inspektorów z MOPS-u i liczyć na ich łaskę... Próbowałem kiedyś, ale moja stara zwyzywała inspektorę. Nie wiem za co. Ta napisała w protokole, że patologia... Że nie roкую dobrze. Nie udało się.

Spuścił wzrok, jakby bał się spojrzeć teraz Ewie w oczy. A pytanie, które za sekundę zadał, tego by właśnie wymagało – szczerego spojrzenia.

– Nie zrobi mnie pani w konia z tym okulistą? Zapłaci pani za protezę? Naprawdę?

Ewa przysunęła się do niego, ale wciąż na nią nie patrzył.

– Przysięgam. Będę się bardzo starała ci pomóc. Bardzo. I zapłacę. To mogę na pewno obiecać.

Damian usiadł na barłogu pana Kazika. Stara, sprana bluza opięła mu się na brzuchu. Paznokcie miał krótkie, poobgryzane do krwi.

– To był facet średniego wzrostu, ani chudy, ani gruby. Dobrze ubrany, pachniał perfumami. – Chłopak prawie szeptał. – I jeździł nowiutkim szarym infiniti QX80. Z nim kilku bydlaków ochroniarzy. Jeden z nich zgarnął moją starą. Rozmawiali za hałdą. Podkradłem się i widziałem, jak jej dał kasę.

Ewa wyjęła z plecaka komórkę i pokazała Damianowi zrobione niedawno zdjęcie Czesława Zbroińskiego.

Chłopak pokiwał głową.

– To był ten.

– Zeznasz to? – zapytała. – Że to był ten facet?

Znów kiwnięcie głową.

Robert usiadł obok Damiana.

– Jeśli zeznasz cokolwiek na policji, to możesz tu nie mieć powrotu – powiedział. – Wiesz o tym? Kto nie przestrzega omerty w jakiegokolwiek sprawie, jest cwelem na dzielni...

Ewa się zachnęła. Tego tylko brakowało, żeby Damian wycofał swoją obietnicę!

– Ja tu nie chcę wracać – zapewnił szybko chłopak. – To ostatnie święta tutaj. Jeśli nie trafię do szpitala z wybitym ostatnim okiem.

W mieszkaniu śmierdzącym dymem papierosowym zapadła ciężka cisza.

*

Kiedy Ewa z Robertem wychodzili z dawnego hotelu robotniczego, na zewnątrz czekał na nich komitet pożegnalny.

– Ja wiem, Kinder, że ta lejdi – Kłosu wskazał głową Ewę – to od ciebie. I wiem, że Damian też od ciebie. Jemu też się nic złego tu nie stanie. Może tu przychodzić... Ty też. – Spojrzał na kobietę. – Jeśli szukasz mocnych wrażeń.

Zabrzmiało to dwuznacznie. Kłosu zbliżył się do Kindera i stanął tuż przed nim jak bokser, gdy mierzy się wzrokiem przed walką z przeciwnikiem.

– Ale ty sam już tu, kurwa, nie przychodź – mruknął. – Nie pozwolę, żebyś mi tu mieszał. Powinienem ci przy chłopakach dopierdolić, a ja odszedłem jak wydyganiec. A wiesz czemu? Bo byłeś tu legendą, ale dzisiaj się, kurwa, ta legenda skończyła, a ty nie okazałeś mi szacunku. Nie przychodź tu więcej.

– Zaraz, zaraz. – Mroczek się uśmiechnął. – Okej, przyjmuję twoją deklarację, jednak pod jednym warunkiem: że zamażesz ten napis. Bo z Damiana może i konfident, ale tylko mój. Niczyj więcej, rozumiesz, Kłosu?

Włożył papierosa do ust.

– I pilnuj Kake! Jak przyjedzie tu szare infiniti QX80 z kilkoma bydlakami, to pogoń skurwysynów! Pilnuj go, Kłosu! Proszę. Bardzo proszę. Teraz okazuję ci szacunek?

– Dobra. Układ przyjęty, Kinder. Spierdalaj!

Powiedział to bardzo głośno. Słyszeli to starszycy, usłyszały matki pokrzykujące na dzieci koło piaskownicy i młodociani przestępcy z telefonami przy uchu. Wszyscy słyszeli, jak Kłosu potraktował legendę. Pokazał wszystkim, kto rządzi w Harlemie.

– Dobra, już! W podskokach! – Policjant zrobił bokserką gardę.

Kiedy Ewa i Robert wsiadali do samochodu, dwóch nastolatków stało pod oknem Sikorów z puszkami sprayu.

Ewa odwiozła Roberta do jego kawalerki i przez dobry kwadrans stała pod jego blokiem. Nie po to jednak, aby rozważyć – jak sądził eksmąż patrzący na nią z okna – czy wejść do niego czy też nie. Ona po prostu chciała spokojnie zadzwonić do trzech osób: do Alberta, do Natalii, którą zawiozła wcześniej do domu, oraz do mecenasa Buczyńskiego. W takiej właśnie kolejności – od rozmowy

najbardziej nieprzyjemnej do miłej, o ile w ogóle można o takowej mówić w przykrych ostatnio okolicznościach.

Albert nie odebrał trzech kolejnych połączeń. Z ciężkim westchnieniem wybrała numer córki.

Natalia odebrała po pierwszym sygnale i zanim Ewa zdążyła cokolwiek powiedzieć, zawołała:

– Nie chciałam, mamó! Naprawdę nie chciałam! Tak mi się wymknęło. Po prostu cieszyłam się z tego śniadania z wami!

– Wiem, kochanie – powiedziała Ewa. – Nie przejmuj się tym.

Umilkła. Miała zamiar wypytać córkę, czy dobrze się czuje, i poprosić, żeby choć trochę opanowała kuchenny bałagan i posprzątała szczątki rozbitego pucharu, ale nagle zabrakło jej słów.

Natalia zrozumiała to opacznie.

– Mogłaś mi powiedzieć, że nie układa się wam z Albertem... Że jest zazdrosny o tatę. W kółko gadasz, że mogę rozmawiać z tobą o wszystkim, a ty o niczym mi nie mówisz!

Ewa wysiadła z samochodu i stanęła pod wąskim daszkiem osłaniającym wejście do nieczynnego dzisiaj salonu mody ślubnej. Potrzebowała powietrza.

– Czy mogłabyś, córciu...

– Wiem, wiem – weszła jej w słowo Natalia. – Posprzątać... Nie musisz mnie o to prosić. Ogarnęłam ten cały syf w kuchni, byłam w kościele ze święconką i nawet gotuję te trupska, które zamierzasz zjeść.

Ewa uśmiechnęła się.

– Dzięki, Talciu. – Użyła pieszczotliwego zdrobnienia, którym już dawno się do niej nie zwracała. – Zaraz będę w domu, tylko muszę jeszcze zadzwonić w jedno miejsce.

*

Do mecenasa Buczyńskiego zadzwoniła z auta. Było jej zimno, a poza tym czuła na sobie wzrok Roberta, który patrzył wciąż na nią z okna swej kawalerki.

Mecenas Buczyński odebrał natychmiast. Z okrzykiem radości przyjął wiadomość o odnalezieniu Damiana i o jego gotowości do składania zeznań.

– Ależ oczywiście! – zawołał. – Mam kilka mieszkań. Dwa są wolne. Mogę jedno z nich... W razie, gdyby pan Sikora miał problemy na osiedlu, to mogę je nieodpłatnie mu udostępnić. To nasz kluczowy świadek! A... ja też mam dla pani ważną wiadomość, pani Ewo. Mecenas Drewnowska wychodzi we wtorek. Do tego czasu nie stanie się jej żadna dodatkowa krzywda. Święta spędzi w szpitalu. Wymogłem na władzach więziennych dłuższe niż zazwyczaj wizyty u niej pana Willema Vrijberga.

Ewa usłyszała, jak jakaś kobieta ponagla adwokata.

– Przepraszam, pani Ewo, wzywa mnie moja żona. A wie pani: *ce que femme veut, Dieu le veut*¹². Zwłaszcza *la jeune femme*¹³... Auto proszę odstawić do garażu podziemnego pod Maximą!

Ewa, znająca francuski z liceum, podziękowała mu i się rozłączyła.

„Zaraz mi powie, jakie stringi dziś nosi jego piękna, młoda żonka” – pomyślała z irytacją.

Nagle trzasnęły drzwi pięknego audi Q5.

Obok niej usiadł Czesław Zbroiński.

Uśmiechał się od ucha do ucha.

– Nic ci nie zrobię, Ewcia. Przecież wystarczy, że naciśniesz klakson, a zaraz się tu zjawi twój pretorianin z pierwszego piętra. Nie będę ryzykował starcia z tak groźnym panem, który przed chwilą stawiał czoła całej bandzie zbirów w Harlemie.

Ewa ani drgnęła. Ten zły dzień się jeszcze nie skończył.

– Znalazłaś Damiana Sikorę, Ewcia. Dobra jesteś. Ale ja też jestem dobry. Byłem prywatnym detektywem już w tamtych szczęśliwych czasach, gdy między nami zaszło to, co ciągle wspominam. Te piękne chwile w krzakach jeżyn.

Ewa odwróciła się do Czesława. Jej oczy były jak pociski.

– Wiem, wiem, wiem – zawołał, zasłaniając się rękami. – Mam o tym nie mówić...

– Mów, o czym tylko chcesz, Cesiek – rzekła wolno. – Nam z Albertem już nic nie zaszkodzi...

– Wiem – pokiwał smutno głową i rozpiął swój prochowiec. – Pan Obrażony odjechał na swym chromowanym rumaku...

Pochylił się nagle ku Ewie. Oczekiwał, że położy dłoń na klaksonie. Nie zrobiła tego. Zwinęła ją w pięść. Czekwała na stosowny moment, aby uderzyć w tę wstrętną mordę.

– Przekonaj Damiana Sikorę, aby nie zeznawał, że to ja dałem tej patologii kasę na telewizor i kazałem składać fałszywe zeznania... Przekonaj go, Ewcia! Próbowałem to zrobić, zaraz jak wyszliście, ale najwyraźniej chłopaczek ma teraz obstawę miejscowych goryli. – Uśmiechnął się z uznaniem. – Jeśli go namówisz, dostanie wszystko to, co mu obiecałaś, i dorzucę coś ekstra.

Ewa milczała.

– Widzisz? Dobry jestem. Moi chłopcy byli u niego zaraz po was. Weszli z klamkami, dlatego żaden łobuz ich nie zatrzymał. Ale kiedy chcieli wyjść z tym ślepowronem pod pachą, zrobił się wściekły tłok na korytarzu. *Nec Hercules contra plures ...* Pamiętasz, Ewcia, naszego starego łacinnika?

Ewa kiwnęła głową. Aby opanować nerwy, wróciła na sekundę do lat studenckich. Tak, dobrze pamiętała starego lektora, doktora Gintera Mąkę, który na lektoracie z łaciny potrafił z następstwa czasów zrobić dramatyczną historię pełną zwrotów akcji.

– To był błąd z mojej strony, przyznaję. Wystraszyłem tylko chłopaka, wystraszyłem też moich ludzi i nic nie wskórałem.

– Dobra. – Ewa się szarpnęła. – Gadaj, z czym przyszedłeś, i spadaj stąd!

Zbroińskiemu zastygł na twarzy przymilny uśmiech.

– Przekonaj Damiana, aby nie był świadkiem przeciwko mnie. On na tym skorzysta, a ty też... Potrafię sprawić, aby twój rycerz na chromowanym rumaku do ciebie powrócił. Ja wszystko mogę. Przyznaję, nie udało mi się filmikami skłócić Godzilli i Irasa. No cóż... Ale pomysł nie był mój, tylko Baryły. – Odsapnął. – Dużo mówię, ale się nie boję, widzisz? Zamknij tę sprawę, pozwól staremu capowi Buczyńskiemu zażywać dalej kilogramy viagry...

Teraz nie mogła już opanować zdziwienia. Skąd wiedział o Buczyńskim?

– Widzisz, naprawdę jestem dobry – zachichotał. – Myślisz, że posiedzenie twojego sanhedrynu w Exploratrix jest dla mnie tajemnicą?

Zacisnęła mocniej pięść i spojrzała mu w twarz.

– Won, Cesiek! Spadaj, chamie, bo będę musiała długo wietrzyć auto!

– Jeśli nie spełnisz mojej prośby – w jego głosie pojawił się jakiś metaliczny dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszała – to zostaniesz sparaliżowana. Nie zrobisz już nigdy żadnego ruchu... Wbiję pomiędzy Gośkę i ciebie żelazny klin. Najpierw stracisz swoją przyjaciółkę, następnie intratne zlecenia, a potem... no cóż, potem stracisz wszystko. Nie podejmuj żadnej akcji przeciwko mnie i przeciwko ludziom, których ja reprezentuję... Teraz to, co powiem, i to, co zrobię, to będzie tylko przedsmak... To tylko taki drobny i chwilowy skurcz mięśni przed paraliżem.

Pochylił się tak nisko, że w mętym świetle ujrzała jego przeredzone włosy.

– Jeśli w lany poniedziałek nie przyjdiesz do mnie do piętnastej i nie powiesz: „Drogi Czesławie, Damian Sikora nie będzie zeznawał przeciwko tobie”, jeśli mi tego nie powiesz, to pani mecenas Drewnowska i ty, Ewcia... wy obie... będziecie sparaliżowane. Żadna z was nie spojrzy drugiej w twarz. I żadna z was mi już nigdy nie zaszkodzi. Potraktuj to, co za chwilę zrobię, jako gest mojej dobrej woli. Jako ostrzeżenie. Jeśli Damian Sikora nie będzie przeciwko mnie zeznawał, to zagrożenie minie. Raz na zawsze.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Na jego przegubie błysnął złoty zegarek.

– A teraz... mały skurcz mięśni. – Położył przed nią fotografię. – Myślałem, że nie mam na was haka, ale przedwczoraj mi się bardzo poszczęściło. Przeglądając pewne archiwum, znalazłem zdjęcie z dawnych lat...

Ewa patrzyła na fotografię. Jej mięśnie stężały. Tak, to był paroksyzm.

To był cios.

O niespotykanej sile.

Długo siedziała w samochodzie po tym, jak Zbroiński już poszedł, i patrzyła na wąskie smugi deszczu płynące po szybie. Po drodze do domu kupiła w sklepie Tutaj sześć butelek białego wina i piła je przez dwa kolejne dni, tak jak kiedyś lubiła – z lodem i z wodą mineralną. W pierwszy dzień świąt usiłowała bawić Natalię różnymi dowcipami i coś jej tłumaczyć, ale wtedy już bełkotała. Córka się nie śmiała. Ewę to rozzłościło, więc zaczęła jej wypominać, że skoro przyjechała do domu na święta, mogłaby poświęcić trochę uwagi własnej matce.

Dziewczyna, wysłuchawszy pijackich pretensji, wyszła do przyjaciółki z liceum. Płakała, gdy szła przez puste miasto, a następnego ranka wróciła do Warszawy – dwa dni wcześniej niż planowała. Przed wyjściem pocałowała matkę w czoło, gdy ta leżała pijana w salonie przed telewizorem, w którym leciały niekończące się reklamy, pokazujące szczęśliwe, uśmiechnięte rodziny przy świątecznym stole.

W lany poniedziałek o godzinie piętnastej Ewa wciąż spała.

11 Planeta dzisiaj mało kopsa żara (żargon więzienny) – Słońce słabo świeci.

12 Czego chce kobieta, tego chce Bóg (fr.).

13 Młoda kobieta (fr.).

ROZDZIAŁ XVI

PARALIŻ

Subaru forester wiozący mecenas Małgorzatę Drewnowską skręcił z autostradowej obwodnicy miasta w zjazd prowadzący do północnych dzielnic. Było tuż po godzinie dziesiątej rano w poświęteczny wtorek. Kierował Willem, Gośka siedziała obok z opatrunkiem na nosie.

Obydwoje milczeli.

Przez ostatnie dni wszystko już sobie powiedzieli: o troskliwości, o zaufaniu, o miłości, która wciąż ich łączy. Zachowywali się jak zakochani nastolatkwie.

Mówił głównie Wilk – bardzo dużo jak na niego; ona miała trudności z wydawaniem głosu. Bolała ją obrzęknięta górna warga, a każdy wdech przez usta drażnił dziąsło, z którego wystawał okruch wybitej górnej jedyńki. Mówiła niewyraźnie. Woląa zatem za dużo się nie odzywać.

Wyglądała źle. Nos nastawiony w szpitalnym więzieniu był opuchnięty; oczy były podbiegnięte czarnymi siniakami.

A zatem prawie się nie odzywali – on zmęczony, ona obolała. Myśleli jednak intensywnie i snuli plany.

Willem rozmyślał o kolokwium z gramatyki niderlandzkiej, którego termin wyznaczył studentom na poświęteczny czwartek, Gośka – o ważnych rozmowach z mecenasem Buczyńskim.

Wieści od adwokata – wobec gotowości młodego Sikory do zeznań – napełniłyby ją radością i spokojem, gdyby jej rozmówca mógł tylko odpowiedzieć na jedno proste pytanie: gdzie jest Ewa? Ta ani razu nie odebrała telefonu od Willema, który na prośbę żony nieustannie do niej wydzwaniał. Mecenas jednak nie potrafił udzielić żadnej odpowiedzi, podobnie zresztą jak Michał i Waldek,

z którymi Buczyński kontaktował się kilkakrotnie, przerywając im rodzinne rozmowy przy świątecznych stołach.

Ewa zapadła się pod ziemię, jej telefon milczał, podobnie jak telefon Alberta. Gośka nie знаła nikogo, od kogo Willem mógłby uzyskać numer telefonu Natalii Mroczek. Roberta w ogóle nie brała pod uwagę w swych poszukiwaniach. Pomyśl, że przyjaciółka mogłaby się kontaktować z byłym mężem czy też wspólnie spędzać z nim święta – pierwszy raz od dziesięciu lat! – wydał się jej absurdalny.

Kiedy już znaleźli się w centrum, poprosiła Wilka, aby podjechał w okolice Rynku Staromiejskiego. Musiała sama sprawdzić, co się dzieje z Ewą.

Niechętnie się zgodził, protestując bez przekonania, że jest pobita i powinna przede wszystkim odpocząć i zjeść śniadanie.

Małgorzata była nieugięta, ale swoją silną wolę okazała w sposób subtelny. Pogłaskała Willema po głowie i powtórzyła cicho swoją prośbę. Tym razem jej mąż nie zaprotestował ani słowem.

Poświęteczny ruch w centrum rozpoczął się na dobre. Okolice Rynku zapchane były samochodami, o wolnym miejscu mimo potężnych opłat parkingowych – od niedawna również w sobotę i w niedzielę – można było jedynie pomarzyć, więc Willem zatrzymał się na pustym miejscu przed garażem, gdzie powinna stać corolla.

Rozsądek podpowiadał Gośce, że Ewa gdzieś pojechała, mimo to postanowiła do niej zajrzeć. Poszła szybko przez podwórko, na którym dwie dozorkownie wygarniały z piaskownicy poświęteczne pozostałości: puszki i butelki po piwie, i nacisnęła na klamkę tylnych drzwi prowadzących do kamienicy. Ustąpiły. Mimo bólu wgramoliła się na drugie piętro i nacisnęła guzik dzwonka.

Nikt nie otwierał. Pchnęła drzwi – ustąpiły. Lęk o Ewę na moment ją sparaliżował. Zmusiła się, żeby wejść do środka. Spojrzała w lustro wiszące w przedpokoju – na swoją posiniaczoną twarz.

– To ty, Gosia? – Gdzieś z wnętrza mieszkania usłyszała głos i odetchnęła z ulgą.

– Tak! Gdzie jesteś?

– W salonie! Wiedziałam, że przyjdiesz. Czesiek wysłał ci zdjęcie?

W salonie zaciągnięte były zasłony, ale ostre światło poranka przenikało przez materiał i ujawniało pobojowisko, w jakie zamienił się pokój. Na kanapie i na fotelach walały się spodnie, sukienki oraz bluzki.

– Powyciągałam wszystko z szafy – szepnęła Ewa, widząc, jak przyjaciółka wpatruje się w górę ciuchów. – Niektóre są jeszcze z lat studenckich. Chciałam zobaczyć, ile przytyłam.

Gośka nie skomentowała tego nawet grymasem.

– O co ci chodzi z tym Cześkiem? Jakie zdjęcie? – zapytała. – I gdzie twój samochód?

– W garażu. Albert pojechał motorem do swojej byłej i dzieci. Pragnie odbudować dawny związek. Tak przynajmniej mi napisał. Czyli o niczym jeszcze nie wiesz?

Gośka poczuła dławienie w gardle. I zimny dreszcz niepokoju. Oto jej jedyna przyjaciółka, której dotychczasową abstynencję podziwiała, jest – jeśli nie pijana – to ewidentnie skacowana i bredzi od rzeczy! W pokoju unosił się ostry smród niedopałków i kwaśna woń wina. Popielniczki stały wszędzie: na szklanym stoliku, na pięknej komodzie – oryginalnym *art déco* z lat trzydziestych – a nawet jedna na kanapie. Niektóre były mokre, jakby Ewa zalewała wodą żarzące się pety.

– Ty znowu palisz? Od kiedy?

– Od soboty – prychnęła śmiechem Ewa i dopiero teraz uważnie jej się przyjrzała. – O cholera, Gosia... Ale cię pobili! Nie masz zęba z przodu?

Gośka patrzyła na przyjaciółkę z rosnącym przerażeniem. Stała nad nią w trenczu, z którego rozcięcia wystawał różowy dres z szarymi paskami. Przypominała Ewie tatrzańską górę, której stok był obsypany różowymi pierwiosnkami maleńkimi. Takie widziała kiedyś na wycieczce z Robertem i malutką Natalią – córką, która wczoraj wzgardziła pijaną matką.

– Co tu się działo? – zapytała Gośka.

– Wszystko ci powiem... – szepnęła Ewa. – Wszystko.

Jej przyjaciółka wyjęła telefon z kieszeni płaszcza i wybrała numer męża.

– Jedź do domu, Wilku – powiedziała. – Tak, jest tutaj. Muszę się nią zająć. Nie, nie jesteś potrzebny. Jedź do domu! Ja muszę ogarnąć tu trochę spraw...

Rozłączyła się, mając pewność, że Willem nie zrozumiał ostatniej frazy, lecz nie miała czasu mu tłumaczyć. Ewa wymagała opieki.

Siedziała na kanapie z kolanami podciągniętymi pod szyję. Wyglądała jak w dawnych czasach, gdy uczyły się razem do egzaminów i spędzały godziny na tapczanie w jej starym mieszkaniu, dwa kroki stąd. Studentka Skoczek uwielbiała tę pozycję, mimo że przyjaciółka ciągle ją odradzała jako bardzo niezdrową dla kręgosłupa.

Gośka poszła do kuchni i w poszukiwaniu worków na śmieci otworzyła kilka szafek. Znalazła jeden właściwy: duży, czarny, gruby, studwudziestolitrowy. Wróciła z nim do salonu, otworzyła okno i rozpoczęła porządki. Wysypywała pety, wrzucała butelki i zmięte chusteczki higieniczne. Ubrania zaczęła porządnie układać na komodzie. Ewa patrzyła na nią z rosnącym przerażeniem.

– Przestań! – krzyknęła nagle. – Ale już! Bo to, co ci zaraz powiem... Jak to usłyszysz, pójdziesz po kolejny worek – dodała cicho. – Żeby naciągnąć mi go na głowę... Ale to nie była moja wina, to nie była... – Zadrżała jej broda, a w oczach pojawiły się łzy.

Drewnowska usiadła na fotelu, przez którego oparcie zwisały rajstopy kabaretki.

– Mów – powiedziała spokojnie.

Syknęła z bólu. Niechcący dotknęła językiem kikuta po złamanym zębie.

– Wiedziałam, że dzisiaj wpadniesz – szepnęła Ewa. – Myślałam, że będziesz chciała mnie zabić, ale nie dostałaś jeszcze zdjęcia od Zbroińskiego...

– Nie dostałam! – Gośka podniosła głos. – No, gadaj wreszcie albo rzeczywiście narzucę ci worek na ten łeb!

– To smutna historia, Gosiu. Historia mojego upadku... – zaczęła nieco melodramatycznie, a w jej głosie brzmiała złość.

Gośka nie wiedziała tylko, na kogo jej przyjaciółka jest zła: na siebie czy na nią.

– Imprezowałam podczas studiów, zdarzało mi się pić tak długo, aż urywał mi się film. Sama zresztą pamiętasz. Potem w pracy było trochę lepiej, ale nie aż tak znowu dobrze...

Ewa odchyliła się na oparcie kanapy.

– Nie to co ty – dodała kąśliwie. – Ty byłaś wstrzemięźliwa, ja szłam na całość... Czasami się dziwię, jak w ogóle mogliśmy się przyjaźnić...

Urwała i wtedy to Gośka poczuła złość – ledwo co uszła z życiem w tym pieprzonym więzieniu, będzie musiała wydać majątek na chirurga plastycznego i dentystę, a Ewka siedzi tu przed nią i się użala, jakby to jej cały świat zwałił się na głowę!

– Pamiętasz tamtą imprezę w hotelu asystenta? – spytała nagle Ewa. – To było po obronie doktoratu Zbyszka. Żar się lał z nieba... Lipiec dziewięćdziesiątego siódmego był strasznie upalny, pamiętasz?

– Pamiętam... – Gośka zamknęła oczy. – Bardzo dobrze to pamiętam.

*

W mieście panował duszący lipcowy skwar, wzmagany wilgocią od rzeki. Komary miały swój sezon, a temperatura popołudniami dochodziła do czterdziestu stopni.

Ukrop wlewał się też w otwarte okna uniwersyteckiego domu asystenta Sapiens, stojącego tuż na nadbrzeżu.

Świeżo upieczony doktor prawa Zbigniew Sielawski – po obronie z wynikiem magna cum laude¹⁴ – zaprosił na przyjęcie swoją ulubioną grupę ćwiczeniową, z której członkami od dawna był na „ty”. Uczynił im ten zaszczyt, choć byli pierwszorocznikami. Bardzo ich lubił i cenił. Zapowiadali się na świetnych prawników.

Nie wszyscy przyszli. Były wakacje, kilka osób wyjechało na biwaki i spływy kajakowe, niektórzy podjęli pracę dorywczą w spółdzielniach studenckich, a dwóch szczęśliwców wyjechało do Norwegii zbierać truskawki.

W Sapiensie zjawilo się tego dnia piętnaście osób z grupy, z czego pięcioro z osobami towarzyszącymi.

Jedną z nich był Willem Vrijberg. Ten potężny, dobroduszny Holender z rzadkimi rudawymi włosami, od kilku miesięcy pracujący w Katedrze Niderlandystyki, od początku budził niechęć u starosty grupy Grzegorza Marcjańskiego.

Szybko pojawiły się pomiędzy nimi spięcia – jak to często bywa pomiędzy chłopakami tej samej dziewczyny, z których jeden jest byłym, drugi zaś aktualnym. Marcjański specjalnie mówił do Wilka po polsku bardzo szybko, a ten nic nie rozumiał i rozglądał się bezradnie dokoła, szukając lingwistycznej pomocy. Poza kilkoma zwrotami polszczyzna była mu równie dobrze znana jak język Eskimosów.

Niektórych zachowanie Grzegorza żenowało; w Goście rosła złość. Ze względu na gospodarza tłumila ją w sobie. Ale czuła, że nie wytrwa długo w tej wstrzeźliwości.

Mało kto udzielał Willemowi językowego wsparcia. Wszyscy byli zajęci zabawą, dowcipkowaniem, tańcami wśród kłębow papierosowego dymu, piciem nędznego wytrawnego wina Cambras wprost z butelek, których całą baterię przygotował gospodarz.

Ktoś przyniósł mocną siedemdziesięcioprocentową wódkę Boyaroff i pili ją w szklankach z sokiem pomarańczowym. Upał nie sprzyjał apetytom; kanapki z żółtym serem, pomidorem i cienkimi parówkami pokrojonymi w plasterki stawały się rozmiękle.

Ewa Skoczek świetnie się bawiła, zachłannie wypijała drinki. Przyrządzał je wszystkim zesław Zbroiński, który tego dnia mianował się „nadwornym barmanem pana doktora”.

– W moim drinku znalazł się rohypnol – powiedziała Ewa do Małgorzaty przez zasłonę wypuszczonego przez nią kłębu dymu z papierosa. – W połączeniu z alkoholem to pigułka gwałtu. GHB. W Polsce wtedy kompletnie nieznana.

– Nie mów mi tylko, że Wilk ci to wrzucił! – zawołała Gośka. – Że przywiózł coś takiego z Holandii! Tylko mi tego nie mów!

W salonie zapadło milczenie, które coraz bardziej ją niepokoiło, dlatego sama w końcu zaczęła mówić – cokolwiek, byle tylko przerwać tę ciszę.

– Dużo wtedy pił. Zresztą wszyscy piliśmy, żeby odreagować studia. Imprezowaliśmy po nocach, a rano bladzi z niewyspania i skacowani, szliśmy na zajęcia. Wilk tak się schlał, że podrywał Agnieszkę Smolarską, pamiętasz? Chciał mi zrobić na złość za to, że nie broniłam go przed Grześkiem.

*

Ktoś kopnął w uchylone drzwi baraku i wszedł do środka. Wydawało się, że buda zadrżała w posadach.

Ireneusz Banaszczyk tkwił za biurkiem w pozycji półleżącej. Jego klatka piersiowa spoczywała na blacie, a czoło opierało się na przedramionach. Wyglądał jak pijak, który zasnął w knajpie. Pod wpływem odgłosu tupania podniósł głowę i spojrzał na przybysza przekrwionymi oczami.

Nie znał tego faceta o długich opadających w dół wąsach i o gęstych szpakowatych włosach. Kojarzył mu się z jakimś aktorem filmowym, ale z jakim – tego nie mógł sobie przypomnieć.

Facet usiadł na krześle i rozpiął bosmankę. Wystawał spod niej cienki beżowy golf.

– Jak święta, Iras? – Mężczyzna włożył do ust papierosa. – Dobrze było jajeczko?

Rozejrzał się wokół. Wskazał na zdjęcia nagich kobiet na ścianach – każda rozchyłała nogi z uwodzicielskim uśmiechem.

– Fajne laski! Rakieta była podobna do którejś z nich? Siedziałeś przy biurku, a ona pod biurkiem? Przyszedłeś do tej budy, aby sobie powspominać?

W oczach Banaszczyka pojawiły się złe błyski.

– Przyszedłem, bo to jeszcze moje... Było moje... Kim jesteś, kurwa? – zacharczał. – Od Baryły?

Przybysz pokiwał głową w zadumie.

– Kawał bydlaka ze mnie, Iras! Ale tobie nie dorównam!

Były szef byłego składowiska przeczesywał przez chwilę gęste włosy. Potrząsał głową, bo nie mógł za nic zrozumieć, o co chodzi temu człowiekowi.

– Coś ci powiem. Choć byłem straszliwym gnojem, umawiałem się z trzema kobietami w ciągu jednego tygodnia, mówiłem do jakiejś imieniem drugiej... choć chlałem i dupczyłem do rozmiękczenia mózgu... to wiesz co? To nigdy mi się nie zdarzyło, bym oszukał kogoś, kto mnie wyciągnął z opresji.

Wstał gwałtownie z krzesła, a ono upadło na ziemię.

– A ty to zrobiłeś, skurwysynu! – ryknął. – Pani mecenas Drewnowska wyciągała cię z gówna, a ty finansowałeś ataki na nią! Ona podała ci pomocną dłoń, a ty ją sprzedałeś za marne grosze!

Umilkł. Pociągnął nosem.

– Wiesz co? – powiedział spokojnym tonem. – Tu, w tej budzie, nie śmierdzi spalenizną... Tu śmierdzi grobem, świeżo rozkopaną ziemią...

Sięgnął za pazuchę i wyjął cienką elastyczną linkę żeglarską.

– Możesz się powiesić – powiedział, rzucając ją na biurko. – Pomogę ci, lubię wieszać takie kanalie...

Banaszczyk patrzył na linkę i potrząsał głową.

– Kim ty jesteś? Kim jesteś, człowieku? – pytał przerażony. – Od Baryły?

– Jestem twoim wyrzutem sumienia...

Mężczyzna oparł ręce na stole i pochylił się ku rozmówcy. Kiedy mówił, zapalony papieros podskakiwał mu w ustach.

– Ale wyrzuty sumienia można uspokoić. Będziesz świadkiem koronnym, Iras. Zeznasz wszystko, co wiesz o Barylskim i Zbroińskim. O firmie Impex, o Rakiecie... albo... – wskazał głową na linkę – ... albo się powieszisz. Dzisiaj, jutro... Wcześniej czy później. Na początek ci opowiem, jak pewna więzienna lesba pobiła panią mecenas Drewnowską. Powiem ci, co jej zrobiła z nosem...

– Kim, kurwa, jesteś!? – wrzasnął Banaszczyk, zrywając się od biurka.

Przybysz zaciągnął się głęboko i wyjął legitymację służbową.

– Komisarz Robert Mroczek, komenda wojewódzka policji.

Dmuchnął Banaszczykowi dymem prosto w nos.

– Proponuję ci układ, Iras. Wymazanie twoich win i wyrzutów sumienia. Unieważnienie transakcji z Barylskim. Plac znów będzie twój. Zrobisz tu wesołe miasteczko i dasz zniżkę dzieciom z Harlemu... Ale w zamian podasz mi na tacy Impex. Barylskiego i Zbroińskiego.

Banaszczykowi otworzyły się szeroko oczy. Mroczek jako doświadczony negocjator wiedział już, że to oznacza zgodę.

– Ale... ja nie wiem, gdzie jest Rakietka – wymamrotał mężczyzna. – Naprawdę nie wiem...

Robert lekko się uśmiechnął.

– Rakietę zostaw mnie.

*

Willem Vrijberg wzgardził drinkami z sokiem pomarańczowym i zaczął pić czystego boyaroffa. Nie dbał już o aroganckie zachowanie Grzegorza. Ten zresztą przestał go prowokować i ruszył do tańca. Niestety, poprosił Małgorzatę, a ta mu nie odmówiła.

Willem udawał, że nic go to nie obchodzi. Zaczął tańczyć z Agnieszką Smolarską, która piła drinki w tym samym tempie co Ewa. Czyli w zabójczym.

Dziki taniec w tym potwornym upale nie trwał długo, ale to nie o pląsanie chodziło przybyszowi z Rotterdamu.

Willem – sam wściekle zazdrosny o przystojnego studenta Marcjańskiego, który jak na złość na tej imprezie zaczął nagle do Gośki robić słodkie oczy – postanowił sprawdzić jej miłosne zaangażowanie.

Najprościej taki test można było przeprowadzić starą jak świat metodą – wzbudzić w dziewczynie zazdrość. Agnieszka, niezbyt urodziwa i zakompleksiona, stała się w jego rękach zwykłym narzędziem. W pewnym momencie szepnął jej na ucho, że chciałby z nią porozmawiać na zewnątrz, bo tutaj jest zbyt gorąco. Zgodziła się bez wahania. Wyszli na korytarz odprowadzani palącym spojrzeniem Małgorzaty.

*W ten lipcowy wieczór w Sapiensie było niewielu lokatorów. Na piętrze, gdzie mieszkał świeżo upieczony doktor Zbigniew Sielawski, tylko dwóch nie wyjechało do domów – doktorant z Instytutu Filozofii siedział nad oryginalnym tekstem *Begründung der Metaphysik der Moral Immanuel Kanta*, a matematyk głowił się nad całkami Lebesgue'a.*

Żadna z tych czynności nie wytrzymała konkurencji z imprezą u Sielawskiego. Zbyszek zaprosił obu kolegów i ci bez wahania opuścili swoje pokoje, o czym Willem dobrze wiedział, dlatego postanowił zaprowadzić Agnieszkę do pokoju filozofa. Chciał tylko, żeby zobaczyła to ośka i zrobiła mu awanturę, żeby jej zazdrość stała się wyznaniem miłości.

Tymczasem stało się inaczej. Zanim dotarli na piętro, Agnieszka rzuciła mu się na szyję i zaczęła go łapczywie całować.

To było właśnie to, czego nie przewidział.

– Ty dziwko! – wrzasnęła nagle Gośka tuż za nim. – Ty pasztecie!

Zanim zdążył zareagować, zacisnęła pięść i uderzyła Agnieszkę. Dziewczyna upadła na posadzkę; Willem chciał jej pomóc wstać, ale jemu też się dostało.

Gośka wymierzyła mu potężnego kopniaka. Celowała w jądra, jednak szpic jej buta trafił go w podbrzusze. Wielki chłop ukucnął pod ścianą i jęczał cicho, spływając potem.

Nawet nie zauważył, jak jego dziewczyna opuściła przyjęcie.

– Jak się czujesz, stary? – usłyszał nad sobą troskliwy głos.

Spojrzał w górę. Nad nim pochylała się życzliwa twarz Czesława Zbroińskiego. Spędził z nim resztę wieczoru. Wyszli na balkon, biegnący wzdłuż całego hotelu, i rozmawiali po angielsku, popijając drinki, które tamten co chwila mieszał.

Czesław obejmował go za ramiona, udając bardziej pijanego, niż był w rzeczywistości. Wypytywał, czy studentki niderlandystyki są ładne i chętne, a młody wykładowca, pracujący tu od niedawna, potwierdzał – że owszem, bardzo ładne i bardzo chętne. Opowiadał, jak jedna z nich na obozie naukowym weszła mu kiedyś do łóżka. Czesław słuchał go z błyszczącymi z podekscytowania oczami, a potem powiedział, że ma dla niego niespodziankę, i zaprowadził go do pokoju filozofa.

Zamroczony alkoholem Willem myślał, że niespodzianką będzie Agnieszka, ale na wersalce leżała Ewa. Miała otwarte oczy, nie ruszała się. Jej sukienka była zadarta aż na biodra. Czesław wyciągnął rękę. Na wskazującym palcu trzymał damskie figi.

– No, dawaj, Wiluś! – powiedział po polsku. – Podymaj sobie, chłopaku!

Holender pomyślał, że to najlepszy sposób, by odegrać się na dziewczynie – uprawiać seks z jej najlepszą przyjaciółką. Nie dał się długo prosić.

*

W salonie było ciemno od dymu. Gośka siedziała na fotelu, Ewa kuliła się w kącie kanapy.

Drewnowska trzymała przed oczami dużą czarno-białą odbitkę fotograficzną. Było to zdjęcie pornograficzne.

Ewa leżała na plecach. Miała otwarte oczy. Jej sukienka była zrolowana aż za pępek. Prawa noga Ewy była uniesiona i zgięta nieco w kolanie. A to zgięcie kolana znajdowało się na ramieniu Willema.

Pochylał się nad nią, a z ust wysuwał mu się koniuszek języka.

Jej ukochany mężczyzna, który zawsze rano tak pięknie pachniał wodą kolońską, z którym uwielbiała się kochać w łazience, który dzięki zorganizowanej przez siebie operacji stworzył ją na nowo jako kobietę, który tak dzielnie bronił jej niegdyś przed nożownikami na targu w Maroku, a kilka dni temu przed antyterrorystami, co wtargnęli do ich mieszkania – ten ukochany mężczyzna uprawiał seks z jej jedyną przyjaciółką.

Na zdjęciu, na stoliku obok łóżka, leżała książka. Jej tytuł w tłumaczeniu brzmiał: *Uzasadnienie metafizyki moralności*.

Wstała gwałtownie.

– Uwierz mi, Gosia! – krzyknęła Ewa i zeskoczyła z kanapy. – Nie miałam pojęcia, co tam się stało. Nazajutrz byłam trochę obolała, ale nie podejrzewałam, że... Teraz już wiem, jak działa rohypnol. Masz otwarte oczy, lecz nic nie widzisz; można z tobą zrobić wszystko! Nic o tym nie wiedziałam... W sobotę Czesiek dał mi to ohydne zdjęcie. Powiedział, że ci je pokaże, jeśli do poniedziałku do piętnastej nie dam mu pewności, że Damian Sikora nie będzie przeciwko niemu zeznawał.

– Ty szmato! – wydarła się Małgorzata. – Jak mogłaś patrzeć mi w oczy przez te wszystkie lata!?

– Gosia, Gosia, ja naprawdę...

Potężna kobieta uniosła dłoń.

Ewa wiedziała, co będzie dalej.

Wielokrotnie ćwiczyła na treningach krav magi, jak takie uderzenie zablokować.

Ale teraz nie zrobiła najłżejszego nawet ruchu.

Po prostu czekała.

*

Sierpień roku dziewięćdziesiątego siódmego był równie upalny jak lipiec. W małym mieszkanku na dziesiątym piętrze betonowego bloku osiedla Mazurowo powietrze

stało nieruchomo. Materiał starych zasłon był tu i ówdzie przetarty i przez te miejsca mocniej przebłyskiwało słońce. Umeblowanie było więcej niż skromne: narożna kanapa zapadająca się w kilku miejscach, stół-ława i dwa niskie pufy. Na ścianie, na grubych sznurach, wisiała deska, na której stało kilka książek – jakieś stare podręczniki do elektrotechniki. Właściciel tego mieszkania był pewny, że wynajmuje je skromnemu doktorantowi z politechniki.

Lecz wynajmujący nie miał z politechniką nic wspólnego. Jego dokumenty były fałszywe. Naprawdę nazywał się major Radosław Barylski i był funkcjonariuszem Wojskowych Służb Informacyjnych, a prywatnie – przykładnym mężem i ojcem dwóch dorosłych synów, Krzysztofa i Pawła.

Tkwiał teraz na pufie w niewygodnej pozycji, nieco skulony, i przyglądał się Willemowi rijbergowi siedzącemu po drugiej stronie ławy. Holender się pocił. Na obcisłej koszulce polo rosły coraz większe plamy.

W końcu oficer podsunął mu komputerowy wydruk i zdjęcie pornograficzne, na którym jego gość odgrywał nader aktywną rolę.

– Albo to, albo to – powiedział po angielsku. – Albo podpisujesz dokument, albo dostajesz to zdjęcie na pamiątkę... Jeśli wybierzesz tę drugą opcję, jeszcze dzisiaj odbitkę tego zdjęcia otrzyma pani dziekan Wydziału Filologicznego... oraz panna Małgorzata Drewnowska. Co ty na to, Willem?

Holender podpisał. Wszedł tutaj jako człowiek wolny, wyszedł jako tajny współpracownik SI.

Kiedy trzasnęły za nim drzwi, do pokoju wszedł drugi mężczyzna. Barylski wskazał mu miejsce, na którym przed chwilą siedział Vrijberg.

– Zaryzykowałeś, Czesiu. – Uśmiechnął się szeroko. – Skąd wiedziałeś, że Holender bzyknie tę Ewę? Rohypnol to drogi preparat, niełatwo go było sprowadzić. Ale ty się upierałeś, upierałeś...

– I wygrałem.

– Zgoda, wygrałeś. Ale nie odpowiedziałeś na pytanie. A ja tego nie lubię, wiesz? Podobnie jak tego, gdy ktoś mi przerywa...

W dusznym pokoju zrobiło się jeszcze duszniej.

– Przepraszam, panie majorze.

– Skąd wiedziałeś, że bzyknie ją na śpika?

– Bo ma silne potrzeby seksualne – odparł Czesław. – A jego dziewczyna Małgorzata raczej niewielkie...

– A co, dobierałeś się do panny Drewnowskiej i dostałeś kosza?

Zapytany uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

– Drewnowska starała się o dofinansowanie operacji plastycznej miejsc intymnych. W maju złożyła stosowne podanie do fundacji Feminatywka, ale rozpatrzono je negatywnie. Opisała w nim swój problem. Miała przerost czegoś... Dokładnie nie pamiętam czego... Przez to nie odczuwała satysfakcji przy stosunku. Wyciągnąłem stąd wniosek, że ma niewielkie potrzeby.

W pokoju robiło się coraz goręcej. Czesław otarł pot z czoła.

– Pisała, że w czasie stosunku jest jakby sparaliżowana. A matka mojej koleżanki z roku, gnieszki Smolarskiej, pracuje w Feminatywce. Nie musiałem długo urabiać Agnieszki, by poprosiła ją o szczegóły sprawy. Ona nie jest oziębła...

Major wstał i przez chwilę spacerował w tę i z powrotem. Nagle zatrzymał się przed nim i położył mu rękę na ramieniu.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś, gdy poprosiłeś o rohypnol? Dałbym ci wtedy bez gadania.

Młodzieniec zerwał się z miejsca.

– Chciałem, żeby pan major nabrał do mnie zaufania.

– I nabrałem, Czesiu. Daleko zajdziesz, daleko...

– Ale mam jedną prośbę, panie majorze. Proszę nie mówić do mnie „Czesio” ani „Czesiek”. Mam na imię Czesław. To na pamiątkę po dziadku...

Kwietniowe słońce nagle zaszło za ostrymi zwieńczeniami kamieniczek. W salonie Ewy zrobiło się jeszcze ciemniej. Żadna z nich jednak tego nie zauważyła.

Płakały. Obejmowały się ramionami i szlochały. Ostatnie dni były dla nich jak huragan, który kilkoma podmuchami zniszczył całe ich życie. Straciły wszystko – swoje małżeństwa, godność, poczucie bezpieczeństwa. Wszystko oprócz przyjaźni. Jeszcze przed chwilą Ewa sądziła, że Gośka ją uderzy, a potem wyjdzie bez słowa i już nigdy się do niej odezwie, ale ona po prostu ją przytuliła. I siedziały tak wtulone w siebie, płacząc nad tym, co straciły.

Nagle ciszę panującą w mieszkaniu przerwał dzwonek do drzwi. Gośka oderwała się od przyjaciółki.

– Ja otworzę – powiedziała, ocierając oczy.

Po chwili wróciła. Za nią do pokoju weszli dwaj mężczyźni. Jeden był ubrany jak bankowiec – w garnitur i krawat. Drugi – niechlujny – wysoki, gruby i łysawy, w opiętym tiszercie z kilkoma plamami na środku.

– Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego – powiedział ten drugi. – Krystian Lenart, a to mój kolega, Dawid Wieszała. Musimy porozmawiać...

Ewa spojrzała na Goškę.

– Oto ostatni akt – powiedziała Ewa. – Odbierają nam tę sprawę.

„Cała nadzieja w Robercie” – pomyślała.

*

Ten, w którym pokładała nadzieję, zaparkował leciwego passata w małej uliczce w podmiejskiej miejscowości Słotwiny. Chmury rozpędził wiatr, słońce mocno teraz przygrzewało. Zdjął bosmankę i rzucił ją na siedzenie pasażera.

Wysiadł z auta. Miał na sobie beżowy golf i jasne džinsy. Przyjrząwszy się sobie dość krytycznie w szybie auta, poprawił fryzurę. Wszystko było w porządku.

„Jeszcze nigdy nie miałem żony gangstera”. – Uśmiechnął się do własnego odbicia.

Spojrzał na ogrodzenie. Murek wieńczyły ostre szpice. Był otynkowany i ozdobiony tu i ówdzie nieregularnie ułożonymi, jakby pofałdowanymi cegłami. Na wieżyczkach bramy wjazdowej dwa gipsowe lwy rozwierały paszcze. Spojrzał

przez kraty na dom z kolumnami przy wejściu. Chodnik przed posesją i podjazd były wybrukowane małymi jasnobieżowymi kostkami.

– Do bólu nowobogackie to wszystko, nawet ta bryka – szepnął do siebie, patrząc na stojące na podjeździe potężne czarne bmw x7 z tablicą rejestracyjną W1 KAKAO.

Podszedł do dzwonka, pod którym wisiał portret łysego zbira. Facet patrzył groźnie, a napis poniżej oznajmiał:

MÓJ DOM POD MOJĄ OCHRONĄ.

Robert nacisnął dzwonek. Zazgrzytały drzwi i otworzyły się powoli.

Minął gipsowe lwy i kroczył długim podjazdem. Kiedy wszedł pomiędzy kolumny na ganku, drzwi do domu same się uchyliły. Pewnie ktoś wewnątrz uruchomił je przyciskiem.

Linda Piesiak, żona Bartosza „Pajaka” Piesiaka, czekała na zadaszonym i oszklonym patio wśród kolumn, wokół których owijał się bluszcz. Patrzyła na niego ze złością lub z pogardą – cokolwiek znaczyły jej ściągnięte ponad nosem brwi.

Miała wysokie buty z różowego zamszu, ozdobione cienkimi metalowymi obcasami. Z cholewek wychodziły zgrabne uda w ciemnych rajstopach. Do tego – dzinsowa spódniczka z cekinami i biała, niesięgająca pępka bluzka z różową kokardką pod dekoltem. Jej farbowane na blond włosy były na końcówkach nieco przyciemnione. Wyglądała jak królowa porno na przyśpieszonej emeryturze.

Kiedyś takie lubił; może nawet próbowałby ją zdobyć, ale nie tym razem. Nie podobały mu się jej usta – nadmuchane jak opony i pokryte krwistoczerwoną szminką.

„Ewa to dopiero ma piękne usta – pomyślał nieoczekiwanie. – One nie potrzebują ani botoksu, ani szminki”.

– No! – warknęła Linda Piesiak. – Szybciej! Co jest? Nie mam czasu bynajmniej!

By dodać swym słowom odpowiedniej mocy, postawiła but na malutkim murku okalającym tryskającą wodą fontannę, wbudowaną w sam środek patio.

Wyciągnął ku niej wizytówkę z numerem telefonu. Chwyciła ją dwoma palcami ozdobionymi różowymi tipsami. Pogardliwym ruchem wrzuciła ją do pluskającej wody.

– Po co mi to? – prychnęła. – Wiem, kim jesteś, psie. Powiedziałeś mi przez telefon. Lepiej się streszczaj.

– Ja też wiem, kim pani jest. – Robert przybrał swój najbardziej łobuzerski i uwodzicielski uśmiech. – Byłą prostytutką. Różnie panią nazywali. „Karpik” to ksywa łagodna, „Szczękościsk” brutalna. Po zakończeniu kariery czynnej prowadziła pani dwa burdele, których właścicielem był pani mąż, Bartosz Piesiak. Oba zlikwidowaliśmy swojego czasu... Znaleźliśmy tam trochę narkotyków, pamięta pani?

Patrzył, czy zrobiło to na niej wrażenie. Zrobiło. Jej oczy się zwęziły.

– Ale dajmy spokój starym czasom. – Wciąż szczyrzył zęby. – Powiedziałem pani przez telefon, że mam filmik z samochodowej kamery. Na tym filmiku pani mąż taranuje samochód niewinnej kobiety. Tak się składa, że mam do tej kobiety pewien... hm... sentyment. I zrobię wszystko, aby Pająk poniósł konsekwencje. Bo zrobił jej krzywdę. Jest obolała, potłuczona...

Linda zdjęła nogę z murku. Była zainteresowana – jakby oglądała telenowelę.

– A pani mąż ma wyrok w zawiasach! Sędziemu nie będzie się podobało, że swoje bmw zamienia w spychacz...

– No! Dalej! Dalej!

– Sprawa jest bardzo prosta. – Już się nie uśmiechał. – Zna pani wszystkie burdele w tym mieście, wszystkie dziewczynki, każdego goryla. Z panią każdy będzie chciał rozmawiać. Odnajdzie mi pani dziewczynę o ksywie Rakietka. Tak ją nazywali. Wzięło się to stąd, że pewien klient powiedział, że jak mu robiła loda, to eksplodował jak rakietka. Ona dokądś wyjechała. Chcę wiedzieć dokąd. I jak ją znaleźć. A w zamian zapomnę o tym nagraniu...

Wyjął z kieszeni kartę pamięci i pokazał ją kobiecie.

– Zostawić pani? Mam kilka kopii.

Patrzyła na niego dłuższą chwilę w milczeniu.

– Kim jest dla pana ta kobieta, którą Bartek niby taranował?

– Moją żoną – odparł bez wahania.

– Macie dzieci?

– Tak. Dwudziestoletnią córkę.

Patrzyła na niego długo i lekko się uśmiechała. Nie uwodziła Roberta – to było spojrzenie pełne zrozumienia, o ile nie przyjazne.

– Idź już stąd z tą kartą pamięci. Dzisiaj Bartek do ciebie zadzwoni.

Kiedy się odwracał, usłyszał, jak pani domu woła do służącej:

– Oksana, wyjmij z fontanny ten papierek!

*

O ósmej wieczór Robert nacisnął guzik domofonu w kamienicy Ewy. Drzwi drgnęły. Wszedł wolno na drugie piętro. Czuł się jak uczeń – niezdecydowany, niepewny. W ręku trzymał bukiet róż.

Chciał za wszystko przeprosić. I chciał poprosić. Również o wszystko. Czyli o wybaczenie.

Otworzyła mu. Była blada, zmęczona, z sińcami pod oczami. Na kwiaty machnęła lekceważąco dłonią. Zniknęła w głębi mieszkania. Ale drzwi zostawiła uchylone.

Wszedł.

Leżała na kanapie w sypialni – skulona, w pozycji embrionalnej. Przykrył ją kocem i długo głaskał po czole.

Potem siedział przy niej – trochę spał, trochę czuwał – aż do bladego świtu.

W końcu przysnął. Nie na długo. Obudziła go pocałunkiem. Naga i ciepła.

A potem wszystko było tak jak kiedyś.

14 Z wielką chwałą (łac.).

EPILOG

Z komputera doszły dźwięki *Marsza żałobnego Chopina*.

Kursor migotał przez chwilę, po czym stuknął w folder „Gangrena” i w plik „tekst”. Zjechał na sam dół.

I wtedy spod palców uderzających w klawiaturę zaczęły wychodzić ostatnie passusy książki.

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego przejęła sprawę Impeksu. Przez rok prowadzono intensywne śledztwo.

Robert Mroczek nie pił, regularnie chodził na terapię. Na mityngach Anonimowych Alkoholików spotkał jednego ze znanych sobie byłych przestępców. Trzymali się za ręce i razem z innymi odmawiali Modlitwę o pogodę ducha .

Spotykał się z Ewą Skaczek całkiem jawnie i pozazawodowo. Albert Kucaj uznał ją za winną rozpadu ich małżeństwa, złożył pozew rozwodowy i przeprowadził się do mieszkania służbowego, opłaconego mu przez urząd miejski. Na głowie Ewy – jako dodatkowe dla niej utrapienie, co było z jego strony małodusznym odwetem – pozostawił sprzedaż ich wspólnego mieszkania w Rynku Staromiejskim. Ewa nie czekała długo na kupca. Nabył je jakiś zamożny człowiek z Warszawy. Nie targował się. Zamierzał dobrze na nim zarobić: podzielić je na klitki i wynajmować studentom.

Tymczasem ona zamieszkała w biurze. Do kawalerki byłego męża nie było stąd daleko, jednak mimo nalegań Roberta wciąż nie zgadzała się na to, by zamieszkali razem.

Rok później rozpoczął się proces, który wstrząsnął całą Polską. Na ławie oskarżonych zasiadł siedemdziesięcioletni pułkownik w stanie spoczynku, Radosław Barylski, były oficer ojskowych Służb Informacyjnych, a później znany biznesmen.

Był w radzie nadzorczej Impeksu, firmy mającej siedzibę w Luksemburgu, lecz de facto organizacji przestępczej kierowanej i finansowanej z Kremla. Oskarżenie: szpiegostwo na rzecz Federacji Rosyjskiej. Wyrok: dziesięć lat pozbawienia wolności.

Jego synowi, pięćdziesięcioletniemu Krzysztofowi Barylskiemu, prezesowi deweloperskiej firmy Castel, de facto polskiej spółce córce Impeksu, postawiono zarzuty o szantaż, korumpowanie organów ścigania oraz o udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Wyrok o trzy lata niższy niż ojciec.

Zarzuty większego kalibru usłyszał czterdziestotrzyletni Czesław Zbroiński, wiceprezes astelu oraz właściciel firmy Clever Consulting. Z ust prokuratora padły oskarżenia o szantaż, korupcję, kierowanie grupą przestępczą, wielokrotne zgwałcenie Marzeny Borsuń, pseudo akieta, oraz czerpanie zysku z nierządu.

Dzięki informacjom uzyskanym przez Interpol od anonimowego informatora z Polski arzenę Borsuń znaleziono w jednym z luksemburskich domów publicznych. Jej zeznanie było jak wybuch: Zbroiński miał ją wielokrotnie gwałcić i zmuszać do nierządu. Na jego rozkaz została porwana i wywieziona do Luksemburga, gdzie ją więziono i dopuszczano się wobec niej przemocy seksualnej. Skruszeni porywacze Rakiety potwierdzili jej słowa. Zeznali, że byli ochraniarzami w firmie Clever Consulting i działali na rozkaz szefa. Podpadali zatem pod definicję grupy przestępczej.

Ponury epilog w sprawie Zbroińskiego dopisało życie. Kiedy zabezpieczono jego sprzęt komputerowy i nośniki danych, odkryto treści pornograficzne – wprawdzie nie pedofilskie czy zoofilskie – ale zgodnie uznane przez śledczych za „wysoce odrażające”. Na niektórych filmach i na zdjęciach występował sam Czesław Zbroiński. Dzień po tym jak mu je zaprezentowano, popełnił w celi samobójstwo. Do tej pory nie wyjaśniono, skąd wziął cienką, mocną linkę. Pojawiły się plotki, że jakiś wysokiej rangi polityk był zaniepokojony całą sprawą. Zagroził Czesławowi, że jeśli ujawni posiadane przez siebie informacje, to jego nieletnia córka, Ewelina, ujrzy zdjęcia pornograficzne z tatusiem w roli głównej. Oskarżony nabrał wody w usta.

Niektórzy jednak najwyraźniej uważali, że ta woda kiedyś wypłynie. Woleli się zabezpieczyć. Taka była hipoteza dziennikarzy śledczych: w „samobójstwo” zamieszane było długie ramię Moskwy, której ewentualne zeznania Zbroińskiego były bardzo, bardzo nie na rękę.

A co z łagodnym niderlandzkim niedźwiedziem? Tu Zbroiński bynajmniej nie gryzł się w język. Zeznał, że Willem Vrijberg zdradzał mu wiele tajemnic obyczajowych dotyczących osób ze środowiska uniwersyteckiego. Nie ukrywał też szczegółów pożycia intymnego z własną żoną. Holender został oskarżony o udział w grupie przestępczej. Jako tajny współpracownik WSI, zwerbowany przez majora Barylskiego, miał wyjeżdżać często do Holandii i do Luksemburga. Tam miał jakoby pełnić funkcję polskiego łącznika pomiędzy Impeksem a krajowymi biznesmenami. Dowody na tę działalność były chwiejne. Został uniewinniony. Po rozwodzie z Małgorzatą Drewnowską zwolnił się z uniwersytetu i powrócił do ojczyzny.

Więziarka Klaudia Wilczkowiak, odsiadująca w zakładzie karnym karę za handel narkotykami, zeznała, iż otrzymała od strażniczki Justyny Nowaczyk torebkę z kokainą w zamian za pobicie Małgorzaty Drewnowskiej w ich wspólnej celi. Za to przestępstwo dołożono jej dodatkowy rok odsiadki.

Justyna Nowaczyk, strażniczka z zakładu karnego, została oskarżona o nakłanianie do przestępstwa oraz o nielegalny obrót narkotykami. Za okoliczność łagodzącą uznano jej szczerą skruchę oraz szczegółowe zeznania w sprawie korupcji, jakiej ją poddał prokurator Wojtala. Dostała wyrok w zawieszeniu i została zwolniona karnie ze Służby Więziennej.

Prokurator Adrian Wojtala został oskarżony o korupcję, o nakłanianie do przestępstwa pobicia oraz o przekroczenie uprawnień. Otrzymał trzy lata bezwzględnego więzienia i dożywotni zakaz wykonywania zawodu prawnika. Oskarżycielem z urzędu był prokurator Zbigniew Bazylak, a jako oskarżyciele posiłkowi wystąpili mecenas Lucjan Buczyński i detektyw Ewa Skoczek.

Najważniejszymi świadkami oskarżenia zostali Damian Sikora i Ireneusz Banaszczyk. Szef składowiska był przez Krzysztofa Barylskiego dopuszczany do

dużej zażyłości, znał mnóstwo szczegółów z działalności firmy Castel. Słowa Banaszczyka okazały się gwoździami do sądowej trumny dewelopera i jego ojca.

Palce na klawiaturze znieruchomiały, kursor migał.

Grzegorz Marcjański został prezydentem naszego miasta i był nim przez jedną kadencję.

A potem pojawiło się zakończenie tej reporterskiej relacji.

Książka ta opowiada o gangrenie i o jej bakteriach. Została ona ukończona piętnastego kwietnia dwa tysiące dwudziestego czwartego roku roku, pięć lat po przedstawionych w niej zdarzeniach.

*

Pani prezydent miasta spojrzała na kalendarz przymocowany do ogromnego biurka. Lubiała patrzeć, jak kalendarze kartkowe – każdego dnia – zmniejszają swą objętość. Świetnie symbolizowały one jej zdaniem proces przemijania – prawie niewidoczny w małych interwałach, ogromny w dużych.

Wyrwała kartkę z datą piętnasty kwietnia dwa tysiące dwudziestego czwartego. Kończył się zwykły dzień jej pracy. Jeszcze tylko jedno spotkanie. A potem wróci do domu na swój taras i łagodnym, lecz krytycznym spojrzeniem gospodyni obdarzy z góry to miasto.

Podniosła słuchawkę.

– Aga, wpuść tych panów.

Drzwi gabinetu się uchyliły i weszło doń dwóch elegancko ubranych mężczyzn przed pięćdziesiątką. Mieli identyczne granatowe garnitury i identyczne jasnoniebieskie krawaty. W klapach ich marynarek tkwiły wpinki tegoż koloru z logo wielkiej europejskiej firmy. Poza strojem i mimiką mocno się różnili. Jeden był wysoki i barczysty, drugi niski i szczupły. Obaj uśmiechali się przymilnie.

– John MacTaggart – powiedział pierwszy.

– Tommy Riggsby – uklonił się drugi.

Rozejrzeli się w poszukiwaniu foteli, na których mogliby usiąść.

Pani prezydent wstała. Była o pół głowy wyższa od MacTaggarta.

– Drodzy panowie, zaoszczędźmy sobie czasu – powiedziała po angielsku. – Odmawiam. Miasto nie jest zainteresowane propozycją budowy tego centrum handlowego.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Ich uśmiechy znikły.

– Ze względu na mecenasa Buczyńskiego, który mnie prosił o przyjrzenie się panów propozycji, oznajmiam panom moją decyzję osobiście!

Riggsby roześmiał się nerwowo.

– Doprawdy! Zbytek łaski!

Pani prezydent pominęła milczeniem tę kąśliwą uwagę.

– Moi współpracownicy znaleźli informacje o dawnym powiązaniu panów z luksemburską firmą Impex. Kilka lat temu mieliśmy z nią do czynienia. Nie były to dobre doświadczenia.

Biznesmenom zadrżały szczęki.

– Czy coś jeszcze, drodzy panowie? – zapytała. – Bo mam za sobą ciężki dzień.

Kiedy wychodzili, minęła ich w drzwiach szczupła kobieta średniego wzrostu o ciemnych włosach z grzywką. Była ubrana w jasne dżinsy i granatową koszulową bluzkę.

Weszła do gabinetu i spojrzała na panią prezydent. Z uśmiechem wskazała kciukiem na wychodzących mężczyzn. Na jej twarzy malowało się pytanie: bardzo wkurzeni?

Pani prezydent podeszła do niej. Kiedy zamknęły się drzwi, przyciągnęła ją ku sobie i uściskała.

– Dobra robota, Ewka!

– To nie moja zasługa, Gosia. Mam pierwszorzędnych współpracowników.

Kilometr dalej na południe w biurze detektywistycznym „Exploratrix” rozległo się mocne uderzenie w klawiaturę.

Mirella Szewczuk spojrzała na Michała Fiłonowicza.

– Przeczytać ci ostatnie zdanie?

Młody człowiek kiwnął głową.

– Książka ta opowiada o gangrenie i o jej bakteriach. Została ona ukończona piętnastego kwietnia dwa tysiące dwudziestego czwartego roku, pięć lat po przedstawionych w niej zdarzeniach. – Mirella spojrzała na zegarek. – Skończyłam o siedemnastej trzydzieści cztery.

I wtedy, jakby na przypieczętowanie tych słów, zadzwoniła jej komórka.

– Cześć, szefowo – odezwała się Mirella. – Jest ze mną Michał. Daję na głośnomówiący.

– Super to zrobiliście! – W pokoju rozległ się spokojny głos Ewy. – Prześwietlenie firmy Mister Cairo i znalezienie ich powiązań z Impeksem było idealne!

– Nic wielkiego – odezwał się Fiłonowicz. – Honeyspot i po wszystkim.

– Tydzień urlopu – powiedziała Ewa. – Jedźcie gdzieś raz na *last minute*.

Kiedy się rozłączyła i w pokoju zrobiło się cicho, Michał podrapał się w podbródek.

– A co z rozgrzebanymi sprawami? – spytał niepewnie.

– Przecież słyszałeś, co powiedziała... – Mirella przysunęła się bliżej i pocałowała go w usta. – A poza tym te sprawy może poprowadzić Damian. Do kolektywu Sheol by go jeszcze nie przyjęli, ale z dnia na dzień jest coraz lepszy.

Emerytowany policjant Waldemar Zimniak siedział obok nich i uśmiechał się lekko do siebie. Wstał i machnął im ręką na pożegnanie. Co prawda, nie rozumiał, co znaczy „honeyspot” i „kolektyw Sheol”, ale wiedział, na czym polega praca detektywa. I właśnie wychodził ją wykonać. Musiał zrobić zdjęcia pani Marcelinie Buczyńskiej, żonie znanego mecenasa, która – jak się właśnie dowiedział z SMS-a – weszła do hotelowego pokoju Johna MacTaggarta.

095210112022

Powieść ukończyłem 10 listopada 2022 roku o godzinie 09:52.

POSŁOWIE

Dotąd znany byłem raczej jako autor retrokryminałów. Wraz z powieścią *Ostra* wszedłem na grunt współczesności. Czekano mnie na nim – jako na literackiej *terra incognita* – wiele pułapek oraz bomb z opóźnionym zapłonem, czyli takich, które mogą zostać zdetonowane po lekturze książki. Chcę je rozbroić w niniejszym *Posłowniu*.

Pierwszą z nich jest zbyt łatwe utożsamienie opisywanych miejsc i osób. Oświadczam, że duże uniwersyteckie miasto w tej powieści jest fikcyjne, choć – z drugiej strony – nie mogę zaprzeczyć, że skupia ono w sobie cechy wszystkich dużych miast polskich lat dwudziestych XXI wieku z całym ich pięknem, ale i ze wszystkimi bolączkami (korki komunikacyjne, publiczne picie alkoholu, wulgaryzm i prymitywizm zachowań zwanych eufemistycznie „dobrą zabawą”, pokątna sprzedaż narkotyków, słowna, a niekiedy i czynna, agresja radykalnych stron sceny politycznej). Podobnie jest też z bohaterami pierwszo- i drugoplanowymi. Ich podobieństwo do rzeczywiście istniejących osób jest przypadkowe, choć niewątpliwie reprezentują oni typy ludzkie znane – jak sądzę – lepiej lub gorzej każdemu Czytelnikowi.

Dużym kłopotem było dla mnie wierne oddanie specyfiki życia, pracy i działania środowisk, które znam dość pobieżnie. I problem ten pomogli mi rozwiązać liczni eksperci. Z wielką cierpliwością udzielali mi oni konsultacji:

prawniczych (Wojciech Dubis, Agnieszka Skoczek, Przemysław Skoczek, Marcin Sosiński);

kryminologiczno-policyjnych (Paweł Brzózka, Mariusz Konieczny, Paweł Leśniewski, Dariusz Purzyc);

medyczno-sądowych (Tomasz Zatoński, Marcin Zawadzki);

dziennikarsko-medialnych (Stanisław Bereś);
technologicznych, informatycznych, socjolingwistycznych (żargon młodzieżowy), filmowych (amatorskie kręcenie filmików), społecznych i wielu innych (mój niezawodny eksplorator, Mikołaj Kołyszko).

Po sprawdzeniu wszelkich wątpliwości z zakresu wymienionych wyżej dziedzin do pracy nad tekstem przystąpili eksperci literaccy i redaktorzy. Maciej Lamparski błyskawicznie dwukrotnie przeczytał całą powieść i zgłosił liczne uwagi fabularne, które na chwilę zdemolowały mi (i bardzo dobrze!) pewne wątki. Następnie skrupulatni redaktorzy: Dorota Gruszka, Zbigniew Kowerczyk, Katarzyna Mach i Karolina Macios, wyplenili liczne narracyjne, językowe i rzeczowe chwasty.

Jeśli jakieś z nich zostały, to biorę za nie pełną odpowiedzialność. Albo nieuważnie służyłem moich ekspertów, albo z niewiadomych powodów – może z przekory? – nie uwzględniłem ich uwag, albo po prostu o coś zapomniałem zapytać. Teraz oczywiście nie zapomnę serdecznie podziękować wszystkim wyżej wymienionym osobom za ich nieocenioną pomoc.

Książki Marka Krajewskiego o Edwardzie Popielskim
(według chronologii wydarzeń)

Dziewczyna o czterech palcach

Pomocnik kata

Liczby Charona

Miasto szpiegów

Czas zdrajców

Pasożyt

Rzeki Hadesu

Głowa Minotaura

Erynie

W otchłani mroku

Arena szcurów

Władca liczb

Książki Marka Krajewskiego o Eberhardzie Mocku
(według chronologii wydarzeń)

Mock. Pojedynek

Mock

Błaganie o śmierć

Mock. Ludzkie zoo

Widma w mieście Breslau

Mock. Golem

Dżuma w Breslau

Koniec świata w Breslau

Moloch

Diabeł Stróż

Śmierć w Breslau

Głowa Minotaura

Festung Breslau

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Fotografia autora na skrzydełku
Michał Mutor

Redaktorka inicjująca i prowadząca
Dorota Gruszka

Redakcja
Zbigniew Kowerczyk
Karolina Macios

Adiustacja
Katarzyna Mach

Korekta
Barbara Gąsiorowska
Justyna Jagódka

Copyright © by Marek Krajewski
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2023

ISBN 978-83-240-6816-6

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com